

WINNER OF THE NEBULA AWARD

SPADAJĄCA KOBIEȚA

PAT MURPHY

Pat Murphy to jedna z najciekawszych pisarek w dziedzinie science fiction i fantasy, uhonorowana nagrodą Nebula. Precyzyjny sposób narracji, a także niuanse konstrukcji i tematu sprawiają, że jej książki należą do najwartościowszych pozycji współczesnej literatury fantasy.

Powieść *Spadająca kobieta* to historia zetknięcia się świata rzeczywistego z mitem i tajemniczą kulturą Majów. Prowadzone wśród ruin starożytnego miasta w dżunglach Jukatanu wykopaliska archeologiczne stają się początkiem wstrząsających wydarzeń. Mroczny świat obrzędów i magii splata się ze współczesnością, jakby zgodnie ze spiralną teorią czasu.

Na tym tle ukazany został także pełen napięć związek matki z córką.

„Pat Murphy połączyła fantasy, horror oraz współczesny realizm w artystyczną i fascynującą całość”.

„Chicago Sun Times”

PAT MURPHY
SPADAJĄCA
KOBIEȚA



TEUMACZYŁA BARBARA KAMIŃSKA

Wydawnictwo
MAG

Tytuł oryginału:
THE FALLING WOMAN

Copyright © 1986 by Pat Murphy
All rights reserved

Copyright © 1999 for the Polish translation by
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c, Poznań

Opracowanie graficzne serii: *Lucyna Talejko-Kwiatkowska*

Projekt okładki: *Grzegorz Nowicki*

Fotografia na okładce: *Piotr Chojnacki*

Redaktor serii: *Tadeusz Zysk*

Redakcja: *Renata Dziubel*

Wydanie I

ISBN 83-7150-530-2

Zysk i S-ka

Wydawnictwo s.c.
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 853-27-51, 853-27-67
tel./fax 852-63-26

Dział handlowy: tel. 864-14-03. 864-14-04

Druk: ABEDIK – Poznań



*Mojej Mamie,
wybitnej kobiecie, która nauczyła mnie tak wielu rzeczy,
oraz
Ryszardowi,
który pływał wraz ze mną w świętej cenie Dzibilchaltún*

Oto prawdziwa relacja z czasów, gdy wszystko było niewiadome, wszystko było ciszą i bezruchem, a niebo ziało pustką. Oto pierwsza relacja, pierwsza opowieść. Bo nie było człowieka czy zwierzęcia, ni ptaka, ni ryby. żaby czy kraba; ani drzew, skał, jaskiń ni wąwozów; ani roślin, ani krzewów. Było tylko niebo.

Popol Vuh z Quiché Maya

Uwagi o *Kamiennym Mieście* Elizabeth Butler

Na meksykańskim półwyspie Jukatan nie ma rzek. To płaska kraina, sucha i piaszczysta. Warstwa gleby ma zaledwie kilka stóp grubości, a pod nią znajduje się twarda, lita wapienna skała. Porastająca ziemię dżungla składa się z cienkolistnych drzew i ciernistych krzewów, które żółkną w czasie długiego lata.

Nie ma tu rzek, ale głęboko pod wapieniem jest woda. Tu i ówdzie przez pęknięcia w skale wydostała się na powierzchnię i utworzyła małe stawy.

Majowie nazywali takie stawki *ts'not* – słowem krótkim i kanciastym. Hiszpańscy najeźdźcy zmięczyli brzmienie tego słowa i te starożytne studnie nazwali cenotami. Jakkolwiek je zwał, woda w nich jest chłodna, a toń głęboka. Kryją w sobie fragmenty starej cywilizacji Majów: skorupy glinianych naczyń, figurki, jadeditowe ozdoby oraz kawałki kości – czasami ludzkich. W mitologii Majów cenoty były miejscami o szczególnej mocy, a władali nimi chaacob, bogowie przybywający z czterech stron świata i przynoszący deszcz.

Dzibilchaltún, najstarsze miasto na półwyspie Jukatan, zbudowano wokół cenoty znanej pod nazwą Xlakah. Według kalendarza Majów ludzie osiedli tutaj w dziewiątym katunie. Zgodnie z kalendarzem chrześcijańskim wypada to około tysiąc lat przed śmiercią Chrystusa.

Jednakże zastosowanie tego kalendarza wydaje się zupełnie nie na miejscu. Pomimo wysiłków hiszpańskich zakonników chrześcijaństwo nie zapuściło na tych ziemiach zbyt głębokich korzeni.

Ruiny Dzibilchaltún zajmują ponad dwadzieścia mil kwadratowych. Dotychczas tylko środkowa część tego obszaru została zbadana i naniesiona na mapy. Zrekonstruowano tylko jedną budowlę – świątynię w kształcie prostopadłościanu. Archeolodzy nazywają ją świątynią Siedmiu Lalek, ponieważ pod jej podłogą znaleziono siedem figurek porcelanowych wielkości lalki. Nie wiadomo, jak nazywali ten budynek Majowie ani czemu służył.

Świątynia Siedmiu Lalek była najlepszym punktem widokowym na cały otaczający ją teren – bezkresną monotonię spragnionych wody drzew i karłowatych krzewów. Wokół świątyni wykarczowano dżunglę i z trawiastej równiny wystają kamienne kopczyki. Pośród traw i gleby biegną ledwie widoczne fragmenty ścian i chodników z białego wapienia. Byłby to ponury widok, gdyby nie ogromny nieboskłon ponad nim, nie zakłócony bezkres błękitu.

Nie szukaj w tych ruinach żadnych niezwykłości. Znajdziesz tu tylko to, co przyniesiesz ze sobą: fragmenty wspomnień, okruszki przeszłości, ulotne jak obłoki na niebie latem, kawałki kamieni pokryte znakami, które czasem zdają się mieć jakiś sens.

Rozdział I

Elizabeth Butler

Grzebię w starożytnych śmieciach – powiedziałam do elegancko ubranej kobiety, przysłanej przez jedno z popularnych pism kobiecych chcących zamieścić krótki artykuł na temat mojej pracy. – Okradam starożytne śmietniki, oto czym się zajmuję. Wykopuję zwłoki zmarłych Indian. Archeolodzy właściwie niczym się nie różnią od zmiataaczy ulic grzebiących w odpadkach pozostawianych przez ludzi, którzy umierają, przeprowadzają się lub budują nowe domy, miasta, świątynie. Prawdę mówiąc, jesteśmy śmieciarzami. Czy to jasne?

Ugrzeczniiony uśmiech na twarzy kobiety przygasł, mimo to dzielnie kontynuowała wywiad. Było to w Berkeley, tuż po wydaniu mojej ostatniej książki, jednak wspomnienie tego wywiadu tkwiło we mnie. Współczułam reporterce i towarzyszącemu jej fotografowi. Widać było wyraźnie, iż nie mają pojęcia, co ze mną począć.

Jestem stara. Moje włosy są szarobrązowe – kolor wapienia, z którego przed tysiącem lat wznosili swe pomniki starożytni Majowie. Upływające lata pomarszczyły mi twarz – słońce wyrzeźbiło zmarszczki wokół oczu, wiatr wyostrzył rysy. W wieku pięćdziesięciu jeden lat jestem nieznośną staruszką.

Nazywam się Elizabeth Butler; moi przyjaciele i studenci mówią na mnie Liz. Wykazy Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley klasyfikują mnie jako wykładowcę i archeologa terenowego,

lecz w rzeczywistości jestem kretem, sprzątaczką, śmieciarzem. Ku mojemu lekkiemu zdziwieniu, a także umiarkowanej satysfakcji, jakimś cudem udaje mi się utrzymać z tak przedziwnej profesji.

Często spieram się z innymi ludźmi, którzy, jak ja, grzebią w odpadkach. Jestem znana ze skłonności do zadawania zbyt wielu kłopotliwych pytań na konferencjach, na których prezentowane są najnowsze odkrycia. Zawsze lubiłam zadawać niewygodne pytania.

Czasami, wprawiając w osłupienie moich uczonych kolegów, pisuję książki o tym, co robię sama, a także o pracy innych. Sądzę, że ta działalność budzi podejrzliwość moich kolegów-śmieciarzy głównie dlatego, iż przysparza mi dużej popularności, ta zaś rzadko towarzyszy prawdziwej pracy naukowej. Przypuszczam, że nieufność wobec moich dokonań odzwierciedla ich brak zaufania do mnie samej. Moje książki mają posmak spekulacji; opowiadam historie o ludziach, którzy zamieszkiwali starożytne ruiny – a moich kolegów nie obchodzą takie opowieści. W kręgach akademickich trzymam się na uboczu, z daleka od świecznika. Jestem nieprzystosowaną outsiderką, samotnikiem, który woli pracę w terenie od przesiadywania na uczelni, a nad naukowe czasopisma zdecydowanie przedkłada lekturę popularnonaukową.

Jednak popularyzatorzy także mnie nie kochają. Wiem, że dałam w kość tej dziennikarce. Mówiłam o śmieciach i skorupach, podczas gdy ona chciała usłyszeć o romantyzmie i przygodzie. A fotograf – młody człowiek, który zapewne częściej wykonywał zdjęcia piękności ze świata mody na okładki pism ilustrowanych niż portrety ogorzałych archeologów – nie miał pojęcia, jak pokazać wąwozy i rozpadliny mojej twarzy. Ustawiał mnie to tak to inaczej. W końcu sfotografował moje dłonie: dłonie prezentujące wzór na jednej ze skorup, dłonie trzymające kolczyk z jadeitu lub demonstrujące, jak używać *mano* i *metate* – moździerz i tłuczka, których Majowie używali do mielenia zboża.

Moje ręce więcej mówią o moim życiu niż twarz. Są opalone

i pomarszczone, a na ich grzbietach z łatwością można dostrzec linie żył. Paznokcie, krótkie i twarde, przypominają szpony jakiegoś ryjącego ssaka. Poprzeczne białe blizny na nadgarstkach są trwałym dowodem i pamiątką desperackiej próby ucieczki od byłego męża i świata. Fotograf zadał sobie wiele trudu, układając moje ręce tak, aby nie było widać szram.

Sądzę, iż przeprowadzająca ze mną wywiad dziennikarka oczekiwała opowieści o grobowcach, złocie i sławie. Tymczasem ja opowiedziałam jej o upale, chorobach i ukąszeniach dokuczliwych insektów. Mówiłam jej o dziapie, w którym złamała się oś na pustkowiu odległym o pięćdziesiąt mil od najbliższej ludzkiej siedziby. Opisałam, jak wszyscy moi studenci jednocześnie zachorowali na biegunkę oraz przypadek, gdy miejscowe władze zaangażowały połowę moich robotników do robót drogowych.

— Kolorowe pocztówki nigdy nie pokazują komarów – powiedziała jej. – Ani kąśliwych mrówek, os, pcheł czy karaluchów wielkości ludzkiej dłoni. Na widokówkach nie widać upału.

Nie sądzę, abym powiedziała jej to, co chciała usłyszeć, jednak sama dobrze się bawiłam. Nie sądzę, żeby uwierzyła we wszystkie te historie. Myślę, że nadal wyobraża sobie archeologa jako uczonego w białym korkowym kasku ochronnym, codziennie przed śniadaniem dokonującego jakiegoś wiekopomnego odkrycia. Zapytała mnie, dlaczego, jeśli warunki są tak ciężkie, jak opisuję, w ogóle biorę udział w każdej kolejnej wyprawie. Pamiętam, że uśmiechała się, pytając mnie o to. Zapewne oczekiwała, że usłyszy coś o dreszczyku emocji związanym z odkrywaniem nieznanego, o gorączce poznawania zaginionych cywilizacji. Dlaczego to robię?

— Bo jestem szalona – powiedziałam. Nie sądzę, aby mi uwierzyła.

Trzy tygodnie minęły od rozpoczęcia sezonu wykopaliskowego w Dzibilchaltún, gdy Tony, Salvador i ja odbyliśmy naradę wojenną. Zasiadliśmy przy rozkładanym stoliku na skraju centralnego placu obozowiska: kawałka twardo ubitego gruntu otoczo-

nego lepiankami z błota i wikliny. Ten placyk pełnił rolę jadalni, sali wykładowej, miejsca spotkań towarzyskich, a czasami również sali konferencyjnej. Zjedliśmy obiad i popijaliśmy go kawą wzmocnioną aguardiente, czyli miejscową mocną brandy.

Sytuacja wyglądała następująco. Dysponowaliśmy trzydziestoma ludźmi do wykonania zadania, które byłoby trudne nawet dla dwukrotnie liczniejszej ekipy. Mieliśmy skromny budżet i ograniczony czas. Spędziliśmy już tutaj trzy z wyznaczonych nam ośmiu tygodni. Jak dotąd nie dopisało nam szczęście. A teraz miejscowe władze skierowały dziesięciu naszych ludzi do łatania dziur na drodze między Méridą a Progreso. Na Jukatanie sezon napraw dróg pokrywa się niestety z sezonem wykopaliskowym podczas krótkiej wiosennej przerwy poprzedzającej nadejście pory deszczowej. Za pięć tygodni – lub wcześniej, jeżeli pech nas nie opuści – zaczną się deszcze i będziemy musieli zakończyć prace.

— Czy mam pojechać i porozmawiać z kierownikiem robót drogowych? – zapytałam. – Powiem mu, jak bardzo potrzebujemy tych ludzi. Jestem pewna, że zdołam go przekonać.

Salvador zaciągnął się dymem z papierosa, rozparł się na krzeselku i złożył ręce na piersiach. Od wczesnej młodości pracował przy wykopaliskach. Jeszcze jako nastolatek pomagał w Piste przy rekonstrukcji Chichén Itzá. Jako dobry brygadzysta i inteligentny człowiek, darzący szacunkiem pracodawców, nie chciał powiedzieć mi wprost, że nie mam racji. Unikał mojego spojrzenia.

Popatrzyłam na Tony'ego.

— To chyba oznacza „nie”.

Tony uśmiechnął się. Anthony Baker, wspólnie ze mną kierujący wykopaliskami, był ode mnie starszy zaledwie o kilka lat. Poznaliśmy się prawie trzydzieści lat temu, na stanowisku Hopi w Arizonie. Był wtedy uprzejmym, niefrasobliwym młodym człowiekiem. Pozostał niefrasobliwy. Jego oczy miały zadziwiający odcień błękitu. Kręcone włosy – niegdyś jasne, a teraz siwe – znacznie się przerzedziły. Szczupła twarz, jak zawsze ogorzała, ze-

szczupłała jeszcze z biegiem lat. Każdego sezonu opalał się, złuszczał, opalał i złuszczał, chociaż starał się chować przed słońcem. Głos miał niski i chropowaty – głęboki, lekko ochrypły głos amatora whisky, dudniący w krtani jak u mówiącego niedźwiedzia z bajek dla dzieci.

— Chyba masz rację – odparł.

— Szkoda – powiedziałam. – Miałam ochotę ponegocjować sobie w biurze komisarza. Potrafię być bardzo niegrzeczna w stosunku do młodych ludzi. – Upiłam łyk kawy. – To jedna z niewielu zalet podeszłego wieku.

Salvador znów zaciągnął się głęboko.

— Pogadam z moim kuzynem – rzekł w końcu. – On porozmawia z komisarzem. Spróbuje go przekonać. – Spojrzał na mnie, nie zmieniając pozycji na krześle. – To będzie trochę kosztowało.

Skinęłam głową.

— Nasz budżet przewiduje takie wydatki.

— Dobrze.

— Jeśli jednak to nie poskutkuje, zawsze mogę sama ponegocjować – powiedziałam.

Salvador rzucił na ziemię niedopałek papierosa i rozgniół go obutą w sandał stopą. Powstrzymał się od komentarza. Tony rozlał do filiżanek następną kolejkę aguardiente.

Słońce właśnie zachodziło. Stłumione zawodzenie trąbek z muszli, na których grali kapłani Majów, zagłuszyło cykanie świerszczy i rozeszło się echem po placu. Tylko ja słyszałam tę słodką, żalobną melodię – ani Tony, ani Salvador nie słyszeli nawoływań przeszłości.

Przy rozkładanym stoliku po drugiej stronie placu grało w karty troje z pięciorga studentów pracujących przy wykopaliskach. Od czasu do czasu słyszeliśmy ich śmiech.

— Dobra grupa dostała się nam w tym roku – powiedział Tony. Wzruszyłam ramionami.

— Grupa jak każda inna. Co roku wydają się młodszy. I albo myślą, że pod każdym kamieniem znajdą jadeitową maskę lub złotą bransoletę, albo pragną przeżyć niesamowitą przygodę

w ruinach, przy pełni księżyca.

— Albo jedno i drugie – dodał Tony.

— Racja. Niektórzy potrafią ukryć to lepiej niż inni, lecz w głębi serca wszyscy są poszukiwaczami skarbów.

— A my ukrywamy to lepiej niż ktokolwiek z nich – powiedział Tony. – Siedzimy w tym dłużej.

Spojrzałam mu w oczy i nie mogłam już dłużej udawać, kiedy tak się uśmiechał.

— Chyba masz rację. Myślisz, że w tym roku uda nam się znaleźć grobowiec większy niż grobowiec króla Tuta i przetłumaczyć hieroglify?

— Dlaczego nie? – odpowiedział. – Myślę, że to niezły pomysł.

Siedzieliśmy tak w gęstniejącej ciemności i rozmawialiśmy o możliwościach wykopaliska. Tony, jak zawsze, był optymistą, mimo naszych skromnych, jak dotąd, sukcesów.

W latach 1960-1966 grupa badawcza z uniwersytetu w Tulane sprawdziła nieco ponad połowę ośrodka kultu w Dzibilchaltún, przeprowadziła dokładne badania w wielu budowlach oraz wykonała próbne wykopy w prawie sześciuset innych strukturach. W odróżnieniu od grupy tulańskiej, my skupiliśmy się na obrzeżach, a nie na samym centrum, rozszerzając w ten sposób obszar badań.

Zanim słońce całkiem skryło się za horyzontem i wzeszedł księżyc, zaczęliśmy z Tonym planować następny rok wykopalisk. Salvador opuścił nas zniecierpliwiony tym, że bardziej interesują nas plany na przyszłość niż jutrzejsza rzeczywistość. Wkrótce zaprzestaliśmy rozmowy i Tony przeszedł przez plac, żeby na chwilę dołączyć do studentów.

Zawsze umiał znaleźć wspólny język ze studentami: pił z nimi, dzielił ich problemy i śmiał się z ich dowcipów. Przed upływem lata zwykle mówili mu po imieniu i darzyli wielką sympatią. Ja, nawet pod koniec sezonu, będę im równie obca jak dziś. Odpowiada mi taki stan rzeczy.

W blasku księżyca poszłam na spacer do świętej cenoty, starożytnej studni, która niegdyś zaopatrywała miasto w wodę. Po

drodze minęłam powracając stamtąd kobietę. Szła z wdziękiem, jedną ręką podtrzymując dzban wody na głowie. Z czarno-białego wzoru zdobiącego obrzeże dzbana odgadłam, że żyła w okresie klasycznym, około roku 800 naszej ery.

Żyję nie tylko w czasie teraźniejszym. Czasami mam wrażenie, iż prześladują mnie duchy przeszłości. Czasami myślę, że to ja je prześladuję. Spotykamy się na styku świtu i zmierzchu, gdy świat balansuje na krawędzi nocy i dnia.

Kiedy spaceruję o świcie po miasteczku akademickim w Berkeley, czuję słaby zapach dymu znad ognisk, które przed tysiącem lat rozpalano w tym miejscu i gaszono po ugotowaniu strawy. Ścieżką przede mną przemyka cień – nie, dwa cienie – małe dziewczynki grające w coś, co się wiąże z piłką, obręczą, kijem i wesołym śmiechem. Przez chwilę słyszę wyraźnie ten śmiech, jak świergot ptaków, potem wszystko cichnie.

Pozdrawia mnie wysoki, niezgrabny młody człowiek w ciemnozielonej wiatrówce, student z mojej grupy seminaryjnej. Stoimy i rozmawiamy – coś o zbliżającym się egzaminie semestralnym, coś o terminie składania prac. Nie mogę się skupić, bo mija mnie stara Indianka z koszem pełnym ziół. Nie znam tego wzoru kosza, więc przyglądam mu się, gdy kobieta przechodzi obok.

— Myśli pani, że to się uda? – pyta poważny młody człowiek. Mówił o temacie swojej pracy końcowej, ale nie słuchałam go.

— Porozmawiajmy o tym w czasie mojego dyżuru dzisiejszego popołudnia – odpowiadam. Wobec studentów bywam szorstka i gwałtowna. Staram się okazać zainteresowanie ich problemami, lecz moją uwagę bezustannie odwracają zjawy z przeszłości.

Przyzwyczałam się do moich duchów. Sądzę, że nie jest to gorsze od innych ułomności; niektórzy ludzie są krótkowzroczni, inni mają kłopoty ze słuchem. Ja widzę i słyszę za wiele, a to odwraca moją uwagę od bieżących spraw.

Te zjawy przeważnie mnie ignorują, zajęte własnymi sprawami. Dla cieni, podobnie jak dla studentów, granica czasu jest

ostro zarysowana. Indiańskiej wioski, którą widzę, nie ma: to czas przeszły. Istnieje natomiast miasteczko akademickie, po którym spaceruję: czas teraźniejszy. Inni nie zdają sobie sprawy z nakładania się tych dwóch stref. Ja żyję na ich granicy.

Woda w cenocie była zimna i czysta. W powietrzu unosił się zapach lilii wodnych i błota. Przystanęłam na skraju stawu, usiadłam i oparłam plecy o ociosaną bryłę kamienia, który kiedyś stanowił zapewne część budowli.

Tu i tam wystawały z ziemi podobne bloki, resztki świątyni. Trzy tysiące lat temu wybudowali ją tutaj Majowie. Przed tysiącem lat opuścili to miejsce, szukając schronienia w lasach. Żaden z archeologów nie wiedział, dlaczego tak się stało. A starożytni Majowie nie chcieli tego wyjaśnić. Przynajmniej dotychczas.

Obfite deszcze tysiąca wiosen zerodowały głązy; wiatry pokryły je pyłem. W pyłe wyrosły trawy, które pokryły kamienie i skryły ich tajemnice. Na szczycie kopca wyrosły drzewa, a ich poskręcane korzenie powywracały i porozbijały głązy. Dżungla upomniała się o swoją ziemię.

Lubiłam to miejsce. Za dnia mogłam tu obserwować cienie kobiet czerpiących wodę ze strumienia: niewolnic i wieśniaczek, które pochylały się, by napełnić czystą wodą okrągłe naczynia, a potem stawiały je na głowie i odchodziły majestatycznym, pełnym wdzięku krokiem, niezbędnym dla zachowania równowagi przy noszeniu ciężkich dzbanów. Rozmawiały, żartowały i śmiały się, a ja lubiłam ich słuchać.

Wiatr zmarszczył taflę wody, a księżycowa poświata kładła się bladoszrebrną wstęgą na lśniącej toni. Nietoperze przelatowały nisko, łapiąc owady unoszące się tuż nad powierzchnią. Dostrzegłam ruch na ścieżce wiodącej do cenoty i czekałam. Może to niewolnica wysłana po wodę. Albo młoda kobieta idąca na schadzkę.

Usłyszałam ciche kłapanie sandałów o skałę i dojrzałam cień przesuwany się między miejscem, gdzie siedziałam, a cenotą. Postać lekko kuląła. Lekkie wybrzuszenie na skroniach świadczyło o upiętych wokół głowy warkoczach. Gdy pochyliła się nad

woda, w jej ruchach był kobiecy wdzięk. Odwróciła się, jakby zamierzając iść dalej ścieżką, a potem przystanęła i spojrzała w moją stronę.

Czekałam. Wszędzie słychać było granie świerszczy. Zarechotała żaba, lecz jej wołanie pozostało bez odpowiedzi. Przez chwilę myślałam, że pomyliłam współczesną kobietę z cieniem z przeszłości. Pozdrowiłam ją więc w języku Majów, języku, którym posługiwałam się zupełnie znośnie po dziesięciu latach dukania i szlifowania wymowy. Mam kiepski akcent – wciąż walczę z subtelnościami intonacji i rzadko chwytam sens żartów lub zagadek, ale zazwyczaj rozumiem, co się do mnie mówi, i potrafię wyrazić swoje myśli.

Stojąca nieruchomo na brzegu stawu osoba milczała przez dłuższą chwilę. Potem przemówiła.

— Widzę tu żywy cień. Dlaczego jesteś tutaj?

Brzmienie głosu świadczyło, iż jest mniej więcej w moim wieku. Mówiła z akcentem starożytnych Majów. Duchy zazwyczaj nie rozmawiają ze mną. Przez moment siedziałam w milczeniu. Cienie przychodzą i odchodzą, obserwuję je, ale one nie odzywają się i nie patrzą na mnie.

— Przemów do mnie, cieniu – powiedziała kobieta. – Tak długo byłam sama. Dlaczego jesteś tutaj?

Świerszcze wypełniały ciszę przeraźliwym cykaniem. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Cienie nie rozmawiają ze mną.

— Usiadłam tu, żeby odpocząć – odparłam ostrożnie. – Tutaj jest tak spokojnie.

Była jedynie kształtem w ciemności, niczym więcej. Nie mogłam rozróżnić żadnych szczegółów. Zaśmiała się, cicho i zmysłowo, a jej śmiech przypominał plusk wody wylewanej z dzbana.

— Niełatwo znaleźć spokój. Nie znasz tego miejsca, jeśli uważasz je za spokojne.

— Znam to miejsce – powiedziałam ostro, rozgniewana stwierdzeniem że nie znam miejsca, które uważałam za swoje. – Dla mnie jest spokojne.

Przez chwilę stała bez ruchu, z lekko przechyloną na bok gło-

wą.

— Sądziś więc, że przynależysz do tego miejsca, cieniu? Kim jesteś?

— Nazywają mnie Ix Zacbeliz.

Kiedy nadzorowałam wykopaliska w Ikil, tak nazywali mnie tamtejsi robotnicy; w ich języku znaczyło to „kobieta, która kroczy białą drogą”. To przezwisko było najbliższą, jaką udało mi się znaleźć, wersją mojego imienia w języku Majów.

— Mówisz językiem Majów – powiedziała kobieta cicho – ale czy znasz język Zuyua?

W jej głosie zabrzmiało wyzwanie.

Język Zuyua był starożytną zabawą w zagadki. Wiele pytań i odpowiedzi tej gry znałam z *Ksiąg Chilam Balam*, świętych ksiąg Majów, przełożonych na zapis europejski i zachowanych do dziś, w przeciwieństwie do oryginalnych ksiąg hieroglifów, które zostały zniszczone. Tekst otaczający pytania sugerował, iż zagadek używano dla odróżniania prawdziwych Majów od najeźdźców, szlachetnie urodzonych od pospólstwa. Jeżeli znałam język Zuyua, to znaczy, że byłam „swoja”. Jeśli nie, byłam obca.

Kobieta przy studni odezwała się znowu, nie czekając na moją odpowiedź.

— Przez jakie otwory śpiewa trzcina cukrowa?

To było łatwe.

— Przez otwory fletu.

— Co to za dziewczyna z mnóstwem zębów? Włosy ma związane w kucyk i słodko pachnie.

Znów oparłam się plecami o kamień świątyni, przypominając sobie tekst ze starożytnej księgi. Jak pamiętałam, wiele spośród zagadek odnosiło się do żywności.

— Ta dziewczyna to kolba kukurydzy, upieczona w dole.

— Jeśli poproszę cię, żebyś mi przyniosła kwiat nocy, co zrobisz?

Tego nie pamiętałam. Popatrzyłam w górę ponad jej głową i zobaczyłam pierwsze, niewyraźne gwiazdy na niebie.

— Oto kwiat nocy. Gwiazda.

— A jeżeli poproszę o nocnego świetlika? Przynieś go wraz z przywołującym go językiem jaguara.

Tego nie było w księgach. Zastanawiałam się nad pytaniem. Wyjęłam przy tym papierosa z pudełka i zapaliłam go zapałką. Kobieta roześmiała się.

— O, tak – znasz język Zuyua. Ten świetlik to płonący patyk, a język jaguara to płomień. Będziemy przyjaciółkami. Zbyt długo byłam samotna. – Przechyliła głowę na bok, lecz w ciemności nie dostrzegłam wyrazu jej twarzy. – Poszukujesz tajemnic, a ja pomogę ci je odkryć. Tak. Czas już nadszedł.

Odwróciła się i skierowała na południowy wschód, na ścieżkę odchodzącą od cenoty.

— Poczekaj – powiedziałam. – Jak masz na imię? Kim jesteś?

— Nazywają mnie Zuhuy-kak – odpowiedziała.

Słyszałam już kiedyś to imię, choć dłuższą chwilę zabrało mi umiejscowienie go w czasie. Zuhuy-kak znaczyło „płomienna dziewczica”. W kilku książkach wymieniano to imię; należało do zaliczonej w poczet bogów córki jednego ze szlachetnie urodzonych Majów. Tak mówiły księgi. Jednak przekonałam się, że nie można wierzyć księgom, gdy chodzi o tożsamość cieni, które spotykałam w ruinach.

Przymknawszy powieki, oparłam głowę o głaz i patrzyłam, jak odchodzi.

Współczesny psychiatra – ten szaman bez grzechotek i kadzi-dła – orzekłby, iż Zuhuy-kak jest projekcją życzeń i halucynacją wywołaną przez stres, ostro przyprawione jedzenie i aguardiente. Przyparty do muru powiedziałby, wymachując rękami, że Zuhuy-kak – oraz te mniej rozmowne prześladowające mnie cienie – są aspektami mojego własnego ja. To moja podświadomość przemawia do mnie przez wizje zmarłych Indian.

Mógłby też po prostu powiedzieć, że jestem szalona.

W każdym razie, jeszcze tego nie próbowałam. Nigdy nie wspomniałam nikomu o moich cieniach. Wolę szamanów ze wszystkimi ich rekwizytami. Dajcie im grzechotki i kości do rzućcia; odbierzcie księgi. Niech współcześni szamani w białych

fartuchach uganiają się za tworam i ciemności. Ja znam moje zjawy.

Przeważnie. Jednak moje zjawy nie przemawiają do mnie, nie nazywają mnie przyjaciółką. Zachowują dystans i zajmują się własnymi sprawami, pozwalając mi obserwować swoje poczynania. Ta kobieta o imieniu Zuhuy-kak nie przestrzegała znanych mi zasad. Pośród pachnącej liliami wodnymi nocy zastanawiałam się, czy zapowiadało to jakąś zmianę.

Wróciwszy do chaty, która w sezonie wykopalisk była moim domem, leżałam w hamaku i słuchałam miarowego bicia mojego serca. Strzecha z palmowych liści szemrała poruszana lekkim nocnym wiatrem. Hamak ukołysał mnie do snu i zmieniły się docierające do mnie odgłosy. W rytmicznych dźwiękach rozpoznałam dudnienie *tunkul*, wydrążonego drewnianego gongu, w który uderza się drewnianym prętem. Świerszcze grały głośniej i wyraźniej. Ten dźwięk przypominał grzechot kamieni w wysuszonej tykwie. Szept palmowej strzechy zmienił się w szmer głosów: otoczył mnie tłum i napierał ze wszystkich stron. Czułam ciężar warkoczy na głowie, opinającą moje ciało szatę. Kiedy ktoś zaciśnął mi rękę na ramieniu i pociągnął do przodu, otworzyłam oczy.

Przede mną przepaść, daleko w dole woda koloru jadeitu, w uszach dudnienie bębna, przyspieszające wraz z biciem mego serca. Nagle zaczęłam spadać.

Obudziłam się przerażoną, z dłońmi zaciśniętymi na bawełnianych sznurach hamaka. Zrywający się wiatr zaszeleścił palmową strzechą i cisnął do wnętrza mojej chaty kilka cienkich liści, które zawirowały na ubitej ziemi.

Rzuciwszy okiem za krawędź przepaści, rozpoznałam strome, wapienne ściany i zielone wody świętej cenoty w Chichén Itzá. Zapach, jak mi się wydawało, był zapachem żywicznego kadzidła. Dźwięki, które słyszałam – grzechotek i bębnów – to muzyka wykonywana podczas procesji.

Zamknęłam oczy i znowu zasnęłam, lecz tym razem śniłam

o mniej odległej przeszłości: o dawno minionych latach, gdy byłam żoną i matką. Nie lubię takich snów i zbudziłam się o świcie.

Świt i zmierzch to najlepsze pory dnia na penetrowanie ruin. Kiedy słońce wisi nisko nad horyzontem, długie cienie odsłaniają słabe zarysy pradawnych rzeźb na głazach świątyni i zdradzają nieregularności, które mogą kryć pozostałości klatek schodowych, ryneczków, ścian i dróg. Cienie dodają atmosfery tajemniczości rumowisku głazów, które niegdyś tworzyły miasto, i ujawniają tyle samo sekretów, ile skrywają.

Wyszłam z chaty, żeby pospacerować po ruinach. Była sobota, więc śniadanie zjemy późno. Samotnie przeszłam przez uśpiony obóz. Kurczaki szukały robaków wśród chwastów. Jaszczurka grzejąca się na skale w pierwszych promieniach słońca spojrzała na mnie i uciekła, chowając się w szczelinie muru. Jakiś ptak na wzgórzu wyśpiewywał dwie nuty – niską i wysoką, wysoką i niską – powtarzając trel jak mały chłopiec, który dopiero co nauczył się gwizdać. Słońce ledwie wstało i powietrze wciąż jeszcze było stosunkowo chłodne.

Kiedy tak szłam, gładziłam mój amulet szczęścia, który nosiłam w kieszeni: srebrną monetę, którą dostałam od Tony'ego, gdy jeszcze oboje byliśmy studentami. Była dokładną kopią starożymskiej monety. Tony sam odlał ją ze srebra w jednym z warsztatów jubilerskich i podarował mi w rocznicę mojego rozvodu. Zawsze nosiłam ją przy sobie i kiedy przyłapywałam się na tym, że wodzę palcem po jej karbowanej krawędzi, wiedziałam, że jestem zdenerwowana.

Teraz byłam zirytowana, niespokojna, poruszona snami oraz wspomnieniem starej kobiety o imieniu Zuhuy-kak. Zadrżałam, gdy z rosnącego opodal krzewu wyfrunęły cztery ptaszki, podskoczyłam, kiedy spod moich stóp smyknęła jaszczurka. Spotkanie z Zuhuy-kak rozstroiło mnie bardziej, niż chciałam przyznać, nawet przed samą sobą.

Podążyłam piaszczystą ścieżką w kierunku cenoty. Na horyzoncie majaczyły ruiny starego hiszpańskiego kościoła. W 1568 roku Hiszpanie wykopali z ziemi głazy z dawnych świątyni Majów

i użyli ich do budowy nowego kościoła, wznosząc budowlę ku czci nowych bogów na kościach starych. Jednak ich kościół skończył nie lepiej niż świątynie Majów. Pozostała z niego tylko szeroka łukowata brama i kruszący się fragment ściany.

Za każdym razem, kiedy powracałam z Kalifornii, te ruiny wydawały mi się bardziej niepokojące. W Berkeley budynki wyglądały niepozornie, jak tymczasowy dodatek do krajobrazu – nic więcej. Tutaj historia nakładała się na historię. Hiszpańscy konkwistadorzy przejęli tę ziemię od Tolteków, którzy z kolei odebrali ją Majom. Z każdym podbojem odrobinę przekształcano oblicza starych bogów, tak by zmieniły się w twarze bogów akceptowanych przez nowych władców. Słowa hiszpańskiej mszy mieszały się ze słowami starożytnego obrzędu; wersami jednej i tej samej modlitwy wieśniacy zwracali się do Dziewicy Maryi oraz do Chacab. Powszechnie przyjęte było wznoszenie jednych konstrukcji na innych, piramid na piramidach, warstw na warstwach. Tajemnice kryły dawniejsze tajemnice.

Przystanąłam na skraju obozowiska. Kamieniarz pracujący samotnie o tej wczesnej godzinie wykuwał rząd glifów w wapiennej płycie. Stukot kamieniarskiego dłuta o gład stanowił kontrpunkt dla monotonnego nawoływania ptaka w oddali. Pochyliłam się, prawie dotykając rzemieślnika, żeby zobaczyć, czy potrafię zidentyfikować glify, które wycinał. Jednak właśnie w tym momencie jeden z kurczaków wszedł w przestrzeń zajmowaną przez wapienny gład. Kamieniarz wraz ze swymi narzędziami rozpląnął się w kurzu i słonecznym blasku, a ja ruszyłam dalej.

Minęłam cenotę i poszłam ścieżką, którą odeszła poprzedniego wieczora Zuhuy-kak. Ścieżka wiła się poprzez gąszcz aż do południowo-wschodniego rynku, gdzie rozpoczęliśmy wykop na wzgórzu oznakowanym jako budowla 701, którą Tony nazwał świątynią Księżyca. Powoli przeszłam wzdłuż grzbietu wykopu, przyglądając się zboczu i szukając jakichkolwiek regularności, które pozwoliłyby odgadnąć, co też kryje się pod rumowiskiem.

Ponad tysiąc lat temu – plus minus sto lat – otwarty obszar obok tego wzgórza był gładkim placem pokrytym wapienną za-

prawą. Tu i ówdzie pozostały jej resztki, ale większość zmyły deszcze minionych stuleci.

Robotnicy usunęli zarośla i drzewa, odsłaniając płaskie płyty wapienia, niegdyś podtrzymujące zaprawę. Wyrwane z ziemi krzewy złożono na stertę w odległym końcu kopca, w cieniu wielkiego drzewa. Doszłam tam i zaczęłam zawracać, lecz zatrzymałam się w pół drogi.

Jeden z kamieni, przykryty częściowo przez stos krzaków, był ułożony pod nieco innym kątem niż pozostałe, jakby zapadł się w pustą przestrzeń pod rynkiem. Podeszłam bliżej. Kamień niczym nie różnił się od innych głazów: prostokąt nieobrobionego wapienia. Niezwykle było tylko to, że nie chciał leżeć płasko. Nauczyłam się jednak ufać w tych sprawach mojemu instynktowi.

Wiecznie spragnione drzewa, które zapuszczają korzenie w cienkiej warstwie gleby Jukatanu, są smukłe i żylaste, nawykłe do znoju i suszy. Nawet ścięte i skazane na śmierć, nie przestają walczyć. Wystawiają ciernie i połamane gałęzie, gotowe rozdzierać miękkie ciało każdego, kto podniesie na nie maczetę. Kiedy pociągnęłam gałąź, chcąc odsunąć ją z przechylnego kamienia, drzewo uparcie trzymało się stosu; gdy szarpnęłam mocniej, gałąź przekręciła mi się w dłoni i ustąpiła tak niespodziewanie, że straciłam równowagę. Upadłam, a wtedy inna gałąź półcalowymi cierniami rozorała mi wewnętrzną stronę nadgarstka, pozostawiając krwawe ślady swych szponów.

Kopiec oddawał ciosy. W wyniku moich wysiłków gałąź odsunęła się nieco. Głaz nadal wyglądał obiecująco. Owinęłam nadgarstek chustką, żeby zatamować krwawienie, i postanowiłam poczekać, aż robotnicy usuną drewno. Zawróciłam w kierunku obozu.

W cieniu drzewa stała stara kobieta, która nie należała do mojego czasu. Powietrze wokół mnie było rozgrzane i nieruchome. W dżungli odezwał się jakiś ptak, jakby zadając dociekliwe pytanie.

Czarne włosy kobiety były zaplecione w warkocze przetykane kawałkami błękitnej materii i białymi muszelkami. Na szyi nosiła

sznur jadeitowych koralii – wypolerowanych tak gładko, jakby wygładziło je morze. Z uszu zwisały białe kolczyki wycięte z macicy perłowej.

Jej szata, nieco ciemniejsza niż wstążki we włosach, opadała aż do obutych w skórzane sandały stóp. U splecionego ze skórzanych rzemyków pasa wisiała trąbka z muszli i ozdobiona muszelkami sakiewka.

Nie była ładna. Czoło miała niskie i cofnięte pod ostrym kątem, jakby w niemowlęctwie spłaszczono je o ściankę kołyski. Sine punkciki wytatuowane na jednym policzku tworzyły spiralny wzór świadczący o arystokratycznym pochodzeniu. Zęby miała nierówne, jak kamienie w starym murze. W przednich osadzono jadeitowe paciorki – kolejną oznaką szlacheckiego rodu.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy, jakby razily ją promienie słońca.

— Znowu jesteś, cieniu – odezwała się cicho w języku Majów. Patrzyła na mnie przez chwilę. – Mów do mnie, Ix Zacbeliz.

— Widzisz mnie? – zapytałam również w języku Majów. – Co widzisz?

Uśmiechnęła się, ukazując inkrustowane jadeitem zęby.

— Widzę mówiący cień. Od dawna z nikim nie rozmawiałam, nawet z cieniem. Nie wiedziałam, jak bardzo będę samotna, gdy odeślę ludzi.

— Co przez to rozumiesz?

— Dowiesz się. Zostaniemy przyjaciółkami i odkryję przed tobą tajemnice. – Ręce splotła przed sobą i zauważyłam, że całe przedramiona, od nadgarstków do łokci, ma obandażowane pasemkami białego płótna.

Słońce paliło mi ramiona i plecy. Serce wydawało się bić zbyt szybko w piersi.

— Ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Poszukujesz tajemnic. Ja też ich kiedyś szukałam – mówiła cicho, jakby do siebie. – Lecz w końcu *h'menob* nowej religii uznał, że jestem szalona. Mądrość często bywa mylona z szaleństwem. Czyż nie?

Milczałam.

— Podnieś ten kamień, a odkryjesz tajemnice – powiedziała. – Sama je tam schowałam po tym, jak odesłałam ludzi. Możesz je odnaleźć. Czas, aby ujrzały światło dzienne. Zamyka się krąg.

— W jaki sposób odesłałaś ludzi? – zapytałam.

Rynek zadrżał w słonecznym blasku i zostałam sama. Zuhuykak znikła. Ptak w gąszczu znowu odezwał się, zadając pytanie, na które nikt żywy nie znał odpowiedzi. Ruszyłam w stronę obozu, tylko raz obejrzawszy się za siebie.

Uwagi o *Kamiennym Mieście* Elizabeth Butler

Tysiąc lat temu, na wiele stuleci przed nadejściem hiszpańskich konkwistadorów, Majowie opuścili swoje ośrodki kultu. Po około 900 roku naszej ery nie zbudowali już żadnych świątyń, stel, kamiennych posągów z glifami, które miały upamiętniać ważne dla nich wydarzenia. Uciekli z ośrodków kultu do dżungli.

Dlaczego? Nikt tego nie wie, lecz wielu próbuje na ten temat spekulować. Każdy archeolog ma swoją teorię. Jedni mówią o głodzie wywołanym przeludnieniem oraz wieloletnią rabunkową gospodarką rolną. Inni twierdzą, iż doszło do jakiejś katastrofy: trzęsienia ziemi, suszy lub plagi. Są tacy, którzy obarczają odpowiedzialnością za tę sytuację Tolteków, wojownicze plemię mieszkające w Dolinie Meksykańskiej, a jeszcze inni sugerują, że musiało dojść do buntów chłopskich, które doprowadziły do obalenia elity.

Lubię wynajdywać nieścisłości każdej z tych teorii. Przyznaję – dobrowolnie i uczciwie – że nie mam pojęcia, dlaczego Majowie opuścili swoje miasta i rozproszyli się w dżungli. Moją ulubioną teorią jest opinia, którą podzielił się ze mną pewien stary, zasuszony święty mędrzec, potomek Majów, przy butelce aguardiente.

— Bogowie powiedzieli, że Majowie muszą odejść – powiedział. – Tak więc ludzie odeszli.

Czasami śnię o opuszczonym mieście. We śnie widzę, jak z każdym dniem blask słońca zalewa jego mury, jak płowieją jaśniejsze kolory stiuków, jak pęka w jego promieniach pokrywająca kamień wapienna zaprawa. Podmuchy wieczornego wiatru drą na strzępy tkaninę, która niegdyś odgradzała pomieszczenia od świata zewnętrznego, i wmiatają do środka liście oraz piasek. Kiedy nadchodzą deszcze, strumienie wody spływają po kamiennych stopniach, wypłukując luźne fragmenty sztukaterii i podlewając drobne roślinki, które zagnieździły się w szczelinach. Na młodej trawie pokrywającej dziedzińce pasą się jelenie. Pozostawione w piwnicach ziarno kukurydzy, porozsypywane przez uchodzących w pośpiechu wieśniaków, stanowi strawę polnych myszy. Te myszy, gryzonie o krótkiej pamięci, nie obawiają się powrotu mieszkańców. W głównej sali świątyni założyła legowisko samica jaguara. Tu, pod posągiem Chaac, na stercie nawianych liści urodziła swe małe.

Czasem śnią mi się trzęsienia ziemi – wszystko drży, jak w gorączce. Pękają drewniane belki podtrzymujące dachy, a grube ściany przesuwały się tak, że żaden kamień nie pozostaje na swoim miejscu. Wał się mury.

W moich snach słońce o twarzy Ah Kinchil, najwyższego boga, spogląda na świątynie Majów. Młode drzewka pną się do słońca ze wszystkich szczelin między głazami. Spada deszcz i pędzi na łeb, na szyję pomiędzy porozrzucanymi wszędzie wapienymi blokami. W koronach drzew śpiewają ptaki, a w nocy sowy polują na butne myszy, które przywykły uważać to miejsce za swój dom.

Czasami, bardzo rzadko, widuję we śnie szczupłego mężczyznę w białych spodniach chłopca z Jukatanu albo kobietę w czystym, białym *huipil* – haftowanej sukni wieśniaczki. Ten mężczyzna lub kobieta podchodzą cicho do ruin, wypatrując, czy bogowie przodków nie dadzą jakiegoś znaku świadczącego o ich dezaprobach wobec takiej wizyty. Powracający ludzie są płochliwsi od myszy, ponieważ pamiętają przeszłość i znają jej moc. Światło świecy odpędza na jakiś czas cienie. Goście palą kadzidło, szepczą

pod nosem błagalne modlitwy, składają ofiarę z indyka, pozostawiają ją bogom i bezszelestnie znikają w nocy. Indyka zjada samica jaguara i jej młode, a cienie powracają do ruin.

We śnie nie zawsze widzę to samo miasto. Czasem jest to Uxmal i widzę jaskółki lepiące gniazda w jego bogato rzeźbionych fasadach. Czasami to Tulúm, a ja nasłuchuję plusku fal pod Domem Cenoty i brzęczenia pszczoł, które budują swe gniazdo w wieży strażniczej na północnym krańcu muru otaczającego miasto. Innym razem jest to Cobá i widzę drzewa zakorzeniające się pomiędzy rzeźbionymi głazami sali balowej i rozsuwające je na boki. Z gałęzi drzew zwisa hiszpański mech, a *pajaritos* ze śmiechem wyfruwają spomiędzy ich gałęzi. Miasta z moich snów zmieniają się, ale zawsze towarzyszy im atmosfera rozpadu. Zawsze czają się w nich cienie.

Nie wiem, dlaczego Majowie odeszli. Wiem tylko, że cienie pozostały.

Rozdział 2

Diane Butler

Oparłam czoło o luk pasażerskiego odrzutowca i patrzyłam, jak cień samolotu marszczy się na brązowej ziemi w dole. Samolot lekko drgnął, podskakując jak samochód na wyboistej drodze. Przelatywaliśmy przez strefę turbulencji i żołądek podchodził mi do gardła. Trzęsły mi się ręce.

Mimo to nie czułam się gorzej niż przez ostatnie dwa tygodnie. Niewiele lepiej, ale i nie gorzej. Przynajmniej byłam w ruchu. Odwróciłam głowę od okna i przetarłam oczy. Były zmęczone od płaczu i niewyspania, a pod powiekami czułam piasek. Kiedy ostatnio spałam? Trzy dni temu, chyba. Coś koło tego. Próbowалаm zasnąć, ale tylko całymi godzinami leżałam w łóżku, patrząc w pustkę. Jeszcze raz przetarłam oczy i zakryłam je na chwilę dłońmi, odcinając od światła. Może teraz uda mi się zasnąć. Może.

— Przepraszam – odezwał się męski głos obok mnie. – Czy dobrze się pani czuje?

Ktoś dotknął mojego ramienia, a ja drgnęłam i odsunęłam się. Wcześniej nie przyglądałam się mężczyźnie, który zajął miejsce obok mnie. Był Meksykaninem, o kilka lat młodszym ode mnie – mógł mieć dwadzieścia parę lat. Ciemne włosy, wydatne kości policzkowe.

— Świetnie – powiedziałam. Mój głos zabrzmiał chropowato, więc odchrząknęłam. – Tylko trochę zmęczona.

Spróbowałam uśmiechnąć się uspokajająco, lecz moja zdrę-

twiała twarz odmówiła współpracy.

— Myślałem, że zrobiło się pani niedobrze.

Przyglądał mi się z troską w oczach. Wiedziałam, że jestem blada. Czułam się blado, byłam półżywa.

— Świetnie. – Nie zdołałam znaleźć innych słów. Mój ojciec nie żyje, mogłam powiedzieć. Właśnie zakończyłam nieudany związek i rzuciłam pracę grafika. Mogłam powiedzieć mu to wszystko. Jadę do matki, której nie widziałam od piętnastu lat. Ponadto wydaje mi się, że zaczynam popadać w szaleństwo. Po-tem mogłam wybuchnąć płaczem, przycisnąć twarz do kłapy jego sportowej marynarki i zostawić na niej wielką, moką plamę. Wyglądał na bardzo poważnego i współczującego młodzieńca. – Czuję się świetnie – powiedziałam i odwróciłam się z powrotem do okna.

— Czy ma pani zamiar pozostać dłużej w Méridzie? – zapytał. – Jeśli tak, to mogę polecić kilka dobrych restauracji.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, plastikowym uśmiechem lalki Barbie. Wygięcie ust, za którym nic się nie kryje.

— Dzięki, ale wybieram się na teren wykopalisk archeologicznych za Méridą. Nie zamierzam spędzić wiele czasu w mieście.

— A więc leci pani do Dzibilchaltún – powiedział i uśmiechnął się, kiedy przytaknęłam.

— Skąd pan wiedział?

Wzruszył ramionami.

— Mérida to niezbyt duże miasto. To jedyne stanowisko w okolicy. Słyszałem o doktor Elizabeth Butler, która prowadzi te badania.

— Co pan słyszał?

— Ona pisze książki.

Mimo woli uśmiechnęłam się.

— To i ja wiem.

Przeczytałam wszystkie książki mojej matki, kupowałam wydania w twardych okładkach, gdy tylko się ukazywały.

— Jak długo tam pani zostanie?

— Trudno powiedzieć.

Wyciągnęłam się w fotelu i zamknęłam oczy, unikając dalszych pytań. Przynajmniej tym razem świat wewnątrz mojej głowy był ciemny i cichy. Samolot niósł mnie na południe i nie mogłam zrobić nic, aby przyspieszyć lub opóźnić jego lot. W tym momencie niczego nie musiałam robić. Nie mogłam się też zatrzymać, nawet gdybym bardzo chciała.

Wydarzenia ostatnich dwóch tygodni zatarły mi się w pamięci, jednak kilka chwil pozostało w niej na zawsze. Pamiętam noc przed pogrzebem ojca. Nie mogłam spać i po pewnym czasie, gdzieś około północy, jak myślę, wyjęłam z barku ojca butelkę szkockiej i zaczęłam pić. Alkohol nie uciszył szumu w mojej głowie, jednak lekki rausz zagłuszył natrętne głosy wytykające mi, że zachowuję się niegodnie i ojciec wstydziłby się, widząc mnie w takim stanie. Włączyłam telewizor i machinalnie zmieniałam kanały, nie zatrzymując się na żadnym dłużej niż do pierwszej reklamówki, aż w końcu nadawała tylko jedna stacja, która aż do świtu puszczała stare filmy.

Siedziałam w fotelu ojca i patrzyłam, jak ładna blond aktorka kłóci się z mężczyzną o wyrazistych rysach. Wiedziałam, nie oglądając filmu do końca, że ich spór nie prowadzi do niczego. Wcześniej czy później mężczyzna o wyrazistych rysach porwie blondynkę w ramiona, a ona pozwoli na to, zapominając o nieporozumieniach. Wiedziałam, że w końcu pocałużą się i pogodzą. W starych filmach zawsze tak było.

Moi rodzice też walczyli ze sobą, ale ich spory jakoś nigdy nie kończyły się pocałunkiem na zgodę. Kiedy się kłócili, nigdy nie podnosili głosu – jednak nawet ciche słowa padające z ust matki paliły jak alkohol lany na otwartą ranę. Ojciec też był uparty – nie ustępował ani o krok. Pamiętam, jak powiedział mi, że mama jest szalona. W jego głosie słychać było twardy ton przygany, jakby to szaleństwo było jej własną winą.

Jeszcze jedna reklama, a ja wypiąłam resztę szkockiej. Zostawiłam gadający do siebie telewizor i wyszłam na balkon. Dom mojego ojca stał na szczycie wzgórza, i z balkonu rozciągał się wspinały widok na Los Angeles: dywan mrugających światełek, wę-

zły autostrad migocące jak odległe mandale, błyski neonów, uliczne latarnie, oświetlone okna domów i mieszkań, reflektory samochodów. Stałam przy balustradzie, patrzyłam na miasto i myślałam o matce. W pewnej chwili zakręciło mi się w głowie i zamknęłam oczy.

Kiedy je otworzyłam, wokół było ciemno i cicho. Żadnych świateł z wyjątkiem bladego sierpa księżyca, który wisiał nisko nad ciemną doliną. Żadnych autostrad, domów czy neonów. Chłodny wiatr owiewał mi twarz, niosąc zapach dymu dalekich, obozowych ognisk. Słyszałam pohukiwanie sowy w oddali i bicie mojego serca.

Oburącz chwyciłam się kurczowo balustrady, walcząc z zawrotami głowy. Wpadłam w panikę: bałam się, że przechylę się przez balustradę i runę w bezkresną pustkę nocy. Zamknęłam oczy, uciekając przed tą wizją, a kiedy znów je otwierałam, ujrzałam światła Los Angeles, odległe i zimne, ale jakże bezgranicznie uspokajające.

Przestałam pić. Nadal nie mogłam zasnąć, a mimo to przestałam pić. O szarym świcie postanowiłam odnaleźć matkę. Chęć odnalezienia jej wydawała się jakoś powiązana z pijackimi rojeniami o spadaniu i z niepokojem, który męczył mnie jeszcze przed śmiercią ojca.

Nerwowo wierciłam się na fotelu, słuchając uspokajającego szumu silników odrzutowca. Próbowałam wyobrazić sobie twarz matki, wydobyć ją z mroku. Wąska twarz, której dominującym elementem były żywe, niebieskie oczy. Krótkie, niesforne włosy, brązowe i przetykane pasmami siwizny, jak sierść angielskiego owczarka. Drobna kobieta, której ubrania zawsze wydawały się za duże, ręce wciąż znajdowały się w ruchu, a oczy niezmiennie lśniły ciekawością świata. Powstały w mojej wyobraźni obraz matki był statyczny, nieruchomy. A przecież pamiętałam matkę w ciągłym ruchu: spacerującą, sprzątającą, gotującą.

W dzieciństwie nieustannie śniłam o matce, w dzień i w nocy. Wyobrażałam sobie, że przyjedzie po mnie. Okoliczności zmieniały się z każdym snem. Przyjeżdżała swoim dżipem, żeby mnie

zabrać ze sobą na wykopaliska. Albo na ryczącym motocyklu uwoziła mnie do Berkeley, żebym tam z nią zamieszkała. Innym razem wjeżdżała do miasta na czarnym koniu i galopowałyśmy w dal, ku zachodzącemu słońcu. Zmieniały się szczegóły: miała na sobie bryczesy, dżinsy, meksykański strój albo zwykłą suknię. Zawsze jednak te sny były bardzo wyraziste i niezmiennie kończyły się happy endem. Piętnaście lat temu przestałam śnić.

Było Boże Narodzenie. W powietrzu pachniało paloną sosną; w kieliszku matki musowało wino. Miałam piętnaście lat i siedziałam na dywanie przy kominku. Obok mnie, w fotelu, siedział Robert, mój ojciec.

Matka siedziała samotnie na kanapce – brzydkim, antycznym meblu o rzeźbionych drewnianych poręczach i tapicerce z grubego brokatu. Przerzuciła niedbale rękę przez oparcie, a rękaw luźnej koszuli, jak zwykle przydużej, zsunął się, ukazując białe blizny na nadgarstku. Skóra wokół blizn była opalona.

Robert i matka prowadzili uprzejmą rozmowę.

— Zatrzymałaś się w mieście? – zapytał Robert.

— W hotelu „Biltmore” – odpowiedziała. – Jutro wracam do Berkeley. Dwa ostatnie miesiące spędziłam w Gwatemali i mam teraz mnóstwo pracy.

Wtedy zastanawiałam się, co też takiego ważnego ma do zrobienia. W domu ojca wydawała się dziwnie nie na miejscu, ale trudno mi było sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Sprawiała wrażenie nieco zdenerwowanej, często spoglądała na zegar na kominku.

— W której części Gwatemali byłaś? – spytałam.

— Niedaleko jeziora Izabal – odparła matka. – Na niewielkim stanowisku wykopaliskowym. Ośrodek handlowy. Znaleźliśmy trochę glinianych naczyń z Teotihuacán, miasta w pobliżu Mexico City i trochę z terenów leżących bardziej na północ. – Wzruszyła ramionami. – Teraz całymi miesiącami będziemy się spierać o interpretacje naszych znalezisk. – Uśmiechnęła się do mnie szerokim, szczerym uśmiechem, zupełnie niepodobnym do ugrzecznionego uśmieszku, jakim powitała Roberta. – W końcu archeolo-

dzy muszą się czymś zająć, gdy nadchodzi zima.

— Masz ochotę na jeszcze trochę wina? – zapytał Robert, nie dopuszczając mnie do głosu. Szybko wstał i napełnił jej kieliszek. Zaraz zmienił temat, opowiadając o domu, swojej firmie, mojej szkole.

Kiedy matka wypła wino, wymieniliśmy prezenty. Jej paczka dla mnie była opakowana w brązowy papier, za co mnie przeprosiła.

— Rynek gwatemalski oferuje bardzo ograniczony asortyment opakowań – powiedziała sucho, jakbym była w Gwatemali i dobrze znała tamtejsze warunki.

Rozwinęłam prezent, którym była koszula z grubego płótna tkanego z włókien barwy burgunda i czarnych. Na plecach i na kieszeniach widniały stylizowane ptaki otoczone skomplikowanym wzorem.

— Na rynku siedzą kobiety i tkają takie koszule – powiedziała matka. – Ten ptak to kwezal, godło państwowe Gwatemali. Dlatego nazywają je koszulami kwezalskimi.

Włożyłam koszulę na podkoszulek, który miałam na sobie. Była za szeroka w ramionach, ale owinęłam ją ciasno wokół siebie.

— Jest wspaniała – powiedziałam. – Po prostu wspaniała.

— Troszeczkę za duża – ocenił Robert ze swego miejsca przy kominku.

— Urosnę – stwierdziłam, nie patrząc na niego. – Na pewno urosnę.

Potem nastąpił dalszy ciąg uprzejmej pogawędki – nie pamiętam wszystkiego. Pamiętam, że Robert gratulował jej drugiej książki, która właśnie zaczęła otrzymywać pozytywne recenzje. Ojciec pożegnał matkę przy drzwiach. Ja odprowadziłam ją do samochodu. Tego dnia padało i ulice jeszcze były mokre. Minął nas jakiś samochód, a jego opony zapiszczały na jezdni. Choinkowe lampki, które ojciec rozwiesił wzdłuż podjazdu, zapalały się i gaśły: czerwone, niebieskie, zielone i złote.

Stałam przy samochodzie matki. Kiedy otworzyła przednie

drzwiczki, włączyło się wewnętrzne oświetlenie i dostrzegłam stertę rzeczy na tylnym siedzeniu: kolejne dwie paczki owinięte brązowym papierem i przewiązane wstążką, brudną płócienną torbę z nalepkami lotniczymi i słomiany kapelusz z opaską ze skóry węża, za którą zatknięto trzy wspaniałe błękitne pióra.

— Gdzie spędzisz Boże Narodzenie? – zapytałam.

— Pierwszy dzień świąt spędzę z przyjaciółmi – powiedziała. – Następnego dnia wrócę do Berkeley.

Usłyszałam zgrzyt metalu o metal, gdy włożyła kluczyk do stacyjki.

— Czy mogłabym pojechać z tobą? – zapytałam szybko. – Nie sprawię kłopotu. Pomyślałam, że może... – urwałam, zaplątawszy się.

Kolorowe lampki migotliwie oświetlały jej twarz: czerwono, niebiesko, zielono, złoto, czerwono, niebiesko... Dobrze pamiętam tę twarz, zastygłą jak na fotografii. Nagle jakby zrobiło się chłodniej.

— Pojechać ze mną? Przecież twój ojciec... – urwała. – Spędzisz święta z ojcem.

— Chcę jechać z tobą – powiedziałam cicho. – Muszę.

Obserwowałam jej twarz w błyskach choinkowych lampek. Nie była już nieruchoma: zmrużyła oczy i opuściła kąciki ust, zmęczona, nieszczęśliwa, może nieco przestraszona. Zacisnęła dłoń na kierownicy, a światełka nie przestawały migotać: czerwone, niebieskie, zielone...

— Wkrótce znów wyruszam w teren – powiedziała. – Następne wykopaliska. Nie mogę...

Sen prysnął. Odsunęłam się od samochodu.

— Nic nie szkodzi – powiedziałam. – Nie przejmuj się, po prostu zapomnij o tym.

— Poczekaj – powiedziała. Sięgnęła na tylne siedzenie i wyjęła pióro zza wstążki kapelusza. – To pióro kwezala. Mówią, że przynosi szczęście.

Stałam na podjeździe i ścisnęłam w dłoni pióro, podczas gdy ona wycofywała samochód. Kolorowe lampki odbijały się od

jezdni, zasyczały opony odjeżdżającego samochodu. Cisnęłam na ziemię błękitne pióro. Kiedy rano poszłam go poszukać, już go nie było. Pewnie porwał je wiatr.

Obudził mnie chropowaty dźwięk głosu stewardesy w głośniku.

— Proszę zapiąć pasy i ustawić oparcia foteli pionowo. Za chwilę lądujemy na lotnisku w Méridzie. Życzymy państwu miłego pobytu w tym mieście i dziękujemy za skorzystanie z usług linii lotniczych Mexicana.

Potem głos dość szybko powtórzył tę wiadomość po hiszpańsku. Ze strumienia słów wyłowiałam zaledwie kilka, które pamiętałam jeszcze ze szkoły średniej.

Mężczyzna w sąsiednim fotelu uśmiechnął się do mnie i zagadnął:

— Czuje się pani lepiej?

Potwierdziłam skinieniem głowy, odpowiedziałam sztucznym uśmiechem i odwróciłam twarz do okna, żeby uniknąć rozmowy. Za szybą rozpościerał się zielony dywan, usiany szarobiałymi pasmami i plamami, jakby poprzypalany papierosem. Gdy samolot zszedł niżej, dywan zamienił się w drzewa i karłowate krzewy, a oparzeliny okazały się polami i drogami. Zauważyłam cienkie nitki przecinające dywan: to szosy wiodące do Zatoki Meksykańskiej i na wybrzeże Morza Karaibskiego. Potem samolot wylądował i widziałam już tylko pas startowy i terminal.

Byłam dziwnie roztrzęsiona. Świat na zewnątrz wyglądał płasko i nierealnie, jak obraz na ekranie telewizora. Słońce prażyło; zmrużyłam oczy, ale to niewiele pomogło. Samolot odkołował w cień terminalu, a moi współpasażerowie zaczęli się przeciągać, rozmawiać, przepychać, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś sobie wiadomego celu. Mój sąsiad już wstał. Spojrzał na mnie.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie – odpowiedziałam. – Nie, dziękuję.

Nie chciałam żadnej pomocy. Chciałam, żeby zostawiono mnie w spokoju. Kiedy mimo mojej odmowy nie odchodził, zaczęłam gmerać pod fotelem w poszukiwaniu torebki. Zanim ją

odnalazłam, on poddał się i ruszył za wszystkimi w stronę wyjścia. Tymczasem ja wyjęłam z kosmetyczki lusterko i przejrzałam się w nim. Byłam blada. Kiedy uniosłam słoneczne okulary, zauważyłam ciemne kręgi pod oczami. Siedziałam jeszcze chwilę, czekając, aż tłum pasażerów dotrze do drzwi. Wyszłam jako ostatnia.

Stanąwszy na stopniach samolotu w Méridzie, pojęłam, że nikt nie zamierza mnie powstrzymać. Przyleciałam tu, tak daleko od domu, pracy, byłego kochanka. I nikt mnie nie zatrzymał. Zawahałam się, mrużąc oczy w ostrym blasku słońca. Schodki wydawały się bardzo wysokie; terminal niezwykle odległy. Znów wydało mi się, że spadam, i przywarłam do poręczy, nie mogąc zrobić ani kroku w dół.

— Czy coś się stało, *señorita*? – zapytał steward, stając obok mnie.

— Nie – powiedziałam szybko. – Nie. Wszystko w porządku.

Metalowe stopnie zabrzęczały pod moimi stopami. Idąc w kierunku terminalu, czułam skwar bijący z asfaltu. W cień budynku weszłam już z podniesioną głową i przepisowym uprzejmym uśmiechem na ustach. Czekałam, aż moja walizka spłynie na taśmie podajnika. Wokół mnie kłębił się tłum podróżnych. Próbo- wałam wychwytywać znajome zwroty w powodzi hiszpańskich słów, ale bez powodzenia. Złapałam przesuwającą się ku mnie walizkę i opuściłam terminal.

— Taksówkę? – zapytał starszy mężczyzna stojący obok brudnego, ciemnoniebieskiego chevroleta. Skinęłam głową i powiedziałam mu moją najlepszą szkolną hiszpańszczyzną, że chcę jechać do ruin. Jednak on nie chciał mnie zrozumieć. – *Si* – powiedział. – Do Méridy. – Miał słomiany kapelusz zsunięty na tył głowy i prezentował połamane, poplamione nikotyną zęby w szerokim uśmiechu. – Centrum – powiedział.

— Nie – zaprzeczyłam. – Do Dzibilchaltún.

Zająknęłam się na trudnej do wymówienia nazwie i taksówkarz zmarszczył brwi. Wtedy pojawił się obok mnie młody mężczyzna z samolotu i położył rękę na moim ramieniu.

— Chce się pani dostać do Dzibilchaltún? – zapytał, a potem powiedział coś bardzo szybko po hiszpańsku do taksówkarza. Klócili się przez chwilę, po czym mężczyzna z samolotu powiedział do mnie: – Zawiezie tam panią za siedemset pesos. Czy tak będzie dobrze? A jeśli będzie pani w mieście, proszę obiecać, że mnie pani odszuka. Nazywam się Marcos Ortega. Zazwyczaj można mnie spotkać w Parque Hidalgo. Proszę zapytać sprzedawcę hamaków o imieniu Emilio. To mój przyjaciel. Będzie wiedział, czy jestem w pobliżu. – Jego ręka spoczywała wciąż na moim ramieniu. – Obiecuje pani?

Przytaknęłam i uśmiechnęłam się do niego niemal szczerym uśmiechem. Gdy taksówka ruszyła, obejrzałam się i zobaczyłam, że wciąż stoi na chodniku i patrzy za mną z dziwnym wyrazem twarzy.

Ulice Méridy są wąskie i kręte, zaledwie odrobinę szersze od zaułków. Domy i sklepy tłoczą się ciasno jedno obok drugich, tworząc nieprzerwaną ścianę obłożonych z tynku fasad, pomalowanych na kolory, które niegdyś mogły być jaskrawe: turkusowy, pomarańczowy, żółty, czerwony. Pod wpływem słońca spłwiałały do łagodnych, pastelowych odcieni.

Z tylnego siedzenia taksówki widziałam tylko migawkowe obrazy: rząd witryn – każda pomalowana innym odcieniem błękitnej farby, wszystkie łuszczące się i obdrapane. Jakieś mroczne wnętrza z wiszącym w środku hamakiem. Grupkę mężczyzn siedzących w niedbałych pozach na rogu ulicy i palących papierosy. Skwerek z jakimś posągami na środku. Grubą kobietę idącą wąskim chodnikiem i prowadzącą małego chłopca. Na skraju parku kolejny rząd kamiennych budynków o bogato rzeźbionych fasadach. Korony drzew o pomarańczowoczerwonych kwiatach. Taksówkarz w ostatniej chwili uniknął zderzenia z motocyklem, na którym jechał mężczyzna, kobieta, niemowlę i mała dziewczynka, a potem wyminął powozik ciągnięty przez zmęczonego konia. Wreszcie wyjechaliśmy z miasta na nieco szerszą drogę.

Szosa biegła wśród pożółkłych drzew i zarośli, tu i ówdzie na-

potykając skupiska nędznych chat. Minęliśmy brygadę robotników naprawiających nawierzchnię: taksówkarz zatrąbił i minął ich, nie zwalniając.

Miałam ochotę powiedzieć taksówkarzowi, że zmieniałam zdanie: niech zawróci i jedzie z powrotem do Méridy. Jednak nie umiałabym wytłumaczyć mu tego po hiszpańsku, a on już zjeżdżał z autostrady. Rozchyliłam zaciśnięte w pięści dłonie. Próbowalam głęboko oddychać i uspokoić się.

Tym razem przesadziłam, i to potwornie, wiedziałam o tym. Oto zjawiałam się niespodziewanie w miejscu, gdzie nikt mnie nie oczekiwał. Byłam głupia, myśląc, że sobie z tym poradzę. Czułam mdłości.

Po jednej stronie drogi rosły równe rzędy nieznanym mi kolczastych roślin. Drugą porastały wysokie, gęste krzaki i drzewa. Taksówkarz nie zwalniał na wybojach; samochód podskakiwał i trząsł, wzbijając chmury kurzu. Minęliśmy kilka podniszczonych, ozdobionych stiukami domów. Kierowca zwolnił, pozwalając umknąć stadku kur, a potem wjechał w łukowatą bramę. Pokonawszy kolejny odcinek polnej drogi, zatrzymał wóz przed grupką chat krytych strzechą z palmowych liści, wyglądających jeszcze nędzniej niż tamte domy.

Chmura kurzu powoli osiadła. Okolica sprawiała wrażenie całkowicie opustoszałej. Przy jednej z chat wisiało na sznurze pranie – trzy podkoszulki i para dżinsów. Leniwie łopotał na wietrze brezent osłaniający kilka składanych stolików.

Kierowca otworzył drzwiczki i powiedział coś po hiszpańsku. Zawahałam się, a potem wysiadłam z taksówki i stanęłam obok.

— Gdzie są ruiny? – zapytałam. – *Las ruinas?* – Skrzywił się i machnął ręką w stronę chat.

Ujrzałam siwowłosego mężczyznę, który wysliznął się zza koca zasłaniającego wejście do jednej z chat, osłonił oczy dłonią, spojrzął na nas i ruszył w naszą stronę. Słońce paliło moją twarz. Spróbowałam uśmiechnąć się do siwowłosego starszego człowieka, ale cieszyłam się, że okulary kryją moje spojrzenie.

— Może powinna pani powiedzieć taksówkarzowi, żeby za-

czekał – rzekł mężczyzna. Stał, z rękami w kieszeniach spodni, w nikłym cieniu drzewa. – Niewiele jest tu do oglądania, a do przystanku autobusowego na autostradzie kawał drogi.

— Czy tutaj prowadzi się wykopaliska? – Mój głos brzmiał tylko trochę niepewnie.

Mężczyzna nie wyjął rąk z kieszeni.

— Ależ tak – powiedział. – Mimo to nie ma tu wiele do oglądania.

— Szukam Elizabeth Butler – wyjaśniłam. – Jestem jej córką, Diane. Czy ona tu jest?

Wyjął z kieszeni jedną rękę i zsunął słomkowy kapelusz jeszcze bardziej na tył głowy. Jego intensywnie niebieskie oczy spoglądały niezwykle przenikliwie.

— Rozumiem – rzekł. – Cóż... – urwał. – W takim razie lepiej niech pani odeśle taksówkę. – Kolejna pauza. – Liz nie wspominała o pani przyjeździe.

— Nic o tym nie wie.

— Aha. – Skinął głową.

— Czy ona tu jest?

— Poszła popływać. Zaraz kogoś po nią pošlę. – Odwrócił się i spojrzał w stronę chat. Przez placzyk szedł ku nam jakiś mężczyzna. – Hej, John! – zawołał mój rozmówca. – Czy mógłbyś pójść po Liz? Ma gościa.

Za moimi plecami taksówkarz wyciągał z bagażnika walizkę. Postawił ją na piasku obok mnie i powiedział coś po hiszpańsku. Szukałam w torebce pieniędzy, zadowolona, że choć przez chwilę mogę nie patrzeć na starszego mężczyznę. Taksówka zawróciła, wzbijając kolejną chmurę kurzu, i odjechała.

Mężczyzna wziął mnie pod ramię, w drugiej ręce trzymał moją walizkę.

— Na pewno jest pani zmęczona i spragniona. Poczekaj pani na matkę przy drinku.

— Myślę, że zdziwi się na mój widok – powiedziałam.

Próbowałam ignorować napływające do oczu łzy. Sama nie wiedziałam, dlaczego zaczęłam płakać. Otoczył mnie ciepłym, po-

krytym kurzem ramieniem.

— Proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze.

Nie mogłam powstrzymać łez. Wydawało się, że płyną samostannie, bez mojej woli czy wiedzy. Jego głos dobiegał do mnie z od dali. Chustka, którą wetknął mi w dłoń, pachniała kurzem.

— Zrobię pani drinka, a pani opowie mi wszystko od początku. – Łagodnie odwrócił mnie i pociągnął za sobą.

— Przepraszam... – Słowo uwięzło mi w gardle i nie mogłam powiedzieć nic więcej.

— Nie ma za co przeproszać – powiedział, nie zdejmując ręki z mojego ramienia. Poprowadził mnie przez plac ku jednej z chat. Zasłaniająca wejście kotara opadła za naszymi plecami.

Wnętrze jego jednoizbowej chaty było pobielone wapnem, a za całe umeblowanie służyły dwa składane krzesła, chłodziarka, mała stojąca szafka i rozkładany stolik zastępujący biurko. Do środkowej belki stropu przywiązano hamak, który następnie zsunięto pod jedną ze ścian pokoju. Połowę podłogi zajmowały kartonowe pudła, kilofy, podnośniki oraz łopaty.

Mężczyzna posadził mnie na jednym z krzesełek, poszperał w szafce w poszukiwaniu plastikowego kubka, a potem w lodówce, skąd wyjął butelkę dzinu.

— Nazywam się Anthony Baker – rzekł do mnie. – Mów mi Tony. Jeśli jesteś córką Liz, napijesz się dzinu z tonikiem.

Kiwnęłam głową i spróbowałam się uśmiechnąć. Nie poszło mi to lepiej niż poprzednio. Uśmiech nadal wykrzywił się na mojej twarzy i zamieniał w coś zupełnie innego.

Tony nalał dwa drinki i znowu zaczął gmerać w lodówce, szukając kostek lodu. Przyjrzałam się jego twarzy, gdy podawał mi kubek. Wyglądał jak ucieleśnienie marzenia o ulubionym wujku. Usiadł na drugim krzesełku, na jednym kolanie oparł kubek, a na drugim wolną rękę.

— Macie tu wielu niespodziewanych gości? – spytałam.

— Niezbyt wielu.

Upiłam łyk. Napój był mocny i pachniał topionym lodem oraz plastikiem.

— Przepraszam, że zajmuję panu czas – powiedziałam.

— Żaden kłopot. Mam mnóstwo czasu – odparł. – To jedna z tych rzeczy, które musi zrozumieć archeolog. Marny czas. Ruiny były tutaj przez ostatnie cztery tysiące lat; poczekają jeszcze troszeczkę. – Badał moją twarz, przyglądając mi się znad krawędzi kubka. – Jeśli pobędzie pani trochę na Jukatanie, inaczej spojrzysz pani na pojęcie czasu. Żyjący tu ludzie myślą podobnie jak archeolodzy. Dwa tysiące lat temu ich prapradziadowie wypalali kawałek dżungli i sadzili kukurydzę, wydłubując kijem otwory w ziemi. Na wiosnę Salvador wypali skrawek dżungli i posadzi kukurydzę w taki sam sposób. Ludzie zajmujący się tak odległymi w czasie wydarzeniami nie przejmują się tak bardzo tym, jak długo potrwa wypicie drinka z córką starego przyjaciela. – Wzruszył ramionami. – Zostanie pani z nami trochę i też nabierze pani takiego stosunku do życia. Przestanie się pani śpieszyć.

Popatrzyłam na mojego drinka, obracając w dłoniach plastikowy kubek.

— Muszę porozmawiać z matką – powiedziałam. – Wiem, że powinnam była napisać, zadzwonić lub coś w tym rodzaju, ale... – Wzruszyłam ramionami. – To bardzo dziwne, tak po prostu zjawić się tutaj bez żadnego uprzedzenia.

— Niektórzy uważają za dziwne, że taki staruch jak ja przez całe lato grzebie w ziemi. Osobiście staram się unikać pochopnych ocen.

— Powinnam była najpierw napisać – powtórzyłam.

— Nie sądzę, aby stanowiło to większy problem – rzekł. – Zawsze możemy rozwiesić jeszcze jeden hamak. Mogłaby pani nauczyć się spać w hamaku, prawda?

Kiwnęłam głową.

Wyjął z moich dłoni kubek i nalał mi kolejnego drinka, nie pytając, czy mam na to ochotę. Upijałam właśnie pierwszy łyk, gdy usłyszałam kroki przed chatą, a potem pukanie w drewnianą framugę.

— Hej, Tony – odezwał się kobiecy głos. – O co chodzi z tym gościem?

Kiedy uniosła się zasłona, w pierwszej chwili oślepiło mnie słońce. Zamrugałam szybko, patrząc na stojącą w progu postać.

Matka miała we włosach więcej siwych nitek niż wtedy, kiedy widziałam ją ostatnio. Mokre kosmyki podwijały się jej na szyi, wysychając. Przez ramię przerzuciła ręcznik. Zmarszczyła brwi. Spróbowałam się uśmiechnąć, ale ponownie stwierdziłam, że chyba straciłam tę umiejętność.

— Cześć – powiedziałam. – Niespodzianka.

Wstałam, czując się bardzo niezręcznie. Nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Wygląda na zmartwioną, pomyślałam w tym pierwszym momencie. Zaskoczona i zmartwioną, ale nie rozgniewaną.

— Diane? – spytała w końcu. – Czy wszystko u ciebie w porządku? Co ty tu robisz, u diabła?

Tony zajął się nalewaniem następnego drinka.

— Ojciec nie żyje – powiedziałam. – Zmarł dwa tygodnie temu.

Nie wybuchłam płaczem i nie załamano mi się głos. Czekałam na jej reakcję, lecz wyraz jej twarzy nie uległ zmianie. Usiadła na brzeżku szafki.

— Rozumiem – odrzekła.

— Umarł na atak serca. – Mówiłam zbyt szybko, ale nie mogłam przestać. – Chciałam z tobą pomówić. Tata nigdy nie pozwalał mi z tobą porozmawiać. Pomyślałam, że mogłabym przyjechać i zostać tu przez jakiś czas.

— Tutaj? – Wciąż wyglądała na zmartwioną i zdumioną. – Przez jakiś czas – powiedziała. – Tak, myślę, że mogłabyś.

— Mogłaby zastąpić jednego z moich studentów, który odwołał swój przyjazd – oznajmił Tony, podając jej dzin z tonikiem. – Nie sądzisz? Nauczymy panią sortować skorupy – powiedział do mnie.

Obserwowałam matkę. Ostrożnie skinęła głową i przyjęła podanego przez Tony'ego drinka. Czy czuła w tej chwili ulgę? Gniew? Troskę? Z jej twarzy niczego nie mogłam wyczytać.

— Chcesz się tym zająć, Diane?

— Chciałabym spróbować – powiedziałam. – Obiecuję nie przeszkadzać. Nie będę sprawiać kłopotów. Słowo.

Tony usiadł na składanym krześle, moja matka na szafce i rozprawiali o tym, którą chatę mam zająć, do której grupy roboczej mnie przydzielić i tym podobnych drobiazgach. Ja trzymałam kubek w ręce, obserwując twarz i ręce mojej matki. Byłam spokojna, przynajmniej w tej chwili.

Przed obiadem matka zabrała mnie na spacer po środkowej części ruin. Szła różnym krokiem, opowiadając o ludziach, którzy nie żyli od tysiąca lat. Najwyraźniej lubiła ich. Idąc, spoglądała na skały wokół nas, na drzewa, na ziemię pod stopami. Nie patrzyła tylko na moją twarz – nie starała się unikać mojego wzroku, po prostu skały, drzewa czy też goła ziemia wydawały się bardziej ją interesować. Słomiany kapelusz ocieniał jej twarz. Miała na sobie spodnie koloru khaki i luźną koszulę z długimi rękawami. Minęliśmy niski mur i kruszący się fragment łukowatej bramy.

— Dawny kościół – powiedziała matka. – Zbudowali go Hiszpanie rękami Indian, wykorzystując głazy ze świątyni Majów.

Mówiła krótkimi zdaniami: strzępy informacji, słowna stenografia eliminująca drobne słowa, które spowalniają wymowę. Ten sposób mówienia pasował do jej sposobu bycia; sprawiała wrażenie tryskającej chęcią działania, rozpoczynania nowych projektów, kończenia starych, karczowania dżungli i wznoszenia piramid. Była o głowę niższa ode mnie, a musiałam dobrze wyciągać nogi, żeby dotrzymać jej kroku.

— Właśnie odkryłam tu coś ciekawego – powiedziała, skinąwszy ręką w nieokreślonym kierunku. – Podziemna komora, jak mi się wydaje. Zaczniemy nad nią pracować w poniedziałek.

Słońce odbijało się od skał i cieszyłam się, że mam okulary przeciwsłoneczne. Niebo było bezmiarem błękitu; ani chmurki, ani żadnej nadziei na cień. Nawet dżungla nie dawała schronienia przed skwarem: drzewa wyglądały na spragnione i znużone. Po obu stronach ścieżki ciągnęły się skalne rumowiska, z których wyrastały drzewa.

— Będiesz potrzebowała kapelusza – stwierdziła matka, spoglądając na mnie. – Chron się przed słońcem, inaczej dostaniesz udaru. Bez trudu kupisz go na targu.

Skinęłam głową, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy matka potwierdziła fakt, że zostanę tu przez jakiś czas. W chacie to Tony planował, gdzie mogę zamieszkać i co mogłabym robić. Matka po prostu zgadzała się na jego sugestie.

— Nie przypuszczałam, że tu jest tak gorąco – powiedziałam.

— Nie zawsze – odpowiedziała. – A czasami jeszcze goręcej.

Uśmiechnęła się do mnie tak przelotnym uśmiechem, że w następnej chwili zwątpiłam, że w ogóle go widziałam.

— Gdy nadchodzą deszcze, robi się parno, ale równie gorąco.

Zdjęła kapelusz i przeczesła dłonią włosy, nie przystając ani nie zwalniając kroku. Widywałam wcześniej fotografie ruin w Chichén Itzá, Copán i Palenque: wielkie osypujące się sterty kamiennych bloków, prawie zakryte przez tropikalne ananasowce i pnącza; masywne piramidy i rzeźbione fasady; ogromne kamienne głowy prześwitujące przez bujną roślinność. Oczekiwałam czegoś równie ponurego i tajemniczego, zapowiedzi niezgłębionych tajemnic. Tutaj słońce świeciło za mocno na sekrety. Nie dostrzegłam też żadnych piramid. Na końcu ścieżki, którą maszerowałyśmy, na niewielkim podwyższeniu stał niepozorny budynek z jasnego piaskowca. Miał prostokątne ściany i płaski dach. Z tego dachu wznosiło się drugie, mniejsze pudełko, a z niego trzecie. Wyglądał jak wieża z trzech kamiennych bloków: większego, mniejszego i najmniejszego. Gdyby nie dach, przypominałby dom z dziecięcego rysunku: gładka, płaska ściana z ciemnym prostokątem drzwi i dwoma kwadratowymi oknami.

— ...świątynia Siedmiu Lalek – mówiła matka. – Jedyne zrekonstruowane w całości budynki. Pracujemy nad kilkoma stojącymi nieco dalej.

Kolejne niedbałe machnięcie ręką w stronę zachodzącego słońca. Weszłam za matką po schodach świątyni Siedmiu Lalek. Kiedy zbliżyłyśmy się do ich szczytu, dwa gołębie zerwały się do lotu.

— Zobaczysz tu pszczoły. Zagnieździły się za jedną z belek.

Dotarliśmy do szczytu. Matka usiadła na ostatnim stopniu po tej stronie wejścia, gdzie budynek dawał trochę cienia.

— Odpocznij – zaproponowała.

Wahałam się przez chwilę, zastanawiając się, czy to nie jest jakiś test. Może powinnam zwiedzić budynek, zanim usiądę. Albo zacząć zadawać pytania, a nie tak po prostu usiąść.

Usiadłam po drugiej stronie drzwi i spojrzałam w kierunku obozu.

Matka wyjęła z kieszeni pudełko papierosów, wystukała jednego i podsunęła mi paczkę. Przecząco potrząsnęłam głową, a ona położyła papierosy na stopniu obok siebie.

— Paskudny nałóg, wiem – mruknęła, zapalając papierosa i opierając się o odrzwia. – Tony od pięciu lat próbuje mnie odzwyczać. – Wzruszyła ramionami. – W moim wieku już chyba nie warto.

Rozdział 3

Elizabeth

Na stopniach świątyni Siedmiu Lalek stary wróżbita rzucał *mixes* – święte ziarna czerwonej fasoli, z których przepowiadał przyszłość. Jego klientem był kupiec o wyrazistych rysach i barwnych tatuażach pokrywających całą twarz i ramiona. Obok niego spoczywała na stopniu płócienna torba z ziarnem kakaowym. Stary wróżbita wskazał na leżące na płótnie fasolki i cicho mówił coś do kupca. Nie zdołałam rozróżnić słów.

Głęboko zaciągnęłam się papierosem i rozmyślałam, co też powiedzieć tej młodej kobiecie, która tak nieoczekiwanie wtargnęła w moje życie. Czego ode mnie chciała?

Siedziała odwrócona plecami ku otwartej przestrzeni, podciągnąwszy kolana pod brodę. Oplotła je rękami. Była ładniejsza, niż powinno być moje dziecko: rude włosy, jasna cera i drobna budowa świadczyły raczej, że jest córką Roberta. Miała na sobie jasne dżinsy i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Oczy zakryła przeciwsłonecznymi okularami, a włosy splotła w warkocz.

— Czy tego się spodziewałaś? – zapytałam ją, ręką z papierosem wskazując na obóz, dżunglę, gąszcz krzaków, wróżbitę i jego klienta.

— Właściwie sama nie wiedziałam, czego się spodziewać – odparła ostrożnie.

Nieodrodna córka Roberta: pewnie nauczył ją być ostrożną,

nie wyjawiać za wiele. To w jego stylu: on był ostrożny i zawsze musiał więcej wiedzieć. Zawsze opanowany, zawsze rozważny.

— Chcesz mi opowiedzieć, jak umarł Robert? – zapytałam.

Staralam się mówić łagodnie, lecz zabrzmiało to szorstko. Nie jestem dobra w tych sprawach; lepiej radzę sobie ze zmarłymi niż z żywymi.

Diane spoglądała w stronę obozu; podbródek uniosła w górę, zacisnęła szczęki.

— Zmarł na atak serca... trzeci. Grał w tenisa w klubie.

Wyglądało to na odpowiedni dla Roberta sposób rozstania się z życiem. Nie widziałam go od co najmniej pięciu lat, ale mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądał po pięćdziesiątce: na korcie, w białym stroju do tenisa, z uprzejmym zawodowym uśmiechem na twarzy i skroniami przyprószonymi siwizną. Ciekawe z kim grał: z kolegą ze szpitala, z ładną młodą kobietą? To bez znaczenia. Nie umiałam wzbudzić w sobie żalu z powodu jego śmierci. W trakcie rozwodu zaczęliśmy traktować się nawzajem z wymuszoną uprzejmością. Ta powierzchowna grzeczność cechowała wszystkie nasze, nieczęste, kontakty w ciągu minionych dwudziestu pięciu lat, aż w końcu zaczęła się wydawać czymś zupełnie naturalnym. Był kimś obcym, dalekim znajomym, którego niegdyś znałam bliżej. Nie nienawidziłam go, chociaż niespecjalnie lubiłam i uważałam za nudziarza uparcie trzymającego się własnego zdania. Pamiętałam dawne czasy, gdy doprowadzał mnie do szachu. Jednakże żar tamtych kłótni wypalił się, a wieczorny wiatr rozwiał popiół. Robert był mi zupełnie obojętny.

— Pogrzeb odbył się dwa tygodnie temu – powiedziała. – Ciotka Alicia zajęła się wszystkim. Domyślam się, że ciebie nie zawiadomiła.

Pamiętam Alicie, starszą siostrę Roberta, wdowę o nieposzlakowanym, stalowym charakterze. Strzepnęłam popiół z papierosa i skinęłam potakująco głową.

— Nigdy nie przyjaźniłam się z ciotką Alicią.

— Wiem, że pewnie dziwi cię to, że pojawiłam się tu tak niespodziewanie. Chodzi o to, że tata nigdy nie chciał, żebym z tobą

rozmawiała. Nie życzył sobie, abym cokolwiek o tobie wiedziała. – Mówiła pośpiesznie, jakby musiała powiedzieć to bardzo szybko albo nie powiedzieć w ogóle. – Przeczytałam wszystkie twoje książki.

Przy ostatnich słowach jej głos złagodniał i przybrał błagalny ton. Pragnęła mojej aprobaty; chciała, żebym ją lubiła. Nie mogłam na nią spojrzeć. Jeśli Diane płakała, nie chciałam o tym wiedzieć. Nie teraz. Dżungla była kojącym pasmem zgniłej zieleni. Na schodach kupiec pochylił się do wróżbity, wypytując go o jakieś szczegóły.

— Cóż, więc chciałybyś tu znaleźć? – zapytałam ją. – Czego szukasz?

— Nie wiem – odpowiedziała z wahaniem. – Myślę, że pragnę pokopać w przeszłości i zobaczyć, co się kryje pod gruzami. To wszystko.

Wróżbita wskazał ręką na wschód, gdzie rządził Ah Puch, bóg śmierci. Wytatuowana twarz kupca posmutniała.

— Możesz znaleźć jedynie potłuczone skorupy – powiedziałam do Diane. – Nic ciekawego.

— Chcę zaryzykować.

Spojrzałam na nią, lecz z wyrazu twarzy niczego nie zdołałam wyczytać. Okulary zasłaniały jej oczy. Siedziała wyprostowana, wciąż obejmując kolana ramionami, może tylko prawą dłonią trochę za mocno ścisnęła lewy nadgarstek. Jednak kiedy się odezwała, mówiła spokojnym głosem:

— Jak dotąd, wszystko, co wiem, pochodzi z moich wspomnień, a to jedynie okruchy.

Słońce wisiało nisko, a świątynia Siedmiu Lalek rzucała cień w kierunku przeciwnym do obozu. Rzędy poprzewracanych kamieni oznaczające położenie ścian starożytnej świątyni sterczały ostro, jak relief. Dobrze się czułam pośród ruin, w towarzystwie zmarłych ludzi i zniszczonych budowli. Promienie zachodzącego słońca grzały mi twarz, ciepłe i kojące. Należałam do tego miejsca, do upadłych świątyń i dawno opuszczonych domostw. Zobaczyłam, jak kupiec płaci wróżbicie ziarnem kakaowym i zarzuciwszy

na plecy płócienną torbę, mozolnie schodzi w dół. Gdy kupiec odszedł w dal, wróżbita znikł.

Usłyszałam szelest ubrania Diane, gdy się poruszyła, i spojrzałam na nią. Patrzyła przed siebie, omijając mnie wzrokiem. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Co pamiętasz? – spytałam w końcu.

Milczenie. Zaciągnęłam się dymem z papierosa, czekając.

— Pamiętam, jak długo czekałam na ciebie w przedszkolu. Wszyscy już poszli do domu, nauczycielka była już gotowa do wyjścia, a ja wciąż czekałam. – Głos miała ochrypły, jakby wciąż powstrzymywała tamte łzy. Nie poruszyła się, a jej twarz pozostała także spokojna. – Miałaś mnie odebrać. Nauczycielka próbowała do ciebie zadzwonić, ale nie było cię w domu. Zadzwoniła więc do taty, który przyjechał po mnie, ale był wściekły. Wróciliśmy do domu, ciebie jeszcze nie było. Zapytał mnie, gdzie jesteś. Nie potrafiłam mu odpowiedzieć. – Urwała, a kiedy znowu zaczęła mówić, głos miała wyraźny. Odzyskała panowanie nad sobą. – Nie było cię bardzo długo, może przez miesiąc. Potem wróciłaś.

— Uciekłam do Nowego Meksyku i zapisałam się do college’u – powiedziałam. – Utrzymywałam się z pisania na maszynie, tak jak utrzymywałam Roberta przez całe jego studia medyczne. Robert wynajął prywatnego detektywa, żeby mnie odnaleźć. Potem namówił mnie, żebym wróciła. – Zdusiłam papierosa na stopniu schodów, wyjęłam następnego i zapaliłam go. – Co jeszcze pamiętasz?

— Jak wróciłaś z Nowego Meksyku i przywiozłaś mi indiański koc. Byłaś w domu tylko przez chwilę – pamiętam to. Musiałam siedzieć bardzo cicho – tata mi kazał. Potem znowu wyjechałaś.

Umilkła, ale nie wyglądało to na koniec opowiadania.

— Co jeszcze?

Zawahała się.

— Pewnej nocy, kiedy już leżałam w łóżku, usłyszałam, jak rozmawiacie z ojcem w kuchni. Było gorąco i nie mogłam zasnąć. Mówiłaś coraz bardziej podniesionym głosem. Wstałam, ale nie weszłam do kuchni. Stałam tuż przy drzwiach, tak że widzia-

łam was oboje. Trzymałaś w ręce deskę, starą deskę do krojenia chleba, z rączką z jednej strony. Trzymałaś tę deskę za rączkę. Nie słyszałam, co powiedział tata, ale ty nagle zaczęłaś powtarzać: „Nie zniosę tego, nie mogę tego znieść”. I zaczęłaś uderzać deską o blat stołu, coraz mocniej i mocniej. Deska złamała się w pewnym momencie, a ja uciekłam do łóżka i nie wychodziłam z niego, chociaż słyszałam krzyki. Rankiem już cię nie było, w domu pojawiła się ciotka Alicia, a tata był bardzo zdenerwowany.

Zapadło długie milczenie; słychać było gołębie na dachu świątyni.

— Nie przyjeżdżałaś przez bardzo długi czas. Potem wróciłaś i znowu wyjechałaś. Tata powiedział, że odeszłaś, ponieważ jesteś szalona. To wszystko, co chciał mi powiedzieć na ten temat. Później powiedział mi o rozwodzie i całej reszcie – ale to było później.

Pamiętałam drewno deski w mojej dłoni; szarpnięcie za każdym razem, gdy uderzała w blat.

— Robert powiedział: „Jesteś wariatką” – wyjaśniłam Diane. – To te słowa, których nie usłyszałaś. Poza tym wszystko się zgadza.

Strzepnęłam popiół z papierosa.

— Kiedy ty uciekłaś do łóżka, ja zamknęłam się w łazience i przecięłam sobie żyły. Robert wyważył drzwi, zabandażował mi ręce i zawiózł do prywatnego szpitala. Minęły dwa dni, zanim oprzytomniałam na tyle, żeby zrozumieć, iż nie mogę wrócić do domu. Robert zamknął mnie tam, jako cierpiącą na manię samobójczą.

Pamiętałam, jak sanitariusze w białych kitlach owijali mnie w zimne prześcieradła. Czy było to podczas mojej pierwszej spędzonej tam nocy? Trudno powiedzieć. Niewiele pamiętam z tego roku spędzonego w sanatorium. Przypominam sobie, jak wyłam do ścian zimnego pokoju, jak nienawidziłam Roberta i pragnęłam zemsty. Nie pamiętam jednak, czy było to pierwszej nocy czy też znacznie później. Nie sądzę, aby to miało jakieś znaczenie. Noce w szpitalu niczym nie różniły się od siebie; zamknięty, ściśle kontrolowany świat, w którym zmieniali się jedynie przychodzący

i odchodzący ludzie.

Zjawy, które tam widywałam, były szalone: blada gruba kobieta z rozmazanymi plamami ciemności zamiast oczu, które wyglądały jak kawałki węgla w twarzy śniegowego bałwana; krucha staruszka mówiąca w nieznanym mi języku, głosem wysokim i cichym, jak ćwierkanie wróbli przed śnieżycą; posępna kobieta, chuda i wycieńczona, która wyglądała jak prorokini powracająca z czuwania na pustyni, o dłoniach i bosych stopach pokrytych krwawiącymi, nigdy nie gojącymi się ranami.

— Umieszczono mnie na oddziale ciężkich przypadków – powiedziała Diane. – Nieźle sobie radziłam. Zaprzyjaźniłam się z kobietą, która wierzyła, że jest Jezusem Chrystusem. Była to kobieta potężnie zbudowana, o topornych rysach twarzy.

Zaciągnęłam się dymem, wypuściłam go z płuc i patrzyłam, jak rozpływa się w powietrzu. Dziwne wspomnienia: przez wiele nocy krzyczałam do nagich ścian, że Robert chce mnie zabić, że lekarze chcą mojej śmierci. Dopiero po miesiącu postanowiłam wydostać się stamtąd.

Rozważałam szanse ucieczki, ale kraty w oknach były mocne, a sanitariusze bardzo muskularni. Tak więc postanowiłam zachowywać się poprawnie, przestać wyć po nocach, wykonywać wszystkie polecenia i zaprzestać teologicznych dysput z panią Jezus Chrystus. Postanowiłam udawać zdrową na umyśle, przestać podglądać duchy i wołać do księżycy przez zakratowane okna. Spędziłam na tym oddziale trzy miesiące, zanim zdołałam ich przekonać, że można mnie przenieść na inny oddział, dla mniej gwałtownych pacjentów. Minął rok, nim utwierdziłam ich w przekonaniu, iż jestem wyleczona.

Pamiętam, ile kosztowało mnie udawanie tego, co oni nazywali zdrowiem psychicznym. Uśmiechanie się. Powstrzymywanie się od obscenicznych wypowiedzi, nawet wtedy, gdy sytuacja wprost je prowokowała.

— Robert odwiedzał mnie w szpitalu. Co dwa tygodnie. Nigdy nie zapominał. Byłam dla niego grzeczna. Nie mogłam się wydostać bez jego pomocy. – Mój głos brzmiał bardzo oschle, bardzo

trzeźwo. – Chciałam się od niego uwolnić. Chciałam rozvodu. – Zauważyłam, że zadrżała mi ręka, gdy podnosiłam do ust papierosa; drugą dłoń miałam zaciśniętą w pięść. Z trudem zapanowałam nad sobą. – W końcu zgodził się na rozwód, ale pod warunkiem, że on przejmie opiekę nad tobą. Musiałam się zgodzić, że nigdy nie będę próbowała cię zobaczyć bez jego zgody. Nie będę próbowała grać roli matki. Myślę, że spotykał się z kimś wtedy i chciał się mnie pozbyć. Musiałam się od niego uwolnić, więc zgodziłam się na wszystko.

Nienawidziłam tego przeproszającego tonu, który mimowolnie pojawił się w moim głosie. Lekko wzruszyłam ramionami.

— Dotrzymał swojej części umowy. Pozwolił mi odejść.

— Czasami przyjeżdżałaś na Boże Narodzenie – powiedziała Diane.

— Przyjeżdżałam, kiedy pozwolił mi Robert. Na jego warunkach. W pewnym momencie pomyślałam, że czuje się samotny, bo chciał, żebym wróciła. Gdy mu odpowiedziałam, że nie jestem zainteresowana, odebrał mi przywilej odwiedzin.

Znów wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się zaciśniętymi ustami.

— Nie był bardzo okrutny. Przysyłał mi twoje zdjęcia.

— Co zrobiłaś? – powiedziała spokojnym, kontrolowanym głosem. Twarz miała ściągniętą, ale nie płakała.

— Wróciłam do Nowego Meksyku. Przez jakiś czas pracowałam jako maszynistka, a potem zaczęłam studiować archeologię na uniwersytecie stanowym. Już pierwszego lata udało mi się dostać płatną posadę kucharza na obozie terenowym i tak to się zaczęło.

— Nienawidziłaś taty za to, że nazywał cię wariatką – powiedziała Diane.

— W tamtych czasach nienawidziłam Roberta za wiele rzeczy – odparłam. Zgniotłam niedopalonego papierosa na kamieniu. – Zamknięcie mnie w szpitalu było tylko jedną z wielu zniewag. – Sięgnęłam po paczkę i wyjęłam kolejnego papierosa. – A więc – powiedziałam oschle – dostałaś to, po co przyjechałaś. Wiesz, dla-

czego odeszłam. Co teraz?

Spojrzałam na Diane. Rękami wciąż obejmowała kolana i lekko się kołysała w przód i w tył. Pożałowałam moich słów, żałowałam mojego tonu.

— Daj spokój – szepnęłam. – To stara historia. – Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej ramienia, czując się obco i głupio. Nie zareagowała. Pragnęłam, żeby dała mi jakiś znak, że między nami wszystko jest w porządku, ale ona wciąż obejmowała rękami kolana i nie patrzyła na mnie. – Nie opłakuj czegoś, co dawno minęło.

— Czy mogę zostać tu przez jakiś czas? – zapytała. Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem, co tu możesz znaleźć dla siebie.

— Ja też nie wiem.

Uświadomiłam sobie, że trzymam w ręku nie zapalony papieros; wsunęłam go do kieszeni koszuli.

— Dobrze, zostań, jeśli masz ochotę.

W oddali usłyszałam klakson ciężarówki.

— To gong obiadowy – powiedziałam. – Pora wracać.

Poszliśmy w stronę zachodzącego słońca, tą samą ścieżką, którą oddalił się kupiec po rozmowie z wróżbitą.

Rozdział 4

Diane

Obiad podano na składanym stole, ustawionym na otwartej przestrzeni pośród grupki chat. Wokół stołu rozstawiono metalowe, turystyczne krzeselka. Wyglądały tak, jakby odbyły zbyt długą podróż w skrzyni półciężarówki, zbyt długo wystawiano je na działanie słońca oraz deszczu i w ogóle wiodły żywot nieodpowiedni dla składanych metalowych krzesel. Kiedyś były pomalowane na jednolity szary kolor. Teraz były pogięte na wszystkie strony i upstrzone plamami rdzy.

Tony przedstawił mi wszystkich siedzących przy obiadowym stole. Podobnie jak krzesła, na których siedzieli, ci ludzie byli zbyt długo wystawieni na działanie żywiołów. Brudne, połamane paznokcie, spalone słońcem, łuszczące się twarze, popękane usta, a ponadto wszyscy byli chudzi i żyłaści. Twarze mężczyzn pokrywał szczeciniasty zarost.

Carlos, opalony Meksykanin około trzydziestki, pokazując w uśmiechu zbyt wiele zębów, przypominał przyjacielską barakudę. Miał na sobie wojskową kamizelkę i szorty, które podkreślały opaleniznę.

John, wiecznie zgarbiony Kanadyjczyk o szerokich barach, wymamrotał „miło mi poznać” z ledwie zauważalnym uśmiechem. Nosił zsuniętą na tył głowy baseballówkę, chustkę owiniętą wokół szyi, koszulę z długim rękawem i długie spodnie. Wydawał się toczyć z góry przegraną batalię ze słońcem. Skóra schodzi-

ła mu z nosa.

Maggie, blondynka o twarzy wykarmionej kukurydzą Amerykanki, uśmiechnęła się do mnie zdawkowym, szerokim uśmiechem. Przypominała mi te wszystkie dziewczyny z drużyny klaskierek z mojej szkoły średniej. Robin, kobieta siedząca obok Maggie, miała odrobinę ciemniejsze włosy i mniej radosny uśmiech. Wyglądało na to, że jej życiowym powołaniem są drugoplanowe role.

Barbara jako jedyna wyciągnęła do mnie rękę na powitanie. Opalona i smukła, o czarnych włosach ostrzyżonych na chłopczycę i twarzy zasłoniętej przez zbyt duże okulary przeciwsłoneczne w metalowych oprawkach.

— Witaj w obozie – powiedział Carlos. Znowu zaprezentował komplet uzębienia. Zdecydowanie typ drapieżnika. – Jak długo tu zostaniesz?

— Przez jakiś czas – odparłam enigmatycznie. Trudno mi było przyznać, że sama nie wiem. Chwila ciszy, wyczekiwanie na wyjaśnienia, kim jestem i co tu robię. – Mam wakacje i chciałam zobaczyć, jak wygląda z bliska praca archeologów – dodałam lekko ochryplym głosem.

— To wspaniałe miejsce na wakacje, jeśli nie przeszkadza ci brud i komary – oznajmił Carlos. – Zwiedziłaś już okolicę?

— Częściowo – spojrzałam na matkę, szukając u niej pomocy.

— Byłaś nad cenotą? – zapytał.

— To studnia. Naturalne jezioro powstałe w szczelinie wapiennej skały – wyjaśniła matka. – Jeszcze jej nie widziałaś.

— Używamy jej jako basenu – rzekł wesoło Carlos. – Właśnie opowiadałem Robin, że grupa z Tulane wydobyła z jej dna kości młodych dziewczic, które wrzucano do studni jako ofiarę dla bogów chaacob.

— Oto temat odpowiedni przy obiedzie – powiedziała Maggie. – Ofiary z ludzi.

— W Chichén Itzá znaleziono znacznie więcej kości niż tutaj – skomentował John. – Byłaś w Chichén Itzá? Odległość lustra wody od krawędzi cenoty wynosi prawie osiemdziesiąt stóp.

Większość wrzucanych tam nieszczęśników ginęła, uderzając o tafelę wody.

Meksykanka podała jedzenie – duszonego kurczaka, tortillę, fasolę – a podczas obiadu kontynuowano rozmowę.

— Naprawdę wolałabym nie rozmawiać o tym przy jedzeniu – powiedziała Maggie.

— Och, daj spokój – rzekł Carlos. – Każdy lubi rozmawiać o składaniu ofiar z ludzi. To wspaniały temat. Wszystkie prospekty turystyczne informują o straszliwym losie dziewczyc.

— Nie wiedziałam, że ktoś udowodnił, iż ofiarami były dziewczyc w wieku przedmałżeńskim – powiedziała oschle Barbara. – Zawsze wydawało mi się, że trudno jest ustalić dziewictwo osoby na podstawie starej kości udowej.

— Ależ Barbaro – powiedział stanowczo Tony. – Wiesz, że zawsze zakładamy, iż składano w ofierze bogom piękne młode dziewczyc – przynajmniej dopóki ktoś nie dowiedzie, że było inaczej. To znacznie lepiej brzmi w gazetach. Kogo obchodziliby wyrzucani rybom na pożarcie starcy i staruszki?

— Zapewne staruszki byłyby zainteresowane – zauważyła Barbara. – Nie wypowiadam się w imieniu starców.

— Osobiście wolałbym być pokarmem dla ryb, niż dać sobie wyciąć serce obsydianowym nożem. Gdybym mógł wybierać...

— Czy moglibyśmy zmienić temat? – poprosiła Robin.

Nikt nie zareagował.

— A więc – odezwał się Tony – z jakiego powodu wrzucilibyście kogoś do świętej studni?

— Ja nie wrzuciłabym – powiedziała Robin. – I nie widzę powodu, by ktokolwiek miał to robić.

Zauważyłam, że matka przestała kroić plasterki kurczaka. Pochyliła się nad stołem.

— Powiedz mi, Robin, czy wierzysz w duchy?

Robin pokręciła głową.

— To dlaczego jest ci nieswojo na myśl, że ludzie ginęli w cenie?

Robin miała bardzo zmieszana minę. Matka obserwowała ją,

cierpliwie czekając na odpowiedź.

— Po prostu czuję się nieswojo.

— Czujesz się tak, ponieważ wierzysz w siłę umarłych – odpowiedziała spokojnie matka. – W przeciwnym razie kości nie miałyby dla ciebie żadnego znaczenia. Majowie, którzy tutaj mieszkali, także, wierzyli w potęgę zmarłych. Próbowali wykorzystać tę moc do sprowadzania deszczu, przebłagania bogów, odwrócenia złej wróżby. Przeczuwali, że ludzie, którzy otarli się o śmierć, wracają odmienieni – wiedzieli więcej niż zwykli ludzie.

Obserwowałam twarz matki, gdy mówiła o śmierci. Mówiła niskim, poważnym głosem osoby, która wie, o czym mówi. Jedną ręką pocierała bandaż na nadgarstku. Zastanawiałam się, co bym czuła, gdybym przecięła sobie nadgarstek i patrzyła, jak z żyły wypływa krew. Czy to by mnie odmieniło?

— Czy czytałaś *Księgi Chilam Balam*? – zapytała Robin moja matka. Kiedy dziewczyna pokręciła głową, matka kontynuowała: – Kiedy je otworzysz, znajdziesz w nich dość szczegółowy opis składania ofiar w Chichén Itzá. Każdego roku do studni wrzucano kilka wybranych osób. Jak powiedział John, większość z nich umierała od uderzenia o powierzchnię wody. Niektórzy jednak wychodzili cało z próby. Tych wyciągano i traktowano odtąd jak posłańców wracających ze świata bogów z przepowiednią na następny rok. Ci, którzy stanęli w obliczu śmierci i przeżyli, nabywali nowych sił, które wyróżniały ich spośród zwykłych ludzi. – Matka zmierzyła Robin spokojnym wzrokiem. – Powinnaś zadać sobie trud poznania ludzi, których wygrzebujesz z ziemi.

— Mam dobre tłumaczenie tego tekstu – wtrącił szybko Tony. – Z przyjemnością ci je pożyczę.

Robin skinęła głową.

— Nie przejmuj się tym naszym wiecznym gadaniem o śmierci i zmarłych – zwrócił się do mnie Tony. – Pracując tutaj, obcuje się z tym na co dzień. A od umarłych wiele się uczymy.

— A propos zmarłych – powiedziała do matki Barbara. – Tony mówił, że dziś rano chyba znalazła pani grobowiec.

— To bardzo prawdopodobne – odpowiedziała matka. – Nie

będziemy wiedzieli, co tam jest, dopóki teren nie zostanie oczyszczony z zarośli. Jeśli dopisze nam szczęście, może to być jeden lub dwa grobowce. – Kawałkiem tortilli zebrała z talerza resztę sosu.

— Jak dotąd, nasze sukcesy są raczej mizerne.

— To dopiero trzeci tydzień – wtrącił Tony. – Jesteś zbyt niecierpliwa.

Matka wzruszyła ramionami.

— Chyba masz rację.

Zmierzch przemienił się w ciemność. Tony zapalił dwie lampy karbidowe, które dawały jasne światło i rzucały wyraziste, podwójne cienie na stół, a także przyciągały uwagę ciem i innych latających stworzeń. Carlos, Maggie, John i Robin usiedli przy innym stole, żeby zagrać w karty. Odrzuciłam zaproszenie Carlosa i nie przyłączyłam się do nich. Carlos przyniósł ze swojej chaty magnetofon i puścił kasetę z najnowszymi przebojami. Pozostałam przy stole obiadowym razem z matką, Barbarą i Tonym. Tony przygotował każdej z nas dzin z tonikiem.

— A więc jakie masz plany na poniedziałek? – zapytała mnie cicho Barbara. Po zachodzie słońca zdjęła okulary. Jej ciemnobrązowe oczy otaczały kręgi jasnej skóry w miejscach, gdzie okulary nie dopuszczały słonecznych promieni. Bez szkieł wydawała się młodsza, bardziej bezbronna. – Czy Tony przydzielił ci już jakieś zadanie?

Pokręciłam głową.

— Może chciałabyś wybrać się ze mną na przegląd terenu? Włączymy się po *monte* i szukamy pagórków. Walczymy z insektami i staramy się unikać udaru słonecznego. Świetna zabawa.

— *Monte*?

— Gęstwina lasu tropikalnego – wyjaśniła Barbara. – Czyli wszystko wokół. Machnęła ręką w kierunku zarośli za chatami.

— Majowie dzielili świat na *col* – czyli ziemię uprawną i *monte* – czyli ugór. Podczas takiego rekonesansu dowiesz się o *monte* więcej, niż chciałabyś wiedzieć. Nauczę cię, jak posługiwać się kompasem i chodzić na azymut.

— Świetnie. To mi się podoba.

— Wspaniale. – Spojrzała na Tony’ego. – Co o tym myślisz? Pojedzie na zwiady, dobrze?

Tony uśmiechnął się do mnie znad szklanki.

— Zapomniała ci tylko powiedzieć, że trzeba wstać o szóstej.

— Nie szkodzi.

Tony podniósł w górę drinka.

— Barbara znowu zwyciężyła. Jedziesz na zwiad.

Przy drugim stole Carlos zwiększył głośność magnetofonu i plac wypełniła meksykańska wersja przeboju Beatlesów. Maggie skomentowała to bezgłośnie, a Carlos wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Matka piła dzin, wpatrując się w ciemność za kręgiem światła.

— Mieszkasz w mojej chacie – mówiła do mnie Barbara. – Pomóc ci rozwiesić hamak?

— Pewnie.

Pożegnaliśmy matkę i Tony’ego, po czym ruszyliśmy w stronę chaty.

— Mam już dość patrzenia na te zalecanki – powiedziała Barbara, gdy opuściliśmy plac.

Dźwięk magnetofonu Carlosa cichł w oddali. Barbara zapaliła kieszonkową latarkę i oświetlała nią ścieżkę pod naszymi stopami.

— Pierwszego lata było to interesującym fenomenem socjologicznym. Po czterech latach zaczyna mnie to nużyć. Zmieniają się gracze, ale kolejne posunięcia pozostają te same. Unikam tego jak ognia.

— Przyjeżdżasz tutaj od czterech lat? – zapytałam.

— Nie tutaj. W ubiegłym roku byłam na stanowisku w pobliżu Mexico City. Rok wcześniej w Anasazi w pobliżu Arizony. Każde miejsce jest trochę inne, lecz pewne sprawy nigdy się nie zmieniają. Zawsze czujesz się brudna; zawsze zjawi się student w rodzaju Carlosa, który lubi nocne zabawy, i zawsze znajdzie się jakaś chętna, taka jak Maggie. Miałam okazję obserwować Carlosa w akcji w ubiegłym roku. Jest układny, ale piekielnie gruboskórny. Uważaj, gdy zaczniesz grać w twoją stronę.

Spojrzałam na nią, ale w nikłym świetle latarki z jej twarzy niczego nie mogłam wyczytać.

— A kto mówi, że zaczniesz?

— Chyba żartujesz. Jesteś ładna, no i nowa. Nie chodzi o to, czy zaczniesz, tylko kiedy.

Przystanąła przy wielkiej, czarnej, gumowej beczce wyposażonej w kran. Na beczce leżała zniszczona metalowa miska. Lepka od brudu kostka mydła tkwiła w prowizorycznej mydelniczce zrobionej z kawałka świątynnego kamienia z owalnym wgłębieniem. Barbara zamocowała latarkę obok mydelniczki.

— Witaj w umywalni – powiedziała. – Pełen komfort. Wygódka znajduje się na końcu tej ścieżki. To najlepszy tego rodzaju obiekt w tej części kraju, chociaż to o niczym nie świadczy.

Oplukała miskę, a następnie napełniła ją wodą i umyła twarz.

— Swój ręcznik możesz powiesić na jednej z gałęzi tego drzewa – dodała, ściągając ręcznik znad głowy. – Jak powiedziałam, pełny komfort. Prysznic się za wygódką, na zawietrznej. Niewiele brudu usuwają, ale trochę go przeorganizują. Lepiej wyjdiesz na kąpeli w cenocie, chyba że zechcesz umyć głowę.

Nalałam wody do miski i oplukałam twarz. Woda była letnia i nawet po oplukaniu nią twarzy czułam na skórze mydło. Barbara chyba miała rację; po czymś takim nigdy nie czułabym się umyta. Oczy wciąż piekły mnie od łez.

W chacie Barbara zapaliła wysoką świecę w przezroczystym szklanym kloszu. Płomień rzucał krąg żółtego światła na szafkę, na której umieściła ją Barbara; w kątach pokoju falowały cienie. Przy blasku świecy odnalazłam półkę, na której Tony postawił wcześniej moją walizkę. Odszukałam w niej wielki podkoszulek, który przywiozłam zamiast piżamy. Barbara rozebrała się i bez skrępowania natarła nagie ciało środkiem przeciw komarom. Podała mi ten preparat, radząc go użyć, po czym pokazała mi, jak najwygodniej ułożyć się w hamaku.

— Jest w tym pewien haczyk – powiedziała, kładąc się wsparta na ramieniu. Wzięła z półki prześcieradło i rzuciła mi je – drugie wzięła sobie. Owinęła się luźno prześcieradłem, przytrzymała

jeden bok hamaka, rozciągając płataninę bawełnianych sznurów, a potem usiadła na nim i położyła się po przekątnej. Poprawiła fałdy prześcieradła, wcisnęła ramię pod głowę i uśmiechnęła się do mnie. – Widzisz, wygodnie jak we własnym łóżku. – Zakołysała się lekko.

— Czy mogłabyś mi podać papierosy?

Wzięłam papierosa z leżącej na szafce paczki, zapaliłam go od świecy i podałam jej. Pociągając, obserwowawałam w milczeniu moje próby naśladowstwa. Trochę za nerwowo poruszałam hamakiem, przez co jego brzegi wciąż się zaciskały.

— Połóż się w poprzek – odpowiedziała Barbara.

Wreszcie zdołałam tak się przekręcić, że siatka hamaka rozciągnęła się. Owinęłam się prześcieradłem.

— Wygodnie? – zapytała Barbara.

— Jak się nie ruszam.

— Chcesz papierosa?

— Nie, dzięki. – Czułam się dobrze, lepiej niż kiedykolwiek od wielu, wielu miesięcy. Widziałam matkę i przetrwałam to spotkanie. – Hej, kto zgasi świecę?

— Dosięgnę jej stąd – odparła. Przechyliła się i zdmuchnęła świecę.

Wsunęłam ramię pod głowę, a mój hamak wściekle się zakołysał.

— Wygląda na to, że trudno byłoby się w nim kochać – powiedziałam, myśląc o Carlosie i Maggie.

— To się da zrobić – odpowiedziała Barbara. – Możesz mi wierzyć.

— Mówisz jak ekspert. – Widziałam tylko koniuszek jej papierosa kołyszący się lekko w ciemności i pomyślałam, że może powiedziałam za wiele.

— Pobądź tu trochę, a sama się przekonasz – powiedziała wolno. – Jestem pewna, że Carlos z przyjemnością udzieli ci lekcji.

— W porządku. Myślę, że zdałabym ten egzamin.

Koniuszek papierosa rozjarzył się mocniej, gdy Barbara zaciągnęła się dymem.

— Jesteś mężatką? – zapytała.

— Nie. Jestem świeżo po paskudnym zerwaniu. – Staralam się mówić niedbałym tonem. – To jeden z powodów mojego przyjazdu tutaj. On jest dyrektorem agencji reklamowej, w której pracowałam. – Oczyma wyobraźni widziałam wyraźnie jego twarz: ciemne włosy lekko przyprószone na skroniach siwizną, błękitne oczy.

— Żonaty?

— Oczywiście. – Udało mi się powiedzieć to lekkim tonem. Cieszyłam się, że w chacie było ciemno.

— Zawsze jest tak samo – powiedziała Barbara. Jej głos złagodniał. – Ja miałam romans z jednym z moich profesorów. Miał żonę i dwoje dzieci. To on zakończył ten związek, zerwał i nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Kiedy przekonałam się, że to już koniec, zmieniłam szkołę. Nie mogłam znieść jego widoku, kiedy tak stał przed studentami, cholernie pewny siebie.

— Ja zwolniłam się z pracy i wyjechałam z miasta.

Dobrze było móc komuś o tym opowiedzieć. Szczególnie komuś, to nie znał Briana i nie mógł powiedzieć, że jestem głupia.

— Znam to uczucie – powiedziała Barbara. – Cóż, jeśli szukasz takiego miejsca, żeby uciec i zapomnieć, to dobrze wybrałaś. Nikt cię tutaj nie odnajdzie.

— Dzięki za pomoc we wszystkim – wykrztusiłam niezdarnie.

— Żaden kłopot – powiedziała. – Jeśli tylko będziesz miała ochotę porozmawiać, daj mi znać.

Widziałam, jak pochyła się, żeby zgasić papierosa na glinianej podłodze chaty. Słyszałam szelest prześcieradła, gdy znów się położyła.

— Teraz już lepiej śpij – poradziła.

— Dobranoc – powiedziałam.

— Dobranoc.

Długo leżałam, nie mogąc zasnąć i słuchając znajomych odgłosów kroków, bzyczenia owadów, szelestu liści, głośnego tykania zegara. Wydawało się dziwne, móc tak leżeć nieruchomo i nie przejmować się tym, co mnie czeka u kresu drogi. Przez ostatnie

miesiące byłam w ciągłym ruchu. Nie kończące się przemierzanie szpitalnego korytarza w oczekiwaniu na diagnozę. Spoglądanie przez okno limuzyny, wolno jadącej na czele konduktu żałobnego ojca. Wędrówki po jego domu, ograniczone czterema ścianami, bez celu, bez końca. Ruszając się powoli, ale nieustannie. Myśląc o matce, wspominając ją. Była niższa niż ją pamiętałam. I we włosach miała więcej siwych nitek.

Hamak kołysał się pode mną i miałam wrażenie, że wciąż się poruszam, zmierzam do nieznanego celu. Właśnie zapadałam w sen, gdy nadeszła Robin, a potem guzdrała się w ciemnościach. Wreszcie, kiedy przestała hałasować, zasnęłam.

Uwagi o *Kamiennym Mieście* Elizabeth Butler

Robin, jedna z moich studentek, jest dość inteligentną i wykształconą młodą kobietą. Mimo to twierdzi, iż nic nie usprawiedliwia składania ofiar z ludzi. O starożytnych Majach i składanych przez nich ofiarach mówi z pozycji cywilizowanego obywatela dwudziestego wieku, który dawno już wyrósł z tego rodzaju bzdur.

Chyba zapomina przy tym, że jej własna religia również opiera się na ofierze z człowieka. Jest praktykującą chrześcijanką. Przyjmuje komunię świętą, czyli ciało i krew Jezusa Chrystusa, ludzkiego syna Bożego, który umarł i zmartwychwstał, aby przynieść światu posłanie od swego ojca. Robin wierzy w zmartwychwstanie, ale traktuje je tylko jako coś, co wydarzyło się bardzo dawno i daleko i nie ma nic wspólnego z jej codziennym życiem. Wierzy w Boga, Ojca Wszechmogącego. Jednakże, gdyby jej sąsiad oświadczył, że Bóg przemówił do niego w widzeniu, Robin uznałaby go za ekscentryka, może nawet niebezpiecznego dla otoczenia. Jej Bóg to daleki patriarcha, który wymaga, abyśmy chodzili do kościoła i postępowali zgodnie z dziesięcioma przykazaniami, lecz nie zniża się do przekazywania nam nowych praw przez małuczkich. Nawykła do Boga, który zachowuje dystans.

Bogowie starożytnych Majów są bliżsi ludziom i bardziej wymagający. Na przełomie starego i nowego katunu nadchodzi czas na post i picie *balche*, na czyszczenie świętych ksiąg, na tańce na

szczudłach i palenie kadzideł. W tym czasie ludzie gromadzą się przy Świętej Studni w Chichén Itzá, mieście położonym o około pięćdziesiąt mil od Dzibilchaltún. Studnia jest miejscem o wielkiej tajemnej mocy, domem wielu bogów. Na przełomie katunu kapłani wrzucają do niej ozdoby z jadeitu, złote dzwonki, miedziane pierścienie i kadzidło.

Razem z tymi darami posyłają do bogów posłańców. Jeżeli posłańcy nie chcą odwiedzić bogów dobrowolnie, są wrzucani do studni przez muskularnych kapłanów, którzy w ten sposób czynią im jedynie wielki honor. Posłańcy spadają, kolorowe pióra migocą w słońcu, ich krzyk zagłuszają wiwaty tłumu, śpiewy kapłanów, towarzysząca procesji muzyka.

Daleko w dole unoszą się na powierzchni drobinki milczących barw na taili szmaragdowozielonej wody.

W południe, gdy tarcza słońca wypełnia wnętrze studni, tylko jeden posłaniec pływa na powierzchni wody. Pozostali zostają, zabrani przez Chaacob do podwodnych komnat. Kapłani wyciągają ocalonego, który powrócił, żeby przekazać im przesłanie od bogów, przepowiednię na nadchodzący rok.

Ta ludzka ofiara wcale nie jest taką prostą sprawą, tak samo, jak ukrzyżowanie Jezusa Chrystusa nie było przecież zwykłą egzekucją. Posłańcy, którzy nie wracają, pozostają wśród bogów; ten, który wraca, staje się wyrocznią, tłumaczem bogów.

Archeolog Edward Thompson wydobył ludzkie kości ze Świętej Studni w Chichén Itzá. Kości odnalezione przez Thompsona należały do posłańców, którzy nie zdołali wykonać swej misji.

Rozdział 5

Elizabeth

Wyjęłam z paczki papierosa i obserwowałam światło lartarki Barbary wędrujące poprzez plac do chaty dziewcząt. Barbara i Diane były już tylko cieniami w oddali.

Ta moja córka była tak chłodna, jakby zamknięto ją w szklanej kostce, jakby odgradzała ją od świata niewidzialna bariera ochronna. Nie była niemą. Podczas obiadu uśmiechała się i żartowała na równi z innymi. Przy tym wszystkim jednak pozostała ostrożna, czujna i nawet kiedy zdjęła okulary przeciwsłoneczne, nie zdołałam odgadnąć jej myśli. Zapaliłam papierosa, dłonią osłaniając płomień przed wieczorną bryzą, a potem pomachałam płonąca zapalką, żeby ją zgasić. Obok siedział Tony ze szklaneczką w dłoni. To już chyba jego czwarty drink.

W rogu placu, niedaleko od stołu, przy którym studenci rozgrywali swą niekończącą się partyjkę kart, kapłan z plemienia Tolteków zeskrobywał resztki mięsa ze skóry świeżo zabitego jaguara.

Płonąca pochodnia rzucała czerwonawe języki światła na jego nagie plecy i ramiona; u jego boku, w glinianym naczyniu w kształcie jaguara, paliło się kadzidło. W czasie pracy kapłan nucił nieprzerwanie swoją pieśń, a jego głos walczył o lepsze z rockandrollowymi przebojami płynącymi z magnetofonu Carlosa.

— Twoja córka jest bardzo miłą młodą kobietą – powiedział Tony. – Myślę, że świetnie do nas pasuje.

Nie odpowiedziałam. Kapłan nucił, a rockowy zespół śpiewał o miłości.

— Porozmawiałyście sobie w czasie spaceru?

— Jesteś ciekawy, co?

— Tak. – Odchylił się w krześle. Rękę ze szklaneczką dżinu oparł na jednym kolanie, wolną rękę na drugim. Czekał. Ćma waliła głową o szklany klosz lampy. Przykręciłam knot i przesunęłam ją w przeciwny koniec stołu, lecz owad zatoczył koło i odnalazłszy znowu lampę, ponowił wysiłki, szukając śmierci.

— Nic rozumiem, czego ona ode mnie chce – powiedziałam wreszcie.

— Nie zapytałaś jej o to? – dociekał Tony.

— Zapytałam. Odpowiedziała, że pragnie zajrzeć w przeszłość i zobaczyć, co jest pod gruzami.

Pokiwał głową.

Przez chwilę słuchaliśmy szelestu kart, szeptu studenckich rozmów i cichego szmeru przewijanej kasety. Kapłan przerwał zawodzenie i usłyszałam skrobanie obsydianowego noża o skórę. Uświadomiłam sobie, że trzymam w dłoni zapalonego papierosa, ale nie palę go. Zaciągnęłam się i powoli wypuściłam dym.

— Nie rozumiem, po co jej to – rzekłam. – To stare dzieje. Porzuciłam ją. Dlaczego u mnie szuka teraz pocieszenia?

— Myślisz, że szuka pocieszenia?

— Szuka matki. Ja nie jestem niczyją matką.

— A więc w końcu to zrozumie – powiedział. – A wtedy odejdziesz. Czy tego właśnie chcesz?

Wzruszyłam ramionami, nie wiedząc, czego naprawdę pragnę.

— Tak byłoby najlepiej – powiedziałam. – Po prostu świetnie.

— W porządku – rzekł Tony. – Może tak właśnie się stanie.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Kapłan podjął na nowo swoją pieśń, ale partyjka kart najwyraźniej dobiegała końca. Carlos obejmował Maggie ramieniem i oboje śmiali się za często.

— Wygląda na to, że rozumieją się z Barbarą – powiedziałam.

— To prawda. I przyda nam się dodatkowa osoba na rekone-

sansie.

— Chyba tak. – Zmarszczyłam brwi, spoglądając w ciemność.
– Zastanawiam się, dlaczego jest taka ostrożna. Myślę, że to robota Roberta.

— Daj tej dziewczynie szansę, Liz – powiedział. – Po prostu daj jej szansę.

— Wydaje się dość bystra – przyznałam niechętnie.

— To już coś.

— Dobrze – powiedziałam. – Przyjeżdżając tutaj na własną rękę, wykazała się nie lada odwagą. Czy na to właśnie czekasz?

Wzruszył ramionami.

— Na nic nie czekam. Myślałem tylko, że zrobiłabyś dokładnie to samo, gdybyś znalazła się na jej miejscu.

— Chyba masz rację – zgodziłam się z ociąganiem.

— Na pewno mam.

Carlos sięgnął do magnetofonu i muzyka ucichła z trzaskiem. Carlos i Maggie, ramię w ramię, odeszli ścieżką w stronę cenoty, rozmawiając głośnym szeptem. John i Robin poszli do swoich chat. Tony nalał sobie jeszcze jednego drinka.

— Czy zamierzasz kiedyś iść spać? – zapytał.

— Później – odpowiedziałam. – Jeszcze nie jestem zmęczona.

— Wszystko będzie dobrze – rzekł.

Wzruszyłam ramionami i przez chwilę patrzyłam, jak odchodzi. Zostałam przy stole sama.

W przyćmionym świetle latarni widziałam jedynie zarys chat. W bzyczeniu owadów w *monte* dawał się słyszeć pewien określony rytm, a ja miałam płynącą z doświadczenia pewność, że gdybym teraz poszła do chaty, nie zasnąłabym. Leżałabym, obserwując cienie tańczące na suficie w takt kołysania się hamaka, i czekałabym świtu. Nauczyłam się, że takie nastroje najlepiej przeczekać. Alkohol pomagał tylko na chwilę, bo po wypiciu zwykle budziłam się o piątej rano z szeroko otwartymi, ale ciężkimi jak ołów powiekami. Tabletki nasenne z pewnością uspiłyby mnie – lekarz uniwersytecki przepisał mi je na ataki bezsenności – jednak postanowiłam nie zażywać leków. Taka tabletka mogła wyłą-

czyć wszystkie światła równie nieuchronnie, jak przyciśnięta do twarzy poduszka, i nie mogłabym już nic zrobić, by odpędzić ciemność.

Miałam wrażenie, że ciemność napiera na mnie. Było potwornie gorąco. Przybycie Diane znów przywołało obrazy z przeszłości.

W ciągu dwóch tygodni poprzedzających moją pierwszą ucieczkę do Nowego Meksyku przemierzałam piechotą całe mile. Chodziłam tam i z powrotem wąskimi uliczkami, mijałam ogrodzone podwórka zarośnięte chwastami, szczekające psy i staruszków siedzących na gankach, i rozkrzyczane dzieci, które zawsze dokądś biegły lub walczyły ze sobą. Każdego ranka, gdy tylko Robert wyjeżdżał do szpitala, opuszczałam nasze mieszkanie. Zawsze wkładałam na głowę przyduży słomiany kapelusz i ubierałam się w luźną drelichową sukienkę. W te dni, kiedy Diane nie szła do przedszkola, zabierałam ją ze sobą. Szybko przebierała krótkimi nóżkami, żeby dotrzymać mi kroku. Gdy zaczynała marudzić i protestować, przez kilka przecznic niosłam ją na rękach. Potem stawiałam ją na ziemi i szła dalej.

Nie miałam żadnej opracowanej trasy ani celu. Po prostu szłam – błądziłam po pobliskich ulicach przedmieścia Los Angeles, gdzie wynajmowaliśmy mieszkanie. Musiałam chodzić: w mieszkaniu nie mogłam oddychać. Ściany znajdowały się zbyt blisko. Nie mogłam usiedzieć na miejscu.

Moje małżeństwo stało się nie do zniesienia, jak klatka, do której weszłam dobrowolnie i z której nie mogłam już wyjść. Poznałam Roberta na zajęciach z chemii na pierwszym roku college'u. Mogłam się uczyć dzięki niewielkiemu stypendium, które otrzymałam z Klubu Rotariańskiego w moim rodzinnym mieście, oraz przepisywaniu na maszynie tekstów dla profesorów i bogatszych studentów. Było to ciężkie życie, choć nie cięższe, niż wiodłam wcześniej w rodzinnym domu.

Byłam jedynaczką. Mój ojciec, surowy i prostolinijny człowiek, zarabiał na życie jako hydraulik i wierzył w swego surowego i prostolinijnego Boga. Uważał, że kobietom najzupełniej wystar-

czy podstawowe wykształcenie. Nie pochwalał mojej pasji kolekcjonowania grotów indiańskich strzał, kamiennych narzędzi i skorup glinianych naczyń. Matka, podobnie jak samice wielu gatunków ptaków, wytworzyła płowe, ochronne barwy, pozwalające jej roztopić się w tle i pozostać niewidoczną tak długo, jak długo zachowywała milczenie. Radziła mi przyjąć tę samą strategię: milczeć i pokornie pochylać głowę, ale ja nigdy nie potrafiłam się na to zdobyć. Zawsze czułam się jak świeżo opierzona kukułka, wylęgła z jaja złożonego w obcym gnieździe, pisklę zbyt wielkie, zbyt głośne, zbyt kłótlive dla swych przybranych rodziców. Kiedy skończyłam szkołę średnią, ojciec zaproponował, abym podjęła pracę ekspedientki w miejscowej drogerii. Spakowałam się i odeszłam.

W college'u ludzie zostawili mnie w spokoju. Mogłam czytać to, co lubiałam, robić, co chciałam. Wiodłam samotniczy żywot, gdyż niewiele mnie łączyło ze współmieszkankami z internatu. Nie interesowały mnie prywatki, chłopcy ani mecze piłki nożnej, o wiele za dużo czasu spędzałam na wykładach i nad książkami.

Robert był stypendystą – poważnym młodzieńcem, który serio traktował studia. Zaczęliśmy od sporu o pewne doświadczenie chemiczne, a skończyliśmy na wspólnym wyjściu na tańce. Rozumieliśmy się. Uważał, że jestem bystra; śmiał się z moich dowcipów. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że dopóki nie spotkałam Roberta, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem samotna. Kiedy tylko udało nam się wykrobać odpowiednią sumę pieniędzy, chodziliśmy na tańce, do kina lub zjadaliśmy do spółki lody czekoladowe w szkolnej kafejce. I po raz pierwszy czułam, że gdzieś przynależę: należałam do Roberta. Dla niego zmieniałam się – złagodziłam swój sposób bycia, rzadziej wdawałam się w ostre spory, większą uwagę przywiązywałam do swojego wyglądu, do tego, w co się ubierałam.

Pewnej nocy, po wypiciu butelki wina, na tylnym siedzeniu pożyczonego chevroleta straciłam dziewictwo. Kilka tygodni później nie dostałam okresu. Pobraliśmy się, co w tym czasie uznaliśmy za najlepsze rozwiązanie, a ja zrezygnowałam z nauki.

Nie przestałam pisać na maszynie, co pozwalało nam się utrzymać, chociaż nosiłam w sobie coraz cięższe dziecko. Po urodzeniu Diane, przez całe medyczne studia Roberta nadal nie rozstawałam się z maszyną, pisałam, zajmując się dzieckiem, piorąc i gotując kotły zupy i makaronu – zupy, ponieważ była tania, a makaronu, ponieważ był pożywny.

Zaczęłam z nostalgią wspominać długie samotne wieczory w akademiku, czytanie do świtu i wstawanie rano na wykłady. W college’u miałam niewiele czasu, ale należał on tylko do mnie. Jako matka, nie miałam go wcale. Czasami udawało mi się coś przeczytać, jednak dopiero wtedy, kiedy Diane zasnęła. Raz poszłam na wykład z archeologii w miejscowym college’u, ale Diane była niespokojna i przeszkadzała, popłakując lub głośno gaworząc. Profesor poprosił, żebym nie przyprowadzała ze sobą dziecka, a na opiekunkę nie mogliśmy sobie pozwolić.

Ja też straciłam spokój i zaczęłam miewać niezwykle barwne sny. Wędrowałam przez egzotyczne dżungle, pełne kolorowych kwiatów, dziwnych ludzi, rozpadających się ruin. Zrobiłam się niecierpliwa, zła na siebie i cały otaczający mnie świat.

Wciąż kłóciliśmy się z Robertem – o Diane, o pieniądze i ich brak, o moje prowadzenie domu i tak dalej. Dość wyraźnie pamiętam jeden z naszych domowych wieczorów. Diane już spała, a ja cerowałam skarpetki Roberta i usiłowałam oglądać w telewizji dokumentalny film o Indianach z brazylijskiej dżungli. Robert był w domu i nie spał, co zdarzało się dość rzadko. Chodził tam i z powrotem po pokoju, pełen nerwowej energii. Na przyjęciu u jednego z jego przyjaciół, na którym byliśmy wcześniej, jakiś arogant rozprawił o ograniczeniach tego, co nazywał „prymitywnym” umysłem. Wydawał się przy tym uważać za prymitywne wszystkie nie białe rasy. Spierałam się z nim przez chwilę, a w końcu nazwałam go głupim bigotem. Wieść o tym wydarzeniu w końcu dotarła do Roberta.

- Czy nie mogłaś zachować się nieco taktowniej? – zapytał.
- Chciałbyś, żebym potakiwała temu idiotcie?
- Wolałbym, żebyś postępowała rozsądniej. Ten idiota jest

ordynatorem na chirurgii i ma spore wpływy w szpitalu – powiedział Robert. – Powinnaś mieć więcej rozumu. Kiedyś miałaś.

Patrzyłam, jak Indianin ścina maczetą drzewo kauczukowe i zbiera sok do wiaderka.

— Co się z tobą dzieje? – spytał. – Dlaczego jesteś ciągle taka drażliwa?

Popatrzyłam na niego.

— Nie chcę tu być – powiedziałam ze smutkiem.

Robert przestał krążyć po pokoju i nagle stał się współczujący.

— Ja też nie. – Usiadł obok mnie na kanapie i objął ramieniem. – Wszystko się zmieni – rzekł. – Nie zawsze będziemy tutaj mieszkać. Kiedy zdobędę odpowiednią pozycję, przeprowadzimy się do lepszej dzielnicy.

Wyobraziłam sobie tę lepszą dzielnicę z charakterystycznymi dla przedmieść rzędami trawników, białych płotów z palików i roześmianych dzieci.

— Nie – powiedziałam.

Łagodnie ścisnął moje ramię.

— Już prawie to zdobyliśmy. Jeszcze rok rezydentury...

Kolejny rok, który przybliży mnie do podmiejskiego domu, którego nie chciałam.

— Nie – powtórzyłam. – Chcę pojechać do dżungli.

— Co?

Wskazałam na ekran telewizora, gdzie Indianki przykucały przy ognisku.

— Tak wyobrażam sobie lepszą dzielnicę – powiedziałam.

Roześmiał się.

— Świetnie.

Mój ojciec śmiał się, kiedy mówiłam o pójściu do college'u.

— Tu nie jest moje miejsce. Nie wiem, gdzie ono jest, ale na pewno nie tutaj.

Potrząsnął głową, wciąż się uśmiechając. Nie dowierzający i rozbawiony takim pomysłem.

— Żeby tak bystra kobieta wymyślała podobne głupstwa. Cóż, u diabła, mogłabyś tam robić? Poza tym po tygodniu obcowania

z insektami i brudem szybko wróciłabyś do domu.

Obserwowałam go beznamiętnie, nagle zadając sobie pytanie, czy on kiedykolwiek słuchał, gdy mówiłam mu o antropologii i archeologii. Widziałam go wyraźnie, lecz zdawał się bardzo odległy, jakby w chwili, gdy się roześmiał, wyrosła między nami szklana ściana. Diane zawołała mnie ze swego pokoju – chciała wody. Nie powiedziawszy ani słowa, wyszłam z pokoju.

Robert nigdy nie zdołał zrozumieć przyczyny mojego niezadowolonia, nawet kiedy uciekłam z domu, nawet po tym, jak podcięłam sobie żyły. Czekał, aż zmienię się z powrotem w kobietę, którą poślubił, nie pojmując, że ta kobieta była złudzeniem, że nigdy nie istniała.

I tak przemierzałam okolicę, próbując spalić energię, która nocami nie pozwalała mi zasnąć, energię, która nigdy nie dawała mi odpocząć. To właśnie w czasie tych spacerów po raz pierwszy zobaczyłam cienie przeszłości. Grupę Indian wyruszających na polowanie. Cztery kobiety niosące wyplatane kosze napełnione jakimiś korzeniami. Pamiętam hiszpańskiego mnicha, który na zmęczonym ośle przeciął mi drogę, zmierzając do siebie tylko wiadomego celu. Oddział kawalerii wzbiał tuman kurzu na brukowanej ulicy i zniknął, wjeżdżając wprost w ścianę budynku, który stanął mu na drodze.

Dokładnie pamiętam dzień, kiedy nie poszłam na spacer. Diane miała pięć lat i była chora na grypę. Zostałam w domu, żeby się nią opiekować i kręciłam się po mieszkaniu. Był sierpień i temperatura utrzymywała się powyżej trzydziestu stopni – fala upałów, której koniec wciąż obiecywali spece od pogody. Po kilku godzinach marudzenia i narzekań Diane wreszcie zasnęła. Robert pracował do późna w szpitalu. Usiadłam na rozchwianym drewnianym krześle przy kuchennym stole. Było gorąco, za gorąco, i przez całe popołudnie popijałam piwo z sąsiadką, niechlujną babą, która nigdy o nikim nie powiedziała dobrego słowa. Piłam z nią tylko dlatego, że nie mogłam znieść samotności. Miałam dwadzieścia sześć lat i samotne popijanie wydawało mi się czymś okropnym. Mimo to o szóstej, gdy sąsiadka w końcu sobie poszła,

wciąż siedziałam przy kuchennym stole i piłam jedno zimne piwo za drugim, gapiąc się w ścianę.

W tym starym mieszkaniu mruczał bojler, cicho zawodziła lodówka, a podłoga trzeszczała bez żadnego powodu. Gdy wsłuchałam się w śpiew lodówki, słyszałam w nim głosy przypominające szmer rozmów na przyjęciu.

Po wyjściu sąsiadki nagle uświadomiłam sobie, że nie jestem sama. Powoli zauważyłam obecność tej kobiety, która usiadła na krześle po przeciwnej stronie stołu, na miejscu opuszczonym przed chwilą przez sąsiadkę. Kobieta obserwowała mnie. Kuchnia była słabo oświetlona – nie zapaliłam górnej lampy i tylko pomarańczowy blask zachodzącego słońca przenikał poprzez smugi brudu na okiennej szybie. Twarz kobiety pozostawała w cieniu; nie mogłam dojrzeć jej rysów.

Przez moment spoglądałam na nią, zastanawiając się, jak też dostała się do mego mieszkania.

— Ma pani ochotę na piwo? – zapytałam.

Pokręciła głową.

— Cóż więc, pani zdaniem, powinnam zrobić? Uciec? Czy zostać tutaj i opiekować się dzieckiem?

Wcześniej wyznałam sąsiadce, że zastanawiam się nad opuszczeniem Roberta. Roześmiała się i odpowiedziała, że po kilku miesiącach samotnego życia wróć do niego jak na skrzydłach.

Kobieta, której twarzy nie widziałam, nie śmiała się.

— Uciekaj.

Powiedziała tak czy był to tylko pomruk grzejnika? Cienie nigdy wcześniej ze mną nie rozmawiały. Żołądek kurczył mi się boleśnie. Było mi niedobrze od nadmiaru piwa, a upał przyprawiał mnie o zawroty głowy.

— Nie mogę opuścić dziecka.

Pragnęłam zobaczyć twarz tej kobiety, lecz nadal kryła się w cieniu.

— Dlaczego się chowasz? – spytałam. – Porozmawiaj ze mną. Co mam robić?

— Uciekaj – usłyszałam ten sam szept.

— Nie mogę odejść. Musi być jeszcze jakieś inne wyjście.

Spojrzała w dół na swoje ręce i podniosła je nad krawędź blatu, pokazując mi, co w nich trzymała. Na otwartych dłoniach, jak ofiara na ołtarzu, leżał nóż – długie obsydianowe ostrze migotało w przyćmionym świetle.

Gdzieś w oddali usłyszałam płacz dziecka. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Rozpoznałam głos Diane. Obudziła się z przydługiej drzemki i wołała mnie. Spojrzałam w stronę cienia, lecz kobiety już nie było.

Siedziałam samotnie na placu, a wielka ćma – może siostra tamtej, która tak usilnie starała się dotrzeć do światła i zginęła – wyfrunęła z ciemności, rzuciła się na przygaszony płomyk lampy karbidowej, odbiła się od szklanego klosza i powróciła w noc. Wstałam, nie mając ochoty pozostać tam ani chwili dłużej. Nie chciałam już wspominać. Ruszyłam w stronę świątyni Siedmiu Lalek, szukając Zuhuy-kak.

Dżungla nigdy nie milkła. Idąc, słyszałam wokół szelest poszycia, ostrożne kroki małych zwierząt. Brzęczały owady, a czasem wydawało mi się, że w górze słyszę popiskiwanie nietoperzy. Znajome dźwięki. Przyzwyczaiałam się już do nocnego obcowania z dżunglą. Minęłam chatę Salvadora i poszłam dalej ścieżką wijącą się wśród ruin.

Coś zaszleściło obok mnie, jak sunąca po trawie suknia. Obejrzałam się; to tylko wiatr.

Nadęty młody lekarz w wariatkowie wyjaśnił mi, że mam problemy z odróżnianiem fikcji od rzeczywistości.

— Nie podoba się to panu, ponieważ nie chcę rozpoznać pańskiej rzeczywistości – powiedziałam do niego. – Nie mam problemów z rozpoznaniem własnej.

Lekarz był niewiele starszy ode mnie, miał dwadzieścia dziewięć, najwyżej trzydzieści lat. Był krótko ostrzyżony, gładko wygolony i wyszorowany do czysta, a jego pokój pachniał mydłem do golenia.

— Nie widzę różnicy. Jest tylko jedna rzeczywistość.

— To pańskie zdanie. – Moje nadgarstki wciąż jeszcze były zabandażowane aż po łokcie. Rany już się prawie zagoiły, lecz wciąż czułam odrętwienie i ból przedramion. W obronnym geście skrzyżowałam ręce na piersiach. – Nie podoba mi się pańska rzeczywistość. Nie podoba mi się również rzeczywistość mojego męża, a on nie pozwala mi jej zmienić.

Młody doktor zmarszczył brwi.

— Musi pani współpracować, Betty – powiedział, patrząc na mnie ze szczerą troską. – Chcę pani pomóc.

— Mam na imię Elizabeth.

— Mąż nazywa panią Betty.

— Mój mąż jest głupcem. On nie zna mojego imienia. Chce mnie zabić.

Młody lekarz zaprotestował, tłumacząc, że mój mąż bardzo się o mnie troszczy i chce mojego dobra. Młody lekarz nie rozumiał, iż istnieją odcienie tej samej rzeczywistości. Metafora jest skasowaną niegdyś rzeczywistością. Powiedziałam, że Robert chce mnie zabić, choć naprawdę chciał tylko, abym była cicha i pokorna, co w moim odczuciu równało się śmierci. Robert nie był złym człowiekiem, ale nie rozumiał, czego mi potrzeba, aby żyć. Chciał, żebym umarła dla świata. Kiedy zobaczyłam, jak otaczają mnie szpitalne mury, to także stało się prawdą. Świat, w którym żyłam, był mały i jeszcze się zmniejszał.

Młody doktor wierzył w jeden jedyny rodzaj rzeczywistości: taki, w którym młodzi lekarze są u władzy, a pacjenci okazują głęboką wdzięczność. Nigdy nie zaakceptowałyby rzeczywistości, w której cienie z przeszłości grasują po ulicach Los Angeles. To przekraczało jego możliwości rozumienia, nie pasowało do jego obrazu. Tak więc ten młody lekarz był młodym głupcem wtedy; a teraz prawdopodobnie stał się starym głupcem.

Przy hiszpańskim kościele zapaliłam papierosa i nasłuchiwałam kroków na ścieżce. Nic. Byłam sama. Przesunęłam palcem po bandażu, który zakrywał świeże skaleczenia cierniami gałęzi. Czułam ból, i to uczucie przywoływało wspomnienia. Podobnie jak obecność mojej córki.

Czasem powraca do mnie, mimowolne i niechciane, wspomnienie mojej próby samobójstwa. Zapach ulubionej wody toaletowej Roberta, wilgotne ciepło pary unoszącej się nad świeżo przygotowaną kąpielą, dotyk chłodnego szkła na skórze wewnętrznej strony nadgarstka – te rzeczy przypominają mi chwilę, gdy zaryglowałam cienkie drzwi naszej łazienki i odkręciłam kurek gorącej wody tak mocno, że zadudniła o dno wanny. Łoskot zagłuszył odgłos tłuczonego szkła, gdy roztrzaskałam w zlewie kubek.

Nie podobał mi się pomysł rozcięcia skóry brzytwą; dotyk zimnego metalu. Ujęłam w dłoń długi, cienki okruch szkła o ostrych brzegach i uśmiechnęłam się; tak było lepiej, tak jak należy.

Bolało, pamiętam, ale był to ból pomieszany z oczekiwaniem. Stałam na skraju czegoś ogromnego i to uczucie przypominało moment przed orgazmem, kiedy ciało płonie żarem, a każdy nerw kipi życiem do tego stopnia, że najmniejszy ruch niesie ze sobą radość i ból. Są to odczucia tak intensywne, że ciało nie może ich ogarnąć. Nazywamy je bólem, ponieważ nie znamy lepszej nazwy. Czułam więcej niż ból, gdy przesuwalam krawędzią szkła po nadgarstku, więcej niż dotyk zimnego szkła, więcej niż cieniutką linię bólu i ciepły strumień krwi na rękę. Widziałam, jak krew wypływa zgodnie z rytmem mego serca i pozwalałam, by spływała do wanny, gdzie mieszała się ze strumieniem płynącej wody.

Byłam już prawie nieprzytomna, gdy Robert wyłamał zamek lichych drzwi łazienki i znalazł mnie przewieszoną przez wannę, z rękami za jej porcelanową krawędzią, nadgarstkami zanurzonymi w gorącej wodzie, która już przelewała się, spływając na podłogę i moje nagie ciało. Chciałam z nim walczyć, lecz całkiem opuściły mnie siły. Przekroczyłam granicę buntu i znalazłam się na wielkiej pustej przestrzeni, dudniącej szumem morza. Byłam gotowa iść dalej, lecz Robert pociągnął mnie z powrotem.

Czasem wspominam to. I staram się zapomnieć.

Rozdział 6

Diane

Tuż po śmierci ojca, w czasie tych dwóch tygodni, kiedy nie mogłam jeść ani spać, moja przyjaciółka, Marcia, zaproponowała mi wizytę u psychologa. Poszłam na spotkanie z psychoanalitykiem Marcii, barczystą kobietą o łagodnych szarych oczach, które nie pasowały do twarzy składającej się z ostrych kątów i równych płaszczyzn. Na drewnianych ścianach jej gabinetu wisały akwarele w czarnych ramkach – rzadkie połączenie delikatności i surowości. Siedziała na bujaku. Ja usiadłam w zwykłym fotelu o zbyt miękkiej wyściółce.

Poprosiła, żebym opowiedziała o sobie. Przez moment zastanawiałam się, czy powiedzieć jej o nocy poprzedzającej pogrzeb ojca. To wspomnienie prześladowało mnie. Przez trzy kolejne noce śniła mi się rozległa dolina rozpościerająca się pod balkonem jego domu. Niezbyt dobrze pamiętałam treść snów, ale za każdym razem budziłam się z przerażeniem, mając wrażenie, że spadam. Na jawie unikałam balkonu, szczególnie wieczorem.

Przez kilka dni porządkowałam rzeczy ojca – decydując, które ubrania należy oddać instytucjom charytatywnym, które dokumenty mogą się przydać jego kolegom ze szpitala. Ciotka Alicia wciąż mnie pytała, kiedy muszę wrócić do pracy. Nie powiedziałam jej, że rzuciłam pracę i wyprowadziłam się z mieszkania. Nocami piłam, oglądałam telewizję i próbowałam zasnąć. Ilekroć jednak zdołałam zapaść w drzemkę, budziłam się dręczona przez

dziwaczne sny, niespokojna i nieszczęśliwa.

Powiedziałam lekarce, że mój ojciec zmarł, że nie mogę jeść i mam kłopoty ze spaniem, że jestem bardzo podenerwowana i roztrzęsiona. Spytała o ojca i moje stosunki z nim, a ja odpowiedziałam, że moje stosunki z ojcem były dobre, bardzo dobre.

Zapytała o matkę i powiedziałam, że matka nie ma z tym nic wspólnego. Powiedziałam, że nie widziałam matki od piętnastu lat.

— Co pani czuje, kiedy pani o niej myśli? – zapytała. Jej głos był jak jej oczy – jasnoszary i łagodny.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem. Chyba smutek. Żal, że odeszła.

Czekała, przyglądając mi się.

— Co pani robi z rękami?

Dłonie miałam zaciśnięte w pięści. Nie odpowiedziałam.

— Czy może pani pozwolić mówić swoim rękoma, pozwolić im opowiedzieć mi, co czują?

Szybko potrząsnęłam głową i nakazałam dłoniom rozluźnić się.

— Trzymają – powiedziałam stłumionym, nieswoim głosem. – Myślę, że moje ręce zatrzymują ją. Nie chciałam, żeby odeszła.

Szare oczy spoglądały na mnie beznamytnie i pomyślałam, że mi nie uwierzyła.

Pierwszego ranka w obozie obudziło mnie wycie klaksonu samochodu. Stojący na szafce zegar wskazywał ósmą. Powietrze już było rozgrzane. Hamaki Barbary i Robin świeciły pustką. Maggie jeszcze spała, zwinięta w kłębek, z prześcieradłem naciągniętym na głowę. Czułam się bardziej wypoczęta niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Postanowiłam zastosować filozofię Tony'ego i przyjmować rzeczy takimi, jakimi są.

Wyśliznęłam się z hamaka i szybko ubrałam. Barbara myła twarz przy beczce z wodą. Powiedziałam „dzień dobry” i zawiesiłam na gałęzi mój ręcznik.

— Wolałabym, żebyś tak nie tryskała radością, zanim wypiję

kawę – burknęła, ale poczekała, aż ja też umyję twarz.

W drodze na placyk minęłyśmy kuchnię – niewielką chatę skleconą z dykty. Przez otwarte drzwi zobaczyłam chudą kobietę w białej sukience, krzątającą się przy niewielkim palenisku i piekącą tortille na płaskiej czarnej patelni.

— To Maria – wyjaśniła Barbara. – Żona Salvadora, brygadisty.

Stojąca obok Marii dziewczynka spoglądała na mnie poważnie wielkimi ciemnymi oczami. W jednej ręce trzymała tortille. Kiedy uśmiechnęłam się do niej, skryła się za matkę. Maria spojrzała przez ramię, żeby zobaczyć, czemu przygląda się dziecko.

Uśmiechnęłam się, ale nie odpowiedziała uśmiechem. Mierzyła mnie poważnym spojrzeniem, chyba nieco podejrzliwie. Po chwili odwróciła się do patelni i tortilli. Mała uśmiechnęła się do mnie, a potem schowała twarz w matczynej spódnicy.

Tony i moja matka już siedzieli przy stole. Na śniadanie dostaliśmy *huevos rancheros* z tortillami, mocną kawą i sokiem pomarańczowym. Matka wyglądała na zmęczoną, lecz pełną nerwowej energii.

Pozdrowiła mnie i wskazała ręką krzesło, zajęta sprawdzaniem listy zakupów.

— Tak, tak, ananasy, kupię świeże owoce. Co jeszcze? Na pewno zapomniałam o czymś ważnym.

Skończyła sprawdzać listę i spojrzała na mnie.

— Po południu jadę na targ – oznajmiła. – Gdybyś miała ochotę pojechać ze mną, mogłybyśmy kupić ci kapelusz.

— Oczywiście – powiedziałam. – Bardzo chętnie.

Tony miał czerwone obwódki wokół oczu. Kiedy się odezwał, jego głos był szorstki jak dotyk wełny na skórze.

— Po śniadaniu idę popływać – powiedział cicho. – Czy chciałbyście się przyłączyć obie z Barbarą? Macie czas.

Zgodziłyśmy się.

Pozostali studenci zaczęli schodzić się na śniadanie, gdy Tony, Barbara i ja dopijaliśmy już kawę. Wróciliśmy z Barbarą do chaty po stroje kąpielowe, a potem podążyłyśmy ścieżką za Tonym.

Przystanąłam na grzbiecie niewielkiego wzniesienia, żeby się rozejrzeć. W oddali, na pustym płaskowyzu, wznosiła się świątynia Siedmiu Lalek.

— Według przewodnika, który czytałam, to jedno z najstarszych siedlisk ludzkich na Jukatanie – powiedziałam. Spojrzałam na otaczającą nas dżunglę i potrząsnęłam głową. – Czyżbym coś przegapiła? Gdzie te wszystkie budowle?

Tony lekko tupnął nogą.

— Pod tobą – powiedział. – Wszędzie wokół. – Machnął ręką w stronę świątyni. – Musisz nauczyć się patrzeć. Czyż te pagórki nie są bardziej regularne, niż zwykle bywają wzgórza? A spójrz na ich rozmieszczenie: tworzą śliczną ścieżkę stąd aż tam. – Nakreślił w powietrzu linię. – Przyjrzyj się tym rozrzuconym wokół skałom. To nie są zwykłe skały.

— Chyba masz rację – stwierdziłam z powątpiewaniem.

— Stoimy dokładnie na szczycie starej świątyni – powiedział.

— Skąd wiesz, że to świątynia?

Barbara włączyła się do rozmowy.

— Wszystko jest świątynią, dopóki ktoś nie udowodni, że to nieprawda – powiedziała lekko drwiącym tonem. – Moglibyśmy nawet nadać jej imię: świątynia Słońca, powiedzmy. Albo świątynia Jaguara – brzmi nieźle. Nazwy i tak nadaje się przypadkowo.

— Uważaj – skarcił ją Tony z krzywym uśmiechem. – Zdradzasz tajemnice zawodowe.

— Zostaną w rodzinie – odpowiedziała Barbara. – Ona wygląda na godną zaufania.

Zaczęła schodzić ze wzgórza, a my za nią. Po drodze przyglądałam się mijanym głazom. Od czasu do czasu widziałam na niektórych ślady dłuta, ale większość wyglądała jak zwyczajne kamienie.

Cenota okazała się stawkiem czystej, błękitnej wody osadzonego w wapiennej skale. Tuż obok ścieżki skała opadała łagodnie ku powierzchni wody. Po przeciwnej stronie sterczała pionową ścianą, która wygładzała się na wysokości kilku stóp nad powierzchnią. Nie widziałam dna stawu. Na jego przeciwległym

końcu unosiły się lilie wodne.

Zostawiliśmy ręczniki w słońcu, na łagodnym zboczu. Obie z Barbarą powoli weszłyśmy do wody. Była zimna, szokująco po upale poranka. Przepłynęłam dwanaście razy; do lilii i z powrotem. Tuż pod kwiatami zauważyłam maleńkie ryby, nie większe niż mój palec. Kiedy do nich podpłynęłam, rozproszyły się, umykając w ciemność. Tony usiadł na stoku, grzejąc się w słońcu jak wiekowy płaz wchłaniający ciepło. Położył się, podparł na łokciach i odchylił głowę do tyłu. Dopiero teraz, kiedy zdjął koszulę, zauważyłam, jaki jest chudy. Jego opalona na ciemny brąz skóra wydawała się na niego za duża, jak ubranie pożyczone od większego mężczyzny.

Wdrapałam się na skałę obok niego. Barbara została w wodzie, z zadowoleniem unosząc się na powierzchni. Rozłożyłam mój ręcznik obok Tony'ego, który skinął głową, dając do zrozumienia, że wie o mojej obecności.

— Jak głęboki jest ten staw? – zapytałam.

Nie otwierając oczu, wzruszył ramionami.

— Głębszy niż myślisz. Według grupy z uniwersytetu w Tulane szczelina schodzi pionowo w dół na głębokość około stu pięćdziesięciu stóp, dalej biegnie po skosie. Odwalili kawał dobrej roboty.

— Czy wy też będziecie nurkować? – zapytałam.

Tony przecząco pokręcił głową.

— Nie ma na to pieniędzy. Uniwersytet nie uważa tego miejsca za wystarczająco interesujące.

Mogłam to zrozumieć. Dotychczas nie widziałam niczego, co zrobiłoby na mnie szczególne wrażenie.

— To miejsce jest ważne – mówił Tony. – Najstarszy ośrodek kultu zamieszkały nieprzerwanie. Jednak aby uzyskać pozwolenie uniwersytetu na przyjazd tutaj w przyszłym roku, musimy dokonać jakiegoś spektakularnego odkrycia.

— Na przykład?

— Jadeitowe maski, złoto, gliniane naczynia z namalowanymi obrazami ważnych obrzędów religijnych. A może seria malo-

wideł ściennych, takich jak te w Bonampak w Chiapas. – Położył się wolno i ostrożnie, jakby bał się połamać. – Coś dużego – idealny byłby grobowiec pełen skarbów. Coś, co stałoby się atrakcją turystyczną i pozwoliłoby odzyskać z nawiązką wydane pieniądze.

— Myślisz, że są na to realne szanse? – zapytałam.

Oczy miał wciąż zamknięte w obronie przed słońcem. Nie otwierając ich, wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. To hazard. Zawsze musimy ryzykować. Sądzę, że Liz to lubi. Ponadto ona nigdy nie przegrywa dużych stawek. Ma szczęście. Akademicy nie przepadają za nią. Ale ma szczęście.

— Mam nadzieję, że nie będę wchodzić wam w drogę – powiedziałam. Mój głos zabrzmiał słabo i potulnie. – Nie chcę jej przeszkadzać.

Na wpół otworzył oczy i mrużąc je, spojrzał na mnie.

— Co spodziewasz się tutaj znaleźć? – zapytał. Jego głos zadudnił cicho, jak fale oceanu huczące na ciepłej plaży albo deszcz na cynowym dachu w zimowy poranek. – Niektórzy przyjeżdżają w poszukiwaniu tajemnej wiedzy, inni po przygodę. Czego ty szukasz?

Wzruszyłam ramionami.

— Naprawdę nie wiem.

— Coś znajdziesz, to pewne. Tylko zazwyczaj nie to, czego oczekujesz.

— A czego ty tu szukasz? – spytałam, zamykając oczy przed słońcem.

— Ciepła i spokoju – odparł. – Kiedyś chciałem czegoś więcej, lecz upływające lata zmieniły to.

— Cóż więc powinnam robić? – zapytałam leniwie, nie otwierając oczu. – Niczego nie oczekiwać i zobaczyć, co będzie?

Milczał przez chwilę.

— To może zadziałać. – Zastanowił się. – Twoja matka nie wie, co z tobą zrobić – tyle mogę ci powiedzieć. Dlatego jest trochę sztywna. Nie wie, jaką ma grać rolę.

Otworzyłam oczy i oplotłam rękami kolana. Słońce już wysuszyło mi skórę, skała pode mną była gorąca.

— Tak samo, jak ja – powiedziałam.

— Świetnie sobie radzisz – rzekł. – Po prostu tak trzymaj.

Nie patrzyłam na niego. Obserwowałam Barbarę, która zanurkowała i wystrzeliła z wody jak korek.

— Myślę, że twoja obecność tutaj dobrze zrobi Liz – powiedział. – Uważam, że ona bardziej potrzebuje kontaktu z ludźmi, niż się do tego przyznaje. – Słyszałam, jak zmienił pozycję, ale wciąż nie patrzyłam na niego. – Ktoś kiedyś powiedział mi, że archeolodzy to antropolodzy, którzy nie lubią żywych ludzi. Wygrzebują umarłych, ponieważ ci nic nie mówią. To nie całkiem prawda. Myślę jednak, że żywi ludzie są zbyt szybcy dla większości z nas. My przywykliśmy działać powoli. Zauważamy zmianę w technologii wytwarzania glinianych naczyń, która zaszła na przestrzeni stulecia, i stwierdzamy, że to szybko. Jesteśmy przyzwyczajeni zastanawiać się nad wszystkim. Musisz dać Liz trochę czasu na oswojenie się z myślą, że ma córkę.

— Dobrze – powiedziałam wolno. – Tak zrobię.

Położyłam się na ręczniku i pozwoliłam, by słońce ogrzało mnie.

Po pewnym czasie Barbara wyszła z wody i położyła się obok nas. Tony odszedł po mniej więcej kwadransie opalania się, mówiąc, że musi coś przeczytać. Barbara podniosła głowę i popatrzyła za nim. Pomachał nam z grzbietu wzgórze i zniknął.

— Stawiam dziesięć do jednego, że zanim wrócimy, będzie już przy trzecim dzinie z tonikiem – powiedziała rzeczowo.

Obrzuciłam ją karcącym spojrzeniem.

— Nie zrozum mnie źle – powiedziała. – Lubię Tony’ego. Wszyscy go lubią. I wszyscy widzimy, że za dużo pije. – Przekręciła się na plecy, opierając brodę na jednej ręce. Jej ciemne włosy przylegały gładko do głowy i ciągle jeszcze lśniły wodą z cenoty. – O ile wiem, nie wpływa to jeszcze na jego pracę. Wciąż jest genialnym nauczycielem, tak przynajmniej słyszałam. Tylko w terenie zdarza mu się pójść na całość.

Przypomniałam sobie jego słowa o spokoju i ciepłe. Barbara spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

— Przepraszam. Chyba nie powinnam o tym mówić. Po jakimś czasie w obozie robi się nudno i jedyną rozrywką jest plotkowanie o innych. Umarli, choćby najbardziej fascynujący, nigdy nie będą tak interesujący jak żywi. – Odwróciła głowę i otwierając jedno oko, mrugnęła do mnie. – Zgadzasz się?

— Chyba masz rację.

— Oczywiście – powiedziała. – A jak myślisz, co mówią o nas Carlos, Maggie i Robin?

— A dlaczego sądzisz, że w ogóle o nas mówią?

— Chyba już to przerobiłyśmy. Rozmawiają o nas, ponieważ żywi ludzie są ciekawszy od umarłych. Nie sądzisz chyba, że archeolodzy przez cały czas rozmawiają o archeologii, co? Nie, rozmawiają o innych archeologach. Jak myślisz, co mówią o nas?

— Dziesięć do jednego, że Maggie uważa, iż zadzieram nosa – powiedziałam, podchwytując jej ton. – Prawdopodobnie to samo myśli o tobie.

— Nie warto się o to zakładać – odrzekła Barbara. – A Robin przytaknie jej, z tego prostego powodu, że przytakuje wszystkiemu, co mówi Maggie. Ma na czole wypisane wielkimi literami „drugie skrzypce”. A Carlos?

— Jeśli ma choć odrobinę oleju w głowie, nie da się w to wciągnąć.

— Aha, pierwszy błąd w ocenie. Carlos nie ma oleju w głowie. Założę się, że będzie próbował nas bronić – a przynajmniej ciebie. Ja i Carlos nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

— Zauważyłam – powiedziałam sucho.

Barbara potrząsnęła głową.

— Już słyszę, jak obracają się te trybiki w twojej głowie – powiedziała. – I nic nie może ich powstrzymać. Nie, nigdy nie spałam z Carlosem. Widziałam jednak, jak zeszłego lata wciągał do łóżka cztery kolejne dziewczyny – czarując każdą jednakowo energicznie i namiętnie, a potem porzucając. – Barbara wzruszyła ramionami. – Pierwszą z nich była moja serdeczna przyjaciółka.

Musiała potem tkwić tam do końca lata i być świadkiem podchodów Carlosa do numeru drugiego, trzeciego i czwartego. Wszystkie były bardzo sympatyczne. Wszystkie się sparzyły. – Znowu wzruszyła ramionami. – Naprawdę nie rozumiem, dlaczego on to robi. Może po prostu lubi kłopoty. Uważaj.

— Dzięki za ostrzeżenie, choć już i tak zorientowałam się w sytuacji.

— Z kolei John jest pracoholikiem. Wątpię, żeby w ogóle uważał istnienie kobiet. – Zamknęła oczy przed jaskrawym blaskiem słońca. – To co, założysz się, że Maggie i Robin zrobią sobie makijaż na jutrzejszy rekonesans?

Leżałyśmy na słońcu i plotkowałyśmy. Barbara była spostrzegawcza i miała ostry język, więc świetnie się bawiłyśmy kosztem naszych bliźnich. Po około godzinie usłyszałyśmy na ścieżce wołania i śmiechy. Po zboczu zbiegła na brzeg cenoty grupa meksykańskich chłopców w wieku od pięciu do piętnastu lat. Obserwowałyśmy ich przez chwilę, ale kiedy starsi zaczęli współzawodniczyć o to, kto dalej rozbryzga wodę, skacząc z przeciwległego urwiska, zwinęłyśmy manatki i ruszyłyśmy z powrotem do obozu. Skała, na której leżałyśmy, znajdowała się dokładnie na granicy zasięgu rozbryzgów, więc odwrót wydawał się najrozsądniejszą decyzją.

— Przez cały rok cenota należy do nich – przypomniała po drodze Barbara. – My tylko ją wypożyczamy.

— Czy oni mieszkają gdzieś w pobliżu?

— Zdaje się, że w tej hacjendzie na górze. Wiesz, na tym ranżu przy autostradzie. Pośrodku pól.

— Kawał drogi – powiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

— Skoro tylko tu mogą sobie popływać, to pewnie odległość nie ma dla nich znaczenia.

W obozie panowała cisza. Tony siedział przed swoją chatą z drinkiem ustawionym na poręczy leżaka. Matka zapewne pracowała nad swoją książką – słyszałam stukanie maszyny do pisania. Barbara oświadczyła, że najlepsze, co można zrobić, to

zdrzemnąć się. Pożyczyłam od niej książkę, usiadłam w cieniu przy jednym ze stolików i zaczęłam czytać.

Wokół mnie grzebały w kurzu kury, z zadowoleniem gdacząc do siebie. Pod ścianą opodal kuchni leżała mała czarna świnka, żywiąc przydługiej sjęsty. Słyszałam śpiewanie córeczki kucharki. Bawiła się tuż za ścianą, grzebiąc w piasku kijem. Nie rozumiałam słów piosenki. Może były to tylko przypadkowe dźwięki, a może śpiewała w języku Majów. Gdy wychyliła się zza narożnika, uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam: *Buenos dias*. Z powrotem schowała się za róg i milczała przez chwilę. Potem znowu usłyszałam skrobanie patyka i piosenkę.

Pierwszy rozdział książki, którą pożyczyłam od Barbary, omawiał ogólną historię imperium Majów, bogato ilustrowaną fotografiami Chichén Itzá i Uxmal. Dzibilchaltún wymieniono jako najstarszą stale zamieszkaną osadę, ale tekst nie zawierał fotografii. Rozumiałam, dlaczego.

Majowie zasiedlili półwysep Jukatan mniej więcej 3000 lat przed naszą erą. Przetrwali kilka inwazji z terenów Meksyku. Czytając, odniosłam wrażenie, iż siła Majów nie polegała na ich walczności, lecz umiejętności wchłonięcia w siebie najeźdźców, przejęcia niektórych ich zwyczajów i zachowania swoich. Większość swych obrzędów zachowali aż do nadejścia Hiszpanów. Hiszpańscy konkwistadorzy pokonali armię Majów, Kościół katolicki podporządkował sobie pokonanych. Według przekazu autora katolicy mnisi byli zdecydowani uratować dusze pogan nawet za cenę życia nawracanych.

Zrobiłam sobie przerwę i wypiliśmy szklanek wody z beczki. Miałam ochotę wrócić do cenoty i znowu popływać, ale zniechęciła mnie perspektywa długiego spaceru w prażącym słońcu. Na placu też było gorąco, nawet w cieniu. Tony wszedł do swojej chaty, żeby się zdrzemnąć lub zrobić sobie następnego drinka.

Drugi rozdział opisywał sposób postrzegania czasu i mówił, iż filozofia czasu stanowiła istotną część sposobu myślenia Majów. Autorowi nie udało się udowodnić tej tezy. Trzy razy przeczytałam pierwszy akapit rozdziału i właśnie zastanawiałam się, czy

nie pójść na spacer w ruiny, gdy w tumanach kurzu nadjechał dżip. Robin i Carlos siedzieli z przodu; Maggie samotnie z tyłu.

— Hej, Robin – usłyszałam słowa Maggie. – Zanieśmy to wszystko do chaty i chodźmy popływać.

Obie kobiety, niosąc w rękach torby z pralni, odeszły razem, nawet nie spojrzawszy na Carlosa. Stłumiwszy uśmiech, wróciłam do lektury, zastanawiając się, jak Barbara skomentowałaby tę fazę zalotów.

Próbowałam się skupić, lecz opis kalendarza Majów był równie suchy jak moje gardło. Zaczęłam drugi akapit, ale wcale nie był lepszy. Sekwencja dwudziestu dni tworzyła miesiąc, a osiemnaście miesięcy rok. Każdy dzień miał swoje imię i Majowie wierzyli, iż danym dniem opiekuje się bóg o tym imieniu. Liczba imion, bogów i cykli wydawała się nieskończona.

— Masz ochotę na piwo? – Podniosłam oczy. Carlos wyciągnął do mnie rękę, w której trzymał otwartą butelkę. Brązowe szkło lśniło kropelkami skondensowanej pary, a z otworu szyjki wydobywała się zimna smużka. Nie czekając na odpowiedź, Carlos postawił piwo na stole. Usiadł naprzeciw mnie i pociągnął duży łyk ze swojej butelki.

Odłożyłam książkę i poszłam za jego przykładem. Butelka ziębiła mi dłoń, a piwo wlewało się zimną strugą w gardło.

— Dzięki – powiedziałam. – To była krótka wycieczka.

Przytaknął i uśmiechnął się. Był opalony i przystojny, o czym dobrze wiedział. Miał na sobie białe szorty i emanował pewnością siebie. Odsunął krzesło daleko od stołu i oparł stopy na sąsiednim.

— Wystarczająco długa, żeby zrobić pranie i pokłócić się.

— Pokłócić? O co?

Przypominał kota: dobrze odżywionego, zadowolonego z siebie kocura o lśniącym futrze.

— Naraziłem się Maggie, mówiąc, że jesteś ładna.

— Barbara wspominała, że lubisz kłopoty – powiedziałam. Spojrzał na mnie, a potem odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

— Chyba tak – powiedział. – Dość często je miewam.

— Jesteś pewien, że sam ich nie szukasz? – zapytałam. Nie przestając się uśmiechać, wzruszył ramionami.

— Możliwe. Jednak to fakt, że jesteś ładna. Mieszkasz w Los Angeles, prawda?

— Zgadza się.

— Spędziłem tam pięć lat. Ja pochodzę z Meksyku, a dokładnie z Mexico City. LA to przyjemne miasto. Czemu, do licha, postanowiłaś spędzić wakacje w tym zapomnianym przez Boga zakątku?

Nie patrzyłam na jego twarz; przyglądałam się skroplonej na ściankach butelki parze. Jedna kropla przecisnęła się przez inne i spłynęła na stół.

— Naprawdę chciałam spędzić trochę czasu z matką.

— Rozumiem. – Otworzył książkę, którą odłożyłam na stół i przeczytał tytuł. – Pomyślałbym, że już to wszystko wiesz, będąc córką Liz.

— Niewiele wiem – powiedziałam. – Pierwszy raz jestem na wykopaliskach.

Na ścianie przy kuchni mała niebieska jaszczurka w żółte prążki wygrzewała się w słońcu. Czarna świnia zmieniła pozycję i westchnęła przez sen. Mała dziewczynka wciąż cicho nuciła swoją piosenkę. Kury grzebały w piasku. Obserwowałam kurczęta i żałowałam, że przyjełam piwo. Nie chciałam rozmawiać o powodach mojego przyjazdu.

— Może opowiesz mi coś ciekawego o starożytnych Majach – poprosiłam.

Widziałam, jak rozważa różne możliwości odpowiedzi.

— Twoje oczy mają najpiękniejszy odcień zieleni, jaki widziałem – powiedział w końcu.

Uniosłam brwi.

— To nie ma nic wspólnego ze starożytnymi Majami.

— Racja – urwał, a kiedy odezwał się znowu, mówił powoli, starannie dobierając każde słowo. – Starożytni Majowie potrafili rzeźbić wyrafinowane ozdoby z jadeitu, używając jedynie kamiennych narzędzi. Jadeit miał dokładnie ten sam kolor, co twoje oczy.

Mimo woli uśmiechnęłam się.

— Trochę lepiej. Spróbuj jeszcze raz i zostaw w spokoju moje oczy.

Wystukał papierosa z paczki i zapalił, mierząc mnie przy tym badawczym spojrzeniem. Potem powiedział:

— Ludzie, którzy usiłowali przetłumaczyć hieroglify Majów, doszli do wniosku, że wiele z ich symboli to kalambury. Na przykład *xoc* znaczy liczyć. Jest to jednak także imię mitycznej ryby żyjącej w niebie. Majowie używali więc rybiej głowy jako symbolu liczenia. Ponieważ jednak trudno wyryć rybią głowę, zastąpili ten znak symbolem wody, jako że jest to środowisko, w którym żyje ryba. Symbolem wody jest paciorek jadeitu, ponieważ ma ten sam zielony kolor i jest równie cenny. Tak więc jadeit oznacza wodę, czyli rybę, czyli liczenie. – Carlos przerwał, zaciągnął się i wypuścił z płuc kłąb dymu. – I jakkolwiek wydawałoby się to skomplikowane, to nic w porównaniu z zawiłym sposobem myślenia kobiety. – Strzepnął popiół i spojrzał na mnie. – Lepiej?

— Nie sądzę – powiedziałam, lecz nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Tak bardzo się starał mnie oczarować. – Nie wiem, dlaczego, ale wydaje mi się, że o Majach dowiem się więcej z książki.

— Możliwe. Jednak ja jestem o wiele zabawniejszy.

Uśmiechnęłaś się.

— Tu mnie masz. – Spoglądałam na jego uśmiechniętą twarz. – Ile już razy wykorzystasteś tę kwestię?

Wzruszył ramionami.

— Nigdy nie używam dwa razy tej samej.

— Czy to o hieroglifach było prawdą?

— Może i nie, ale sam tego nie wymyśliłem. To dzieło profesorów. Kiedy się wreszcie dostanę w ich egzaltowane szeregi, wymyślę własne barbarzyńskie teorie.

Odchylił się w krześle, ramiona skrzyżował za głową, a nogi wciąż trzymał oparte na drugim krześle. Uwierzyłam mu, gdy powiedział, że nigdy nie używa dwa razy tej samej kwestii. Był wędkarzem starannie dobierającym przynętę z myślą o z góry upatrzonej rybie. Chwila milczenia. Jaszczurka nagle uniosła łebek

i pierzchła. Dziewczynka przestała śpiewać. Po chwili wychyliła głowę i zerknęła na nas zza narożnika.

— Jak ma na imię ta mała? – zapytałam Carlosa. – Nie chce ze mną rozmawiać.

— To Teresa. *Qué tal, Teresa?*

Uśmiechnęła się do niego i mruknęła coś po hiszpańsku. On odpowiedział jej, ale jedynymi słowami, jakie wychwyciłam, były: *la señorita*. Teresa potrząsnęła przecząco głową i powiedziała szybko coś, czego nawet nie próbowałam zrozumieć. Odwróciła się i uciekła do chaty służącej za kuchnię. Carlos spojrzał na mnie.

— Zapytałem, dlaczego nie chce z tobą rozmawiać. Powiedziała, że matka jej zabroniła.

— Ciekawe, dlaczego?

— Może uważa, że zaprzyjaźnienie się z rozwiązłą Amerykanką może źle wpłynąć na jej małą córeczkę.

— Co każe jej sądzić, że jesteśmy rozwiązłe?

Wysoko uniósł brwi i uśmiechnął się.

— Wszystkie Amerykanki są rozwiązłe – rzekł. – Spytaj pierwszego lepszego Meksykanina.

— Jakoś nie ufam twojej znajomości amerykańskich kobiet. – Odchyliłam się na krześle i zauważyłam, że matka obserwuje nas, stojąc w drzwiach swojej chaty. Pomachałam do niej, a ona wyszła na plac.

— Za jakieś piętnaście minut jadę do miasta – zapowiedziała. Dokończyłam piwo i wstałam.

— Będę gotowa.

Spojrzała na Carlosa i odwróciła się bez słowa.

— Wiesz – powiedział do mnie, kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu. – Zdaje się, że twoja matka mnie nie lubi.

To była gorąca przejażdżka. Łazik mocno podskakiwał na wybojach, a siedzenia miały cienką wyściółkę. Ryk silnika uniemożliwiał uprzejmą rozmowę. Od czasu do czasu matka przekrzykiwała hałas, pokazując mi jakiś charakterystyczny mijany obiekt: drogę do maleńkiej wioski, przetwórnię włókien agawy lub miej-

scową szkołę.

Targ w Méridzie mieścił się w baraku z blachy falistej: hałaśliwe miejsce, niskie sufity, ostre zapachy i zamieszanie. Przy wejściu siedziała skulona żebraczka, owinięta w szal z frędzlami. Matka rzuciła monetę w jej wyciągniętą dłoń i zanurzyła się w tłumie. Szłam kilka kroków za nią. Jakaś kobieta w białej sukni z kwiecistą lamówką u dołu i przy dekolcie niosła plastikową misę pełną nieznanym mi żółtych owoców. Umieściła ją sobie na głowie, przytrzymała jedną ręką i zdecydowanie przeciskała się przez tłum.

Za mną ktoś krzyknął. Usunęłam się z drogi. Mężczyzna niósł na plecach trzy klatki, jedna na drugiej, zabezpieczone sznurem przewiązanym przez czoło. Przepuściłam go, a potem pośpieszyłam za matką.

Stara wieśniaczka trzymała plastikową miskę papryki i głośno wykrzykiwała cenę. Obok niej przykucnęła młodsza, może córka, i starannie układała błyszczące owoce na prostokącie białej materii. Matka przystanęła przy straganie zasuszonego staruszka, siedzącego wśród jutowych worków fasoli. Wszystkie otwarto, żeby zaprezentować ich zawartość – czerwoną fasolę, czarną fasolę, ryż, suszoną kukurydzę. Matka wskazała palcem czarną fasolę i zamieniła kilka słów z mężczyzną. Ten sypnął na wagę kilka szufelek fasoli, a potem przesypał je do mniejszego worka. Matka obejrzała się, jakby chciała się upewnić, czy jestem przy niej. Gestem nakazała mi iść za sobą i ruszyła dalej w tłum.

— Większość zakupów robi Maria – wyjaśniła. – Lepiej potrafi się targować. Ja tylko dokupuję kilka drobiazgów.

Kolejny postój – tym razem przy kurach. Matka negocjowała cenę, a kurczaki nerwowo obserwowały ją spomiędzy listew drewnianych klatek. Inne wychylały niespokojnie łebki zza straganu, a trzy wielkie wyczerpane upałem indory leżały w piasku. Wybrane przez matkę trzy czarne kury dziobały palce chłopaka, który niósł je do samochodu.

Matka pewnie kroczyła przez tłum. Nawet nie spojrzała na stragan rzeźnika, z którego gapiły się na przechodniów puste

oczy zaszlachtowanego wieprzka. Wydawało się, że wcale jej nie przeszkadza słodki zaduch przejrzałych owoców ani towarzysząca mu woń rozkładu. Spokojnie obesza kobiety, które przykucnęły na środku przejścia, targując się o cenę pomidorów. Ominęła psa liżącego rozdeptany owoc mango. Tu i ówdzie pozdrowiła skinieniem głowy jakiegoś kramarza lub przystanęła, żeby coś kupić – plastikową paczuszkę zmielonego pieprzu koloru krwi, kiść bananów, torbę małych żółtych dyń.

Szłam za nią, niosłam jej paczki, zatrzymywałam się, kiedy ona przystawała. Czułam się tu obco i nie rozumiałam ani słowa z zawieranych wszędzie dokoła pośpiesznych transakcji. Jednak z matką czułam się bezpiecznie. Ona najwyraźniej była na swoim miejscu. Trzymałam się blisko niej.

— Jak sobie radzisz? – zapytała, gdy miałyśmy wejść w kolejny rząd straganów, w przyćmione światło i tropikalny upał. Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Wkrótce zatrzymamy się, żeby się czegoś napić. – Kupiła dwa ananasy, pęczek rzodkiewki i dwie główki przywiedłej sałaty.

Zostawiłyśmy żywność w samochodzie razem ze skrzeczącymi kurczętami i matka kupiła mi colę – za słodką, ale zawsze to jakiś płyn. Usiadłyśmy przy kontuarze, a za naszymi plecami przepływał tłum.

— Gubię się tu – powiedziałam.

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

— To tylko na początku. Przyzwyczaisz się.

— Chciałabym.

Dobrze. Może da mi szansę przyzwyczaić się.

Kiedy wypiliśmy napoje, matka zaprowadziła mnie do innej części targowiska: do straganów pełnych sukien, hamaków, szalów, sandałów, koców i świecidełek dla turystów. Zatrzymała się przy sprzedawcy kapeluszy i zagadnęła go. Coś się zmieniło w jej zachowaniu. Zwolniła, odprężyła się trochę. Zapaliła papierosa i roześmiała się z czegoś, co powiedział mężczyzna. Stałam z boku i wodziłam palcem po rondzie kapelusza, z ulgą witając powiew wiatru od ulicy, który rozwiewał nieco ciężką woń rozkładającej

się żywności. Mężczyzna podał mi wysoki kapelusz o szerokim rondzie.

— Przymierz – powiedziała matka. Mężczyzna przytaknął, uśmiechnął się i powiedział prędko po hiszpańsku coś, co znowu pobudziło moją matkę do śmiechu. Kiedy odpowiedziała, mężczyzna wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście zaprzeczenia.

— Mówi, że wyglądasz bardzo ładnie – powiedziała matka. – I mówi, że jesteś podobna do mnie. – Uśmiechnęła się i oparła o ladę. – Powiedziałam, że pewnie próbuje podbić cenę.

Kiedy się śmiała, wyglądała młodziej: błękitne oczy w siateczce zmarszczek, twarz ocieniona szerokim rondem kapelusza bardzo podobnego do mojego.

— Co o nim myślisz?

Spojrzałam w lusterko podsunięte mi przez sprzedawcę.

— Wspaniały.

Targowanie się trwało teraz dłużej niż przy zakupie żywności. Postępowało wolniej i towarzyszyło temu więcej uśmiechów i żartów. Kiedy wreszcie sfinalizowałyśmy zakup, matka rzuciła na ziemię niedopałek i rozgniótłszy go obcasem na asfalcie, obręcz włożyła mi kapelusz na głowę. Spojrzała na mnie krytycznym wzrokiem i skinęła głową.

— Wygląda nieźle. Włóż go jutro na rekonesans.

I o to szło. Wróciłyśmy z naszymi zakupami, a kury przeraźliwie gdakały za każdym razem, gdy najechałyśmy na jakiś wybój.

Uwagi o *Kamiennym Mieście* Elizabeth Butler

Dlaczego przyjeżdżamy tutaj, żeby grzebać w pyle, mieszkać w szałasach, obywać się bez kąpieli, walczyć z insektami i znosić popołudniowe upały? Niektórzy ludzie uważają, że archeolodzy poszukują skarbów – jadeitowych masek, kruchej biżuterii z muszli, ozdób wykutych ze złota. W rzeczywistości przekopujemy kamienną przeszłość w poszukiwaniu czegoś o wiele bardziej ulotnego.

Szukamy wzorów. Wyszukujemy fragmenty przeszłości i staramy się odtworzyć z nich dawną całość. Kim byli ci, którzy tu mieszkali? Jak żyli? Kto nimi władał i jak ustanawiano tę władzę? Kim byli ich bogowie i w jaki sposób ich czczono? Czy mieszkający tu ludzie handlowali solą i rzeźbionymi muszlami, wymieniając je na naczynia z Tikal, narzędzia z obsydianu z Colha i odlewane figurki z Isla de Jaina? Jakie wieści przynosili kupcy wędrujący wzdłuż *sacbeob* – wapiennych dróg łączących miasta? Czy ci kupcy rozprawiali o wyniesieniu nowych władców, festiwalach ku czci bogów, nieurodzaju kakao czy obfitości piór kwezala tego roku; a może o nowych trendach mody w Uxmal albo pogłoskach o wojnie na północy?

Każdy z nas poszukuje wzorów na swój własny sposób. Anthony Baker, mój współpracownik, to człowiek dobroduszny, uzbrojony w rylec i miotełkę oraz zdumiewającą cierpliwość i zręczne dłonie czepiaka. Za młodu Tony zajmował się demontowaniem

i ponownym składaniem zegarów, silników elektrycznych i gazowych, mechanicznych zabawek. Pewnego upalnego letniego dnia udało mu się to z potwornie skomplikowanym mechanizmem przerzutki trzybiegowego roweru, urządzeniem złożonym z kilku przekładni i mnóstwa kółek.

Obecnie Tony zajmuje się złożonymi konstrukcjami innego rodzaju. Bada naczynia. A dokładniej fragmenty naczyń – skorupy, połamane kawałki mis i dzbanów, waz i naczyń do palenia kadzidła, maleńkich fujarek i naczyń obrzędowych. Przed wiekami naczynia te potłukły się, a ich resztki wyrzucano na śmietniki, wypełniano nimi fundamenty pod nowe budynki, kopnięciem odrzucano w zapomnienie. Tony zbiera je teraz pieczołowicie i studiuje z czułością.

Kiedy Tony znajduje skorupę, byłby gotów wziąć ją do ust, żeby oczyścić własną śliną. Archeolodzy nawykli do smaku ziemi, a Tony twierdzi nawet, że rozpoznaje każdy okruch smakiem i dotykiem. Każda taka skorupa niesie fragment historii. Jakiej gliny użył garncarz? Jakiej substancji użył do jej rozdrobnienia? W jaki sposób formowano, zdobiono, polerowano i wypalano naczynie, z którego pochodzi okruch? Tony zajmuje się tymi właśnie sprawami i czasami wydaje mi się, że mógłby swobodnie dyskutować z artystami z dziewiątego wieku o wyższości farb organicznych nad mineralnymi lub gliny utwardzanej piaskiem nad nie utwardzoną. Za domem w Albuquerque Tony ma pracownię garncarską, gdzie wyrabia i wypala naczynia.

Gusta w tej dziedzinie zmieniały się powoli na przestrzeni wieków, a gliniane naczynia stanowią dość trwałe dowód tych zmian. Obecność pewnych ich rodzajów oznacza upływanie określonych epok. Skorupy naczyń w fundamentach pałacu pozwalają nam obliczyć datę jego budowy.

John, jeden z najlepszych studentów Tony'ego, interesuje się czymś innym. Chociaż nigdy o to nie pytałam, wydaje mi się, że ojciec Johna musi być murarzem, stolarzem lub kimś podobnym. John uwielbia dobrze postawione mury. Godzinami mógłby opowiadać o łukach – omawiając różnice między metodami budow-

lanymi piątego i dziewiątego wieku naszej ery. Myślę, że byłby najszczęśliwszy, gdyby otrzymał fundusze na rekonstrukcję jednej czy dwóch świątyń i mógł osobiście łączyć głązy zaprawą, ustawiając je we właściwych miejscach. Rysuje piękne szkice, rekonstruuje budowle z powywracanych kamieni, które po nich pozostały. Na tych szkicach na nowo wyrównuje ściany, wiązania dachów podnosi do ich dawnego podniebnego położenia, precyzyjnie układa każdy kamień łukowatego sklepienia, nachylając je do wewnątrz dla uzyskania równej linii. Jego rysunki są czarno-białe – cienkie czarne kreski na białym papierze. John wie, że Majowie malowali i kamień, i sztukaterię – nadal można spotkać ślady czerwonej i czarnej farby. Jednakże jego wyobraźnia wzdraga się przed kolorem. Lubi kamień – trwałe, masywny i szary – i nie chce go upiększać.

A co ja lubię? Lubię zadawać trudne pytania o pozostałości mniej namacalne, lecz nie mniej trwałe niż naczynia i mury. Dawni bogowie, mity, legendy, kulty religijne, wierzenia – oto moje pole działania. Co skłaniało garncarza do wybrania takiego, a nie innego kształtu naczynia ofiarnego, kamieniarza do postawienia muru? Kiedy głuchą nocą dziecko budziło się z płaczem, czego się bało i do kogo wznosiło modły o pomoc? Kiedy w połogu umierała kobieta, jakiego boga wzywał *h'men*?

Pytania są trudne, odpowiedzi ulotne. Mam znacznie mniej wskazówek niż Tony czy John: stare teksty napisane trudnymi do odcyfrowania hieroglifami, mało wiarygodne zapiski franciszkanów o pogańskiej religii, którą pragnęli unicestwić, przedmioty ofiarne wrzucane do cenoty lub zapieczętowywane w grobowcach, strzępy informacji przekazywane przez obecnego *h'menoba*. Ponadto pomoc mojej własnej wyobraźni. W moich snach o tamtych odległych czasach budynki są zawsze pomalowane na jaskrawe kolory. Zaludniam je duchami.

Tony wytwarza gliniane naczynia; John stawia mury; a ja buduję zamki na wodzie.

Rozdział 7

Elizabeth

Kim są twoi bogowie? – Staruszka pachniała stęchlizną. Jej strój przypominał konstrukcję świątyni Majów: warstwy odzieży nakładały się na siebie. Przez dziury w podartym, rozpinanym, grubym brązowym swetrze przebierał pomarańczowy golf. Spod zielonej sukni wystawał rąbek spódnicy koloru wina. Ubrana była na klimat znacznie zimniejszy niż wiosna w Berkeley, opatulona tak, że mogłaby znieść nawet arktyczne wichry. Wybrała mnie spośród tłumu szperaczy wypełniających antykwariat, zapewne rozpoznając we mnie pokrewną duszę od-ludka.

— Kim są twoi bogowie? – Jej głos zaskrzypiał parodią pouf-
nego szeptu. Przysunęła się bliżej, a mnie owionął odór nie pranej
odzieży.

Już od roku byłam wykładowcą w Berkeley, gdzie zyskałam
sobie opinię chłodnej, nieugiętej i bezkompromisowej. Kiedy jed-
nak spojrzałam w oczy tej sztajmeski – niewinnej, lśniącej migotli-
wym blaskiem okruchów stłuczonego szkła – cofnęłam się.

— Nie wiem – wybełkotałam i uciekłam za następną półkę
z książkami.

Poszła za mną, jeszcze energiczniej grożąc mi palcem. Poznają
mnie, ci dziwacy o szklistych oczach, które widzą to, czego inni
nie dostrzegają.

— Przykro mi – mamrotał sprzedawca za naszymi plecami.

Mówił do nas i do siebie. Było mu przykro, że to właśnie on musi wyrzucić za drzwi tę kobietę. – Przepraszam, ale zakłóca pani spokój innym klientom. – Patrzył na sztajmeskę, ale ja miałam wrażenie, że jego uwaga obejmowała również mnie. – Muszę panią prosić o opuszczenie sklepu.

— Ona nikomu nie przeszkadza – powiedziałam słabiutkim głosem, którego nie rozpoznałby żaden z moich studentów.

Za późno. Stara kobieta już sunęła do wyjścia, mrużąc coś pod nosem i otulając się swetrami. Sprzedawca obrzucił mnie pełnym powątpiewania spojrzeniem i zrozumiałam, że mnie także uznał za dziwaczkę, kobietę rozmawiającą z ludzkimi szczątkami płynącymi po Telegraph Avenue. Wyszłam wkrótce potem.

John, ulubiony student Tony’ego, zawsze spoglądał na mnie tym powątpiewającym spojrzeniem sprzedawcy z antykwariatu. Nie ufałam Johnowi, a on nie miał zaufania do mnie.

Po śniadaniu siedzieliśmy z Tonym przy kawie. Diane poszła na rekonesans, ustrojona w swój nowy kapelusz z szerokim rondem i grubo wysmarowana kremem ochronnym Barbary. Barbara najwyraźniej zaopiekowała się moją córką: dopilnowała, żeby włożyła odpowiedni strój, nauczyła ją posługiwać się kompasem. Odchodząc, Diane była uśmiechnięta. W dziennym świetle wspomnienia z przeszłości zbladły. Moja córka wyglądała na zadowoloną. Będziemy ze sobą rozmawiać i stopniowo pozbędziemy się dzielącego nas skrępowania. W tej chwili bardziej absorbowała mnie o wiele odleglejsza przeszłość.

Tony polecił Johnowi pilnować robotników usuwających ster-tę gałęzi z pękniętego głazu, który mógł kryć podziemny grobowiec. Chciałam zająć się tym osobiście, ale Tony nalegał, aby zlecić to zadanie studentom.

— Powinnaś pozwolić im na odrobinę rozrywki – powiedział.

John płonął zapałem, nie komplikowanym rozterkami wyobraźni lub czczymi domysłami. Był systematyczny, ostrożny i niesamowicie pedantyczny. Jego raporty terenowe wyróżniały się ogromną ilością informacji, które potrafił zawrzeć na niewiel-

kiej stroniczce zapisanej drobnym, starannym pismem.

Tony podał mi drugą kawę. Nie pozwolił mi wyjść z obozu zaraz po śniadaniu.

— Tylko kręciłabyś się tam, przeszkadzając wszystkim i jeszcze dostałabyś udaru.

Ranek był zbyt upalny na gorące napoje, ale zignorowałam skwar i piłam kawę, słodząc ją nierafinowanym cukrem o kolorze i konsystencji kalifornijskiego piasku. Skondensowane mleko, które zastępowało śmietankę, miało lekko metaliczny posmak.

— Czy ja kiedykolwiek komuś przeszkadzałam? – zapytałam.

Tony uśmiechnął się i wygodnie wyciągnął nogi.

— Oszczędzaj siły – poradził. Nawet jako młody człowiek Tony był powolny. Nie leniwy – w razie potrzeby potrafił ciężko pracować. Jednak zawsze starannie oceniał, co trzeba zrobić, a czego można uniknąć. Zanim zaczął działać, dokładnie rozważał każde posunięcie, nigdy nie marnował energii. Natomiast ja zazwyczaj natychmiast atakowałam problem i próbowałam kolejno różnych metod, aż w końcu znajdowałam właściwe rozwiązanie.

— Ścigasz problemy jak miejski kundel króliki – zauważył kiedyś Tony. On zaś czekał, aż króliki przyjdą do niego.

Daliśmy Johnowi godzinę. Może nieco więcej, gdyż Tony uparł się przy irytująco powolnym spacerze do południowego wykopu. Znaleźliśmy się na miejscu dokładnie w chwili, gdy robotnicy odciągali na bok ostatnią gałąź. John dyrygował pracą, w czapeczce baseballowej odwróconej daszkiem do tyłu i z chustką dokładnie osłaniającą szyję. Twarz miał czerwoną z wysiłku i od opalenizny z poprzedniego dnia. Jego koszulka już pociemniała od potu. Na ramionach zauważyłam czerwone zadrapania od cierni.

Przykucnęłam przy przechylonym głazie. Był sześcianiem o boku około trzech stóp. Jedna z krawędzi wystawała prawie trzy cale nad powierzchnię rynku, cementowa zaprawa wokół niej była popękana. Zagłębienie zapadniętego boku wypełniał piach.

— Być może to chultun – rzekł Tony z uśmiechem. Podziemne magazyny nazywane chultunami zawierały często całe, nie po-

tluczone naczynia, rzadkość w tej okolicy.

— A może grobowiec – odparowałam. – Jakiejś wysoko postawionej osobistości, którą pochowano tuż przy głównej świątyni.

Narzędzia oraz inne rękodzieła znajdowane w grobowcach stanowiły bogate źródło informacji o wierzeniach Majów dotyczących życia pozagrobowego. John zajmuje się rzeczywistością, nie spekuluje.

— Nie pojmuję, jak zdołała pani to zauważyć. Ja nawet bym na to nie spojrzała.

Wzruszyłam ramionami.

— Od czasu do czasu idź na spacer o świcie – poradziłam. – Cienie układają się wtedy inaczej.

Jednak nawet mówiąc to, wątpiałam, aby John kiedykolwiek skorzystał z mojej rady. Jego wyobraźnia była równie ograniczona o świcie, jak o każdej innej porze dnia. Wątpię, żeby zauważył stojącą w cieniu starą kobietę z plemienia Majów. Spojrzałam w miejsce, gdzie wtedy stała Zuhuy-kak, lecz tym razem nie zobaczyłam jej. W dżungli pytająco zaśpiewał ptak, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Zaprawa zachowała się w dość dobrym stanie – orzekł John. – Sądzę, że obluzowanie kamienia może nam zająć cały dzień. Ponadto będę musiał ściągnąć dwóch robotników z zespołu pracującego na domostwach.

Tony zmarszczył brwi. Kopce zawierające resztki domostw były jego ulubionym stanowiskiem, miał nadzieję znaleźć w nich wielkie ilości skorup i zazdrośnie torpedował wszelkie próby zabierania robotników z tego miejsca.

— Sądysz, że to jest coś warte? – zapytał.

— To tylko jeden dzień, Tony.

Potrząsnął głową, ale już nie protestował.

Rzuciliśmy okiem na postępy prac na kopcach położonych w pobliżu rynku, za które również odpowiedzialny był John. Czterech ludzi kopało próbny rów w poprzek kopca. Rzeczywisty szef grupy, starszy mężczyzna o przezwisku Pich, uśmiechnął się do mnie i wyszedł z rowu, kiedy pozdrowiłam ich w języku Ma-

jów. Zsunął z czoła słomkowy kapelusz, otarł dłonie o białe spodnie, ubrudzone już piaskiem, uściśnął mi dłoń i uprzejmie wyraził ubolewanie nad naszym dotychczasowym brakiem szczęścia. Po usunięciu wielu taczek ziemi znaleziono jedynie trochę stłuczki – skorup bez oznakowań – oraz kilka narzędzi używanych do mielenia kukurydzy. Poklepałam Picha po ramieniu i wraz z kilkoma słowami otuchy zaproponowałam krótką przerwę na papierosa, częstując wszystkich.

Po drugiej stronie polany cień dawno zmarłej kobiety męł kukurydzę, rozcierając ziarna między dwoma kamieniami i pochylając się przy każdym ruchu. Obok mały, nagi chłopiec bawił się z niedużym psem. Podejrzywałam, iż na tym stanowisku nie znajdziemy nic, prócz kilku naczyń codziennego użytku i żaren, obojętnie, ile ziemi stąd wywieziemy. W tym miejscu widywałam jedynie cienie wieśniaków krzątających się wokół swych codziennych spraw. Nie mogłam jednak powiedzieć tego Tony’emu.

Pozostawiliśmy Johna, Picha oraz robotników i poszliśmy krętą ścieżką na drugą stronę kopca, gdzie Salvador nadzorował inną brygadę. Słońce stało wysoko; cienie kładły się ostrymi krawędziami na nagiej ziemi. Wspinaliśmy się na kopiec ścieżką wydeptaną przez robotników, którzy przez dwa ostatnie tygodnie zdejmowali warstwę ziemi ze szczytu wzniesienia. Nadal nie wyglądało to obiecująco; kupa gruzu o świeżo spłaszczonym wierzchołku, rumowisko płaskich głazów. Wcześniejsze prace odsłoniły jedną ścianę świątyni na szczycie wzgórza. Teraz służyła nam za kierunkowskaz dla odtworzenia rozmieszczenia całego budynku.

Budowle Majów konstruowano przy użyciu niesamowitej ilości kamieni i wapiennej zaprawy. Używali łukowych podpórek i budowali otwór, wysuwając każdy kolejny głaz nieco dalej niż ten, na którym był wsparty. Czasem jako podpórek używali sączyńca, tutejszego gatunku twardego drzewa. Gdy drewniane belki zapadały się, dachy wpadały do środka, pomieszczenia wypełniał skalny gruz i budynek zamieniał się w kopiec.

— Dobrze, że ufam twojej ocenie sytuacji, Liz – powiedział

Tony za moimi plecami. Przystanął na ścieżce i odpoczywał w skąnym cieniu drzewa. W drodze pod górę pozostawał kilka kroków z tyłu. – Gdyby ktoś inny nalegał na prowadzenie wykopów kosztem zaniedbania kopców, zapewne kłóciłbym się.

— To dobrze – powiedziałam. Czekałam, aż ruszy się z cienia.

— Chodźmy, Liz – rzekł, znów nasuwając na oczy chroniący przed słońcem słomkowy kapelusz. – Powiedz mi więc, dlaczego uważasz, że powinniśmy zabrać stąd dwóch robotników do poluzowania tamtego głazu?

— Wygląda obiecująco.

— Jakiś mocniejszy argument?

— Przeczucie – powiedziałam. – Po prostu nie sędzę, żebyśmy znaleźli jeszcze coś interesującego w domostwach.

— Cholera! – zaklął. – Wolałbym, żeby twoje przeczucia nie sprawdzały się tak często. Dobrze. Poddaję się.

Najpierw poczułam zapach cygara Salvadora, a potem zobaczyłam jego samego. Cekał na nas u szczytu ścieżki.

— Jak idzie? – zawołałam do niego po hiszpańsku.

Przykucnął, żeby zgasić cygaro na ziemi, a niedopałek schował do kieszeni szerokich białych spodni.

— Coś znaleźliśmy – powiedział po hiszpańsku i gestem kazał nam iść za sobą na drugą stronę wierzchołka kopca.

Otwór próbny był kwadratem o boku dwóch metrów, wykopany w rumowisku po przeciwległej stronie kopca. Od czasu, gdy odwiedziłam to miejsce po raz ostatni, robotnicy pogłębili go do około metra. Tony przykucnął na krawędzi dołu i zaczął się wachlować kapeluszem.

Stałam obok i zajrzałam do otworu. Ludzie na dole pozdrowili mnie uśmiechem. Dno wykopu stanowiły duże głazy, które mogły pochodzić z dachu. Na jednym zauważyłam ślady zniszczonych zdobień. Pozostałe nosiły wyraźne ślady obróbki.

— Tam – powiedział Salvador, wskazując narożnik, nieco wyższy od reszty kamieni. Jeden z robotników, w którym rozpoznałam siostrzeńca Salvadora, odsunął się. Między dwoma kamiennymi płytami, wciśnięta w dno dołu, leżała ogromna ka-

mienna głowa.

Poprosiłam robotników, żeby zrobili sobie przerwę i wyszli na górę, a sama ostrożnie zsunęłam się na ich miejsce. Po skwarze na szczycie kopca, na dnie dołu owionął mnie przyjemny chłód. Za pomocą twardej szczotki oczyściłam z piasku twarz rzeźby. Jej rozmiary trzykrotnie przewyższały naturalne. Nie wykonano jej z litego kamienia; wyrzeźbiono ją w trwałym stiuku, materiale wytwarzanym przez Majów na bazie tutejszego wapienia. Rozpoznałam spiralny tatuaż na jednym policzku. Zuhuy-kak, prześladowający mnie duch, musiała w owych czasach być kobietą o wysokiej pozycji. Grube warkocze zdobiły rzeźbione muszelki. Poniżej grzywki jej czoło było spłaszczone w charakterystyczny sposób. Koniuszek nosa rzeźby dawno już odpadł. Przez czoło, lewe oko i lewy policzek biegła rysa.

Przesunęłam palec wzdłuż tej szczeliny, lecz nie umiałam stwierdzić, czy pęknięcie pojawiło się tylko na powierzchni, czy też sięgało w głąb rzeźby. Mogłam jedynie orzec, że co najmniej tysiąc lat upłynęło od czasu, gdy te szeroko otwarte oczy oglądały słońce.

— Wygląda to na część dachu lub ozdobnej fasady – powiedziałam do Tony’ego, próbując opanować podniecenie. – Jeżeli tak, to powinny być również inne. Jak myślisz, dziewiąty wiek czy ósmy?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie, a ja bezwiednie odpowiedziałam uśmiechem.

— To bez znaczenia, prawda? – powiedział.

— Za późno, żeby dziś zrobić coś więcej. Wydobywanie jej może zająć nam kilka dni. Jutro zaczniemy od usunięcia tego – powiedziałam, stukając w mniejszą z dwóch płyt blokujących głowę. – Może uda nam się wydobyć ją w stanie nienaruszonym.

Chwyciłam rękę Tony’ego, który pomógł mi się wydostać na górę. Salvador stał obok.

— Świetne znalezisko – powiedziałam, a on z uśmiechem wzruszył ramionami. – Popracujemy nad nią jutro.

Zostawiliśmy głowę w miejscu, gdzie leżała, spoglądającą

w niebo z rumowiska starożytnego dachu.

Rozdział 8

Diane

Ruiny nigdy nie przemówią, jeśli nie ożywi ich twój umysł, nadając im magnetyczną moc i władzę. Dlatego też nie powinniśmy się oszukiwać myślą, iż to duchy – złe duchy – straszą nas i zabijają. To ty przerażasz sam siebie, nie zły duch.

Eduardo el Curandero
Słowa peruwiańskiego uzdrowiciela

Nawet o szóstej rano powietrze było rozgrzane. Na skałach wygrzewały się jaszczurki, które odbiegały na nasz widok kilka kroków, a potem przystawały i przyglądały się nam uważnie. Barbara prowadziła, a ja szłam obok, mając na głowie kapelusz, który dostałam od matki. Carlos, Maggie i Robin szli za nami.

— Depczemy historię – powiedziała do mnie Barbara, tupiąc mocniej butem o podłoże. – To wapienna droga zbudowana przez Majów. Poprowadzili ich mnóstwo wszędzie dokoła. Bóg jeden wie, dlaczego. W celach handlowych, obrzędowych, religijnych... – Wzruszyła ramionami. Jej sposób zachowania i mówienia przypominał mi kogoś, choć nie pamiętałam, kogo. Potem przypo-

mniałam sobie spacer z matką do świątyni Siedmiu Lalek. Barbara mówiła podobnie jak ona: krótko i rzeczowo. – Nazywali drogi *sacheob*. Tę wykorzystujemy jako linię orientacyjną podczas rekonesansu.

Po obu stronach drogi rosła dżungla. Nawierzchnię porastały trawy i krzewy, ale w porównaniu z otaczającym nas gąszczem droga była pusta.

Podobnie jak moja matka, Barbara nie czekała, aż ją zapytam. Zakładała, że jestem zainteresowana.

— Rekonesans z powietrza w tym terenie jest bezużyteczny. Daje wspaniałe widoki drzew i nic ponadto. Jedynym sposobem sporządzenia mapy terenu jest przejście go pieszo i osobiste spotkanie z każdym drzewem, skałą, żądłem każdego owada i każdym cierniem. Ta droga biegnie na wschód. Będziemy znakować teren od tego miejsca aż dotąd. To oznacza, że musimy przejść każdy metr kwadratowy tego terenu i zaznaczyć każdą ruinę, kopicz czy posąg. Może później sprawdzimy te z nich, które wyglądają najbardziej obiecująco.

— A co potem?

— Potem na podstawie tego, co znajdziemy, napiszę pracę doktorską, obronię się i będziesz mnie mogła nazywać doktor Barbarą.

Przystanąła przy drzewie oznakowanym gwiazdką i poczekała na pozostałych. Następnie skręciła w gąszcz i poszła czymś w rodzaju jeleniej ścieżki do następnego drzewa z gwiazdką na korze. W ustach Barbary idea rekonesansu wydawała się dość prosta. Członkowie grupy szli szeregiem, zachowując między sobą odległość dwudziestu kroków. Carlos zamykał linię z jednej strony, a Barbara z drugiej. Na mijanych drzewach Carlos wycinał gwiazdki; Barbara szła wzdłuż linii gwiazdek zaznaczonych podczas poprzedniego etapu przeglądu. Mieliśmy iść prosto na wschód, zgodnie ze wskazaniem kompasu. Barbara nauczyła mnie, jak się nim posługiwać, i ustawiła mnie pośrodku szeregu.

Była to gorąca, lepka i nudna praca – brnęliśmy przez gąszcz, pochylaliśmy głowy pod gałęziami, wspinaliśmy się na skały,

wołaliśmy głośno, gdy znajdowaliśmy coś interesującego i czekaliśmy, aż Barbara starannie odnotuje lokalizację tego miejsca na swojej mapie. Pierwsze trzy kopce, które znaleźliśmy, były już odnotowane kilka lat wcześniej przez grupę z uniwersytetu w Tulane. Mimo to Barbara dokładnie sprawdziła ich położenie, nanosząc drobne poprawki.

Muchy latały i irytująco bzyczały tuż przed moim nosem. Mózg przedzierałam się przez skwar, nasłuchując brzęczenia owadów, szelestów drobnych zwierząt i ptaków, odgłosów kroków, a czasami hałasu, z jakim ktoś zawadzał o nisko zwieszoną gałąź, i przekleństw, które temu towarzyszyły. W regularnych odstępach po dżungli niósł się trzask uderzeń, jakie Carlos zadawał maczetą niewinnym drzewom. Zanim nauczyłam się dostrzegać ciernie, kilkakrotnie boleśnie się pokłułam. Sporo wysiłku kosztowało wypatrywanie linii głazów, które według Barbary oznaczały położenie dawnych murów, oraz porośniętych, niskich kopców, które niegdyś były chatami bądź świątyniami.

Im robiło się goręcej, tym krótsze stawały się rozmowy. Nawet gdy czekaliśmy, aż Barbara dokończy nanoszenie poprawek, nie opuszczaliśmy miejsc w szeregu, ponieważ oznaczałoby to konieczność ponownego ustawiania się. Wczesny poranek był gorący; późny jeszcze gorętszy. Około jedenastej, przy największym ze znalezionych przez nas kopców. Barbara ogłosiła przerwę na lunch.

Usiedliśmy w skąym cieniu drzewa puchowego, niewiele mówiąc, popijając wodę i jedząc tortille z serem przygotowane przez Marię. Myślę, że Maggie wciąż była wściekła na Carlosa. Obie z Robin siedziały nieco na uboczu, dzieliły się jedzeniem i śmiały ze swoich własnych żartów. Carlos próbował nawiązać rozmowę ze mną i Barbarą, ale Barbara ignorowała go zupełnie, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby dać się wciągnąć w rozmowę na jakikolwiek temat.

Oparłam się plecami o masywny pień drzewa i zmęczona upałem pozwoliłam ciężkiemu powiekom opaść na oczy. Takie spokojne miejsce, pomyślałam. Ciągle jeszcze odczuwałam skutki nie

przespanych nocy w domu, w Los Angeles, a tak dobrze czułam się pierwszy raz od tygodni.

Kora drzewa za moimi plecami wydzielala mocną, słodką woń, jak zapach kadzidla rozwiewany przez wiatr. W oddali rozległ się niski gardłowy krzyk ptaka, przypominający gwizd ponad otworem butelki. Ptasię wołanie ucichło, a potem powróciło, równie głucho, lecz na wyższej nucie. Brzęczenie owadów stawało się coraz głośniejsze i ostrzejsze, jakby w odpowiedzi na krzyk ptaka. Ciepła bryza owiewała moją twarz, a słodki zapach był coraz silniejszy.

Śniło mi się, że słyszę głosy, nieznane głosy. W gęstej ciemności za zamkniętymi powiekami wsłuchiwałam się w nie, lecz nie rozumiałam języka, którym mówiły.

Otworzyłam oczy, ale nadal śniłam. Naprzeciw mnie błyszczala w popołudniowym słońcu świątynia zbudowana z rzeźbionych wapiennych głazów. Zmrużyłam oczy przed odbijającymi się promieniami słońca.

Głosy nie milkły, mówiąc coś cicho w nieznanym mi języku. Zobaczyłam dwóch mężczyzn stojących w jaskrawym blasku słońca i przyglądających się rzeźbionemu skalnemu blokowi leżącemu u ich stóp. Na biodrach mieli białe przepaski, a ich nagie piersi zdobiły skomplikowane tatuaże, których wijące się wzory przypominały fale wzburzonego morza. Obok stała kadzielnica w kształcie przyczajonego do skoku kota. Z ust posążka wydobywał się dym – białe smugi wiły się wokół ostrych zębów i rozwiewały na wietrze.

Wiedziałam, z niewytłumaczalną pewnością śniącego, że ci ludzie są dla mnie zagrożeniem. Nie podobali mi się. W ich twarzach było coś okrutnego. Nie uśmiechali się, a ich głosy brzmiały szorstko, chrapliwie. Siedziałam zupełnie nieruchomo, nie odważyłam się nawet wyciągnąć dłoni, żeby otrzeć pot z czoła. Jeśli się nie poruszę, może mnie nie zauważą, może mi się uda. Wpadłam w panikę, tak jak wtedy, na balkonie domu mojego ojca.

Strużka potu spłynęła mi z czoła i skapnęła do oczu. Zamrugalam i mężczyźni zniknęli. Znikła też świątynia. Siedziałam pod

drzewem sama i wpatrywałam się w promienie słońca sączące się przez rzadkie listowie. W miejscu, gdzie stali mężczyźni, rosło teraz powykręcane drzewo. U jego podstawy leżał powalony pień porośnięty krzakami i pnączami.

Zdezorientowana, wstałam i podeszłam tam. Było gorąco i duszno, jak na niskim poddaszu. Muchy brzęczały i migotały. Pot spływał mi strumykami po plecach, a koszula przywierała do mokrej skóry. Przyczajona gałąź, uzbrojona w kolce i gotowa ranić, chwyciła mnie za koszulę, gdy przykucnęłam przy owalnym wzgórk u stóp drzewa.

Nie był to powalony pień. Kolczaste pnącza porosły wielki wapienny blok, całkowicie go pokrywając. Ostrożnie odsunęłam jedno z nich i dostrzegłam fragment rzeźbionej powierzchni. Obejrzałam się i opodal zobaczyłam Barbarę, która przetrząsała krzaki na zboczu pagórka.

— Coś tutaj znalazłam! – zawołałam do niej.

Powoli i ostrożnie ruszyła w moją stronę poprzez gąszcz. Ukłękła obok kamiennego bloku i wyjętym zza paska dłutem odsłoniła większy fragment powierzchni. Oстрыm końcem dłuta odcięła jedno pnącze i odsunęła drugie, nie zważając na ciernie i czarne owady, które pierzchły, przerażone nagłym światłem. Zobaczyłam zwietrzałą powierzchnię rzeźbionej kamiennej płyty, na pół zagrzebanej w ziemi i okruchach skały.

— To stela – powiedziała. Musiałam mieć bardzo niepewną minę, bo dodała: – Posąg. Wznoszono je dla upamiętnienia ważnych dat: uroczystości religijnych, wydarzeń o znaczeniu historycznym, fenomenów astronomicznych. Zwykle ryto na nich hieroglify. W niektórych miejscach, jak na przykład w Chichén Itzá lub Copán, są ich dziesiątki. W tej okolicy znaleziono zaledwie kilka.

Padające przez wieki deszcze wygładziły kamień. Z trudem dostrzegłam zarys twarzy otoczonej ciemnymi kawałkami zbutwiałych liści. Tu i ówdzie zauważyłam ślady innych rysunków.

— Zawołamy resztę i spróbujemy ją podnieść – powiedziała Barbara. – Może druga strona zachowała się lepiej. – Uśmiechnęła

się szeroko. – Dobra robota. Miałam nadzieję, że znajdziemy coś, co pozwoli określić wiek tych siedlisk, a dzięki temu ustalić, czy były zamieszkiwane w tym samym czasie co centralny region. W ten sposób moglibyśmy ocenić wielkość populacji, która korzystała z tego ośrodka kultu. – Wstała i rozejrzała się wokół, jakby w nadziei na kolejne znaleziska. – Masz takie samo szczęście w tej zabawie, jak Liz.

Przeszukałyśmy resztę terenu, nie znajdując już nic więcej. Maggie odkryła tylko drzewo pełne gryzących mrówek. Natomiast ja napotkałam najeżony cierniami krzew, co pozwoliło mi zapomnieć o mężczyznach z mojego snu. Nic więcej się nie wydarzyło. W powrotnej drodze oznakowaliśmy trasę, po której weszliśmy w głąb dżungli.

Rozdział 9

Elizabeth

Wieczorem, przy kolacji, Maggie siedziała obok Johna i prowadziła ożywioną konwersację przy kurczaku i duszonych pomidorach. Pomyślałam, że pokłóciła się z Carlosem i zastanawiałam się, ile minie czasu, zanim się pogodzą. Diane i Barbara rozmawiały cicho o książce, którą Diane aktualnie czytała.

— Dzisiaj przeczytałam rozdział o kalendarzu Majów – powiedziała do mnie Diane. – Wydaje się nieco skomplikowany: dwadzieścia dni w miesiącu, osiemnaście miesięcy w roku, dwadzieścia lat w... – urwała. – Zapomniałam.

— W katunie – dokończyłam. – Dalej jest jeszcze gorzej. Z tego, co mówisz, wnoszę, że chodzi o tak zwany „długi cykl”. Jest jeszcze haab, cykl trzystu sześćdziesięciu dni podzielony na osiemnaście miesięcy, z pięciodniową końcówką, nazywaną pechową. Ponadto mamy tzolkin, czyli cykl dwustu sześćdziesięciu dni podzielony na trzynaście miesięcy. Istnieje również cykl katunów, który powtarza się co dwieście pięćdziesiąt sześć lat. Nie powinienś się jednak przejmować cyframi ani nazwami. Musisz tylko zrozumieć ukrytą za nimi ideę. Cykle czasu, według których żyli Majowie, pozwalały im przewidywać przyszłość na podstawie przeszłości. Cokolwiek się zdarza w określonym momencie, powtórzy się, gdy ten sam moment czasu powróci w następnym cyklu. Jeśli ostatni ósmy katun charakteryzował się wrzeniem i nie-

pokojem jakiegokolwiek rodzaju, podobny będzie katun ósmy następnego cyklu. Ich kapłan, *h'men*, potrafił określić, którzy bogowie mają wpływ na każdy dzień – a ponieważ znał zwyczaje bogów, potrafił przewidzieć, co się w tym dniu mogło wydarzyć. Umiał poradzić, czy określony dzień będzie dla ciebie szczęśliwy czy też nie, dobry do sadzenia kukurydzy, polowania lub palenia kadzidła. Majowie we wszystkim szukali wzorów.

Diane skinęła głową i uśmiechnęła się trochę zagadkowo. Tworzyłyśmy wysepkę milczenia: Tony rozmawiał z Robin, Carlos z nieodgadnionym wyrazem twarzy obserwował flirtującą Maggie, a Barbara słuchała, nie komentując.

— To ma sens – powiedziała Diane. – Wierzyli, iż musisz znać i rozumieć swoją przeszłość, żeby zrozumieć przyszłość.

— Tak – odrzekłam wolno. – Tak sędzę.

Znowu skinęła głową i nie powiedziała już nic więcej na ten temat.

Zostałam na placyku, żeby wypić poobiednią kawę. Barbara omawiała z Tonym plany następnych rekonesansów. Tony spokojnie kiwał głową i pykał fajkę. Diane przeniosła się na skraj placu.

Usiadła na składanym krzeselku w gasnących promieniach zachodzącego słońca. Czytała oprawioną w twardą okładkę książkę – zapewne jedno z należących do Barbary dzieł na temat Majów. Przyłapałam się na tym, że obserwuję córkę. Przed obiadem pewnie pływała w cenocie, a potem rozpuściła włosy, żeby wyschły. Spływały jej falami na ramiona. Trzymające książkę dłonie były miękkie i smukłe, o idealnie zaokrąglonych paznokciach. Pochyliła się do przodu, a rozpięty kołnierz luźnej koszuli ukazywał silne mięśnie karku. Podniosła rękę i odgarnęła grzywę włosów, a ja patrzyłam, jak grają przy tym mięśnie jej ramienia.

Spojrzała w moją stronę i przyłapała mnie na tym, że przyglądam się jej. Szeroko otworzyła oczy i na jej twarzy pojawiło się z wątpienie, ale uśmiechnęła się. Myślę, że był to obronny uśmiech, użyty rozmyślnie, jak u szczeniaka ukazującego cienki kark silniejszemu psu. Ten uśmiech był pokojową ofertą, złożoną,

nim jeszcze rozpoczął się konflikt.

Przy drugim stole rozpoczęto rytualną partyjkę kart. Grali: Maggie, Robin i John. Carlos nie przyłączył się do nich. Nadal siedział przy stole obiadowym i z zamyśloną miną palił papierosa. Byłam pewna, że to starannie wystudiowana poza. Niedbale trzymając papierosa w jednej ręce, odchylił się na krześle i zadarł głowę do góry, spoglądając w niebo. Białą koszulę miał efektownie rozpiętą pod szyją.

Słyszałam trzask kart o stół, cichy gwar rozmów i zobaczyłam, jak Carlos wstaje i powoli idzie przez plac w kierunku Diane. Zatrzymał się przy niej i położył rękę na jej ramieniu. Nie słyszałam, co powiedział. Diane lekko przechyliła głowę na bok i odchyliła się w tył na krześle. Nie spodobał mi się uśmiech, jakim Carlos obdarzył moją córkę. Nigdy zbyt nie lubiłam tego chłopaka.

— Tony – rzuciłam cicho poprzez stół. Spojrzał w moją stronę.
– Co powiesz na niewielkie zmiany w harmonogramie zadań? Moglibyśmy na kilka dni przydzielić Carlosa do grupy Johna. Przyda się tam. Kopce domostwa znajdują się dość daleko od innych wykopów, a mając Diane, Barbara powinna sobie poradzić.

Barbara obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

— Nie będę za nim tęsknić.

Tony podążył wzrokiem za moim spojrzeniem w stronę Diane i Carlosa.

— Chcesz pozostawić Diane w grupie prowadzącej rekonesans?

Przytaknęłam.

Zagrzechotał kostkami lodu w swoim drinku i pokiwał głową.

— Dziwię się, że sam nie dostrzegłem dotąd takiej potrzeby.

Carlos roześmiał się i znów dotknął ramienia Diane. Tony wstał.

— Wspomnę o tym Carlosowi – rzekł i zabierając ze sobą szklaneczkę, ruszył w stronę pary młodych. Patrzyłam, jak wyciągnął zza stołu krzesło i rozsiadł się, jakby zamierzał pozostać z nimi dłużej. Tony na pewno dobrze to załatwi. Umiał postępować z ludźmi. Obserwowałam przez chwilę, jak Tony przemawiał

do Carlosa. Ten zmarszczył brwi, ale przytaknął. Nie widziałam twarzy Diane.

Tego wieczoru pracowałam nad notatkami do mojej następnej książki. W mojej chacie panował męczący skwar, chociaż otworzyłam drzwi na oścież, wpuszczając powiew wieczornej bryzy. Pracowałam przy świetle małej lampy z woskowym wkładem, zbyt słabej, żeby zachęciła ćmy. Kiedy pisałam na mojej podróźnej maszynie, malutkiej Olivetti, która wiernie służyła mi przez ostatnie pięć lat, drewniany stół chwiał się, a płomień świecy pełgał. Właśnie skończyłam opisywać Zuhuy-kak, gdy zauważyłam, że tuż za kręgiem światła stoi w cieniu jakaś postać. Odwróciłam się na krześle twarzą do niej. W ciemności dostrzegłam białe muszelki na pasku jej sukni i we włosach. Odpaliłam nowego papierosa od niedopałka poprzedniego i cichym głosem pozdrowiłam ją w języku Majów. Nie odpowiedziała. Nie opuściła cienia poza kręgiem światła lampy. Czułam zapach kadzidła, ciepły, żywiczny zapach palonej smoły.

— Śniłaś mi się – powiedziałam. – Śniłam o dniu, w którym wrzucono cię do cenoty w Chichén Itzá.

— Nie wiedziałam, że cienie potrafią śnić – odpowiedziała. Zrobiła krok w moją stronę i stanęła na granicy kręgu światła lampy. Chociaż patrzyła na mnie, nie sędzę, aby widziała mnie wyraźnie. Podniosła dłoń i osłoniła nią oczy.

— Ja śnię – powiedziałam.

Potrząsnęła głową, jakby chciała ją oczyścić.

— Miałam wrogów – powiedziała cicho, jakby do siebie. – Kiedy nadeszli *ah-nunob*, miałam wielu wrogów. Za dużo wiedziałam, rozumiesz. Byłam zbyt silna. *H'menob* nowej religii nie pochwałał, gdy kobieta wiedziała za dużo. – Palcami dłoni głaskała wiszącą u pasa muszlę, jak gdyby szukając w tym ruchu ukojenia.

To osadzało ją w konkretnym czasie. Rozpoznałam słowo *ah-nunob* spotkane wcześniej w *Księgach Chilam Balam*. Znaczyło: „Ci, którzy nie mówią poprawnie naszym językiem” i odnosiło się do Tolteków z północnego Meksyku, którzy najechali Jukatan

około dziesiątego wieku naszej ery. Na podstawie posiadanego materiału archeologicznego stwierdziliśmy, iż najeźdźcy obalili arystokrację Majów i zmodyfikowali ich religię, dodając do panteonu Majów bóstwa takie jak Kukulcan, pierzasty wąż oraz inne. Najeźdźcy obrali Chichén Itzá za swoją główną twierdzę.

— Służyłam Ix Chebel Yax, boginie morza i księżycy, opiekunce ciężarnych i szaleńców, tej, która przędzie tęcze i sprowadza powodzie. – Dłoń Zuhuy-kak wciąż gładziła delikatnie wnętrze wielkiej muszli. – Gdy przyszli *ah-nunob*, zajęli moją świątynię. Zburzyli fasady czczące boginię i zastąpili je węzami, które skręcały się i wiły nad łukami sklepień. – Dłoń zacisnęła się na muszli, jakby chciała jej użyć jako broni. Kobieta zamilkła na tak długą chwilę, że pomyślałam, iż znowu rozplynie się w ciemności.

— Jak doszło do tego, że poświęcono cię bogom? – zapytałam, próbując odwrócić jej uwagę i skłonić do mówienia.

Dumnie podniosła głowę i wyprostowała ramiona, niczym wiekowy generał na wspomnienie stoczonych bitew.

— *H'menob* nie mógł mnie zabić. Bał się zemsty bogini. Powiedzieli więc, że będę jednym z posłańców do bogów. Wybrano dwunastu, którzy mieli odwiedzić studnię – tylko jeden miał przetrwać. Jeden tylko miał powrócić z przepowiednią na nadchodzący katun, dziesiąty.

Patrzyła w dal, jakby zapominając o mojej obecności.

— Była to długa podróż, siedem dni pieszej wędrówki do Chichén Itzá. W dniu nazywanym Cimi kobiety przygotowały mnie: pomalowały moje ciało błękitną farbą, ubrały w strój z piór, wplotły w moje włosy pióra kwezala. Z kwatery kobiet poprowadzono mnie do wylotu studni. Po moich obu stronach szli kapłani *ah-nunob*, ich dłonie paliły moje ramiona. Tłum rozstępował się przed nami, a za nami kłębił się dym z kadzielnic. Prowadził nas dźwięk *tunkul*. Niektórzy z wybranych płakali cicho. Jakiś niewolnik z Palenque zanosił się nieustannym, drażniącym skowytami. Córka jednego z obalonych arystokratów szlochała krótkim, urywanym łkaniem, które podnosiło się i opadało, milkło niemal całkowicie, po czym znów się podnosiło. Był tam też pewien nie-

zwykle piękny chłopiec, pamiętam, również niewolnik. Ten wypił *balche*, które zaoferował nam *h'menob*. Oparł się na ramieniu kapłana i idąc, śpiewał jakąś dziecinną piosenkę, której rytm współgrał z grzechotem muszli. Szłam tuż za nim, słuchałam jego śpiewu i milczałam. *H'menob* poprowadził nas na krawędź studni i wrzucili nas do niej.

Zamilkła, jakby znów usłyszała wycie tłumu. Z zewnątrz dobiegał cichy szmer palmowych liści ocierających się o siebie.

— Spadałam bardzo długo. – Teraz oburącz obejmowała muszlę i wodziła palcem po jej brzegu, głaszcząc wypolerowaną krawędź. Wnętrze konchy było gładkie i różowe jak skóra niemowlęcia. – Pomruk tłumu zamienił się w szmer wiatru, który przepływał obok mnie, targał moją suknię, wyrywał pióra z moich włosów i rozsypywał je na niebie. Wtem uderzyła mnie zimna woda. Pamiętam, że jak bańka powietrza unosiłam się ku powierzchni. I pamiętam, że okropnie bolała mnie jedna noga. – Zmieniła pozycję, jakby ten ból powrócił w tej chwili. W jej głosie pojawiła się śpiewna nuta. – Przez jakiś czas słyszałam czyjś płacz – chyba jednego z niewolników. Ten szloch cichł, aż w końcu ustał. Zimna woda znieczuliła ból w nodze i unosiłam się tak, w niebie pośród chmur, zastanawiając się nad wróżbą na następny rok. Daleko pode mną, na ziemi, słyszałam granie *tunkul* i grzechotek oraz wrzask tłumu.

H'menob nie spodziewał się, że to właśnie ja przeżyję. Z radością wyciągnęliby raczej któregokolwiek z pozostałych – córkę arystokraty, niewolnika lub chłopca nadzwyczajnej urody. Lecz oni nie cieszyli się szybowaniem wśród chmur. Zginęli wraz ze swym płaczem i tylko ja pozostałam.

W południe, kiedy słońce zajrzało poprzez krawędź studni, podniosłam w górę ramiona i powitałam je. *H'menob* wyciągnął mnie z wody niechętnie, jak sędzę, i bardzo niedelikatnie, zważywszy nabyty przeze mnie przywilej świętości. Znałam przepowiednię na nadchodzący rok. Przekazałam im ją z uśmiechem. – „Oddajcie się w ofierze, moi młodzi bracia, moi starsi bracia. Podajcie się nieszczęsnemu przeznaczeniu nadchodzącego katunu.

Musicie opuścić miasta i rozproszyć się po lasach. Musicie obalić posągi i nie wznosić nowych. Oto słowo katunu, który ma nastąpić”. – Jej głos nabierał mocy, podobny do wichru gnającego deszczowe chmury. – Powiedziałam im: „Poddajcie się nieszczęsnemu przeznaczeniu. Jeżeli nie poddacie się, zostaniecie wyrwani z miejsc, gdzie zapuściliście korzenie. Jeśli się nie ugniecie, będziecie ogryzać korę z drzew i zjadać liście ziół. Dotknie was plaga tak straszna, że sępy będą bez obawy wchodzić do waszych domostw. Ziemia zatrząsie się w posadach. Pioruny będą biły z czystego nieba. Pył okryje ziemię, a śnież jej powierzchnię. Znikną wszelkie miękkie liście, a ludzie zostaną rozproszeni po lasach”.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem na twarzy.

— Mówiłam głośno, żeby tłum słyszał mnie wyraźnie. *H'menob* owinął mnie w miękką szatę i pośpiesznie odprowadził do kobiecych kwater. Chyba zemdlałam z bólu, bo nie pamiętam, jak tam dotarłam. Obudziłam się na miękkim łożu, troskliwie dogładana przez młodą kobietę, która, choć miła i usłużna, nie chciała mi nic powiedzieć. Przyszedł *h'menob* i rozmawiał ze mną, a ja powtórzyłam mu przepowiednię.

Wyprostowała ramiona, nadal się uśmiechając.

— Trochę to trwało, zanim moje słowa dotarły do wszystkich. *H'menob* złagodził słowa przepowiedni, jednak nie mógł jej zaprzeczyć ani pozbyć się mnie, gdyż sprowadziłoby to na nich nieszczęście. Tak więc ludzie zaczęli opuszczać miasto i szukać schronienia w lasach. Kamieniarze obalali wyrzeźbione wcześniej posągi, robotnicy porzucali narzędzia i pozostawiali nie dokończone świątynie. Po odejściu rolników nie uprawiane pola przestały rodzić. Zaczął się głód, wybuchały zarazy. Minął jakiś czas, nim upadło miasto. Lecz to się stało, tutaj i w innych miejscach. Moi wrogowie zostali zniszczeni, gdyż podnieśli na mnie rękę. Taki był porządek katunu. Taka była wola *Ix Chebel Yax*.

Roześmiała się, a jej śmiech przypominał szelest gałęzi na wietrze.

— *H'menob* rzekł, że jestem szalona. Byłam, bo powiedziałam to, czego nie chcieli usłyszeć, ponieważ nie mogli mnie kontrolo-

wać, nie zdołali ciągnąć mnie za sobą jak psa na smyczy. Stwierdzili więc, że jestem szalona.

A więc imperium Majów upadło, a jego miasta legły w gruzach z powodu groźnej wróżby mściwej bogini.

— Ty wiesz, że nie jestem szalona – powiedziała. – Ty i ja dobrze się rozumiemy. Mamy wiele wspólnego.

Ktoś zapukał w futrynę moich drzwi.

— Miałam wrogów – powiedziała cicho Zuhuy-kak.

— Liz? – Rozpoznałam pytający głos mojej córki.

— Tak. – Zuhuy-kak znikła, wtopiła się na powrót w cień.

Diane przystanęła w progu, jakby nie była pewna przyjaznego przyjęcia. Wciąż rozpuszczone włosy opadały jej luźno na ramiona, a w świetle lampy oczy wydawały się jeszcze większe.

— Czy coś się stało? – zapytałam.

— Nie mogłam spać – wyjaśniła. – I zobaczyłam u ciebie światło. – Wzruszyła ramionami i pociągnęła nosem. – Co to za zapach?

Ja także wciągnęłam w nozdrza powietrze, w którym wciąż unosił się zapach kadzidła.

— Wosk – odpowiedziałam – oraz odrobina środka owadobójczego.

Wyjęłam z pudełka papierosa i zapaliłam. Wciąż stała w wejściu i wyglądała na zmieszaną.

— Usiądź – zachęciłam.

Niezgrabnie przysiadła na brzegu szafki.

— Czuję dziwny niepokój. To mi się czasem zdarza. Jeśli zasypiam w takim nastroju, miewam koszmary. – Wzruszyła ramionami. – Dlatego nie śpię. A dlaczego ty nie śpisz?

— Właśnie miałam się położyć. Po tym papierosie.

— Nie chcę przeszkadzać. To znaczy, jeżeli pracujesz nad czymś...

Ostatnie słowa wymówiła, zacinając się lekko. Pewnie popijała z Tonym. To tłumaczyło, skąd wzięła odwagę, żeby do mnie przyjść. Jednak nadal czuła się na tyle niepewnie, że potrzebowała zaproszenia, żeby usiąść.

— W porządku. Czy Barbara już poszła spać?

— Tak, przed chwilą. Cały obóz wydaje się pogrążony we śnie.

— Kiedy byłaś mała, nie lubiłaś zmian – powiedziałam, sama trochę zdziwiona, że o tym pamiętam. – Zawsze płakałaś w podróży. A kiedy trochę podrosłaś, skarżyłaś się na złe sny, kiedy nocowałaś w nieznanym miejscu.

Często spacerowała po nocy, drobne stworzonko, jeszcze mniejsze w długiej nocnej koszuli. Znosiłam ją z powrotem do łóżka, kołysałam do snu, zwijałam się w kłębek obok niej i wsłuchiwałam w szmer jej oddechu.

Diane lekko wzruszyła ramionami i pochyliła się do przodu.

— Wciąż miewam koszmary i źle sypiam w nowych miejscach. Kiedy poszłam do college’u, przez miesiąc cierpiałam na bezsenność. Powiedziałaś o tym tacie i przepisał mi pigułki nasenne. Jednak nie korzystam z nich zbyt często.

— Robert zawsze preferował najprostsze środki – powiedziałam oschle. – Zawsze leczył objawy, a nie przyczyny. – Pauza. Zaciągnęłam się papierosem i obserwowałam twarz Diane.

— A jaka jest tego przyczyna? – zapytała.

Wzruszyłam ramionami.

— Gdybym ją znała, sama sypiałabym lepiej.

Skinęła głową. Patrzyła w ciemność, unikając mojego wzroku.

— Powiedz mi... – zaczęła, urwała i zaczęła znowu. – Powiedz mi, jak się czułaś, kiedy zaczęłaś odchodzić od zmysłów.

W chacie było bardzo cicho; ta kryształowa cisza wydawała się krucha. U jej stóp rozlało się jezioro ciemności.

— To Robert twierdził, że jestem szalona – powiedziałam cicho. – Ja nigdy się z tym nie zgodziłam.

— Nie sądzisz, że byłaś?

— Myślę, że wielu ludzi, których nazywamy szaleńcami, znalazło się po prostu w niewłaściwym miejscu i o niewłaściwym czasie. – Wzruszyłam ramionami. – Sprzeciwiałam się uznanym normom społecznym, więc w pojęciu Roberta byłam szalona. Tutaj za to nikt nie uważa mnie za nienormalną. – Przyglądałam się jej w zamglonym świetle lampy. Pochyliła głowę, jej twarz skryła

się za zasłoną włosów. – Dlaczego pytasz? – Miałam ochotę podejść do niej, dotknąć jej ramienia, pogłodzić po głowie, ale nie byłam w stanie się ruszyć.

— Myślę... myślałam tak, zanim wyjechałam, że chyba tracę zmysły. Uważałam, że przyjazd tutaj to szaleństwo – mówiła cicho. – Po śmierci taty porzuciłam pracę i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Chodziłam i chodziłam – kręciłam się z pokoju do pokoju, przenosiłam jakieś drobiazgi z półki na stolik i z powrotem. Po prostu chodziłam, bez celu. – Jedną dłonią pocierała drugą, rozdrapując ślad po ukąszeniu komara i wywołując zaczerwienienie. – Myślałam o samobójstwie, żeby tylko znaleźć spokój.

Zaciągnęłam się mocno papierosem.

— Kiedy Robert zamknął mnie w szpitalu, lekarze w wariatkowie musieli leczyć moje nogi. Miałam pęcherze na całych stopach, od spodu i po bokach; wdała się infekcja. Pytali mnie, dlaczego nie przestałam chodzić, gdy zaczęły mnie boleć stopy. – Wzruszyłam ramionami. – Chciałam odejść i nie mogłam. Chodzenie wydawało się dość logiczną reakcją.

Patrzyła teraz na mnie.

— Czy przyjazd tutaj był logiczną reakcją z mojej strony?

— Myślę, że tak – powiedziałam.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

— Zeszłej nocy po raz pierwszy od wielu tygodni spałam aż do rana. Miałam sny, ale przespałam całą noc, nie budząc się.

Spojrzałam na zegar na półce. Fosforyzująca tarcza wskazywała północ.

— Odprowadzę cię do chaty – powiedziałam. – Wczesnie rano zaczynacie rekonesans.

Wolno skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Oboje z Tonym wycofaliście Carlosa z grupy rekonesansowej.

— Tak – odparłam. – Uznaliśmy, że Barbara ma wystarczająco silną grupę, a Johnowi potrzebna jest pomoc.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że już od dawna troszczę się

o siebie. Nie jestem głupia.

— Wiem. Ja...

— Nie chodzi o to, że nie doceniam twojej troskliwości, ale przez ciebie poczułam się głupio.

Wpatrywała się we mnie.

— Nie chciałam tego.

Z jej twarzy niczego nie zdołałam wyczytać.

— W porządku.

— Odprowadzę cię do chaty – powiedziałam.

— Nie trzeba – odmówiła. – Nic mi nie będzie.

Zanurkowała w ciemność drzwi i zostawiła mnie samą pośród cieni.

We wtorek rano ruszyliśmy z Tonym na rynek przy konstrukcji 701. Szliśmy wolnym krokiem, a po drodze mijały nas cienie kobiet z plemienia Majów. Niosły dary do świątyni: kosze z kukurydzą, dzbany świeżo uwarzonej *balche*, zwoje utkanego płótna, wyprawione jelenie skóry. Niewątpliwie trwały przygotowania do obchodów jakiegoś święta. Spróbowałam podsłuchać rozmowę kobiet plotkujących o niegodnym zachowaniu sąsiadów – szczególnie o niewłaściwym prowadzeniu gospodarstwa domowego przez jedną z kobiet. Mówiły jednak za szybko, a Tony przeszkadzał komentarzami na temat pogody i prowadzonych prac, więc nie mogłam nadążyć za biegiem ich rozmowy.

Cienie zniknęły, zanim dotarliśmy do rynku. Słońce paliło. Trzej robotnicy, którzy podnieśli kamień z miejsca, stali teraz w cieniu, paląc papierosy i popijając wodę z tykwy, podczas gdy my z Tonym przykucnęliśmy przy odwróconej płycie i czyściliśmy ją z luźnej, suchej ziemi, która przywarła do powierzchni kamienia. Od spodu płyta była pokryta znakami.

Kamienne bloki, otaczające ze wszystkich stron przestrzeń przykrywaną przedtem przez płytę, wyglądały na ściany. Środek wypełniało rumowisko. Przysiadłam na piętach.

— Powiedziałabym, że to korytarz. Celowo zasypyany. – Spojrzałam na Tony'ego. – Zapewne prowadzi do grobowca pełnego

glinianych naczyń, jadeitu i figurek z obsydianu.

— Domyślam się, że chcesz zabrać kilku ludzi pracujących przy domostwach, żeby kontynuować poszukiwania w tym miejscu – mruknął.

— O tym właśnie myślałam.

Zmarszczył brwi.

— Maski z jadeitu – powiedziałam. – Złote krążki. Gliniane naczynia. Łatwe do zlokalizowania w czasie.

— Pusta komnata i mnóstwo straconego czasu – powiedział ponurym głosem.

Sięgnęłam do kieszeni po mój amulet.

— Rzucimy monetę. Orzeł i zabieram dwóch ludzi z kopca i dwóch z grupy Salvadora. Reszka...

— Dobrze już, dobrze – powiedział, potrząsając głową. – Zawsze przegrywam, gdy rzucamy tą monetą. Gdybym sam jej nie zrobił, przysięgłbym, że jest spreparowana. – Wzruszył ramionami. – Bierz tych ludzi i zobaczymy, co znajdziesz.

Uśmiechnęłam się do niego.

— To chyba dobry pomysł.

Po południu pomaszerowałam tam, gdzie leżała przewrócona stebla i zastanawiałam się, jak ją podnieść. Potrzebowałabym do tego dodatkowego sprzętu oraz kilku robotników, którzy aktualnie pracowali przy kopcach domostw. Tony będzie protestował, ale przekonam go.

Wieczorem usiłowaliśmy z Tonym odcyfrować hieroglify, które przerysowałam z powierzchni płyty przykrywającej to, co z uporem nazywałam grobowcem. Znaki podawały datę według „długiego kalendarza” Majów, po przeliczeniu był to 948 rok naszej ery. W tym mniej więcej czasie Majowie opuścili swe miasta. Zgadzało się to z opowieścią Zuhuy-kak.

Mężczyźni zaczęli kopać, a ja usiadłam nieopodal i zajęłam się tym, co zawsze przychodziło mi z największym trudem: czekaniem na to, co znajdziemy.

Uwagi o *Kamiennym Mieście* Elizabeth Butler

To społeczeństwo wytycza granice normalności – a jeśli ktoś się w nich nie mieści, zostaje uznany za szaleńca. W naszym na przykład społeczeństwie za szalone uznawane są wszelkie próby samounicestwienia – jak samookaleczenie czy samobójstwo. Jeśli podetniesz sobie żyły, zamykają cię w miejscu odosobnienia jako wariata.

W społeczności Majów samobójstwo postrzegane było jako czyn godny szacunku. Boginią samobójców była Ixtab. Na ogół przedstawiano ją jako kobietę wiszącą nad przepaścią, podtrzymywaną jedynie przez sznur otaczający jej szyję. Miała zamknięte oczy, bezwładnie opuszczone ręce i spokojną twarz, jakby z zachwytem kontemplowała jakąś wewnętrzną wizję. Ixtab odprawiała prosto do nieba ludzi, którzy popełniali samobójstwo lub zostali złożeni w ofierze bogom. Samookaleczenie także stanowiło istotną część wielu obrzędów: przekłuwanie uszu, warg i języka, tak by obficie krwawiły, uważano za akt czci.

Bogowie Majów byli dość wymagający, o wiele bardziej niż odległy patriarcha Bóg, którego czci większość chrześcijan. Bogowie Majów zawiadywali każdą czynnością powszedniego dnia i codziennie należało jakąś ich grupę wielbić i przebłagać. A członek społeczeństwa Majów, który ignorował zalecenia bogów i usiłował postępować wedle własnych reguł, w oczach swoich ziomków był równie szalony, jak mieszkaniec Los Angeles, który po-

stanowił ignorować przepisy ruchu drogowego i jeździć, jak mu się podoba.

To porównanie może się wydać nieco naciągane. Być może wierzysz, czytelniku, że przepisy ruchu drogowego ustanowiono dla twojej ochrony i nieprzestrzeganie ich może być niebezpieczne.

Gdybyś jednak zapytał starożytnego Maja, powiedziałyby ci, że zasady zachowania ustanowione przez jego bogów również miały na celu jego bezpieczeństwo. Ignorowanie ich mogło być równie niebezpieczne. Niebezpieczne było, na przykład, niepodzielenie się miodem z Bacab Hobnil, bogiem pszczół; głupim posunięciem było narażenie się bogowi Yuntzilob polowaniem w niewłaściwy dzień.

Panteon Majów wydaje nam się dziwny. Samobójstwo i ofiary z ludzi są sprzeczne z naszymi zasadami. Nie zauważamy jednak osobliwości naszej własnej kultury. Akceptujemy fakt, że tysiące naszych dzieci nosi aparaty korygujące zgryz, ale inkrustowanie zębów przez Majów uważamy za dziwactwo. Każda kultura określa swoje własne idiosynkrazje, po czym natychmiast o tym zapomina.

Rozdział 10

Diane

Półmrok to szczelina między światami.

Carlos Castaneda
Nauki Don Juana

Po powrocie do chaty natychmiast wczółgałam się do hama-ka, wyczerpana całodzienną wędrówką. Pamiętam, że dra-pałam jeszcze miejsca ukąszeń komarów, rozważając, czy powinnam wstać, żeby napić się wody, a potem zapadłam w ciemność głęboką i cichą jak toń cenoty. Zbudził mnie dźwięk klaksonu. W ciepłym świetle porannej zorzy nie pamiętałam moich snów.

Drugi dzień rekonesansu niewiele różnił się od pierwszego. Przeszukałyśmy kolejny odcinek drogi do miejsca, gdzie znaleźliśmy stelę. Lepiłyśmy się od potu, cięły nas komary i mrówki. Sumiennie zaznaczyliśmy na mapie stanowisko, gdzie znajdowała się stela. Za pomocą sznurka i małych chorągiewek podzieliłyśmy cały obszar na kwadraty, a Barbara wybrała niektóre z nich do ponownego sprawdzenia pod kątem skorup naczyń i obrobionego kamienia. Miałam pecha, bo wylosowałam do sprawdzenia obszar gęsto porośnięty ciernistymi krzakami, które na każdym

kroku stawiały opór. Zanim skończyłam, całe ramiona miałam pokryte jaskrawoczerwonymi zadrapaniami.

Odpooczywałyśmy w cieniu, gdy na stanowisku pojawiła się moja matka, drepcząc żwawo poprzez gąszcz, laską odsuwając cierniste krzaki, a drugą ręką oganiając się od towarzyszącej jej eskorty komarów. Za nią postępowali robotnicy, z którymi prowadziła rozmowę w języku Majów.

— Cześć! – zawołała.

Barbara otworzyła jedno oko i wyjrzała spod ronda kapelusza.

— Za gorąco na taki radosny nastrój – stwierdziła.

— Przyszłam wzdłuż *sacbe* – powiedziała matka. – Idzie się o wiele łatwiej.

— Wiem – burknęła Barbara. – My musimy wracać przez dżunglę. Tak więc jest mi wszystko jedno.

— Rozumiem, że nie dokonaliście dzisiaj żadnych wstrząsających odkryć – powiedziała matka.

— Postanowiliśmy ograniczyć się do jednego wstrząsającego znaleziska co drugi dzień – odpowiedziała Barbara. – Nie chcemy przedobrzyć.

Potem otworzyła drugie oko i wstała, żeby pokazać mojej matce stelę. Obserwowałam je spod przymkniętych przed ostrym blaskiem słońca powiek. Nie słyszałam ich rozmowy, tylko dźwięk głosów wznoszących się lub opadających opodal. Matka przytrzymała laską gałęzie i pochyliła się nad przewróconym pomnikiem. Chciałam wstać i dołączyć do nich, ale miałam wrażenie, że przeszkadzałabym im. Barbara i moja matka dobrze się rozumiały. Nie potrzebowały mojej pomocy.

Słyszałam, jak śmiały się z czegoś, śmiechem dźwięcznym jak głos egzotycznych ptaków, a ja zamknęłam oczy przed słońcem, zazdroszcząc Barbarze łatwości, z jaką dogadywała się z moją matką, i znajomości archeologii. To ona była córką mojej matki, a ja jedynie mieszczuchem, który czuł się nie na miejscu w dżungli, pośród komarów i cierni.

Cień padł na moją twarz i otworzyłam oczy. Nade mną stała matka.

— Jak się czujesz? – zapytała niepewnie.

Podniosłam się na jednym łokciu.

— Dobrze, bardzo dobrze.

— Powinnaś posmarować te zadrapania środkiem antyseptycznym – poradziła.

Spojrzałam na moje podrapane ręce.

— To tylko tak źle wygląda.

Barbara wciąż jeszcze stała przy steli i robiła zdjęcia przyniesionym przez matkę aparatem. Maggie, nieproszona, udzielała jej wskazówek. Robin szkicowała mapę po drugiej stronie polany.

— Radzisz sobie doskonale jak na kogoś, kto nigdy przedtem nie brał udziału w wykopaliskach – powiedziała cicho matka. Nie patrzyła na mnie. Wydawała się przyglądać czemuś po drugiej stronie polany, ale kiedy powiodłam wzrokiem za jej spojrzeniem, zobaczyłam tylko drzewa i blask słońca. – Nie porównuj się z Barbarą. Ona zajmuje się tym od lat.

— Wiem.

— To dobrze – powiedziała. – Pamiętaj o tym. – Dotknęła lekko mojego ramienia. – Kiedy wrócicie, przyjdź do mnie po apteczkę.

Kilka upalnych i brudnych godzin później, poznaczona nowymi ukąszeniami i zadrapaniami, poszłam do chaty matki. Była sama, siedziała za stołem, który służył jej za biurko, i sprawdzała kilka stron maszynopisu.

— Przyszłam po apteczkę – powiedziałam. – Przepraszam, jeśli przeszkadzam.

— Nie szkodzi – odpowiedziała i wskazała mi półkę, na której stała metalowa skrzynka z wymalowanym na boku jaskrawoczerwonym krzyżem. – Przemyj skaleczenia wodą utlenioną. Tutaj trzeba o siebie dbać.

Połowę chłodnego wnętrza zajmowały zapasy i sprzęt: jutowe worki powiązane sznurem, obok stos kartonów, pudło wypełnione złożonymi papierowymi torbami, jeszcze jedno pudło z bezładnie wrzuconymi papierowymi torbami oznakowanymi cyframi i literami.

Przemywałam zadrapania, gdy matka odezwała się znowu.

— Chcę cię przeprosić za wycofanie Carlosa z rekonesansu.

— Nie ma sprawy.

— Nie jestem zbyt dobra w postępowaniu z ludźmi.

Spojrzałam na nią. Jej twarz była nienaturalnie nieruchoma, a dłonie trzymające ołówek przesuwwały go między palcami nieświadomym, nieustającym ruchem.

— To naprawdę żaden problem – powiedziałam, tym razem szczerze. – Nie ma sprawy. Już wszystko w porządku.

Przytaknęła, odłożyła ołówek na biurko i uśmiechnęła się pojednawczo.

— Czy widziałaś ostatnie znalezisko?

Ręką wskazała kamienną głowę, która sterczała w cieniu, w odległym kącie chaty. Zostawiłam otwartą apteczkę na półce i podeszłam, żeby bliżej przyjrzeć się rzeźbie. Leżała na jutowej płachcie i spoglądała w sufit. Nie podobał mi się wyraz jej twarzy. Uśmiechała się do mnie drwiąco, rozciągniętymi wargami i szeroko otwartymi oczami o wrogim spojrzeniu. Przykucnęłam obok i ręką dotknęłam skomplikowanej fryzury posągu. Była chłodna w dotyku. Palcem przejechałam wzdłuż przecinającej twarz rysy. Z jakiegoś powodu zadrżałam.

— Dzisiaj przynieśli ją ze stanowiska – powiedziała matka zza moich pleców. – Trochę się dziwię, że przetrwała podróż pomimo pęknięcia.

— Była częścią większej rzeźby?

— Raczej fasady budynku. Jest wykonana z wapienia – odpowiedziała matka.

Skinęłam głową potakująco i przysiadłam na piętach.

— Kim była?

Matka wzruszyła ramionami.

— Trudno powiedzieć. Tu i ówdzie spotyka się dowody na istnienie kilku kobiet-władczyń. Jednak moim zdaniem bardziej prawdopodobne jest, iż była kapłanką. Na wybrzeżu Morza Karaibskiego – na Cozumel i Isla Mujeres – istniały świątynie bogini zwanej Ix Chebel Yax, bogini księżyca. Skłonna jestem wierzyć, że nasz próbny wykop odsłoni świątynię tej właśnie bogini. Jeśli

tak, będzie to pierwszy dowód na istnienie tego kultu na tym wybrzeżu. – Przykucnęła na piętach obok mnie i przesunęła palcem wzdłuż spiralnego wzoru na policzku rzeźby. – Tatuaż obrzędowy – powiedziała cicho. – Bardzo często spotykany u kapłanów i arystokracji. – Dotknęła długiej, haczykowatej szpilki wplecionej wraz z muszelkami we włosy kobiety. – Z kręgosłupa trytona – powiedziała. – Zazwyczaj używana w obrzędach związanych z puszczaniem krwi. Gorliwy wyznawca przekłuwał nią sobie uszy albo język, ofiarowując bogom swoją krew.

— Wygląda to na dość okrutny styl życia. Ofiary z ludzi, krew jako dar składany bogom...

Matka przysiadła na piętach.

— Och, patrzysz na to w podobnie zaściankowy sposób jak Robin. Nie mów, że też boisz się znaleźć kości w cenocie.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie powiedziałam tego. Po prostu wydaje mi się to okrutne.

— Ludzie zawsze mówią o ofiarach z ludzi jako o czymś niezwykłym i wynaturzonym – powiedziała z namysłem. – Tymczasem jest to czyn od wieków dość rozpowszechniony w wielu społeczeństwach. Pomyśl. W samych Stanach istnieje wiele religii, których kult opiera się na ludzkich ofiarach. – Spojrzała na mnie.

— Jezus Chrystus na krzyżu – powiedziałam wolno.

— Dokładnie. Tysiące ludzi spożywa jego ciało i pije jego krew każdej niedzieli.

— To co innego.

Wzruszyła ramionami.

— Niezupełnie. Chrystus umarł dawno temu, w odległym miejscu i tylko to może się wydawać inne. Jego czciciele twierdzą, że jest wcieleniem Boga, ale Aztekowie mówili to samo o bogu-królu, któremu oddawali cześć. U chrześcijan zdarzyło się to tylko raz, co dobrze świadczy o ich umiarkowaniu, ale nie ma w tym zasadniczej różnicy, oprócz częstotliwości występowania. – Uśmiechnęła się do mnie, najwidoczniej dobrze się bawiąc. – Ponadto podejrzewam, iż często zawyża się liczbę ofiar ludzkich składanych przez Majów. Czasem ma się wrażenie, że kapłani Ma-

jów spędzali większość czasu na rozbijaniu głów swoich ziomków i wrzucaniu ich do najbliższej studni. A to przecież, nieprawda. Zdarzało się to rzadko i z okazji niezwykle ważnych uroczystości. Musisz też bardzo ostrożnie przykładać swoją miarę do warunków obcej ci kultury. Oni mieli własne zasady. Ta kobieta, być może, uczestniczyła w ofierze ludzkiej – lecz według zasad jej kultury nie było w tym nic złego. Ludzie składani w ofierze wędrowali do odpowiednika naszego raję, a więc wszystko było w porządku.

Matka wstała i podeszła do biurka po papierosa. Trzymała go w dłoni, nie zapalając, i nie przestawała mi się przyglądać.

— Podstawowy charakter samego aktu pozostaje taki sam – zarówno w wypadku rzymskich żołnierzy wbijających gwoździe w ręce Chrystusa, jak i kapłana, który wykrawał serce pochwyconego w niewolę wojownika. Krew ma w sobie moc, siłę i czar. – Podwinęła długie rękawy koszuli i ujrzałam blizny na jasnej skórze jej nadgarstków. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wypuściła chmurę dymu. Potem uśmiechnęła się do mnie. – Przepraszam. Czasami mnie ponosi. Ryzyko zawodu nauczyciela.

— Mówisz tak, jakbyś wolała Majów od chrześcijan.

Roześmiała się.

— Na pewno lepiej ich rozumiem. – Odłożyła papierosa do pokrywki słoika, która służyła za popielniczkę, i podeszła do apteczki. – Może powinnam ci zabandażować te zadrapania – powiedziała, i tego popołudnia nie usłyszałam już ani słowa o starożytnych Majach.

Codzienne trudy rekonesansów wyczerpywały moje siły, lecz niepokój zmuszający mnie do chodzenia tam i z powrotem po domu mojego ojca nie opuścił mnie. Tutaj miałam więcej przestrzeni do przemierzania. Jeśli obudziłam się rankiem, zanim rozbrzmiał klakson ciężarówki, lub gdy czułam ten niepokój w porze poobiedniej, szłam na spacer – ścieżką obok kuchni, gdzie powietrze zawsze pachniało dymem drewna, obok cenoty i dalej, aż do wykopu grobowca. Następnie mijałam łuk hiszpańskiego kościo-

ła i wędrowałam do świątyni Siedmiu Lalek, skąd mogłam podziwiać widok na zielonobrazowe drzewa dżungli. Często podczas tych spacerów spotykałam matkę. Przysiadała na fragmencie muru przy hiszpańskim kościele i patrzyła na świątynię Siedmiu Lalek. Albo samotnie siadywała nad cenotą, ze zwieszonymi nad wodą nogami, i obserwowała ptaki zataczające niskie kręgi nad lustrem wody. Widywałam ją przy wykopie grobowca, mrużącą coś do siebie pod nosem w trakcie badania stanowiska. Za każdym razem wydawała się szczerze ucieszona z naszego spotkania.

O świcie i o zmierzchu powietrze było chłodniejsze, a moja matka jakby zwalniała tempo, stawała się bardziej zamyślona. Kiedy się spotykałyśmy, razem kontynuowałyśmy wędrowkę. Niewiele jej mówiłam o sobie – życie w Los Angeles wydawało się odległe i nieistotne, jak spłowiła fotografia, na której przybladły kolory, zamazały się postacie. Świat mojej matki pełen był żywych barw i ostro zarysowanych konturów. Gdy tak spacerowałyśmy razem, mówiła powoli i ostrożnie, jakby łączyła ze sobą myśli dopiero wtedy, gdy wypowiadała je na głos, wygrzebując z pamięci każdy fragment i starannie dopasowując go do reszty. Wypowiadane przez nią zdania sprawiały wrażenie zwartego tekstu – dokładnie przemyślanego rękopisu, który jeszcze nie został opublikowany.

Opowiadała mi o Majach i ich bogach.

— Z każdego plonu, który zbierali Majowie, część składali w ofierze bogom. Indyk, czara piwa *balche*, *jicara*, czyli rodzaj papki zbożowej słodzonej miodem dzikich pszczół. Dary ofiarowywano bogom szczerze i z dobrego serca. Mądrzy ludzie nie targują się z bogami. Skąpiec, który dawał niechętnie, narażał się na utratę zdrowia lub nieurodzaj. Majowie uważali, że wszystko, co robią, dzieje się za pozwoleniem i z poparciem bogów. Wszelkie dobra były tylko czasowo darowane ludziom. W końcu i tak powracały do bogów. Nasze społeczeństwo postrzega dżunglę i dzikie ostępy jako wrogie. Chrześcijanie walczyli z nimi i podporządkowali je sobie. Majowie mieli zdecydowanie zdrowsze spojrzenie na świat.

Była dziwną kobietą ta moja matka. Kiedy miałam piętnaście lat, a ona przyjeżdżała mnie odwiedzać w domu mojego ojca, miałam wrażenie, że ona nie należy do tego miejsca. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że w rzeczywistości nie należała nigdzie. Szła obok mnie, lecz nie przynależała do świata, który znałam. Nie patrzyła na mnie podczas tych naszych spacerów. Zawsze spoglądała w dżunglę, wpatrywała się w pagórki, jakby dostrzegała w nich coś niezwykle fascynującego.

Usiadłyśmy przy ruinach hiszpańskiego kościoła i zapytałam ją o jej książki.

— W ostatnim rozdziale twojej pierwszej książki napisałaś: „Świat może nam pokazać znacznie więcej, niż większość z nas oczekuje”. Co miałaś na myśli, pisząc te słowa? – zapytałam.

Spojrzała w dal, gdzie wschodzące słońce migotało już na rzadkich źdźbłach trawy i nagiej ziemi.

— Tam, na granicy tego placu, siedział kiedyś kamieniarz i wykuwał z niekształtnych brył obsydianu ostre noże obrzędowe dla kapłanów, groty włóczni dla myśliwych. Przykucnął na ziemi, ukryty za zasłoną jaskrawoniebieskiego fartucha. Jego skóra lśniła od potu, kiedy pochylał się nad robotą. Dobrze wyglądał, spasiony od dziczyzny i indyków, którymi płacili mu myśliwi, wprost nadzwyczajnie gruby jak na Maja. – Matka pochyliła się do przodu, jakby chciała lepiej mu się przyjrzeć. – Czy widzisz go tam, jak siedzi w słońcu i cierpliwie wytacza ostrze noża z obsydianu? Widzę go. Jest bardzo dokładny. Możesz go zobaczyć, jeśli chcesz. Możesz także widzieć jedynie nagą ziemię. – Spojrzała na mnie. – O to mi chodziło. Czy widzisz go? – Przemawiała do mnie lekkim i swobodnym tonem.

Czułam się nieswojo, patrząc na puste miejsce na ziemi. Przypomniałam sobie ten sen, który doprowadził do odnalezienia steli. Jednak to był tylko sen – teraz nie śpię. Wzruszyłam ramionami.

— Widzę promienie słońca na skałach, to wszystko.
Skinęła głową.

— Nie ma w tym nic złego. Czasami myślę, że aby wyraźnie

zobaczyć przeszłość, musimy zrezygnować z dużej części teraźniejszości. – Wzruszyła ramionami. – To wybór, którego dokonałam już dawno temu. Osobliwa ofiara.

— To znaczy, że naprawdę go widzisz? Tak samo jak mnie?

Milczała tak długo, iż pomyślałam, że nie zamierza w ogóle odpowiadać. Kiedy się odezwała, mówiła cicho.

— Czasami wydaje mi się, że cienie z przeszłości widzę wyraźniej niż jakąkolwiek żyjącą osobę. – Poruszyła się, jakby chciała pozbyć się tej myśli, a potem szybko wstała i skierowała się w stronę obozu.

Nie rozumiałam wszystkiego, co do mnie mówiła. Niechętnie zadawałam pytania, ponieważ wydawały się niszczyć czar, łamać jakąś niepisaną zasadę. Jeśli za dużo pytałam, matka po prostu wzruszała ramionami i zapadała w milczenie albo stwierdzała, że powinniśmy wracać do obozu. Czasami nasze poranne spacerunki były równie nierealne jak sen – niepokojący, lekko drażniący. Myśli i uczucia, których nie umiałam rozszyfrować, tłukły mi się gdzieś pod czaszką. Lubiłam matkę, ale nie rozumiałam jej. Nie rozumiałam jej ani trochę.

W biały dzień matka wydawała się kimś zupełnie innym – energiczna, szybka, zniecierpliwiona wolnym tempem prac. Spierała się z Tonym o to, gdzie mają kopać robotnicy, o znaczenie kamiennej głowy, o prawdopodobieństwo znalezienia prawdziwego grobowca.

Czwartego dnia czułam się już na wykopaliskach jak w domu. Miałam wrażenie, że nigdy nie myłam się inaczej, niż w letniej wodzie z piaskiem, która płynęła z czarnej beczki i lekko zalatywała plastikiem, a przez całe życie co noc wędrowałam po omacku do pachnącej chlorem wygodki za kuchnią.

Barbara zapytała, czy miałabym ochotę pojechać z nią na weekend do Méridy. Znała tam pewien tani hotel z basenem. Mogłybyśmy wziąć gorącą kąpiel, może pójść do kina i zuć prażoną kukurydzę w klimatyzowanym wnętrzu. Zapytałam matkę, czy jej zdaniem wycieczka do Méridy jest warta zachodu, a ona radziła mi jechać.

W sobotę rano obudziłam się wcześniej. Barbara nie nastawiła budzika: zamierzałyśmy się wyspać i wyruszyć dopiero późnym rankiem. Kiedy się obudziłam, spojrzałam na nią i zobaczyłam, że właśnie przewraca się na bok, żeby spojrzeć na zegarek.

— Która godzina? – szepnęłam. Maggie i Robin jeszcze spały.

— Siódma trzydzieści – odpowiedziała również szeptem. Ułożyła się na plecach i podparła głowę ręką. Zmarszczyła brwi. – Nie potrafię już nawet spać do późna – mruknęła. – To śmieszne.

Ubrałyśmy się cicho, zapakowałyśmy czyste ciuchy i wymknęłyśmy się z namiotu. Przystanęłyśmy przy beczce z wodą, żeby się umyć. Uderzenie strumienia wody o metalową miskę rozszło się bardzo głośno w gorącym porannym powietrzu. Cały obóz pogrążony był we śnie. Jediną oznakę życia stanowiła małeńka smużka dymu unosząca się nad kuchnią Marii.

— Och – westchnęła Barbara. – Może uda się nam przekonać Marię, żeby wygospodarowała dla nas filiżankę kawy.

Nie weszłam za Barbarą do kuchni. Spojrzenia, którym obrzuciła nas Maria już w drzwiach, w żadnym razie nie można było nazwać przyjaznym. Teresa chowała się w fałdach jej spódnicy. Barbara wyszła z kuchni, marszcząc brwi.

— Chyba wypijemy kawę w Méridzie. Maria mówi, że dzisiaj jeszcze jej nie zaparzyła.

Poszłam za Barbarą do samochodu. Po drodze obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam Teresę, która wyglądała za nami zza drzwi kuchni.

— Maria chyba nie bardzo mnie lubi – powiedziałam do Barbary.

— To oczywiste. Mnie także nie. Ty i ja jesteśmy młodymi kobietami, ale nosimy spodnie i cały czas przebywamy w towarzystwie mężczyzn. – Barbara potrząsnęła głową. – Zachowujemy się niewłaściwie. Ona tego nie pochwała.

— Jednak z Liz rozmawia.

— Jej także nie lubi. Nie akceptuje żadnej z nas.

Przytaknęłam skinieniem głowy, uspokojona zapewnieniami Barbary, iż nie tylko do mnie Maria odczuwa niechęć.

Poobijany łażik Barbary podskakiwał na każdym wyboju drogi wyjazdowej z obozowiska, jakby musiał spenetrować każdą nierówność. Wpadał w nią, a potem triumfalnie wyłaniał się po drugiej stronie. Barbara prowadziła z radosnym entuzjazmem i nadmierną prędkością. Wduszała do oporu pedał gazu, gdy tylko dostrzegała wolny fragment drogi przed nami, i ledwo dotykała hamulca, kiedy samochód uderzał o wyboje.

— Dokąd tak pędzisz? – krzyknęłam przez ryk silnika.

— Mam dość powolnej jazdy, to wszystko! – odkrzyknęła. Skręciła gwałtownie, omijając wybój, wpadła na następny, dodała gazu i pojechała dalej. – Mam dość brudu i much. – Walnęła w następny wybój. – Potrzebuję gorącej kąpieli, kawy, śniadania, jasnego światła i mężczyzn, którzy potrafią rozmawiać o czymś innym niż skorupy. – Odwróciła wzrok od drogi, żeby uśmiechnąć się do mnie z rozjaśnionymi przewrotnym błyskiem oczami. – Zamierzam poszukać kłopotów.

Uderzyliśmy w następną dziurę.

— Znam w Méridzie kogoś, kto może wiedzieć, gdzie szukać kłopotów – krzyknęłam. – To ktoś, kogo spotkałam w samolocie.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— Oczywiście. Szybki zawodnik. – Nie wiedziałam, czy chodzi jej o mnie czy o niego. Jednak nie miało to chyba żadnego znaczenia. – Interesujący?

Zawahałam się lekko. Raczej mgliście pamiętałam Marcosa, ale chyba prezentował się całkiem nieźle.

— Nie najgorszy.

— Dobrze. Na pewno ma kolegę. Oni zawsze mają.

Dotarliśmy do głównej szosy, tej, która wydała mi się taka wąska, gdy pierwszy raz jechałam nią do obozu. Teraz sprawiała wrażenie niemal autostrady. Samochód nabrał prędkości, a my odkręciłyśmy szyby, żeby wpuścić wiatr. Minęłyśmy ciężarówkę pełną robotników i pomachałyśmy im oraz zatrąbiłyśmy klaksonem, zachowując się jak uczniowie na wagarach. Wrzasnęłyśmy przy mijanych chatach i pomachałyśmy kobiecie rozwieszającej

pranie oraz grupce dzieciaków bawiących się przy drodze.

— Najpierw gorący prysznic, potem śniadanie! – krzyknęła Barbara.

— Wspaniale – powiedziałam. Wszystko było wspaniałe. Wiatr, droga i perspektywa śniadania.

Hotel okazał się starym budynkiem usadowionym o kilka bloków od rynku i tuż obok Parque Hidalgo – parku wymienionego przez Marcosa. Sprawiał wrażenie nieco podupadłego. Recepcjonista mówił słabo po angielsku. Chudy czarny kot wyglądał na stałego lokatora hallu. Poręcz wiodących na górę krętych schodów była bogato rzeźbiona, ale dawno nie polerowana. Błękitno-białe kafle podłogi aż się prosiły o miotłę; kłaczki kurzu zalegały za donicami palm. Jednak, co ważniejsze, słońce wlewało się przez drzwi wprost z Parque Hidalgo, a na kontuarze stały świeże kwiaty.

Wynajęliśmy pokój i wzięliśmy gorącą kąpiel przed śniadaniem. Gdy Barbara poszła wziąć prysznic, ja usiadłam na jednym z łóżek i natarłam nogi balsamem, omijając miejsca ukąszeń i zadrapania. Po raz pierwszy w tym tygodniu włożyłam sukienkę i sandały, a nie dżinsy i trampki; po raz pierwszy poczułam, że mam czyste włosy. Nad moją głową monotonnie grzechotał sufitowy wentylator. Barbara śpiewała pod prysznicem.

Parque Hidalgo był małym placikiem o ceglanych alejkach. Ocieniały go szerokolistne drzewa, z których małe, żółte kwiaty spadały na spacerowiczów oraz miłośników leniwego wysiadania na parkowych ławkach. Pośrodku placyku stał posąg wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny, umieszczony na białej kolumnie osadzonej w także białym cokole. Nigdy nie sprawdziłam, jak się nazywał.

Śniadanie zjadliśmy w bulwarowej kafejce obok parku, niedaleko hotelu. Ozdobne, metalowe stoły; falbaniaste parasole, biało-czerwone obrusy oraz statecznie wyglądająca kelnerka, która sprawiała wrażenie, jakby się bardzo śpieszyła.

— *Hamacas?* – zapytał krępy młodzieniec w żółtej baseballówce. Na jednym ramieniu dźwigał wiązkę owiniętych w plastik ha-

maków. Przez drugie ramię przewiesił luźny hamak, gotowy do demonstracji.

— Czy pan ma na imię Emilio? – zapytałam. – Szukam sprzedawcy hamaków o tym imieniu. – Potrząsnął ciężko głową i poszedł do następnego stolika, gdzie siedzieli turyści o mniej skomplikowanych potrzebach.

Barbara kartkowała stronice przewodnika turystycznego po Méridzie, który wzięła z hotelowego lobby. Były w nim wskazówki, jak dotrzeć do zoo, do rynku, do ruin Chichén Itzá, a także najlepszych miejsc, w których można zjeść lunch i potańczyć. Odczytywała głośno fragmenty, które uznała za interesujące.

— Rynek nazywają tutaj *zocalo* – powiedziała.

Pokiwałam głową, przyglądając się spacerującym przechodniom. Kawa była dobra, co wprawiło mnie w ogromne zadowolenie. Dopiero teraz, gdy nareszcie mogłam odpocząć, zdałam sobie sprawę z tego, w jakim napięciu przeżyłam ten ostatni tydzień.

— Czy interesuje cię wycieczka do Chichén Itzá? – zapytała Barbara. – To niecałą godzinę drogi stąd.

— Może jutro – odpowiedziałam.

— Mogłybyśmy także zwiedzić Casa Montejo, zamek wybudowany przez Hiszpanów w 1549 roku – dodała. – Albo katedrę. Możemy również pójść na targ.

— Cokolwiek wybierzesz.

Ostatecznie postanowiłyśmy pójść na targ, zakładając, że w powrotnej drodze zahaczymy o katedrę i jeszcze będziemy miały czas na sjęstę przed obiadem. Kończyłyśmy właśnie śniadanie i kawę, kiedy po przeciwnej stronie sali dostrzegłam Marcosa. Trąciłam Barbarę.

— Jest przystojniejszy, niż mi się wydawało – powiedziałam. Szczupły, drobnej budowy, o ciemnobrązowych oczach, olśniewająco białych zębach i wysokich kościach policzkowych w śniadej twarzy. Z uśmiechem patrzył, jak sprzedawca hamaków – przypuszczałam, że był nim Emilio – rozkłada swój towar przed parą Amerykanów: kobietą w plażowej sukience oraz mężczyzną w hawajskiej koszuli. Emilio rozwiesił jeden koniec hamaka na

poręczy metalowego krzesła. Wahał się przez chwilę, trzymając w dłoni zwinięty hamak, po czym rozwinął go na całą długość gestem równie eleganckim, jak kelner w dobrej restauracji odkorkowuje butelkę wina. Gest ten zwraca uwagę klienta zarówno na znaczenie samego aktu, jak i na jakość produktu. Hamak miał kolor głębokiego fioletu, jakby schwytał i zatrzymał w sobie blask słońca. W tym momencie Marcos zauważył nas i podszedł do naszego stolika.

— Cześć – powiedział do mnie. – Jak się masz? – odsunął sobie krzesło.

Patrzyliśmy, jak Emilio finalizuje transakcję; Amerykanie odeszli z dwoma hamakami, a Emilio wepchnął do kieszeni garść banknotów. Podszedł do nas i rzucił na podłogę wiązkę hamaków.

— Zapowiada się dobry dzień – powiedział. – Mam dzisiaj szczęście. – Był o głowę niższy ode mnie, krępy i barczysty. Miał ciemne włosy, ciemne oczy i uśmiech jak Amerykanin z reklamy, z wyjątkiem złotej plomby, która okalała jeden z jego przednich zębów. – Jesteście przyjaciółkami Marcosa – powiedział ze swobodnym wdziękiem wytrawnego handlarza. – Nie chcecie kupić hamaka? Dam wam dobrą cenę.

— Mamy więcej niż dość hamaków – powiedziała Barbara. – Tak naprawdę, to na widok hamaka robi się nam niedobrze.

— Jak to możliwe? – zapytał Emilio, a Barbara wyjaśniła mu ze szczegółami przyczyny, dla których miała tak bardzo dość hamaków.

— Kupcie jeden na prezent – zaproponował Emilio, a potem postawił nam wszystkim kawę z tym samym szerokim gestem, jakim przed chwilą prezentował swój towar. Rozmawialiśmy o turystach i pogodzie, a godziny poranka powoli przepływały obok. Emilio i Marcos wyglądali na stałych bywalców kafejki, zaprzyjaźnionych z jej personelem. Pod pobliskim kinem ustawiała się kolejka. W ciepłym powietrzu roznosił się zapach prażonej kukurydzy.

Po jakimś czasie Emilio zaczął namawiać Barbarę na zwiedza-

nie pewnej odosobnionej jaskini przy placu zwanym Homún. W tej jaskini, pośród wapiennych stalaktytów płynęła ponoć podziemna rzeka.

— Piękna – mówił Emilio. – Naprawdę piękna.

Marcos spojrział na mnie.

— *Qué piensas?* – zapytał. – O czym myślisz?

Wzruszyłam ramionami.

— O niczym szczególnym.

— Wyglądałaś na pogrążoną w myślach.

Ponownie wzruszyłam ramionami. Emilio, żywo gestykulując, usiłował opisać stalaktyty. Barbara sprawiała wrażenie nie przekonanej.

— W samolocie byłaś smutna. Z jakiego powodu? – zapytał Marcos.

Nie odpowiedziałam. Spojrział na Emilia, który stawał się coraz bardziej elokwentny w swych wysiłkach przekonania Barbary, że zobaczenie jaskini powinno być nieodłącznym punktem wakacyjnego programu każdej młodej Amerykanki.

— Mam dość siedzenia tutaj – rzekł Marcos. – Chodźmy. Przejdziemy się i potem wrócimy do nich.

Zostawiliśmy Barbarę i Emilia wciąż dyskutujących o podziemnych rzekach. Po Méridzie się chodzi. Głównie po skwerkach, gdzie powiew wiatru jest nieco chłodniejszy niż podmuch wymuszony przez wszechobecne wentylatory. Przeszliśmy przez rynek.

— W jakim celu odwiedzałeś Los Angeles? – zapytał Marcosa.

— Pojechałem odwiedzić wuja. Nie znalazłem żadnej pracy, więc wróciłem do domu. Tutaj też nie ma pracy, ale mam przynajmniej przyjaciół.

Poprowadził mnie przez plac, obok stanowiska małych wózków konnych, które woziły turystów.

— Czym się smucisz? – zapytał Marcos. – Mnie możesz się zwierzyć.

Powiedziałam mu więc, choć niechętnie, o tym, jak przyjecha-

łam na wykopaliska, żeby odnaleźć matkę, której nie widziałam od lat. Słuchał, kiwając głową.

— Czego oczekujesz od matki? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiesz, czego od niej chcesz?

— Chyba nie.

— Dziś wieczorem – oznajmił – gram w koszykówkę w drużynie uniwersytetu. Chciałabyś przyjść?

— Koszykówkę? Zobaczmy, co powie na to Barbara.

Wziął mnie za rękę.

— Nawet jeśli Barbara nie będzie chciała przyjść, ty przyjdź i popatrz, jak gram, dobrze?

— Dobrze.

Kiedy wróciliśmy do kawiarni, Emilio pytał Barbarę o nasze plany na ten dzień.

— Chcemy pójść na targ – odpowiedziała. – Powłóczyć się po Méridzie.

— A jutro? – powiedział. – Co robicie jutro?

— Rozmawialiśmy o wycieczce do Chichén Itzá – odpowiedziała. – Tyle, że to daleko.

— Mogę prowadzić – powiedział Emilio. – Żaden problem. Zabiorę hamaki do sprzedania. Zgoda? – Barbara roześmiała się, lecz Emilio nie dał za wygraną. – Powiem ci coś. Jeśli chcecie jechać do Chichén Itzá, spotkajmy się tutaj rano. Mogę prowadzić. Będzie dobrze.

Uśmiechnął się szeroko, prezentując inkrustowany złotem ząb.

Dopiliśmy kawę i Emilio z Marcosem poszli na *zocalo* sprzedawać hamaki. My z Barbarą udałyśmy się na targ, w stronę przeciwną do *zocalo*, idąc Calle 60 – uliczką o wąziutkich chodnikach. Domy i sklepy wpychały się ciasnym szpalerem wprost na ulicę, stłoczone, prezentowały światu jednolity front.

Minęłyśmy otwarte drzwi pomieszczenia, z którego dolatywał zapach piwa i głosy mężczyzn. Stojący w drzwiach młodzieniec uśmiechnął się do nas, ale nie odwzajemniłyśmy mu się. Za to

uśmiechałyśmy się do kobiet, dzieci i psów. Dzieci odpowiadały uśmiechem; kobiety i psy nie.

Mężczyzna w średnim wieku sprzedawał orzechy kokosowe z wózka. Patrzyłyśmy, jak zręcznie zdejmuje z orzecha łupinę, rozbija skorupę, wierci otwór w białym, okrągłym owocu i umieszcza w otworze słomkę. Kupiłyśmy sobie po orzechu i po drodze popijałyśmy kokosowe mleczko.

Rozpoznałam targowisko, ale w żaden sposób nie mogłam odnaleźć drogi poprzez labirynt maleńkich kramików. Zaglądałyśmy w przepastne korytarze prowadzące w ciemność. W zamglonych przestrzeniach poza zasięgiem światła dostrzegałam pudła owoców i warzyw, kojce z kurczętami, wiszące mięso. Barbara zajrzała do przewodnika i pociągnęła mnie do przejścia, gdzie stały stragany z odzieżą. Znajdowało się na granicy targowiska, tak że zaglądały doń promienie słońca. Każde stoisko pyszniło się kolorowymi szalami, sukniami, koszulami i spódnicami.

— Ten mi się podoba – powiedziałam do Barbary, wskazując ładny szal w kolorze burgunda, z kwiecistym wzorem na obramowaniu. Kobieta siedząca za ladą zawołała do nas i z uśmiechem kiwnęła zapraszająco. Miała złote kolczyki, które pasowały do złotych zębów, i najwidoczniej była zafascynowana kolorem moich włosów oraz zdecydowana namówić mnie do kupienia szala. Targowałam się moją łamaną hiszpańszczyzną i w końcu chyba sporo przepłaciłam. Barbara kupiła białą suknię haftowaną w ciemnoniebieskie kwadraty. Kiedy postanowiłyśmy wrócić do hotelu, mijała już trzecia po południu.

— Czas na drzemkę – powiedziałam.

— Zatrzymajmy się przy katedrze – zaproponowała Barbara. – Jest po drodze, a w środku powinno być chłodno.

Włożyłam monetę w dłoń żebraczki, która siedziała tuż przy łukowatym wejściu. Pobłogosławiła mnie, kreśląc w powietrzu znak krzyża. Wnętrze katedry okazało się rzeczywiście chłodne i ciemne. Ciemności rozpraszały jedynie promienie światła wpadające przez wysokie ośmiokątne okna. Białe kolumny wznosiły się pod wysokie sklepienie, poprzecinane kamiennymi łukami,

których zakończenia ginęły w cieniu. Wychudzony Chrystus wisiał umęczony na krzyżu w odległym końcu głównej nawy. W pierwszej ławce klęczało kilka staruszek. Z tyłu siedział mały chłopiec, który liczył słupki w szkolnym zeszytce. Wokół nawy spacerowali nieliczni turyści. Ja przystanąłam tuż przy wejściu. Czułam niepokój – było to coś więcej niż zwykłe zmieszanie związane z wejściem do nieznanego kościoła. Nie miałam ochoty podchodzić do figury ukrzyżowanego Chrystusa. Jednak Barbara szła już jednym z bocznych przejść, więc podążyłam za nią.

Płaskorzeźby na białych ścianach katedry upamiętniały mękę i śmierć Chrystusa. Nie przystanąłam, żeby na nie popatrzeć. Przypomniałam sobie stwierdzenie mojej matki, iż chrześcijaństwo to religia oparta na ofierze ludzkiej, i byłam w tej chwili skłonna przyznać jej rację. W połowie nawy zatrzymałam się jednak, żeby obejrzeć kunsztowny posążek Matki Boskiej.

Na stoliku przed figurką płonęły świece, a ciepłe powietrze było gęste od zapachu kadzidła i topionego wosku. Płomienie świec migotały na rzeźbionych, drewnianych szatach Panny Maryi. Rozpostarła ręce w geście akceptacji i wygięła usta w delikatnym półuśmiechu. Jednak moim zdaniem w jej postaci było coś dziwnego. Artysta, który malował rzeźbę, uczynił jej skórę o kilka tonów ciemniejszą niż zwykła, anemiczna biel. Jej ciemne oczy pełne były cieni. Nie było w niej delikatności, jaką charakteryzowały się widywane przeze mnie dotąd Madonny: rysy jej twarzy przypominały bardziej Indiankę niż Hiszpankę. Wydawała się starsza niż zwyczajowe blade dziewczęta. Starsza i mądrzejsza. Jej uśmiech był wszechwiedzącym uśmiechem. Promienie światła igrające na jej policzkach rzucały spiralne cienie, a czoło wydawało się dziwnie płaskie. Teraz mocniej czułam zapach kadzidła – ostry zapach żywicy, jaką wydziela płonąca sosna. Pamiętałam ten zapach z chaty mojej matki. Madonna jakby obserwowała mnie z cienia. Gromadziła wokół siebie te cienie, a świece dawały tylko tyle światła, że pozwalały mi ją dostrzec. Teraz rozpoznałam ją; jej twarz była obliczem kamiennej głowy, którą widziałam w chacie matki.

Poczułam się niedobrze i zakręciło mi się w głowie. Oderwałam wzrok od jej twarzy, cofnęłam się o krok i oparłam o ławkę, żeby nie upaść. Zamknęłam oczy i odczekałam, aż opuści mnie słabość.

Otworzyłam je na powrót, gdy poczułam, że podłoga już nie wiruje pod moimi stopami. Madonna spoglądała w przestrzeń nad moją głową, a jej twarz zastygła w grymasie dobrotliwego przyzwolenia. Nie patrzyła na mnie, a ten zakątek katedry był oświetlony tak samo, jak reszta.

Pośpieszyłam za Barbarą, która znajdowała się już w przeciwnym końcu nawy, prawie przy drzwiach. Kiedy wyszłyśmy na otwartą, oświetloną słońcem przestrzeń, natychmiast poczułam się lepiej. Włożyłam jeszcze jedną monetę w dłoń żebraczki i otrzymałam kolejne błogosławieństwo.

— Jesteś blada – powiedziała Barbara. – Dobrze się czujesz?

— Zrobiło mi się słabo – powiedziałam. – Ale tylko przez moment.

— Nadmiar wrażeń?

— Możliwe. Już mi lepiej.

— Po sjeście poczujesz się zupełnie dobrze.

W naszym hotelowym pokoju było duszno, ale chłodniej niż na zewnątrz. Barbara ustawiła regulator wentylatora sufitowego na większą prędkość, rozebrała się do bielizny i wyciągnęła na łóżku.

— Sješta – powiedziała, po czym odwróciła się do mnie plecami i natychmiast zasnęła. Ja jeszcze długo leżałam, obserwując wirujący wentylator i wsłuchując się w jej równy oddech.

Uwagi o *Kamiennym Mieście* Elizabeth Butler

Według naszego kalendarza dzisiaj jest sobota, 17 marca 1984 roku. Prosty układ nazw i dat wyznaczający określony dzień, lecz nie mający żadnej szczególnej mocy, żadnej wartości.

W systemie datowania Majów ten dzień otrzymałby liczbę i nazwę w tzolkinie, czyli świętym almanachu, oraz inną liczbę i nazwę według haab, czyli roku kalendarzowego. Według „długiego kalendarza”, systemu datowania użytego na steli, data ta zapisana zostałaby jako 12 baktunów, 18 katunów, 10 tunów, 13 uinali i 15 kinów, a to znaczy, że byłby to 1 861 475. dzień od początku kalendarza. Zgodnie z rachubą Majów każdy z tych dni i każda z liczb ma swoje znaczenie i wartość.

Tzolkin i haab stanowią części układu zazębiających się cykli czasowych, które współcześni znawcy Majów nazywają kołem kalendarzowym. Haab jest cyklem trzystu sześćdziesięciu pięciu dni: osiemnastu miesięcy po dwadzieścia dni i jednego, składającego się z pięciu złych dni, który kończy cykl. Tzolkin to cykl dwustu sześćdziesięciu dni: trzynastu miesięcy po dwadzieścia dni. Te dwa cykle zazębiają się: najlepiej jest wyobrazić je sobie jako dwa ogromne, sprzężone koła zębate – jedno posiadające dwieście sześćdziesiąt zębów, a drugie trzysta sześćdziesiąt pięć. Gdy obróci się jedno, obraca się i drugie. Co pięćdziesiąt dwa lata kalendarzowe obydwie koła rozpoczynają cykl w tym samym

punkcie.

To jeden system liczenia upływu czasu. Drugim jest tak zwany „długi kalendarz”, system, który liniowo mierzy upływ czasu od pewnego bardzo odległego punktu przeszłości. Nasze oznaczenie roku 1984 wskazuje na liczbę lat, które upłynęły od narodzenia Chrystusa: jeden okres tysiąca lat, dziewięć stuleci, osiem dekad oraz cztery lata po trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Data „długiego kalendarza” wskazuje, ile dni upłynęło od początku kalendarza Majów; oznacza się ją przez określenie liczby baktunów, czyli okresów po sto czterdzieści cztery tysiące dni; katunów, czyli ciągów siedem tysięcy dwustu dni; tunów lub lat po trzysta sześćdziesiąt dni; uinali, czyli okresów po dwadzieścia dni oraz kinów, to znaczy dni.

Wszystko to jest ważne, lecz sedno tkwi w mocy każdego dnia, a nie metodzie ich zliczania czy rejestrowania. Przed wielu laty nauczyłam się znaczenia tych liczb i dat od pewnej zasuszonej i kulawej staruszki, która z nieznanym mi powodów przeniosła się z górskiej wioski do Méridy.

Spotkałam ją, gdy targowała się o zioła na bazarze. Zmierzyła mnie bystrym spojrzeniem i skomentowała kiepską jakość wybranych przeze mnie produktów. Powiedziała, że gringo nie mają pojęcia o robieniu zakupów. Mówiła w języku Majów, a ja, spoczęta i zmęczona długim dniem robienia zakupów, odpowiedziałam w tym samym języku, że chętnie nauczę się tego, jeśli ktoś zechce być moim nauczycielem. Uśmiechnęła się i skinęła ręką, żebym poszła za nią.

Przez następną godzinę towarzyszyłam jej w mozolnej wędrówce od straganu do straganu. Nauczyła mnie kiwać palcem na znak braku zainteresowania, kiedy nalegać na lepszą cenę, kiedy ustąpić nieco, kiedy po prostu odejść, a kiedy żartować. Sprzedawcy gapili się na nas – Amerykanka i indiańska starucha – nikt jednak nie komentował. Po godzinie podziękowałam jej i kupiłam colę, którą wypijała z entuzjazmem.

Po tygodniu spotkałam ją znowu, tym razem pod wieczór na *zocalo*. Siedziała samotnie na zielonej ławce w zachodnim naroż-

niku placu i zawołała mnie do siebie. Piła aguardiente – żeby stłumić ból, jak mi powiedziała.

Nie wiem, co było przyczyną bólu, nie chciała o tym mówić. Zapytała mnie o godzinę i dzień, a kiedy jej powiedziałam, chwyciła mnie za nadgarstek i ścisnęła tak mocno, aż paznokcie wbiły się w moją skórę. Zapytałam, co się stało, ale odpowiedziała coś bez sensu. Chciała rozmawiać o czasie. Powiedziała, że ten dzień był ostatnim dniem złego roku; była niespokojna, ale nie mogłam dojść przyczyny tego podniecenia.

Kupiłam jej jeszcze jedną butelkę aguardiente – ból wydawał się rzeczywisty, a tylko taką pomoc z mojej strony zgodziła się przyjąć. Przy butelce zaczęła mówić coś bez związku, może recytować...

— Imix, on jest pierwszy: potwór na ziemi, głowa smoka, źródło wszystkiego. Rządzi zbożami: bardzo dobry dzień na siew. Ik jest drugi i on przynosi wiatr, bardzo dobry dzień. Akbal jest mroczny, polujący jaguar co pożera słońce. Żyje na zachodzie, gdzie pije ciemną wodę i deszcz, który sprowadza, nie jest dobry. Zabija zboże. Ofiaruj mu *bebida* i nie sadź niczego tego dnia.

Gdy tak mówiła, zdałam sobie sprawę, że imiona, które wymieniała, chwając jedne i ostrzegając przed innymi, to nic innego, jak nazwy dni tzolkinu.

— Ben jest panem kukurydzy, dobry dzień na jej sadzenie. Podać mu *atole* przyrządzoną z najlepszego ziarna. Oc ma głowę psa; sprowadza smutny deszcz, od którego ziarna kukurydzy gniją w ziemi, a dzieci chorują. Cauac ma głowę smoka; przynosi grzmoty i gwałtowne deszcze.

Potrząsnęła głową, głęboko westchnęła i jeszcze mocniej ścisnęła moją dłoń. Patrzyła na mnie oszalałym wzrokiem, chociaż nie sądzę, aby mnie w ogóle widziała. Recytowała almanach jak dla uczennicy, córki, syna, osoby, która zapamięta go i spożytkuje tę wiedzę.

— Znasz ich już, prawda?

— Tak, babciu – powiedziałam, żeby ją uspokoić. – Znam.

— Potem jest Lamat, pan wielkiej gwiazdy, która wschodzi

wraz ze słońcem. Potem Muluc; podaruj mu jadeit, a deszcz, który z nim przychodzi, będzie przychylny dla kukurydzy. Musisz zapamiętać takie rzeczy!

Oburącz chwyciła moją rękę i dyszała mi w twarz ciepłym, przesyconym alkoholem oddechem. Wokół nas panowała cisza. Zakochani i spacerowicze woleli drugą stronę placu, bliższą kawiarni, gdzie sprzedawano słodkie, owocowe lody.

— Musisz znać ich wszystkich: Etz'nab jest panem ofiar; nosi u boku ostry nóż z obsydianu. Utnij łeb indykowi na jego cześć; ucztuj dla niego.

Wszedł księżyc. Jego blade promienie sączące się przez liście ocieniających ławkę drzew pokryły cętkami okoliczne ścieżki. Gdzieś po drugiej stronie placu gitarzysta grał balladę, niewątpliwie przeznaczoną dla zakochanych, którzy pewnie woleliby, żeby zostawiono ich w spokoju. Staruszka wpatrzyła się w tarczę księżyca, jakby nigdy przedtem go nie widziała.

— Musisz też zapamiętać dzień o imieniu Men, rządzi nim stara bogini księżyc, Ix Chebel Yax. Jest najprzebieglejsza z nich wszystkich, sprowadza tęcze i powodzie, leczy lub niszczy. Karze dzieci bólem brzucha, pomaga rodzącym, zwodzi szaleńców, daje sen strapionym, płacze nici tkaczkom. W jej dniu możesz poznać swą przyszłość, lecz nie powinnaś jej ufać.

— Odpocznij, babciu – powiedziałam, kładąc dłoń na jej ręce. – Zapamiętam wszystko. Teraz jednak musisz iść do domu. Odprowadzę cię.

— To bez znaczenia – powiedziała. Głos miała już spokojniejszy. – Dzisiaj przypada ostatni z pięciu pechowych dni. Cimi jest ciemny i śmiercionośny; on zna Ah Puch. Kiedy przylatuje do ciebie, nie słyszysz go; jego pióra nie wydają dźwięku. Tego dnia musisz palić krew indyka zmieszaną z kadzidłem.

— Tak, babciu. A teraz odprowadzę cię do domu.

— Tej nocy umrę – powiedziała, wstając posłusznie jak dziecko, gdy pociągnęłam ją za rękę. – To koniec starego roku, cykle czasu powróciły do tego samego miejsca, w którym znajdowały się w chwili moich narodzin. Kończy się rok i Cimi przyszedł po

mnie.

Poszła za mną do krawężnika, a ja wezwałam taksówkę. Widać, że zakończyła recytację dni; była cicha, ustępliwa. Podała mi swój adres, który powtórzyłam kierowcy, zapłaciłam z góry i dopłaciłam ekstra za to, żeby pomógł jej wejść do domu. Stałam w blasku księżyca, słuchając granej na gitarze serenady. Paznokcie wiedzmy zostawiły ślady tuż obok starych blizn na moich nadgarstkach. Machinalnie rozcierałam je, spoglądając za odjeżdżającą taksówką.

Następnego dnia, który z braku lepszego imienia nazywałam niedzielą, wzięłam taksówkę i pojechałam pod adres podany przez staruszkę. Stał tam odrapany dom, jeden z szeregu odrapanych domów. Kobieta, która otworzyła drzwi, zdziwiła się, gdy zapytałam o staruszkę, i odpowiedziała po hiszpańsku: „Ona nie żyje. Czego pani chce?”

Wycofałam się, nie mogąc opowiedzieć o niesamowitym wieczorze przy księżycu, nie chcąc opisywać uczuć, które mnie tam przywiodły. Chciałam zapytać kobietę o nazwę tego dnia i jego znaczenie, ale nie zrobiłam tego. Złapałam tę samą taksówkę – musiała na mnie czekać za rogiem – i wróciłam do hotelu.

Dzisiaj – teraz, kiedy piszę te słowa – jest sobota. Nie znam nazwy tego dnia w języku Majów ani jego liczby. Nie znam bogów, którzy rządzą tym dniem. Wiem tak niewiele.

Rozdział II

Elizabeth

Umarli bogowie to po prostu bogowie, którzy przestali wpływać na naukowy czy moralny porządek dnia... każdy z nich może być powołany do życia na nowo.

Joseph Campbell
The War of the Animal Powers

W sobotę rano, zanim się obudziłam, Barbara i Diane wyjechały do Méridy. Poczułam ulgę. Przez ten jeden tydzień pobytu w obozie moja córka zakłócała mi chwile samotności częściej, niż wydawało się to możliwe.

Codziennie o świcie i o zmierzchu wędrowałam po okolicy. Przyglądałam się garncarce – młodej kobiecie o lśniących, czarnych włosach, które połyskiwały w porannym słońcu – jak modeluje naczynie, nadając mu kształt psa. Przystawałam w cieniu i słuchałam skrobania obsydianowego dłuta o cedrowe drewno: to pomarszczony starzec rzeźbił figurkę bożka. Nie widywałam Zuhuy-kak. W chwilach, kiedy najbardziej spodziewałam się ją spotkać, natykałam się na moją córkę.

O świcie, gdy siedziałam na szczątkach muru przy hiszpańskim kościele i obserwowałam kamieniarza, Diane nadeszła

ścieżką od strony cenoty. O zmierzchu, kiedy przystanąłam przy stanowisku 701 i patrzyłam, jak gęstnieją cienie, usłyszałam skrzypienie butów Diane na ścieżce prowadzącej z obozu. Cienie rozwiały się. Wczesnym wieczorem stałam nad cenotą i obserwowałam nietoperze ślizgające się po powierzchni wody. I oto za chwilę Diane machała do mnie radośnie ze ścieżki wiodącej do obozu.

Chętnie spacerowała ze mną i słuchała moich opowieści o wykopaliskach. Mówiłam dużo. Czasem, w jasnym świetle dnia myślałam sobie, że mówię o wiele za dużo.

W ciągu tego tygodnia kontynuowaliśmy prace przy kopcach domostw, świątyni Księżyca i przy grobowcu. Postępowały bardzo wolno; trzeba było oczyszczać z ziemi każdy głaz, nim można go było wyjąć, a każde wiadro ziemi należało przesiać w poszukiwaniu skorup naczyń i odłamków obrobionego kamienia. Ciężka, żmudna i brudna robota.

Pracujący przy grobowcu robotnicy odsłoniли osiem kamiennych stopni, prowadzących w dół, do wejścia do podziemnego korytarza. Gruz usunięty z klatki schodowej nie zawierał nic interesującego: kilka zwykłych skorup, kilka rzeźbionych kamieni z rytami zbyt zniszczonymi, aby można je odcyfrować.

W sobotę, wczesnym rankiem, poszłam sama do grobowca. Przechodząc przez plac, dostrzegłam błysk błękitu przy wykopie. Zuhuy-kak stała obok brezentowych płacht, które zakrywały otwór. Prowadziła mnie wzrokiem. Stała w pełnym blasku słońca i jej postać rzucała cień. Pozdrowiłam ją w języku Majów, usiadłam przy wykopie i zapaliłam papierosa.

Zuhuy-kak nadal stała, spoglądając przed siebie, w kierunku kopca.

— Widzisz – powiedziała, wskazując kopiec. – Widzisz, jak *ahnunob* zbeczcęcili świątynię. Wkrótce jednak ich czas przeminie. Niebawem koła czasu rozpoczną nowy cykl.

Podążyłam za jej wzrokiem, lecz ujrzałam tylko usiany skalnymi odłamkami pagórek i wijącą się wokół niego ścieżkę wydeptaną przez robotników. Ze swej grzędy na zwietrzałym kamieniu

spojrzała na mnie iguana.

— Jaki dziś mamy dzień, Ix Zacbeliz? – zapytała.

Wiedziałam, że chodzi jej o nazwę dnia według kalendarza Majów.

— Nie wiem – odpowiedziałam. – Teraz posługujemy się innym kalendarzem.

Zmarszczyła brwi.

— Nie wiesz? To skąd wiecie, co robić każdego dnia? – Sprawiała wrażenie bardziej pewnej siebie, niż wtedy, gdy ukazała się po raz pierwszy. Wyprostowana, jedną rękę lekko wspierała na zawieszanej u pasa muszli. – Nie znasz cykli czasu, Ix Zacbeliz? Przecież wiesz, że to, co było, nadejdzie znowu w nie kończącym się łańcuchu powtórzeń. Musisz się dowiedzieć, jaki dzień mamy dzisiaj, dobrze ci radzę. Zbliża się czas, gdy Ix Chebel Yax powróci do władzy.

— Postaram się tego dowiedzieć.

— Musisz. – Mierzyła mnie niepokojącym spojrzeniem.

— Dobrze – powiedziałam nieco ostrym tonem. – Teraz jednak interesuje mnie ten wykop. Czy mogłabyś powiedzieć mi, jak długo jeszcze mamy kopać? I co znajdziemy na dnie wykopu?

Kobiety nie było już jednak obok mnie. Wiatr zasyczał jak węże w suchych źdźbłach trawy u moich stóp, załopotał brezentem, wznecając tumany kurzu, które zatańczyły wokół kopca.

Tego wieczoru przy kolacji brakowało mi Diane i Barbary. Tylko John i Tony pozostali w obozowisku; wszyscy inni uciekli do Méridy w poszukiwaniu łóżek z czystą pościelą i gorącej kąpieli. We trójkę usiedliśmy na placu, popijając kawę i aguardiente o zachodzie słońca. John rozmawiał z Tonym, a ja wpatrywałam się w zmierzch, zapadający już poza obrębem placu.

Księżyc tkwił tuż nad drzewami – cienki rogalik o uniesionych w górę rogach. Chociaż raz cienie zachowywały się cicho: kapłan zakończył czyszczenie skóry jaguara, nie pracował żaden rzeźbiarz.

— Co o tym myślisz, Liz? – zapytał Tony.

— O czym? Nie słuchałam.

— John opowiadał o problemach na twoim ulubionym stanowisku.

Z nagle obudzonym zainteresowaniem spojrzałam na Johna.

Zgarbił szerokie ramiona, jakby szukając obrony przede mną.

— Jakiego rodzaju problemy? – zapytałam.

John objął obiema dłońmi filiżankę kawy.

— Prace posuwają się zbyt wolno. Na przykład, jeśli pójde skontrolować grupę Carlosa, po powrocie zawsze stwierdzam, że nastąpiło jakieś opóźnienie. Albo rozdarte sito, albo poluzowane stylisko kilofa. To jednego z ludzi ukłuł skorpion. Ktoś widział grzechotnika. Zawsze coś.

— Za tę grupę jest odpowiedzialny Pich, prawda? Zazwyczaj jest bardzo sumienny.

John wzruszył ramionami.

— Nie tym razem.

— Zapytam, co o tym sądzi Salvador – powiedziałam do Tony'ego. – Może należałoby zmienić grupy.

— Chyba tak – zgodził się.

Po jakimś czasie przeprosiłam ich i poszłam spacerkiem do chaty Salvadora. Z daleka widziałam sylwetkę mężczyzny stojącego na podwórku i palącego papierosa. Zawołałam do niego i Salvador podszedł do *albarrada*, murku zbudowanego z odłamków wapienia, który otaczał szklarnię, podwórko i dom. Zapaliłam papierosa i oparłam się o mur obok niego.

Powietrze pachniało roślinnością. Za ścianami szklarni widziałam bujną zielenią. Ogród Marii był troskliwie i przemyślnie pielęgnowany: drzwi wejściowe do domu ocieniało drzewko awokado, a wokół murku rosło chili i inne zioła. Z drugiej strony podwórza dochodził słodki zapach pomarańczy.

— Jak się mają sprawy? – zapytałam.

— Dość dobrze. – Zobaczyłam, jak czerwony koniec papierosa rozjarzył się na chwilę, by potem ponownie zblednąć do matowej czerwieni. Nie widziałam twarzy Salvadora.

— Cicho tu, gdy nie ma tamtych – powiedziałam.

— Tak, tutaj jest zawsze cicho.

— John mówi, że prace na jego stanowisku posuwają się bardzo powoli – powiedziałam. – Jego zdaniem wciąż pojawiają się nowe kłopoty.

Zgasił papierosa na kamieniu, a wokoło rozsypały się czerwone iskry.

— To nie jest dobra pora roku. I to nie jest szczęśliwe miejsce – rzekł. – Praca idzie wolno z powodu pecha.

Poczęstowałam go jeszcze jednym papierosem i zapaliłam go dla niego. W blasku zapalniczki ujrzałam jego twarz: spokojną, rozważną, nieruchomą. Przemówił, gdy papieros dobrze się rozżarzył.

— Kiedy hodowaliśmy tutaj bydło, w pobliżu tego miejsca zwierzęta zawsze płoszyły się. To niedobre miejsce.

— Nigdy przedtem nie mówił pan o tym.

Papieros zatrzymał się w pół drogi do jego ust.

— Wcześniej zapewne nie chciałyby pani o tym słyszeć – powiedział. Był niewidoczny w ciemności i wiedział o tym.

— Musimy tam kopać – powiedziałam. – To najbardziej obiecujące miejsce z napotkanych dotąd. – Urwałam. Koniuszek papierosa zalśnił mocniej, gdy Salvador zaciągnął się dymem. – Czy możemy tam posłać więcej ludzi? Czy to coś zmieni?

— To wąskie przejście – powiedział. – Jednocześnie może w nim pracować tylko trzech ludzi: jeden usuwa kamienie, drugi wydobywa ziemię, a trzeci ją przesiewa.

— Może zamieńmy ich na inną trójkę – odpowiedziałam. – Na ludzi, którzy nie wiedzą, że miejsce jest pechowe, albo nie przejmują się tym.

— Być może – odparł wymijająco. – Przydzielę inną trójkę.

Tego wieczoru siedziałam w mojej chacie, przeglądałam książki i obliczałam datę według kalendarza Majów. Nie było to łatwe zadanie.

Sylvanus Morley, wybitny znawca Majów, w latach dziewięćdziesiątych opracował formułę zamiany dat liczonych według

kalendarza Majów na kalendarz współczesny, najwidoczniej jednak nie przyszło mu do głowy, że ktoś chciałby się zajmować procedurą odwrotną.

Po długich obliczeniach i kilkakrotnym sprawdzaniu zdecydowałam, że ten dzień nosi imię Oc według tzolkinu, czyli świętego almanachu, i jest czwartym dniem Cumku, ostatniego miesiąca w haabie, to znaczy roku przejściowym. Rok Majów zbliżał się właśnie do końca. Koniec roku, czyli pięć dni nieszczęścia, rozpocznie się za szesnaście dni. Zastanawiałam się, czy to właśnie nadchodzący koniec roku wywołał obawy Salvadora. Zbliżaliśmy się również, według „długiego kalendarza”, do końca katunu, momentu zmiany cyklu.

W każdym razie Oc nie należał do najgorszych dni. Hieroglify przedstawiają go jako łeb psa, który prowadzi słońce na całonocną wędrówkę po świecie podziemnym. Przypuszczam, że gdybym zajmowała się układaniem horoskopów w oparciu o kalendarz Majów, mogłabym zinterpretować ten dzień jako coś w rodzaju: „dobry dzień do pobierania nauk”.

Tej nocy miałam bardzo wyraźny sen. Śniło mi się Los Angeles, to lepkie jak rozgnieciony bożonarodzeniowy cukierek-nieszpodzianka miasto, które opuściłam tak dawno. Słońce właśnie weszło i rozlewało wokoło blady jeszcze blask. Krawędzie przedmiotów zamazywały się: krzaki w ogrodzie sąsiadów nie były niczym więcej niż miękką zielonoszarą plamą; ciemnobrązowa smuga widniała w miejscu złamanego płotu oddzielającego dwie jasnobrunatne plamy trawników, pokropione ciemną zielenią w miejscach, gdzie rosły kępy palusznika krwawego. Na zachwaszczonym podjeździe spoczywał na obręczach stary volkswagen garbus – bladoniebieski, popstrzony rdzą. Opony samochodu były sflaczałe od lat. W mieście panowała cisza; nie szczekały psy, nie śpiewały ptaki, nie przejeżdżał żaden samochód.

Diane dreptała obok mnie – pięciolatka o okrągłej buzi i poważnych zielonych oczach. Jej malutka, miękka łapka tkwiła w mojej dłoni.

Nie skarżąc się, maszerowała obok mnie, chociaż szłyśmy już bardzo długo.

Chodnik pod naszymi stopami był popękany i spaczony. Stopa Diane uwięzła w miejscu, gdzie krawędź jednej z płyt była dużo wyższa od sąsiedniej. Złapałam ją w locie. Kiedy spojrzała na mnie, w jej oczach zalśniły łzy.

— Co się stało? – zapytałam ją. – Uderzyłaś się?

Potrząsnęła przecząco główką, lecz łzy już zaczęły kapać na ziemię. Czułam dziwny niepokój, który zmuszał mnie do chodzenia, mimo iż moje stopy pokrywały pęcherze.

— Chodź – powiedziałam. – Musimy iść. – Nie poruszyła się, nawet wtedy, gdy pociągnęłam ją za rękę. – Jeśli nie chcesz iść – powiedziałam – będę cię musiała tutaj zostawić.

Łzy lały się strumieniem po jej okrągłej buzi i spadały na chodnik, pozostawiając ciemne plamy. Pochyliłam się i porwałam ją w ramiona.

— Nie płacz – powiedziałam. W tej chwili usłyszałam za plecami głuchy ryk. Obejrzałam się i zobaczyłam jaguara, który wyśliznął się zza volkswagena i zmierzał wprost na nas, bez pośpiechu, pewien zdobyczy. Rzuciłam się do ucieczki, ale biegłam jak na zwolnionym filmie: moje stopy poruszały się wolno; kroki zmierzwały donikąd. Diane zarzuciła mi ręce na szyję – była ciężarem, którego nie mogłam z siebie zrzucić. Potknęłam się na krawędzi chodnika i upadłam na jedno kolano. Diane zwolniła uścisk i upadła na ziemię.

Za plecami usłyszałam głuchy ryk jaguara i wiedziałam, że nie mam dość czasu ani sił, żeby uratować moje dziecko.

Zbudziłam się we własnym hamaku. Znowu zagrział piorun, zaryczał jak jaguar, zadudnił jak kopyta wierzchowców chaacob. Na razie nie padał deszcz, tylko grzmiało. Grzmot z króliczego nieba, jak nazywali to zjawisko Majowie. Zły znak. Chaacob nadjeżdżali, lecz nic przywozili deszczu. Szczególnie niedobry znak dla nas, bowiem zapowiadający koniec pory suchej. Wraz z początkiem pory deszczowej będziemy musieli zakończyć prace wy-

kopaliskowe.

Stałam w drzwiach mojej chaty i rozejrzałam się po placu. Chociaż mój zegarek wskazywał kwadrans po pierwszej w nocy, pod daszkiem z falistej cynowej blachy, który osłaniał niewielki placzyk przed chatą Tony'ego, nadal paliła się latarnia. Ubrałam się i – wiedząc, że minie wiele godzin, zanim znów zdołam zasnąć – poszłam w stronę światła.

Tony siedział na jednym ze swych dwóch ogrodowych foteli. Ciasno owinał się starym szlafrokiem – tym samym, który od lat zabierał na każdy obóz. Na nogach miał zdarte skórzane kapcie. Jego łydki nad nimi były żałośnie chude i poznaczone czerwonymi bąblami po ukłuciach komarów. Drewniana skrzynia służyła za podręczny stolik. Spoczywała na nim fajka Tony'ego, pudełko zapalek, szklanka, butelka dzinu i butelka toniku. Tony czytał grubą książkę w niebieskiej oprawie, w której rozpoznałam opracowanie na temat typów naczyń używanych przez Majów. Słyszając dźwięk moich kroków, podniósł oczy znad książki, uśmiechnął się i odłożył dzieło na skrzynię.

— Jeszcze nie śpisz – powiedziałam. – Mnie obudził grzmot. Sądysz, że w tym roku deszcze zaczną się wcześniej?

— Nie ma mowy – odpowiedział. – To tylko letnia burza. Usiądź i napij się ze mną. To ci pomoże zasnąć.

Raczej niezbyt pewnie trzymał się na nogach, kiedy wstał i zanurzył się w ciemność chaty w poszukiwaniu szklanki dla mnie. Nigdy nie martwiłam się, że za dużo pije, dopóki żyła jego żona. Hilde zmarła przed dwoma laty. Wcześniej wiedziałam, że Tony popija podczas wyjazdów w teren, ale zakładałam, że w domu Hilde skutecznie ukróci jego pijackie zapędy. Teraz mieszkał samotnie w Las Cruces i podejrzewałam, że pił dużo i często. Zauważyłam, że cienie pod jego oczami znacznie pogłębiły się w porównaniu z zeszłym rokiem. Był chudszy, bledszy, bardziej wyniszczony.

Drink, który przyrządził dla mnie, był ciepły, a z toniku uszedł dawno gaz. Mimo to nie protestowałam. Ogrodowe krzesło zakrzypiało, gdy usiadłam i wyciągnęłam przed siebie nogi. Powie-

trze było nieruchome i parne. Grzmot przetoczył się przez niebo jak głązy rozpadających się imperiów.

Moje pierwsze stanowisko Indian Hopi znajdowało się w górach Mogollan, w stanie Arizona. Przez dwa miesiące mieszkałam w pstrokatej wiosce przeciekających namiotów, którą uniwersytet stanu Nowy Meksyk nazywał obozem terenowym. Pierwszej nocy obudził mnie grzmot, chlupotanie płynącej strumieniem wody i wilgoć. Włączyłam latarkę i snop światła padł na ruchomą powierzchnię niewielkiego wodospadu, który spływał kaskadą po ścianie namiotu – dostarczonego przez uniwersytet, pachnącego stęchlizną sprzętu z nadwyżek wojskowych. Kałuża zalała już moje buty i rozszerzała się w kierunku wejścia. Na zewnątrz deszcz smagał bok namiotu i potrząsał masztami. Przemoczony drelich koloru khaki niepokojąco łopotał.

Wyśliznęłam się z mokrego śpiwora i naciągałam ubranie, gdy usłyszałam skrzypienie zmieniających położenie masztów, ostry trzask pękającej linki oraz ciche westchnienie opadającego, mokrego drelichu. Jeden bok namiotu puścił, a za nim poszła reszta, zapadając w swe namoknięte wnętrze, przyjmując swój naturalny, prostokątny kształt.

Pozostawiłam ciuchy i zaczęłam po omacku posuwać się do wyjścia, klnąc wściekle, rzucając najdziwniejsze obelgi, jakich nauczyłam się od wariatek w szpitalu, kopiąc przemoknięty drelich, tłukąc go pięściami i latarką. W końcu udało mi się odsunąć połę namiotu i wyskoczyłam wprost w ulewę. Namiot leżał jak zdychający zwierz, od czasu do czasu dygocząc na wietrze.

Krople deszczu bębniły po mojej głowie, przylepiały mi włosy do czaszki, przesączały się przez ubranie. Stałam boso w błocie. Nagle usłyszałam czyjś chichot. Ktoś stał w otwartym wejściu jednego z namiotów, z rękami w kieszeniach flanelowego szlafroka. Był suchy, czysty i rozbawiony, a ja ruszyłam ku niemu, mając ochotę go zabić. Kiedy zobaczył, że zmierzam w jego stronę, przestał się śmiać.

— Przestań się śmiać, bo cię zabiję – powiedziałam. Dopiero niedawno opuściłam szpital i tylko świadomy wysiłek zapewniał

mi akceptację społeczeństwa. Bez niego szybko dochodziły do głosu prymitywne odruchy.

— Przepraszam – rzekł nieznajomy. – Proszę wejść i osuszyć się.

Myślę, że zdobył mnie jego głos. Nawet w wieku trzydziestu lat Tony miał ochrypły, uspokajający głos i ten lekko chrapliwy dźwięk kojarzył się z dotykiem miękkiego wełnianego koca na nagiej skórze albo futerkiem przyjaznego psa. Ofiarował mi ręcznik, pożyczył suche, o kilka rozmiarów za duże ubranie, na kuchence turystycznej zagrzał czekoladę, a rankiem pomógł mi wskrzesić mój upadły namiot.

Nigdy nie byliśmy kochankami, Tony i ja. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, przez jakiś czas najlepszymi przyjaciółmi, lecz nigdy nie spaliśmy ze sobą. Uważałam, że tak będzie lepiej.

Pamiętam ślub Tony'ego znacznie lepiej niż mój własny. Wspomnienia o moim ślubie z Robertem można porównać do obserwowania kamieni na dnie przejrzystego, rwącego potoku. Widzisz je, ale zdajesz sobie sprawę, że ruch wody zniekształca ich formę, a kolory, które widać, nie są ich prawdziwymi barwami. Wiesz, że te kamienie nie są tak gładkie, jak wyglądają, ale nie możesz ich dotknąć, żeby to sprawdzić. Woda jest zbyt zimna i zdradziecka, nie można ryzykować bliższego z nią kontaktu. Trzeba zachować dystans. Gdy przypominam sobie tamte czasy, to wydaje mi się, iż poślubiłam Roberta, próbując stać się kimś, kim nigdy naprawdę nie byłam. Przeciętą, normalną osobą.

Wspominam mój ślub i widzę oczami wyobraźni siebie i Roberta ubranych starannie i bardzo niewygodnie w nasze najlepsze rzeczy. Stoimy przed sędzią pokoju w biurze, które pachnie wędnącymi kwiatami. Dziś, myśląc o tym, czuję przenikający mnie zimny dreszcz. Nie pamiętam, czy wtedy czułam się tak samo.

Ślub Tony'ego odbył się w kościele pełnym kwiatów i życzliwych mu ludzi. Stałam z tyłu, odmówiwszy zajęcia miejsca w wianuszku druhen. Hilde prosiła mnie o to, ale z pewnością czułabym się obco i niezdarnie w jedwabnej sukni do ziemi. Pa-

miętam, jak Tony maszerował długim krokiem do ołtarza, jak gmerał w kieszeni w poszukiwaniu obrączki, podniósł w końcu koronkowy biały welon i pocałował pannę młodą o jasnoblond włosach. Pamiętam nawet, o czym wtedy myślałam. Zastanawiałam się, dlaczego to w ogóle nie boli. Zastanawiałam się nad dziwną pustką, jaką czułam w sercu.

Jakbym była szkieletem na pół wybudowanego domu albo skorupą rozbitego garnka. Miałam wrażenie, że ta pustka skupia się w jamie brzusznej, i myślałam nawet, że może to początek grypy.

Po ceremonii razem z innymi gośćmi złożyłam młodemu najlepsze życzenia i wypiliśmy na ich cześć szampana. Bąbelki wznosiły się i wybuchały w niezmierzonej próżni mojego żołądka, ale nie zdołały jej wypełnić. Tańczyłam niezdarnie z mężczyznami, z którymi nie miałam ochoty rozmawiać.

Trochę po północy wróciłam do domu. Usiadłam przy biurku w moim ciasnym, źle umeblowanym, jednopokojowym mieszkanku, gapiłam się na tapetę w kwiatki i koszmarne, zielony dywanik i pracowałam nad projektem mojej pracy magisterskiej, pilnie czytając i notując. O świcie pojechałam do biblioteki uniwersyteckiej, tak żeby być tam w momencie jej otwarcia. Po drodze minęłam grupę Indian wybierających się na polowanie. Kiedy Tony wrócił z miodowego miesiąca, przywitałam go i nasza przyjaźń trwała nadal bez przeszkód.

A teraz doszliśmy do takiego oto etapu: starzy przyjaciele popijają razem ciepły dżin z tonikiem i przysłuchują się grzmotom.

— Lubię twoją córkę – powiedział Tony swobodnym tonem. – Jest bardzo podobna do ciebie z czasów naszych pierwszych wykopalisk.

— Tak? Czyli jaka?

— Ostrożna – powiedział Tony. – Bardzo skupiona. Traktuje ludzi przyjaźnie, ale nigdy do końca nie opuszcza tarczy obronnej. Coś się dzieje pod całym tym jej spokojem, nie wiem jednak, co.

— Ja też nie.

Zadudnił grzmot i Tony poczekał, aż się przetoczy. Powiał mocniejszy wiatr, skupione wokół nas cienie zakołysały się, gdy podmuch zaatakował płomień lampy.

— Nie sądzę, żebyś musiała się martwić Carlosem. Diane jest na to za mądra.

— Chyba masz rację.

Zaczęły padać duże krople deszczu. Każda zostawiała mokrą plamę wielkości dwudziestocentówki na ubitej ziemi placu. Wiatr minął nas, zabierając ze sobą deszcz, omiótł nim cynowy daszek i popędził w dal.

— A ty? – zapytał Tony. – Czy znajdujesz wspólny język z Diane?

Wzruszyłam ramionami, spoglądając w deszcz. Wciąż bardzo wyraźnie pamiętałam ten sen. Czułam niepewność, której nie potrafiłam wytłumaczyć.

— Chyba tak.

— Zastanawiałem się... Wyglądasz, jakbyś się czymś martwiła. Chcesz o tym porozmawiać? – Pochylony do przodu trzymał w obydwu rękach szklanę.

Nie lubię, gdy przyjaciele pochylają się w ten sposób i pytają, czy ze mną wszystko w porządku, szczególnie, jeżeli pytają o zmartwienia, do których jeszcze nie przyznałam się sama przed sobą. Miałam niejasne przeczucie, ulotne wrażenie, że gdzieś zostaje zachwiana równowaga i przestaje panować nad sytuacją.

— Tego pierwszego lata w Arizonie byłaś bardzo skupiona, zamknięta w sobie, z zewnątrz gładka jak matowe szkło – powiedział Tony. – Wiedziałem jednak, że w środku kryje się wybuchowy materiał, który eksploduje przy najmniejszym zarysowaniu tej powierzchni. Teraz znowu mam takie uczucie.

Założyłam ręce na piersi. Potrząsnęłam głową. Gdzieś w ciemnościach, poza chybotliwym kręgiem światła lampy, gromadziły się cienie. Świat tracił równowagę.

— Co się dzieje?

— Czuję się... – Bezradnie zamachałam rękami, co miało oznaczać: pusta, otwarta, bezbronna. – Nie wiem.

Znów odchylił się na oparcie krzesła.

— Zawsze zastanawiam się nad tym, kto z nas gorzej na tym wychodzi. Ty trzymasz ludzi na odległość, zamykasz się przed nimi, tak żeby nie mogli cię zranić. Ja dopuszczam ich do siebie tak blisko, że nie mogą się powstrzymać, żeby mnie nie zranić. – Mówił powolnym, spokojnym głosem, odrobinę tylko zniekształconym przez alkohol. – Żadne z nas nie umie znaleźć złotego środka. – Wyciągnął ręce i ujął moją dłoń. Trzymał ją ostrożnie i delikatnie.

Ten dotyk sprawiał mi przyjemność. Jego głos był ciepły i uspokajający. Dłonie miał szorstkie od kąpieli kwasowych, za pomocą których oczyszczał naczynia z wapiennych osadów.

Nie pozwalałam ludziom, żeby mi pomagali. Zawsze miałam z tym ogromne kłopoty. Tony wiedział o tym. Nie chciał mnie ponaglać.

— Boję się – powiedziałam w końcu.

Zagrzmiało znowu i deszcz zaklekotał na daszku nad naszymi głowami. W świetle błyskawicy, która omiotła plac, zobaczyłam cień przesuwający się wraz z falą deszczu przez ubite podłoże placu, jednak niepomny na deszcz. W świetle cienia nie padało.

— Nie bój się – powiedział Tony.

Kolejna błyskawica wyraźniej oświetliła cień. Była to młoda kobieta w błękitnym stroju, o twarzy rozjaśnionej blaskiem księżyca, którego ja nie widziałam. Rozpoznałam ją po tatuażu na twarzy. To Zuhuy-kak, kiedy była młodsza. Słyszałam rytmiczne bicie bębna, głuchy odgłos drewna. Kobieta tańczyła, unosząc ramiona nad głowę i podskakując ku niebu. Jeszcze jeden błysk: wiorowała, a światło zamigotało na ostrzu noża z obsydianu, który trzymała w ręce. Bicie bębna zmieszało się z rykiem pioruna. Była radosna, jej wielkie oczy przepełniała siła. Czułam, jak blask księżyca wlewa się w moje żyły i przez moment chciałam się do niej przyłączyć – zatańczyć razem z nią w tym świetle.

— Liz? – Tony ścisnął moją dłoń, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Pamiętaj, że zawsze możesz ze mną o wszystkim porozmawiać.

— Będę pamiętać – powiedziałam.

Rozbłysła błyskawica i nie zobaczyłam już nic oprócz deszczu. Trzymałam ciepłą, twardą dłoń Tony’ego i starałam się nie bać.

Byłam zmęczona. Deszcz ustał wkrótce po tym, jak opuściłam Tony’ego, ale niewiele spałam, bo wciąż budziły mnie różne codzienne dźwięki: a to grzechotanie poruszanych wiatrem drzwi, a to rechotanie żaby albo grzmot.

Ziemia parowała w porannym słońcu. Spragniona gleba wssała już większość wody. W kilku pozostałych kałużach zażywały kąpieli ptaki. Jedna ze świń Marii uciniała sobie drzemkę w kałuży przy ogrodzeniu.

Na stanowiskach wszystko było w porządku. Trochę wody przeciekło przez przykrywający otwór brezent, lecz nie za wiele. Kamienie były wilgotne.

Zeszłam na dół po kamiennych stopniach. Po podłodze prze-maszerowała falistym ruchem stonoga i skryła się w rumowisku. Gdy wyprostowana stałam w przejściu, zaledwie dotykałam kapeluszem kamiennych płyt sklepienia. Korytarz miał pięć i pół stopy wysokości i trzy szerokości. Jego konstrukcja była dość prosta: murowana obudowa schodów, starannie ułożone jedne na drugich kostki wapienia. U szczytu wystające bloki tworzyły półkę, na której wsparto płaskie płyty stanowiące dach korytarza. Na tych płytach ułożono cementową posadzkę rynku. Korytarz miał dla mnie tylko takie znaczenie, że mógł prowadzić do czegoś interesującego. Wróciłam na górę, w rozświetlony dzień.

Zuhuy-kak przykucnęła w cieniu, jak gdyby czekała na mnie. Pozdrowiłam ją, a ona odpowiedziała skinieniem głowy, akceptując moją obecność. Usiadłam na pobliskim gładzie i zapaliłam papierosa.

— Wczorajszy dzień nazywał się Oc – przypomniałam. – Był czwartym dniem Cumku.

Uśmiechnęła się.

— Tak – odrzekła. – Wkrótce skończy się rok. Nadchodzi czas. Czy widziałaś moich wrogów, Ix Zacbeliz?

— Wczoraj śniłam o jaguarze, który zaatakował mnie i moją córkę – powiedziałam wolno.

— On wie, że nadchodzi czas zmiany – odparła. – Odwracają się cykle. – Z namysłem przesunęła palcem po muszli u paska. – Moi wrogowie spróbują przeszkodzić bogini w odzyskaniu władzy. Musisz być ostrożna. – Odwróciła się ode mnie, śledząc wzrokiem linię budynku, który już dawno osunął się na ziemię. – Tak tu cicho, od kiedy odeszli ludzie – mruknęła. Ze skąpanej w słońcu skały na kopcu śledziła nas jaszczurka wielkości mojego przedramienia. Cicho szeptały trawy. – Nie wiedziałam, że robi się tu tak cicho.

Spojrzała na mnie smutnym i znużonym wzrokiem. Wyciągnęłam do niej rękę, chcąc ją pocieszyć. Moja dłoń przeszła przez nią jak przez dym i zostałam sama w rosnącym skwarze poranka.

Rozdział 12

Diane

Dżungla pokrywa prawie wszystko: jest tłem, w którym kryją się pozostałe cechy powierzchni ziemi. Nigdy na stałe nie poddaje się woli człowieka; leśne poletka są zaledwie chwilowymi roszczeniami ludzi wobec dobrych bóstw, które ożywają i zamieszkują dżunglę...

Robert Redfield
Folk Culture of the Yucatan

Tego wieczoru poszliśmy na mecz koszykówki i patrzyliśmy, jak przegrywa drużyna Marcosa. Mecz rozgrywano na głównym dziedzińcu, otoczonym wysokimi stiukowymi budynkami. Na ciemnej łacie nieba nad naszymi głowami widniało kilka gwiazd. Okrzyki widzów odbijały się echem od złotych ścian. Mały chłopiec wypisywał punkty na dużej tablicy. Drużyna Marcosa to młodzi, długonodzy mężczyźni w jaskrawozielonych strojach, którzy biegali, krzyczeli i odbierali piłkę młodym, długonogim mężczyznom ubranym na błękitno. Wysoko nad dziedzińcem gwiazdy wędrowały po kwadracie nieba.

Siedziałyśmy z Barbarą na szczycie betonowej trybuny pod gołym niebem, będąc jedynymi przedstawicielkami Ameryki Pół-

nocnej w tym tłumie. Barbara oparła się o przylegającą do ławki ścianę budynku i założyła ręce za głowę. Jej oczy śledziły biegających po boisku mężczyzn.

— Proszę zapakować – powiedziała cicho. – Zabierzemy ich wszystkich do domu.

Na boisku Marcos zamarudził z piłką i stracił ją na rzecz jakiegoś błękitnego olbrzyma. Rozpoznawałam go jedynie na podstawie numeru na koszulce.

— Mam niejasne przeczucie, że to nie spodobałoby się Liz.

— Chyba masz rację. Ona rozwiązuje problem seksu poprzez unikanie go. – Zerknęłam na nią, a ona wzruszyła lekko ramionami. – O ile wiem, oczywiście.

— Od jak dawna ją znasz? – Też oparłam się o mur, naśladowując swobodną pozę Barbary.

— Od siedmiu lat – powiedziała. – Od trzech lat pracujemy razem na uczelni. – Oderwała wzrok od boiska i spojrzała na gwiazdy. – Twoja matka nie ma łatwego charakteru. Lubi utrzymywać dystans. Pracowałyśmy razem już półtora roku, zanim po raz pierwszy zaprosiła mnie do siebie.

— Gdzie mieszka? – Pytanie padło, nim zdążyłam się nad nim zastanowić.

— Ma małe mieszkanie w starym budynku. Jeden pokój. Zapchany książkami, skorupami i innymi znaleźkami. Mała kuchnia. Myślę, że przeważnie jada poza domem. – Barbara popatrzyła na mnie, wciąż swobodnie. – Wiesz, wciąż nie opowiedziałam ci tej historii. Jesteś córką Liz, nie znasz jej jednak i ona nie zna ciebie. Zjawiasz się tutaj nieoczekiwanie i zostajesz. – Nie patrząc na mnie, wzruszyła ramionami. – Opowiedz mi, jeśli chcesz.

— Matka i ojciec rozwiedli się, kiedy miałam pięć lat. Wychował mnie ojciec – powiedziałam. – Po rozwodzie widziałam matkę zaledwie kilka razy. Ojciec nie życzył sobie, aby utrzymywała ze mną jakiegokolwiek kontakty. Dlatego nie znam jej. Nie znam jej ani trochę.

— Ojciec zabraniał jej widywać się z tobą? Czy Liz nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia?

Wzruszyłam ramionami.

— Najwidoczniej nie.

Dziedziniec eksplodował brawami. Okazało się, że drużyna Marcosa przejęła piłkę i zdobyła punkt – pierwszy od dziesięciu minut. Barbara odczekała, aż ucichnie aplauz, jej oczy podążały za biegającymi mężczyznami.

— A więc? Prześpisz się z nim?

Nie odpowiedziałam, ale byłam jej wdzięczna za zmianę tematu. Byłam pewna, że zrobiła to tylko ze względu na mnie.

— Nie oczekuj zbyt wiele, jeśli się zdecydujesz – powiedziała. – Meksykanie postępują według zupełnie innych reguł.

— To brzmi jak głos doświadczenia.

— Słyszało się to i owo.

Jednak ja nie zdążyłam niczego usłyszeć. Emilio pomachał nam z dołu, po czym wdrapał się do nas, usiadł o jeden poziom niżej, oparł się o nogi Barbary i uśmiechnął się do niej szeroko, ukazując swój złoty ząb.

— Wiedziałem, że Marcos i ja będziemy mieć dzisiaj dobry dzień – powiedział.

W niedzielę rano obudził nas dźwięk kościelnych dzwonów wzywających ludzi na mszę. Marcos i Emilio zjawili się w kawiarni w momencie, gdy kończyłyśmy śniadanie. Emilio rzucił obok stolika wiązkę hamaków, opadł na krzesło, skinął na kelnerkę i poprosił o jeszcze dwie kawy.

— *Qué hacemos?* – zapytał Marcos, siadając obok mnie. – Co macie zamiar robić?

— Macie ochotę na hamak? – zagadnął Emilio przechodzącą parę. Przez następną chwilę mieliśmy okazję obserwować skomplikowany rytuał ostrożnych negocjacji. Kobieta powiedziała nie, a mężczyzna tak, po chwili mężczyzna zmienił zdanie na może i kobieta na może. W końcu, po długim targowaniu się, kobieta powiedziała tak i mężczyzna tak. Emilio powrócił do stolika z uśmiechem na ustach.

— A więc co robimy? – zapytała Barbara, lecz Emilio, którego

żądza zysku oderwała od romantycznych myśli, wypatrzył po drugiej stronie kawiarni dwójkę francuskich turystów i przyglądał się, jak inny sprzedawca próbował ich namówić na kupno hamaka.

— Ja sprzedam im hamak jutro – powiedział.

— Zostawmy tych facetów tutaj i chodźmy gdzieś, gdzie jest chłodno – zaproponowała mi Barbara.

Marcos pochylił się do przodu i powiedział:

— Moglibyśmy pójść do parku. Nie widziałyście jeszcze parku, prawda?

Złapaliśmy autobus na drugi koniec miasta, rozklekotany pojazd, który z pewnością przyjechał do Méridy, aby tu wyzionąć ducha. Założę się, że ten trzeszczący, rzeżący, zatłoczony i przeciążony wehikuł miał za sobą wieloletnią, ciężką służbę w Stanach lub jakiejś bogatej dzielnicy Meksyku. Autobus zawiózł nas do parku, w którym – choć niezbyt chłodno – było jednak o wiele przyjemniej niż w kafejce.

Wybraliśmy się na przejażdżkę małym tramwajem, który okrążał cały park, wciśnięci w kąt wagonika wypełnionego tęgiemi kobietami w chłopskich strojach i roześmianymi dziećmi o rękach lepkich od cukrowej waty i ostrego sosu. Później wynajęliśmy łódkę o niezgrabnych, drewnianych wiosłach i popłynęliśmy wolno po maleńkim, cementowym baseniku napełnionym zielonkawą wodą, o głębokości nie większej niż metr. Barbara i Emilio wiosłowali z entuzjazmem. W połowie jeziora zderzyliśmy się z łódką pilotowaną przez dobrze zbudowanego Meksykana. Jego żona i dwójka dzieci spoglądały na nas okrągłymi ze zdziwienia oczami, gdy wykrzykiwaliśmy głośno przeprosiny po angielsku i hiszpańsku. W drodze powrotnej staranowaliśmy z kolei łódkę dwóch nastolatków, którzy potraktowali tę kolizję jako wyzwanie. Wyższy z chłopców trzasnął wiosłem w wodę, posyłając w naszą stronę kaskadę zielonej cieczy. Szybko poszukaliśmy schronienia na brzegu.

Jeszcze później jeździliśmy kolejką ponad parkiem, a mijając staw, rzucaliśmy chrupkami ziemniaczanymi w chłopców i,

przypadkowo, również w meksykańskiego ojca, który nadal wio-
słował zapamiętałe, daremnie usiłując dotrzeć do odległego brze-
gu.

Obserwowaliśmy nastolatków śmigających na rolkach po nie-
wielkim wybetonowanym kręgu. Marcos kupił dla mnie balonik
od starego, pomarszczonego sprzedawcy. Barbara i Emilio usiło-
wali sprzedać hamak dwóm młodym Amerykanom.

Przy metalowym stoliku ustawionym obok straganu z napoja-
mi siedziały dwie kobiety ubrane w *huipil*. Popijały colę i zagryza-
ły ziemniaczanymi chrupkami. Po ścieżkach rozbiegła się grupka
rozkryczanych dzieci, a za nimi szła, z trudem nadażając, kobie-
ta w średnim wieku, z przydużą torbą na ramieniu. Dalej czwórka
nastolatków, z rękami w kieszeniach i okularach przeciwsłonecz-
nych na nosach, spacerowała leniwie ścieżką. Emilio kupił dla
nas słodkie *helados*, lody o smaku melona, z ziarnami kantalupy.
Marcos trzymał mnie za rękę, lepką od owocowego soku. Szliśmy
za chłopcami, dostosowując krok do wolnego tempa dnia.

Zoo było niewielkie, pachnące rozgrzаныmi zwierzętami, roz-
grzanym sianem i rozgrzanym nawozem. Sowa – małe, brązowo
upierzone stworzenie o zabawnych, delikatnych kitkach nad
uszami – przycupnęła w najdalszym kącie klatki, byle dalej od
ścieżki. Gdy Barbara zahukała do niej cicho, naśladowując głos, któ-
ry słyszała nocą w naszym obozie, sowa zamrugła, nastroszyła
pióra i na powrót zamknęła oczy.

Jaguar przemierzał tam i z powrotem swoją klatkę; trzy kroki
do tylnej ściany, zwrot ze skrzyżowaniem nóg, trzy kroki z po-
wrotem i tak bez końca. W pewnym momencie drapieżnik spoj-
rzał na mnie. Marcos oparł się o balustradę.

— Czy w dżungli są jeszcze jaguary? – zapytałam go. – Nie
chciałabym spotkać jednego z nich przy mojej chacie.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie tutaj. Nie w pobliżu Méridy. Już nie. – Ostrożnie objął
mnie ramieniem. – Boisz się być sama nocą w obozie? Pojadę tam
z tobą i będę cię chronił.

Roześmiałam się.

— Och – może nie ma już w Méridzie jaguarów, ale z pewnością są wilki.

Zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem.

— Nie szkodzi. To nic ważnego. – Dostrzegłam Barbarę i Emilia przy wybiegu wielbłąda i poprowadziłam Marcosa w tamtym kierunku. Zatrzymał się, ujął moją dłoń, przyciągnął mnie do siebie i lekko pocałował w usta.

— Nie powinnaś śmiać się ze mnie dlatego, że cię nie rozumiem – powiedział. – Ja się z ciebie nie śmieję.

Chyba się zaczerwieniłam.

— Przepraszam – powiedziałam. – Ja nie dlatego...

Pocałował mnie jeszcze raz, a potem poprowadził do Barbary i Emilia, którzy właśnie karmili wielbłąda prażoną kukurydzą.

Zanim wróciliśmy do Parque Hidalgo, już zapadał zmierzch. Po jednej stronie rynku ustawiała się kolejka do kina, po drugiej sprzedawcy oferowali baloniki ludziom wychodzącym z kościoła na rogu.

Usiedliśmy z Marcosem na betonowej ławce po jednej stronie parku, Barbara i Emilio zajęli drugą. Ławki w Méridzie wyglądają jak dwa krzesła połączone ze sobą w literę S – osoby siedzą twarzą do siebie, jednak dzieli je szerokie, betonowe oparcie. Blisko, a zarazem osobno. Wciąż miałam na oczach przeciwsłoneczne okulary, przez co świat wydawał mi się zamglony i odległy. Marcos przyjacielsko trzymał mnie za rękę, a ja obserwowałam Barbarę i Emilia. Emilio starał się przekonać Barbarę, żeby została jeszcze jedną noc w Méridzie i spędziła ją z nim. Barbara obiecywała, że zobaczy się z nim w następny weekend. Domyślałam się treści ich rozmowy, ponieważ cała dyskusja rozpoczęła się jeszcze w autobusie, w powrotnej drodze z parku. Barbara śmiała się i kręciła przecząco głową.

Czułam zmęczenie po upalnym dniu. Na kamiennej kostce placu zalecały się do siebie gołębie. Samiec krążył wokół samicy, gruchał i nadymał pióra na szyi tak, że chwytaly promienie swia-

tła. Obojętna na jego wdzięki samica z pochylonym do ziemi łebkiem poszukiwała okruchów.

Dwoje małych dzieci – chłopczyk w błękitnej koszulce i dziewczynka w wyblakłej sukience – podeszło do nas z kwiatami. Marcos kupił dla mnie jeden, a ja zatknęłam go sobie za ucho. Dziewczynka uśmiechnęła się; miała nierówne zęby i dawno nie czesane włosy. Poklepałam ją po ramieniu, jak się klepie kociątko lub szczeniaka – i dałam jej monetę.

— Przyjedziesz w następny weekend? – spytał Marcos.

— Tak – odpowiedziałam. – Tak sądzę.

Ścisnął lekko moją dłoń.

— Czasami – powiedział – wyglądasz, jakbyś była bardzo daleko stąd. Co się z tobą wtedy dzieje?

— Chyba po prostu rozmyślam. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Przez chwilę obserwował moją twarz, a potem wzruszył ramionami.

— Cokolwiek to jest, będzie w porządku. Jesteś w Méridzie, z nami. – Znowu delikatnie ścisnął moją dłoń. – Będzie dobrze. Zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

Naprzeciw dwójka małych kwiaciarzy przeszkodziła Emilio w próbach przekonania Barbary. Widziałam, jak usiłuje przepłoszyć ich i kontynuować rozmowę, ale chłopiec uśmiechnął się tylko i znowu wetknął mu przed nos bukiet kwiatów. Sprytnie łobuziaki nie dały się zbyć, trzymały przed sobą kwiaty i obserwowały roześmianą Barbarę. W końcu zniecierpliwiony Emilio podniósł ręce do góry na znak poddania się, nabył od chłopca kwiat, a dziewczynkę przekupił monetą.

— Nie smuć się – powiedział Marcos. – Wrócisz tutaj już za tydzień. Jeden tydzień przeminie, ot tak. – Machnął ręką w powietrzu.

Barbara podeszła do nas, trzymając kwiatek między palcami. Obok niej kroczył pokonany, lecz wciąż pełen nadziei Emilio. Odjechałyśmy samochodem pachnącym więdnącymi kwiatami.

Rozdział 13

Elizabeth

Diane i Barbara wróciły do obozu późno w niedzielę, oznajmiając swój przyjazd głośnym rykiem silnika w godzinę po zachodzie słońca. Tony, John i ja siedzieliśmy właśnie przed chatą Tony'ego. Barbara pomachała do nas z samochodu i natychmiast przyniosła zakupioną w Méridzie butelkę czerwonego wina, nalegając, abyśmy wypili ją wspólnie. Była w doskonałym nastroju, zadowolona z wyprawy do Méridy, zadowolona z powrotu. Zachowanie Diane było o wiele bardziej powściągliwe.

Barbara przyciągnęła kilka składanych krzeseł. Piliśmy wino, słuchając opowiadań Barbary o sprzedawaniu hamaków turystom. Wino było zbyt słodkie. Diane mówiła niewiele, a ja przyłapałam się na obserwowaniu tańczących wokół nas cieni. Tańcząca kobieta nie powróciła. Byłam niespokojna, jakby nie na swoim miejscu. Przeprosiłam wszystkich i odeszłam, wypiwszy tylko jedną szklankę wina. Samotnie podążyłam w stronę cenoty.

Dotknęłam talizmanu, podarowanej mi przez Tony'ego monety, którą zawsze nosiłam w kieszeni. Tony ofiarował mi ją tego samego dnia, gdy powiedział, że mnie kocha. Nie pamiętam, co mu odpowiedziałam. Lepiej pamiętam słowa innych niż swoje własne. Wracaliśmy do domu z kina. Tony nalegał, żebym z nim poszła; mówił, że pracuję za ciężko, że potrzebuję rozrywki. Kiedy doszliśmy pod drzwi mojego mieszkania, wyjął z kieszeni ciemnoniebieskie pudełko i podał mi je.

— Zrobiłem coś dla ciebie – powiedział.

Gdy otwierałam pudełko, dodał:

— Zdajesz sobie sprawę, że bardzo mi na tobie zależy. – Był nieśmiały, trochę niezdarzy. Ja miałam nadzieję, że z pudełka wyskoczy nagle gumowy wąż albo zabrzęczy syrena-zabawka lub też w jakiś inny sposób to wszystko okaże się żartem. W świetle zamigotała moneta. – Kocham cię, Liz. Czy wiesz o tym? – powiedział cicho Tony.

Wiedziałam – chociaż dotąd nie chciałam się do tego przyznać, nawet sama przed sobą. Odpowiedziałam – wydaje mi się, że odpowiedziałam:

— Nie chcę tego, przykro mi.

Zdaje się, że wyciągnęłam do niego rękę z monetą w nadziei, że zabierze ją i schowa z powrotem do kieszeni.

Ujął moją dłoń i łagodnie zamknął ją na monecie. Przez chwilę trzymał moje ręce w swoich.

— Przemyśl to – powiedział. Odwrócił się i odszedł, pozostawivszy monetę w mojej dłoni.

Pamiętam, jak wróciłam do domu. Nie włączyłam lampy; w przenikającym przez rolety świetle ulicznej latarni widziałam rozmazane zarysy sprzętów i nie chciałam widzieć nic więcej. To, co powiedziałam Tony'emu, było prawdą. Nie byłam w stanie go kochać. Gdzieś we wnętrzu mojej świadomości razem z szaleństwem zamknęłam, zapieczetowałam tę część mnie, która potrafiła kochać. Gdyż ta część mojej osobowości znajdowała się zbyt blisko innej, tej która umiała nienawidzić i która tkwiła w samym centrum szaleństwa. Odciełam się od nich obydwu; pozostała pustka, która nie bolała, bo nie było w niej żadnych zakończeń nerwowych. Poszarpałam je i wypaliłam ranę. Siedziałam w ciemnym, brzydkim pokoju mieszkania, które wymagało malowania, i badałam tę martwą plamę, myśląc o Robercie, myśląc o bólu szaleństwa. Nic.

Nie sądzę, żebym płakała. Nie pamiętam płaczu. Pamiętam, że długo brałam prysznic, pozwalając, by woda opływała moje ciało. Pamiętam, jak myślałam, że skoro czuję na sobie strumień wody,

to muszę być żywa. Lecz ciepła woda nie sięgnęła tej części mnie, którą zamknęłam w sobie.

Tony i ja pozostaliśmy przyjaciółmi – bardzo dobrymi przyjaciółmi. Próbowałam mu oddać monetę, ale nalegał, żebym ją zatrzymała. Chodziliśmy razem na lunch, od czasu do czasu na obiad. W końcu wspomniał mi, że spotyka się z Hildę, jedną z sekretarek na naszym wydziale.

Cenota była ciemna i nieruchoma. Stałam na krawędzi jeziora i lekko ścisnęłam w dłoni monetę. Coś poruszyło się w najciemniejszym zakątku mojej pamięci, coś, czemu nie chciałam się zbyt uważnie przyglądać. Dochodziły do głosu jakieś dawno pogrzebane uczucia.

Za plecami usłyszałam szelest materiału. Zuhuy-kak stanęła u mojego boku, uśmiechając się w blasku księżyca.

— Och, jesteś tu – powiedziała. – To dobrze, bo należysz do tego miejsca.

Odpowiedziałam na uśmiech. Jej obecność złagodziła mój niepokój. Naprawdę należałam do tego miejsca – zawsze to czułam.

— Przyszłam ci powiedzieć, że zbliża się dzień nieszczęścia – oznajmiła. – Dzień Ix, to jest czwarty dzień od dzisiejszego, będzie dla nas niekorzystny. Dniem tym rządzi bóg jaguara, który nie życzy sobie powrotu do władzy mojej bogini. Musisz złożyć jej ofiarę, która uczyni ją silniejszą i da jej moc zwalczania wrogów.

— Co mogę jej ofiarować?

— Coś, co cenisz. – Zuhuy-kak spojrzała na monetę, a ja zamknęłam ją w dłoni. Oczyma wyobraźni ujrzałam nagle, jak moneta zatacza w powietrzu wysoki łuk, chwyta promienie księżycowego światła i spada w czarną otchłań wody.

— Wahasz się – powiedziała.

— Tak – odrzekłam. – Myślę o tym, że nie powiedziałaś mi jeszcze, co znajdziemy na końcu korytarza.

Popatrzyła na mnie, marszcząc brwi.

— Zastanawiasz się, czy wynik będzie wart ofiary. Nie wolno się targować z bogami.

Wzruszyłam ramionami.

— Ja myślę o tych sprawach inaczej niż ty.

— A co chciałybyś znaleźć, Ix Zacbeliz?

Zastanowiłam się. Oboje z Tonym żartowaliśmy na temat ja-deitowych masek oraz złota, ale to były tylko żarty. Czego się spodziewałam? Grobowca, który wzbogaciłby naszą wiedzę na temat obrzędów religijnych? Fresków podobnych do tych znalezionych w jaskiniach Bonampak?

— Wiem, czego chcesz – powiedziała cicho Zuhuy-kak. – Mogę ci powiedzieć. Pragniesz władzy. I to właśnie znajdziesz na końcu korytarza. Moc bogini.

Nie przestawałam obracać w palcach monety.

— Jeśli chcesz zdobyć przychylność bogini, musisz złożyć ofiarę. Musisz ją ofiarować bez żalu.

Nie chciałam rozstać się z monetą. Wciąż trzymałam ją w dłoni. Lśniła odbitym światłem księżyca. Jakiś dźwięk na ścieżce odwrócił moją uwagę. Usłyszałam głos córki wołający: „Jest tam kto?”. Odwróciłam się do niej, pośliznęłam na skale, straciłam równowagę i wyrzuciłam w bok ramiona, żeby utrzymać się na nogach. Moneta wysliznęła mi się z ręki pomiędzy palcami. Słyszałam, jak odbija się od skały, leci w dół. Usłyszałam plusk wody. Koniec.

— Hej! Kto tu jest? – zawołała Diane. Przystanęła w cieniu, w miejscu, gdzie ścieżka dotykała krawędzi wody. Była sama. – Kto tam?

Podeszłam do niej brzegiem jeziora.

— Co ty tu robisz? – W moim głosie było słychać źle skrywane napięcie. – Trochę późno na spacer.

Wzruszyła ramionami.

— Miałam ochotę popływać – powiedziała. – Pomyślałam, że to pomoże mi zasnąć.

— Woda powinna być chłodna. – Stałam z rękami w pustych już kieszeniach i patrzyłam na cenotę.

— A co ty tutaj robisz? – zapytała niepewnie Diane.

— Rozmyślam – odpowiedziałam. – Tutaj jest chłodniej. I ciszej.

— Przepraszam, że przeszkodziłam – wtrąciła szybko. – Nie wiedziałam...

— Wszystko w porządku – powiedziałam. – Nie przejmuj się. – W świetle księżycy jej oczy były wielkie, jak oczy małej dziewczynki. – Właśnie miałam wracać.

— To dobrze – powiedziała z wyraźną ulgą. Odwróciła się i uklękła nad wodą, zanurzając w niej dłoń i sprawdzając temperaturę.

Nagle, nie mam pojęcia, dlaczego, bałam się zostawić ją samą.

— Poczekam na ciebie – dodałam.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Wszystko w porządku. Nic mi się nie stanie.

— Nie. Zostanę. Mam ochotę posiedzieć tu jeszcze chwilę – powiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz.

Zanurkowała, roztrzaskując księżyc, który unosił się na powierzchni wody. Srebrny blask zafalował wokół niej. Chyba skróciła zaplanowaną kąpiel ze względu na mnie. Zanurkowała raz i drugi, przepłynęła spokojną żabką na drugą stronę i z powrotem.

Kiedy wędrowaliśmy razem ciemną ścieżką do obozu, zrozumiałam, że moja córka mnie przeraża. Nie nawykłam do troszczenia się o kogoś. Dmuchnął wiatr, a mnie wydawało się, że słyszę śmiech w gałęziach drzew nad głową.

Tej nocy śniłam o mieście Dzibilchaltún z czasów przed nadejściem *ah-nunob*.

W tym śnie szłam na północ, po *sacbe* wiodącej od przedmieścia do centrum. W mieście panował bezruch i cisza. Większość domów świeciła pustkami, lecz nie sprawiały wrażenia opuszczonych na stałe. Przez otwarte drzwi zaglądałam do wnętrza. W jednym ujrzałam staruszkę, która mieszała w garnku gotującą się nad ogniem *atole*.

W innym płakało dziecko, a jego kwilenie było wysokie i przeraźliwe, jak skrobanie paznokciem po tablicy w opustoszałej po

zajęciach szkole. W ogrodzie kolejnego domu zauważyłam wysokie dzbany na wodę, pięknie pomalowane na czerwono i czarno. Obok mnie przeszła szybkim krokiem kobieta, ostrożnie oglądając się za siebie. Gdzie indziej mężczyzna leżał w hamaku, podczas gdy kobieta siedziała obok z pochyloną głową i kołysała go jak małe dziecko. Przypuszczam, że ten sen przeniósł mnie do mniej więcej dziesiątego wieku naszej ery, a więc okresu przed inwazją Tolteków.

W miarę jak zbliżałam się do centrum miasta, mijane przeze mnie chaty stawały się coraz bogatsze. Najpierw były to domostwa zamożnych wieśniaków; potem siedziby bogatych kupców. Z jednego z podwórek wykrzywiła się do mnie podobizna Ek Chuah, czarnookiego boga – opiekuna kupców. Nie grzeszył urodą, a jego wyrzeźbiona w cedrowym drewnie twarz odwzorowywała najdrobniejsze szczegóły: zniekształconą dolną wargę, ciemne plamy na twarzy. Na plecach niósł toboły z towarem. W końcu doszłam do dzielnicy arystokracji i duchowieństwa. Ogrody wokół tych domów wyróżniały się niezwykle starannym utrzymaniem oraz obfitością kolorowych kwiatów. Miałam jednakże wrażenie, że coś jest nie tak. W powietrzu wisiał jakiś niedobry zapach. Horyzont zaciągnęły chmury dymu.

Pozostawiwszy za sobą chaty, weszłam na pierwszy plac obrzędowy. Kiedy dochodziłam do jego przeciwległego końca, trzy kruki uniosły się w powietrze, skrzecząc i wymyślając. Spojrzałam w dół i zobaczyłam stertę wybielonych słońcem kokosów, i to było dziwne, ponieważ w tej części Jukatana nie rosły palmy. Kokosy śmiały się do mnie rozdziawionymi ustami i gapiły pustymi oczodołami.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że to nie kokosy, lecz ludzkie czaszki. Pojęłam, co się dzieje. Dzibilchaltún toczyło wojnę, a to były głowy pokonanych w bitwie wrogów. Z górnych, zapewne świeżo dorzuconych, zwisały jeszcze strzępy zeschniętej skóry. Pozostałe musiały tu leżeć o wiele dłużej, ponieważ ogryzły je do czysta sępy, insekty oraz żerujące nocą szczury. W ciepłym powietrzu unosił się słaby odór gnijącego mięsa.

Otaczał mnie smród śmierci. Chmury szczelnie zasnuwały niebo, a powietrze było ciężkie i duszne. Gdzieś z oddali niosło się powolne bicie bębnow. Ich dźwięk nabierał siły z każdym kolejnym uderzeniem.

Obudziłam się zrana potem. W chacie było ciemno. Zapaliłam świecę, lecz ta tylko odepchnęła cienie w kąty, nie przepędziła ich całkowicie. Dziwnie było iść nocą przez obozowisko i obawiać się cieni. Napierały na mnie ze wszystkich stron, te odcienie ciemności. Coś było nie tak – wciąż czułam wokół siebie zapach śmierci.

Przystanęłam przy otwartych drzwiach chaty Diane. Przypomniałam sobie pewien wieczór sprzed wielu lat, pogrzebany głęboko, głębiej niż jakakolwiek jadeitowa maska, gdy patrzyłam, jak śpi moja czteroletnia córka. Leżała opatulona kołdrą, otoczona pluszowymi zabawkami. Jej rudozłote włosy rozsypały się po poduszce, a kciuk pod osłoną nocy trafił do buzi. Następnego dnia spakowałam walizki i po raz pierwszy wyjechałam do Nowego Meksyku.

Teraz słyszałam cztery oddechy: w tym chórze oddech Diane był ochrypłym szmerem. Leżała cicho w hamaku, spokojna. Odwróciłam się od mojej śpiącej córki.

Zuhuy-kak stała w cieniu przy beczce z wodą. Towarzyszyła mi, gdy maszerowałam z powrotem do mojej chaty.

— Ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego – powiedziała do mnie. – Ja też miałam kiedyś córkę.

Nie widziałam w mroku jej twarzy.

— Co się z nią stało?

— Przyszli *ah-nunob* i ona umarła. Wielu zginęło – odrzekła bardzo cicho.

Wciąż tkwiły w mej pamięci pozostałości ostatniego snu.

— Śniłam o czasach przed przybyciem *ah-nunob* – powiedziałam.

— Śniłaś o nieszczęściu – rzuciła bezbarwnym głosem. – Nadchodzi czas nieszczęścia. Nie złożyłaś bogini dobrowolnej ofiary.

Przez chwilę szłam w milczeniu, wyobrażając sobie, co powie-

działby Tony, gdybym zaproponowała krótką przerwę w środku sezonu, ponieważ boję się pecha. Do chaty weszłam już sama. Wróciłam do hamaka, ale upłynęło sporo czasu, zanim usnęłam.

Tydzień zaczął się źle, a potem było coraz gorzej. W poniedziałek John zauważył grzechotnika na ścieżce wiodącej do obozu, Robin dostała uczulenia na słońce, a Picha ugryzła stonoga. Paskudne ukąszenie szybko zaczęło puchnąć.

Studenci niecierpliwili się. Przy śniadaniu i obiedzie słyszałam ich rozmowy o tym, co będą robić po zakończeniu prac wykopaliskowych. Byli podenerwowani jak ptaki przed odlotem. Trzepocząc skrzydłami, przysiadali to tu to tam bez celu, po to tylko, by zmienić miejsce. Myślę, że wyczuwali rosnące napięcie, ale składali je na karb odosobnienia, upalnych dni i samotnych nocy.

We wtorek dwaj robotnicy nie przyszli do pracy, a dwaj inni spóźnili się. W kiepskim nastroju pojechałam dżipem do Méridy, żeby załatwić łańcuch i wyciągarkę potrzebne nam do podniesienia steli. Po wielu poszukiwaniach znalazłam człowieka, który zgodził się pożyczyć nam sprzęt w czwartek tego tygodnia, później niż oczekiwałam, ale dobre i to. W powrotnej drodze złapałam gumę, odkryłam, że podnośnik jest zepsuty, i w końcu wróciłam autostopem z jakimś farmerem. Zjawiłam się w obozie na pace pikapa, wraz z ponurą świnią. Spędziłam wieczór z Tonym, popijając aguardiente i przeklinając robotników, którzy nie przyszli do pracy.

A w środę, w dniu IX, całkowicie opuściło nas szczęście. Philippe, młodszy brat Marii, pracował w przejściu, gdy spory odłamek skały stoczył się w dół i przygniół mu prawą stopę.

Philippe był młody: grał w koszykówkę, boksował, reprezentował uniwersytet w drużynie lekkoatletycznej i dorabiał sobie przy wykopaliskach, traktując to zajęcie jako trochę poniżej swej godności. Myślę, że Salvador zatrudnił go na prośbę żony. Młodzieniec był niewątpliwie silny, ale brakowało mu cech dobrego robotnika.

Najlepszymi pracownikami są ludzie starsi: ci doceniają war-

tość powolnego, równomiernego tempa pracy; wykorzystują przerwy na wypalenie papierosa i odpoczynek w cieniu, są żylacsi i wytrzymali, chociaż niezbyt umięśnieni. Umieją oszczędzać siły. Porywczego, niecierpliwego, żądnego natychmiastowych efektów swojej pracy Philippe nudziło powolne tempo robót, denerwowały częste przestoje, gdy John fotografował stanowisko. W wilgotnym, gorącym korytarzu Philippe za mocno uderzył łodem, przyłożył zbyt wiele siły nabywanej w ciągu godzin spędzonych na sali gimnastycznej. Obluzowany głaz runął tak niespodziewanie, że Philippe nie miał czasu na unik. Odłamek przygniół mu stopę.

Praca w ciasnym przejściu, między nieustępliwymi ścianami, nie należała do łatwych. Pół godziny zajęło pozostałym robotnikom podniesienie głazu i uwolnienie chłopca. Kiedy Salvador i Pich wynieśli go z korytarza, Philippe zapomniał o brawurze i niecierpliwości. Był blady, miał mocno zaciśnięte szczęki i twarz oblaną potem. Salvador i Tony zawieźli go samochodem na pogotowie.

Tego dnia obiad nikomu nie smakował. Myślę, że Maria chciała nas w ten sposób ukarać za wypadek brata, pośrednio spowodowany przez samo nasze istnienie. Kurczaka poląła sosem, od którego piekły usta i drętwiał język. Mięso było przypalone. Sałata była za miękka, a tortille zimne.

Siedziałam na placyku przy filiżance gorzkiej kawy, kiedy usłyszałam kaszlący warkot furgonetki Salvadora. Po chwili nadzedeł Tony, przynosząc sprawozdanie z wizyty w szpitalu. Philippe miał nogę złamaną w kostce i dotkliwie potłuczoną stopę. Założono mu gips i puszczono do domu. Teraz, kiedy już było po wszystkim, odzyskał zwykłą brawurę.

Za namową Marii zdecydowano, że Philippe pozostanie z rodziną Salvadora do wyzdrowienia. Maria chciała pielęgnować go osobiście.

— Maria domaga się, żeby przywieźć z Chicxulub szamankę – powiedział Tony. – Widocznie uważa, że ten problem wykracza poza granice medycyny.

Poczęstowałam go papierosem i sama zapaliłam jednego.

— Oczywiście – powiedziałam. – Potrzebuje specjalisty od nie-szczęść, złych wiatrów i czarnej magii.

— Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie przekonać ją do zmiany zdania – powiedział Tony.

— Ja też nie. – Oparłam się wygodnie w fotelu i patrzyłam, jak żarzy się czerwono koniuszek mojego papierosa. – Tracimy kolejnego robotnika, a w dodatku zostaniemy uznani za pechowych. – Wzruszyłam ramionami. – Cóż, nic nie możemy na to poradzić. Zupełnie nic.

— Myślisz, że jest jakaś nadzieja, że szamanka wystawi nam pozytywne świadectwo zdrowia? Brak złych duchów w okolicy.

Przecząco pokręciłam głową.

— Wątpię. W najlepszym razie obwini o to aluxob. – Aluxob to złośliwe gremliny, które mieszkają w starych ruinach i od czasu do czasu dokuczają ludziom zakłócającym spokój starożytnych miejsc. – W najgorszym razie będzie musiała odprawić egzorcyzmy. Wtedy stracimy kilka dni pracy.

— To nie tak źle. Jakoś to zniesiemy – powiedział Tony.

Obserwowałam wydłużające się cienie i miałam nadzieję, że ma rację.

W czwartek, w dniu Men, pociągnęliśmy wyciągarę i pozostały sprzęt po *sache*, żeby podnieść stelę. Salvador z pięcioma ludźmi ustawili drewniany trójnóg, na którym zamocowali wielokrążek połączony z wyciągarką z benzynowym silnikiem. Salvador uprzejmie ignorował większość moich dobrych rad dotyczących ustawienia sprzętu i w milczeniu mocował go według własnego widzimisię. W końcu usiadłam obok Tony'ego na skraju dżungli, wyciągając z ubrania ciernie oraz nasiona chwastów i przysłuchując się rozmowom robotników. Kopiając pod płytą, żeby przeciągnąć pod nią sznur, napotkali gniazdo wojowniczych mrówek, toteż nie przestawali kłać – równomiernie, barwnie, z wieloma anatomicznie niewykonalnymi sugestiami.

Niedaleko od nich, lecz w bardzo odległym czasie, dwaj mło-

dzieńcy, *h'menob* lub ich uczniowie, grali w coś, co wyglądało jak gra hazardowa, za pomocą ziaren wróżebnej fasoli. Próbowałam słuchać ich rozmowy, lecz Tony nieustannie przeszkadzał mi uwagami o pogodzie, o stanowisku bądź steli.

Przez cały ranek niebo dudniło grzmotami, a słońce kryło się za zwartą warstwą chmur. Salvador wciągnął nosem powietrze i powiedział, że do popołudnia nie będzie deszczu. Nie wierzyłam mu za bardzo.

Tuż przed południem, gdy Salvador i jego zespół kopali zagłębienie, w którym miała spocząć stela po jej podniesieniu do pionu, nadeszła ekipa rekonesansowa, przedzierając się przez gąszcz. Końcowy odcinek badanego terenu znajdował się milę od naszego stanowiska, więc postanowili dołączyć do nas i pomóc w podnoszeniu steli. Na twarzy Diane ujrzałam radosny uśmiech, chociaż całe nogi miała pokryte bąblami po ukąszeniach komarów i zadrapaniami.

Kiedy Salvador uruchomił wyciągarę, maszyna wydała z siebie okropny, bełkotliwy dźwięk i natychmiast zgasła. Salvador zaklął, poprawił połączenia i spróbował ponownie. Tym razem maszyna zaskoczyła i zaczęła ciągnąć. Po obu bokach steli stali ludzie trzymający liny stabilizujące wielką kamienną płytę, która drgnęła i zaczęła powoli podnosić się ze swego łoża pośród ziemi i liści. Z początku wszystko szło gładko.

Powiał wiatr, poruszając liście okolicznych drzew. Tu i ówdzie przelatywały ptaki, donośnym skrzeczeniem oznajmiając swe niezadowolenie. Niebo znów odkaszlnęło. Deszcz zaczął padać w momencie, gdy górna krawędź płyty znajdowała się stopę nad ziemią i podnosiła się równomiernie. Wciągu kilku minut byliśmy przemoczeni. Jednostajny ruch płyty uległ zakłóceniu, gdy robotnicy zaczęli się ślizgać w błocie. Pobiełam, żeby pomóc mężczyźnie kierującemu północno-zachodnim rogiem steli, chwyciłam sznur i wbiłam obcasy w błoto, z trudem utrzymując równowagę. Tony pomagał z drugiej strony, wykrzykując słowa zachęty. Diane i Barbara ciągnęły drugi sznur, pomagając chudemu, drobnemu staruszkowi, który wzywał na pomoc wszystkich

świętych.

Deszcz smagał nas zawzięcie, siekąc odkryte ciała, przesiąkając przez cienkie koszule. Błyskawice rozbijały świat na fragmentaryczne, biało-niebieskie obrazy: twarz Tony'ego, jego otwarte do krzyku usta; ręce Diane z pobielałymi od wysiłku knykciami; czarny dym wydobywający się z wyciągarki; mokry, lśniący w deszczu metal. W górze zagrzmiało tak głośno, jakby całe niebo waliło się nam na głowy, zagłuszając krzyki Tony'ego, polecenia Salvadora i modlitwy staruszka.

Płyta osiągnęła już prawie pion i ześlizgiwała się wolno do przygotowanego dla niej wcześniej zagłębienia, gdy nagle ogłuszył nas grzmot, a błyskawica uderzyła w krawędź kamienia, napełniając powietrze ostrym zapachem ozonu. Słyszałam męski głos wykrzykujący po hiszpańsku błagania o litość do Dziewicy Maryi oraz inny, wzywający świętego Michała i Chaacob. Wyciągarka kaszlnęła raz, niezdarnie naśladowując odgłosy grzmotów, a potem ryknęła z nagłym przyływem energii i szarpnęła stelą. Mokrymi, śliskimi dłońmi chwyciliśmy z całych sił liny, ślizgając się w błocie. Mimo to wielka kamienna płyta nie zatrzymała się, lecz z majestatycznym wdziękiem sunęła dalej, jej ciężar przeważał nasze nikłe wysiłki, aby ją powstrzymać, i kontynuowała podróż ku nieuchronnemu przeznaczeniu. Upadła.

Grzmot zadrwił z nas głębokim, demonicznym śmiechem, a ja brnęłam przez błoto, żeby obejrzeć stelę, mimowolnie kuląc się po każdej kolejnej błyskawicy. Kamień pękł po upadku. Nieregularna ukośna rysa – jaskrawobiała, lecz ciemniejsza już pod wpływem deszczu – biegła przez środek reliefu, dzieląc płytę na dwie części.

Liście i błoto przylegające do kamienia uwydatniały powierzchnię rzeźby. Jej górna część przedstawiała spoglądającego dumnym wzrokiem wojownika Tolteków. Wyglądał olśniewająco w przybraniu z orlich piór na głowie, pelerynie ze skóry jaguara i pełnym rynsztunku bojowym. Jedno oko zakrywała mu czarna grudka błota, a wokół stroju, włóczni i tarczy biegały rozścieczone mrówki.

Pęknięcie oddzieliło wojownika od kobiety z plemienia Majów, która kuliła się u jego stóp. Miała pochyloną głowę, a w wyciągniętych rękach trzymała dar – wypełnioną czymś miskę. Rozpoznałam w niej Ix Chebel Yax – czczoną przez Majów, płochą boginię księżycy, która czasami przynosiła ukojenie, a czasem śmierć.

Znowu błysnęło i zadudnił grzmot, nieco łagodniej, jakby wycofywał się po skończonej pracy. Podniosłam oczy i z drugiej strony steli zobaczyłam Zuhuy-kak obserwującą mnie z uśmiechem w strugach deszczu.

Rozgniewana krzyknęłam do niej w języku Majów, pytając, dlaczego tak się stało. Nie odpowiedziała.

Znowu zagrzmiało, już w oddali, a ja zdałam sobie sprawę z obecności otaczających mnie ludzi. Robotnicy schronili się pod drzewami, z dala od steli. Deszcz jeszcze padał, choć wyraźnie ustawał. Diane stała obok mnie, przemoczona jak kociak. Barbara, Tony i Salvador znajdowali się przy wyciągarce i nadal porozumiewali się głośnym krzykiem, mimo że grzmoty już ucichły.

Diane patrzyła w kierunku miejsca, gdzie stała Zuhuy-kak, jakby chciała zrozumieć, do kogo krzyczałam. Położyłam rękę na jej ramieniu, żeby odwrócić jej uwagę.

— Dobrze się czujesz? – spytałam. Skinęła głową. – Witaj w romantycznym świecie archeologii – powiedziałam.

Rozdział 14

Diane

Nie ma nic złego w odczuwaniu strachu. Gdy się boisz, widzisz wszystko inaczej.

Carlos Castaneda
Nauki Don Juana

Matka znowu paliła jednego papierosa za drugim. Od początku tygodnia była w kiepskim humorze, który pogorszył się jeszcze po upadku steli. Tony pił. Maggie i Carlos próbowali namówić Johna i Robin na partyjkę kart. Rozgrzane powietrze było ciężkie i prawie nieruchome.

— Masz ochotę popływać? – spytała Barbara. Bez słowa poszłam za nią do chaty po strój kąpielowy, a potem ścieżką do cnoty.

Gdy tylko znalazłyśmy się poza polem widzenia siedzących na placyku, uśmiechnęła się do mnie szeroko.

— Mam niespodziankę – powiedziała. – Prezent od Emilia.

Wyjęła z kieszeni skręta, podsunęła mi pod nos i z powrotem schowała do kieszeni.

— Potrzebujemy odrobiny relaksu.

— Chyba masz rację.

Przystanąła nad brzegiem jeziora.

— Najpierw pływamy czy najpierw palimy?

— Palimy.

Zeszliśmy ze ścieżki i dotarliśmy brzegiem aż do wysokiej skały, z której lubił skakać Carlos. Gdyby ktoś z obozu zabłąkał się nad cenotę, mogliśmy niepostrzeżenie odejść ścieżką w stronę grobowca. Barbara zaciągnęła się pierwsza, przymykając oczy i głęboko wciągając dym. Wzięłam od niej skręta, wciągnęłam dym w płuca i walcząc z przemożnym pragnieniem wykaszłania go, odczekałam chwilę.

— Emilio powiedział, żebym myślała o nim, kiedy będę palić – powiedziała Barbara, przejmując skręta. – Myślę o nim z wielką czułością.

Skinęłam głową. Po drugim wdechu świat wokół mnie zaczął mętnieć. Powietrze było tu chłodniejsze, a nisko nad powierzchnią wody krążyły nietoperze.

— Wspaniały facet z tego Emilia. Ogromnie zyskał w moich oczach. – Przyjęłam znów trawkę od Barbary i spojrzałam na nią. – Prześpisz się z nim?

Wzruszyła ramionami, oparła się na łokciach i spojrzała w lustro wody przed nami.

— Nie wiem. Nie miałabym nic przeciw temu, ale mam uczucie, że on tylko prowadzi pewien rodzaj dobrze mi znanej gry. Myślę, że bardziej by mnie lubił, gdybym się z nim nie przespała. – Znowu wzruszyła ramionami. – Zobaczymy, co przyniesie czas. A ty? Podoba ci się twój młody koszykarz?

— Czasami. Wiem jednak, co miałaś na myśli, mówiąc o grze. Tutaj obowiązują inne reguły.

Przez chwilę siedzieliśmy w przyjaznym milczeniu, paląc na zmianę. Długie cienie kładły się na cenocie. Jej nieruchomą powierzchnię mąciły jedynie drobne zmarszczki wywołane przez lądującego owada lub rybę, która podpływała do góry. Barbara wyjęła z torebki spinacz do papieru i wygięła drut, tworząc prymitywny uchwyt. Skończyłyśmy palić.

— Chodźmy popływać.

Woda była chłodna. Powoli zrobiłam kilka okrążeń, przyglądając się grze promieni słońca na falującej powierzchni. Potem położyłam się na wodzie i patrzyłam w ciemniejący błękit nieba. Byłam odprężona, a moje myśli dryfowały swobodnie. Nieopodal, kilka stóp pod powierzchnią wody znajdowała się półka skalna. Przysiadłam na niej na chwilę, żeby odpocząć. Głowa wystawała mi tuż nad powierzchnię wody, a kolana podciągnęłam pod brodę. Ostatnie promienie słońca oświetlały gąszcz za ścieżką. Tu i ówdzie widać było płaskorzeźby na kamieniach. Leniwie zastanawiałam się, jak też wyglądała ta świątynia, zanim jej kamienne mury rozsypały się i porosły drzewami. Zbadałam wzrokiem wzgórze i w wyobraźni naszkicowałam obraz: trzy portale, jeden obok drugiego, osadzone w prostokątnym budynku.

Barbara zatrzymała się obok mnie z poślizgiem.

— Na co patrzysz?

Wskazałam głową wzgórze.

— Na ten stos kamieni. W zeszłym tygodniu Liz powiedziała mi, że tylko od nas zależy, czy dostrzeżemy przeszłość. Właśnie próbuję to zrobić.

— Liz bywa czasami zupełnie niesamowita – powiedziała Barbara. Usiadła na półce, wyrzuciła stopy w górę, tak że palce wystawały ponad wodę, i przyjrzała się im z powagą.

— Taak.

— Wracam do obozu, zanim moje palce zamienią się w suszone śliwki. Mam jeszcze do napisania raport z dzisiejszego przeglądu – powiedziała.

— W takim stanie?

— Prawdopodobnie będzie lepszy od tych, które pisałam na trzeźwo. Mam natchnienie.

— Zostanę tu jeszcze chwilę – powiedziałam. – Spotkamy się w obozie.

Niespiesznie popłynęła do skał po drugiej stronie jeziora i ubrała się.

— Jeśli nie wrócisz szybko, wyślę po ciebie ekspedycję poszukiwawczą – zawołała.

Pomachałam jej, gdy odchodziła. Ja wróciłam do obserwowania zarzuconego głazami wzgórza, a wywołany w wyobraźni obraz nabierał szczegółów. Ponad portalami ściana ułożona była w zawiły wzór romboidalny i wznosiła się wysoko nad wodą. Otaczające drzwi głazy były pokryte hieroglifami – mieszanina kształtów, twarzy i znaków barwy żywej czerwieni i błękitu. Nad środkowymi drzwiami sterczał w górę wygięty głaz, trochę wyżej, po obu stronach znajdowały się w ścianie dwa ciemne zagłębienia. Całość nadawała drzwiom wygląd przepastnej paszczy ogromnego, długonosego potwora. Od paszczy do krawędzi wody prowadziły strome schody, pokryte rzeźbami i gmatwaniną nieczytelnych znaków.

Siedząc w wodzie, oparłam się o skałę i zezując na zbocze, skupiałam się na obrazie w mojej głowie. Wciąż czułam zmęczenie, pozostałe po wszystkich tych nie przespanych nocach w Los Angeles, a trawka zrelaksowała mnie. Słuchałam bicia własnego serca, miarowego jak bicie bębna. Zapadłam w półsen, choć nadal czułam półkę skalną pode mną i wodę dokoła mnie. Słyszałam cykanie świerszczy w gąszczu, a ich głosy zdawały się przyplływać i odpływać, zgodnie z rytmem mojego serca. Ich granie stopniowo przybierało na sile, ostre jak uderzenia koralików w grzechotce.

Nagle przestraszyłam się. W powietrzu poczułam dym, kwaśną woń palonej smoły. Miałam zamknięte oczy i bałam się je otworzyć, przerażona tym, co mogę zobaczyć.

Przeszedł mnie gwałtowny dreszcz i otworzyłam oczy. Przez sekundę widziałam świątynię na brzegu jeziora, pod każdym względem identyczną z tą, którą wymyśliłam. Na jej stopniach stała ubrana w błękitne szaty postać i obserwowała mnie. Potem obraz zniknął. Nie było nic prócz skał, słońca i cieni.

Słońce już prawie zachodziło. Nad moją głową przeleciał nietoperz, opadając i wznosząc się w swym kapryśnym locie. Zadrżałam znowu, wyszłam z jeziora i ubrałam się. Wracałam do obozu ciemną, bo osłoniętą drzewami ścieżką. Znałam ją dobrze z codziennych wędrówek do jeziora, teraz jednak wszystko wygląda-

ło inaczej: drzewa stały bliżej, ścieżka była bardziej nierówna, głosy w gąszczu głośniejsze. Niepokoiło mnie, że nie wiem, jakie zwierzęta szeleszczą w krzakach. Coś się poruszyło na granicy pola mojego widzenia. Obróciłam się w tamtą stronę. Nic. Może to przeleciał jakiś ptak. Znowu kątem oka dostrzegłam błyskawiczny ruch. Znow nic. Może to cień kołyszącej się gałęzi. Pośpieszyłam w stronę chaty Salvadora, gdzie latarnia rozproszy cienie. Biegnąc spomiędzy drzew do chaty, omal nie wpadłam na Teresę.

Dziewczynka przykucnęła w głębokim cieniu pod ścianą ogrodu i bawiła się z chudym, czarnym kociakiem. Kotek podszedł do mnie i na powitanie zamiauczał żałośnie. Pochyliłam się, żeby go pogłaskać. Teresa stała przyciśnięta do ściany, z jedną rączką w buzi, a drugą zaciśniętą na rąbku sukienki. Powietrze było rozgrzane i ciężkie. Znow czułam się spocona i brudna. Zaschło mi w ustach.

— Jak ma na imię twój kotek? – zapytałam Teresę. A przynajmniej o to chciałam zapytać. Mam nadzieję, że to, co powiedziałam po hiszpańsku, miało taki sens.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie okrągłymi, brązowymi oczami jak na niebezpieczne, choć fascynujące zjawisko.

— Kot zjadł ci język? – spytałam po angielsku.

Nadal nie odpowiadała. Kot mruczał miarowym, rozpaczliwym pulsowaniem pod moją dłoń. Uśmiechnęłam się do Teresy, widząc w jej oczach tę samą panikę, którą czułam nad cenotą. Myślę, że miała ochotę uciec na podwórze, jednak intrygowałam ją.

— *Qué tal?* – zapytałam. – Jak leci?

Gdy zaskrzypiały frontowe drzwi, mała uskoczyła za furtkę i dalej, na zasypane listowiem podwórko. Z drzwi domu Salvadora wyszła stara kobieta, a za nią Maria. Maria mówiła coś szybko w języku Majów. Ręce miała złożone przed sobą w błagalnym geście. Za kobietami wyszedł milczący Salvador. Pozostałam na miejscu, głaszcząc kota i słuchając jego miauczenia.

Furtka znajdowała się tuż obok mnie. Staruszka wyszła na środek ścieżki i powiedziała coś ostro w języku Majów. Popatrzyłam

na nią i uśmiechnęłam się, ale nie odwzajemniła uśmiechu. Powiedziała coś do mnie po hiszpańsku i spojrzała ponuro, gdy jej nie odpowiedziałam. Maria szepnęła coś do niej, a kobieta potrząsnęła głową. Ze złością uderzyła laską w ziemię i powtórzyła tę samą kwestię.

— Nie rozumiem – powiedziałam. – Przepraszam. *No comprendo.*

Maria szybko nakreśliła w powietrzu znak krzyża, wciąż wpatrując się we mnie. Stara kobieta pochyliła się do przodu. Chwyciła mnie za ramię i zajrzała mi w twarz, jakby chciała ją zapamiętać. Jej oddech był przesycony zapachem chili. Cofnęłam się, zdziwiona, ale nie puściła mnie. Próbowałam się uśmiechnąć.

— Czego pani chce? – zapytałam po angielsku.

Potrząsnęła głową, puściła moje ramię i ruszyła ścieżką w stronę placu. Salvador popatrzył na mnie i poszedł za nią. Maria zawróciła do domu. Wstałam i spojrzałam za odchodzącymi. Kot nieoczekiwanie otarł się o moje nogi, podnosząc pyszczek, żeby mi się przyjrzeć. Zdałam sobie sprawę, iż ręką trzymam się za ramię w miejscu, gdzie dotknęła mnie staruszka, jakbym tamowała krew wypływającą z rany. Odetchnęłam głośno.

Przez chwilę stałam w miejscu, nie chcąc iść za Salvadorem i staruszką do obozu. Poczułam mrowienie na karku i odwróciłam się w stronę chaty. W drzwiach ujrzałam Marię. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nie przestając się we mnie wpatrywać. Odwróciłam się od niej i potykając się lekko, ruszyłam nieznaną ścieżką, która wiodła w kierunku przeciwnym do chaty Salvadora.

Czułam niewytłumaczalny niepokój. Przecież nic się nie stało – tłumaczyłam sobie. To tylko narkotyczna paranoja, to wszystko. Sen, staruszka z plemienia Majów – nic więcej. Lecz cienie wokół mnie wydawały się głębsze i raz po raz pocierałam miejsce, gdzie dotykała mnie ręka staruszki. Żałowałam, że nie zrozumiałam jej słów.

Ścieżka poprowadziła mnie przez dżunglę do polnej drogi, która biegła wzdłuż pola agaw. Po mojej lewej stronie rozpościerały

się mile najeżonych groźnymi kolcami roślin. Słońce zachodziło, a jego miejsce zajmował księżyc. W srebrzystym świetle agawy rzucały bezkształtne cienie. Każda pojedyncza roślina tworzyła obok siebie gmatwaninę ciemności, czarną sieć cieni, gotową schwytać w pułapkę każdego, kto byłby na tyle głupi, żeby między nie zabłądzić. Polna droga była wolna od roślin, a ja szłam samym jej środkiem, wzniesieniem między koleinami.

Po drugiej stronie ścieżki rozciągała się dżungla. Splątany gąszcz krzewów przy drodze sięgał mi prawie do ramienia. Dalej, może pięćdziesiąt stóp od drogi, wyższe drzewa wyciągały do nieba suche konary. Wiatr szeleścił liśćmi, nie był jednak dość silny, by poruszyć gałęzie.

Kiedy zaczynałam szkołę średnią, ojciec wysłał mnie na miesiąc na obóz letni. Pamiętam, jak po ognisku wracałam nocą przez las do namiotu. Zawsze uważałam, żeby nie zboczyć ze ścieżki. Ścieżka była bezpieczna; stanowiła ziemię niczyją. Las poza nią był nieznan, pełen dziwnych dźwięków. Jednocześnie jednak ten niepokojący las fascynował mnie. Wynajdywałam różne preteksty, aby chodzić ścieżką przez las w nocy, i za każdym razem, gdy udało mi się ją bezpiecznie pokonać, miałam uczucie, jakbym dokonała czegoś ważnego.

Nigdy nie wiedziałam, na czym polegało niebezpieczeństwo. Nie było to nic określonego: nie bałam się szalonych morderców ani dzikich zwierząt. Nigdy nie przemyślałam tego do końca, chyba jednak czułam, że gdybym zeszła ze ścieżki, mogłabym zniknąć, na zawsze rozpuścić się w ciemności. Tak więc spacerowałam po cienkiej linii granicznej i nigdy z niej nie zbaczałam.

Słyszałam głośny stukot własnych kroków. Między drzewami zahukała sowa. Szłam z rękami w kieszeniach, wiedząc, że znowu spaceruję po cienkiej granicznej linii.

Z ciemności dżungli wyszła kobieta. Przez chwilę myślałam, że to ta sama kobieta, która dotykała mego ramienia. Nie, nie ta sama. Ta miała na sobie błękitną suknię i uśmiechała się do mnie, pokazując nierówne zęby. Jej głowa też wydawała się zdeformowana, choć być może wrażenie to wywoływało tylko uczesanie.

Rozpoznałam tę twarz: oblicze kamiennej rzeźby, twarz Madonny z katedry w Méridzie. Cofnęłam się.

Uśmiechnęła się szerzej i wyciągnęła rękę, jakby w geście powitania. Cofnęłam się jeszcze o krok w kierunku obozu.

Powiedziała coś w nieznanym mi języku i roześmiała się. Dźwięk tego śmiechu był jak szelest trących o siebie liści. Moje ręce drżały w kieszeniach spodni. Wyjęłam je i zacisnęłam w pięści, żeby pozbyć się tego drżenia. Potem odwróciłam się i pobiegłam do obozu, ścigana śmiechem kobiety.

Cóż powiedziała mi matka podczas jednego z naszych wspólnych porannych spacerów? O zmierzchu i o świcie cienie odkrywają przed tobą swoje tajemnice. Nie wiem, dlaczego biegłam. Kobieta najprawdopodobniej była zwykłą mieszkanką hacjendy, a może gościem Marii. Pewnie opowie Marii, jak to spotkała w lesie tę gringo i wystraszyła ją na śmierć. Musiało mi się przywidzieć, że jej twarz wygląda znajomo. Mrok czasem płata takie figle. Dobiegałam już do chaty Salvadora, gdy spostrzegłam snop światła latarki skaczący po ścieżce do cenoty.

— Halo! – zawołałam trochę drżącym głosem.

— Hej! – odkrzyknęła Barbara. – Zastanawiałam się, co się z tobą stało. – Podeszła do mnie i zaświeciła mi w oczy latarką. Położyła mi rękę na ramieniu i zapytała. – Co się stało? Nie wyglądasz najlepiej.

— Nic. Poszłam na spacer i zaskoczył mnie mrok, to wszystko. – Wzruszyłam ramionami. – Trochę strasznie jest spacerować tu samotnie po nocy. – Nie wspomniałam o staruszce. Nie chciałam czuć się jeszcze bardziej głupio. – Wracajmy do obozu.

Rozdział 15

Elizabeth

Los prowadzi tych, którzy tego chcą; opornych wlecze.

Joseph Campbell
Bohater o tysiącu twarzy

W czwartek wieczorem, po kolejnym przypalonym obiedzie, usiadłam w mojej chacie, zamierzając przejrzeć notatki o kalendarzu Majów.

Wracając z naszej nieudanej próby podniesienia steli, prze-marzłam. Chociaż wieczór był ciepły, od czasu do czasu wstrząsały mną gwałtowne dreszcze. Zastanawiałam się, czy poprosić Marię o dzbanek gorącej herbaty. Gorąca herbata z rumem mogłaby przegonić przeziębienie, lecz ostatecznie zrezygnowałam z tego pomysłu. Słyszałam ryk furgonetki Salvadora, który powracał z Chicxulub z szamanką, i nie chciałam się wplątać w drażliwą sytuację.

Dwukrotnie sprawdziłam obliczenia. Dzisiaj mieliśmy dzień Men, dzień rządzony przez pradawną boginię księżyca. Powinien to być dzień przychylny, a jednak stela upadła, co według mnie nie było pozytywnym wynikiem naszych starań. Od popołudnia nie widziałam Zuhuy-kak.

W obozie panował spokój; studenci albo pisali raporty polowe, albo pływali w cenocie. Ta cisza trwała od czasu wypadku Philippe'a. Słońce zaszło już i wschodził właśnie księżyc, gdy zobaczyłam idącego w stronę mojej chaty Salvadora. Obok niego dreptała staruszka. Musiała zrobić dwa kroki na każdy jeden Salvadora. Pod ramieniem trzymała pomarańczowoczerwoną torbę, jedną z tych, których używają kobiety z Jukatenu, gdy idą na zakupy. Szła powoli, podpierając się laską. Salvador przystanął w drzwiach i zdjął z głowy słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

— *Seniora* – powiedział po hiszpańsku. – Przepraszam, że przeszkadzam. To jest Doña Lucinda Calderón, curandera z Chixulub. Chciała się z panią spotkać.

Doña Lucinda z wielkim zainteresowaniem oglądała moją chatę i mnie samą. Była szczupłą kobietą o oczach drapieźnego ptaka. Jej szata była pięknie haftowana wokół szyi i u dołu zielonym wzorem przeplatających się winogron i kwiatów. Luźno zarzucone na głowę *rebozo* opadało na włosy i ramiona; na stopach miała skórzane sandały. Trzymała laskę z różanego drzewa. Z rekojeści patrzyła na mnie wyrzeźbiona sowa.

— Witaj, Doño Lucindo – powiedziałam w języku Majów, wstając z krzesła. Z rogu wyjęłam drugie składane krzeselko i rozstawiłam je przy otwartych drzwiach. Kobieta położyła torbę na podłodze obok krzesła i usiadła, podpierając się laską.

— Dziękuję – odparła w tym samym języku. Miała doniosły głos. – Obrzędy oczyszczające bardzo mnie wyczerpały. Starzeję się.

Skinęłam głową ze współczuciem.

— W czym mogę pani pomóc?

Jeszcze przez chwilę rozglądała się po wnętrzu chaty. Jej nozdrza poruszały się, jakby chciała zlokalizować źródło jakiegoś ulotnego zapachu. Badała wzrokiem moje ręce, twarz, papiery na biurku. Rękawy koszuli miałam podwinięte do łokci. Podniosła z podłogi laskę i jej końcem wskazała blizny na moich nadgarstkach.

— Jak to się stało?

Spojrzałam na blizny i dłonią wykonałam w powietrzu gest cięcia nad drugim nadgarstkiem.

— Sama to zrobiłam – odrzekłam. – Wiele lat temu.

— Aha. – Jeszcze raz popatrzyła na papiery na biurku. – A co teraz robisz?

— Piszę – powiedziałam. – Piszę książkę o tym miejscu.

Stojący w drzwiach Salvador trzymał w dłoniach rondo kapełusza i nerwowo obracał go w koło. zaproponowałam papierosy. Salvador przyjął; kobieta odmówiła. Zapaliłam i przez chwilę wypełnialiśmy ciszę papierosowym dymem.

— Jak się ma Philippe? – zapytałam w końcu.

— Lekarze w szpitalu Juareza poskładali jego połamane kości – powiedziała. – Wygoją się.

— O tak – odpowiedziałam. – Rozumiem.

— Szanuję lekarzy ze szpitala – dodała. Oczy miała czarne i przebiegłe. – Musisz to zrozumieć. Mój wnuk, mądry młodzieniec, uczy się na lekarza. Szpitale bardzo dobrze leczą naturalne choroby. – Pochylała się coraz bardziej do przodu, starając się mnie przekonać, jak bardzo wysokie ma mniemanie o medycynie. – Musisz jednak zrozumieć, że Philippe cierpiał z powodu czegoś więcej niż połamane kości. Jak wiesz, miał pecha.

— To prawda – powiedziałam. – Salvador powiedział mi, że miejsce, w którym kopie, jest pechowe.

Spojrzała na Salvadora, potem łypnęła okiem na mnie.

— Miejsce, gdzie kopiecie, nie ma tak wielkiego znaczenia. Lecz teraz bogowie są silni. A Philippe kopał w dniu IX, dniu przynoszącym nieszczęście.

Spojrzałam na Salvadora, który pilnie obserwował koniec swojego papierosa. Nie odpowiedział mi spojrzeniem. Dziwne uczucie, otrzymać tak bezpośrednie potwierdzenie własnych obliczeń.

— A więc czas pecha już minął – powiedziałam. – To dobra wiadomość.

Kobieta obróciła w dłoniach rączkę laski; oczy sowy patrzyły

teraz w inną stronę. Doña Lucinda spojrzała na mnie groźnie.

— Nie bądź głupia – rzuciła gniewnie. – Dobrze wiesz. Powiedz, jaki mamy dziś dzień?

— Według kalendarza Majów? – Wzruszyłam ramionami. – Nie wiem.

Zmrużyła oczy, jakby spodziewała się po mnie więcej.

— Dziś jest dzień Men – powiedziała. Podniosła głowę do wschodzącego księżyca, nie odrywając jednak wzroku od mojej twarzy. – To niestała starucha, ta Men. Zmienna. Wciąż pokazuje inną twarz. Nie wolno jej ufać.

Pod jej spojrzeniem poczułam się niepewnie. Wzruszyłam ramionami.

— Dzisiaj mamy ósmy dzień Cumku, ostatniego miesiąca roku – rzekła. – To nie jest bezpieczny czas. Bogowie są silni. – Zniżyła głos tak bardzo, że prawie musiałam się domyślić jej następnych słów. – Powinnaś być ostrożna. – Salvador nie patrzył na nas. Zaciągając się głęboko papierosem, wyglądał na plac. – Rok dobiega końca.

Potrząsnęłam głową, zaciągnęłam się ostatni raz i zgasłam papierosa w popielniczce. Ręce mi się trzęsły, więc złożyłam je na podołku.

— Czemu patrzysz na mnie tak, jakbyś nie rozumiała? Ty wiesz o tych sprawach – powiedziała. – Widzę, że posiadasz drugą duszę.

Druga dusza to źródło mocy u czarownicy – Hiszpanie nazywają ją *bruja*, Majowie *wai*. Co powiedziałam przedtem? Szaleńcy rozpoznają się nawzajem. Staruszka przechyliła głowę na bok i przyglądała mi się uważnie.

— Jesteś silną kobietą i przez to niebezpieczną dla samej siebie. Chcesz pozostać sama w trudnych czasach, a tak nie może być. Nadchodzą złe dni.

Urwała, czekając na moją odpowiedź.

— W jaki sposób mam zachować ostrożność? – zapytałam. – Nie mogę przecież zmienić pory roku.

— Opuść to miejsce – powiedziała.

— Niemożliwe – odrzekłam.

— Tutaj nie jest bezpiecznie. Ani dla ciebie, ani dla pozostałych.

Wzruszyłam ramionami. Nasrożyła się i uderzyła laską w podłogę.

— Chcę ci pomóc, *señora* Butler, musisz to zrozumieć. Jesteś mądra. Teraz posłuchaj. To poważna sprawa. – Jej dłonie zacisnęły się mocniej na rączce laski. – Odeślij stąd tę młodą rudowłosą, swoją córkę.

Powoli pokręciłam głową.

— Moja córka nie ma z tym nic wspólnego – powiedziałam po angielsku.

Teraz staruszka wzruszyła ramionami. Nie rozumiała słów, ale wydawała się rozumieć ton mojej odpowiedzi.

— Wybór należy do ciebie. Możesz postąpić głupio. Dobrze mówisz naszym językiem, ale nie rozumiesz tego miejsca. Nie należysz do niego.

Zacisnęłam dłonie w pięści. Kimże jest ta kobieta, żeby mi mówić, że ja tutaj nie przynależę? Wprost przeciwnie. Rozmawiam z umarłymi; znam dni ich kalendarza. Ręce mi się trzęsły i nagły dreszcz przeszył całe moje ciało.

— Może i ma pani rację – powiedziałam. – Jednak nie mogę teraz wyjechać.

— Radzę ci, żebyś opuściła to miejsce – powtórzyła. – Jeśli postanowisz inaczej... – Wzruszyła ramionami. – Będę się modlić za ciebie i za twoją córkę.

Zastanawiałam się, do których bogów zamierza się modlić.

— Dziękuję za to, co mi pani powiedziała, Doña Lucinda. Przemyszę pani słowa.

Wstałam. Staruszka nie ruszyła się z krzesła, spoglądając na mnie czarnymi, paciorkowatymi oczami.

— Usłuchaj mnie, *señora*.

— Dziękuję za radę, Doña Lucinda.

Niespiesznie wstała, podpierając się laską, a potem powoli schyliła się, podniosła torbę i odeszła. W drzwiach przystanęła,

odwróciła się do mnie i nakreśliła w powietrzu znak krzyża, mamrocząc słowa błogosławieństwa.

Salvador włożył kapelusz.

— Przykro mi, *señora* – powiedział. Nie wiedziałam, czy przeprasza mnie za to, że przyprowadził do mnie staruszkę, czy też żałuje, że jestem czarownicą. Nie wiedziałam. Odwrócił się i poszedł za kobietą. Jakikolwiek był powód jego przeprosin, wiedziałam, że jest zakłopotany.

Widziałam latarnię palącą się przed chatą Tony'ego, ale nie miałam ochoty z nim rozmawiać, jeszcze nie teraz. Poszłam samotnie w stronę grobowca. Była tam Zuhuy-kak, siedziała na kamieniu obok znalezisk, sit i wiader. Wschodził księżyc i Zuhuy-kak rzucała cień w nikłym świetle.

Kiedy podeszłam, podniosła głowę i pozdrowiła mnie skinieniem.

— Czego chcesz ode mnie, Ix Zacbeliz? – zapytała.

— Odpowiedzi – powiedziałam. – Dlaczego stela upadła, gdy próbowałam ją podnieść? Tym dniem rządziła twoja bogini. Powinna nas wspierać.

Obrzuciła mnie kosym spojrzeniem, przebiegłym jak wzrok curandery. Nagle uświadomiłam sobie, że jest najbardziej materialnym ze wszystkich cieni, jakie dotąd spotkałam. Nawet w świetle księżycy widziałam delikatne linie wytrawione w jej ja-deitowych koralach, haftowane wzory na jej sukni. Oparła ręce na kolanach.

— To był szczęśliwy dzień, Ix Zacbeliz. Kiedy stela upadła, wojownik utracił swoją pozycję. Jego moc znikła, a potęga bogini rośnie. Dzisiejszy dzień był dniem bogini, a ty pomogłaś jej odzyskać siłę.

— To nie było szczęście – powtórzyłam zirytowana. Bolały mnie stawy i wiedziałam, że przeziębienie wkrada się w moje kości. – Chcieliśmy mieć stelę w jednym, a nie w dwóch kawałkach.

Stara kobieta spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Czy zależy ci tylko na przedmiotach, Ix Zacbeliz? Chciałaś znaleźć jedynie skorupy garnków i kawałki biżuterii? Ja ofiaro-

wuję ci tajemnice o wiele ważniejsze. Tobie i twojej córce.

— Zostaw moją córkę w spokoju – powiedziałam. – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Miałam ochotę chwycić za haftowane szaty i potrząsnąć staryszką, zmusić ją, żeby mnie wysłuchała. Było mi na przemian zimno i gorąco, miałam zawroty głowy. Zastanawiałam się, patrząc w jej przebiegłe, ciemne oczy, czy zdołałabym ją złapać. Czy też równie dobrze mogłabym chwytać dym albo mgłę? Moje dłonie – zaciśnięte w pięści – drżały.

— Twoja córka sama decyduje o sobie. – Kobieta obrzuciła mnie surowym spojrzeniem. – Ty i ja niczego nie zmienimy. Cykle się zmieniają, a ona jest tutaj.

— Odeślę ją stąd, będzie bezpieczna – powiedziałam. – Daleko od tego wszystkiego.

— Odeślesz ją? Dokąd? Cykle się zmieniają. Kiedy zmieni się świat, wszystko ulegnie zmianie. I dlaczego chcesz ją odesłać? Ona należy do tego miejsca, tak samo jak ty.

— Zmiana cykli nie ma znaczenia – rzekłam, nagle rozgniewana. – To nie jest... – urwałam, nim dokończyłam myśl.

— To nie jest prawdziwe? – Zuhuy-kak spokojnie dokończyła zdanie. Jej głos był bardzo cichy.

Nie patrzyłam na nią. Wyjęłam z kieszeni papierosy. Zapaliłam jednego, zwiniętą dłonią osłaniając zapałkę od wiatru. Kiedy spojrzałam na Zuhuy-kak, uśmiechała się do mnie.

— Ja jestem prawdziwa – powiedziała.

— Nie. To tylko taka gra, którą prowadzę sama z sobą. Gram w nią od lat. Nie mogę się od tego powstrzymać. Mogę jednak powrócić do świata, w którym ciebie nie ma, gdzie nie ma zagrożenia, gdzie jaguary nie czają się w ciemnościach.

Spojrzałam w dal, zaciągając się papierosem i czując, jak moje serce bije coraz mocniej. Dym z papierosa był rzeczywisty; rzeczywisty był papieros w mojej dłoni, skała pode mną. Zuhuy-kak była snem, w który dobrowolnie uwierzyłam. Mogłam przestać weń wierzyć. Wypuściłam kłęb dymu i patrzyłam, jak wije się w górę, jak chwyta promień księżyca. Popatrzyłam na Zuhuy-

kak. Obserwowała mnie, trzymając w dłoniach swoją muszlę i uśmiechając się.

— To nie jest takie proste – oznajmiła. – Nie aż tak proste. Nie powstrzymasz kół czasu, odwracając się do nich plecami.

— Mogę odesłać ciebie.

Wzruszyła ramionami.

— Możesz spróbować.

— Wzruszasz ramionami jak Kalifornijka – powiedziałam nagle. – Ten gest z pewnością nie należał do kultury Majów.

— Uczę się od ciebie tak samo, jak ty uczysz się ode mnie – odparła. Uśmiechnęła się szeroko, ukazując inkrustowane złotem zęby. – Myślisz, że możesz kontrolować świat. Mylisz się.

— To ja cię wymyśliłam – przypomniałam. – Jesteś moim tworem. Mogę sprawić, że znikniesz.

— Dlaczego miałabyś to zrobić? – zapytała spokojnie. – Jesteśmy przyjaciółkami, Ix Zabeliz. Pomagam ci.

Powoli zaprzeczyłam, walcząc z zawrotami głowy.

— Nie jestem tego taka pewna.

— Jesteś moją przyjaciółką – powiedziała ze spokojną godnością. – Twoją córkę traktuję jak swoją.

Znowu potrząsnęłam głową.

— Mogę sprawić, że znikniesz – powtórzyłam. Nie podobało mi się drżenie mego głosu, ale nie potrafiłam go powstrzymać.

— To nie takie łatwe – powiedziała Zuhuy-kak. – Wybierasz swoich bogów, ale ich nie wymyślasz.

Zamknęłam oczy. W oddali cicho zahukała sowa – raz, drugi, trzeci. Wyobraziłam sobie siebie siedzącą samotnie przy grobowcu. Słuchałam szelestu wiatru w trawie i wiedziałam, że jestem sama, że zawsze byłam sama.

Gdy otworzyłam oczy, Zuhuy-kak wciąż była przy mnie.

— Pragniesz mocy bogini – powiedziała. – To wymaga ofiary. Należysz do tego miejsca. Rozumiesz to.

Wstałam i odeszłam od niej. Czułam się stara i bezradna. Po drugiej stronie placu obejrzałam się. Zuhuy-kak podniosła rękę i pomachała do mnie.

Rozdział 16

Diane

Kiedy doszliśmy do placu, zobaczyłam, że drzwi chaty matki są uchylone.

— Chyba sprawdzę, co porabia Liz.

— Świetnie – powiedziała zrzędliwie Barbara. – Ja nadal mam do napisania raport.

— Myślałam, że masz natchnienie.

— Moje natchnienie wyparowało, gdy tylko usiadłam do pisania. Jak dotąd, napisałam datę na górze strony. Poza tym przeczytałam do połowy ten romans, który kupiłam w Méridzie. Do zobaczenia później.

Zostawiła mnie pod drzwiami, a ja przez chwilę patrzyłam, jak światło jej latarki podskakuje na dróżce do naszej chaty. Zastukałam do drzwi, potem zajrzałam do środka. Jedyne oświetlenie wnętrza stanowiła świeca osłonięta małym kloszem. Stolik do gry w karty służący matce za biurko zarzucony był książkami i papierami.

— Przepraszam, że przeszkadzam – wymamrotałam. Czułam się niezręcznie i nieswojo. Chęć porozmawiania z nią o napotkanej w dżungli kobiecie opuściła mnie, tak jak natchnienie Barbarę.

— Nie ma za co – powiedziała, zamykając leżącą przed nią na stole książkę. Światło świecy pogłębiło bruzdy na jej twarzy, nadając jej wygląd starej i znużonej. Była blada, choć równie dobrze

mogła to być tylko gra światła. – Cieszę się, że przyszłaś. Jak słyszę, spotkałaś miejscową curanderę.

Pokręciłam głową.

— Nie sędzę.

— To ta stara kobieta – wyjaśniła cierpliwie.

Zmieszałam się, a po chwili zrozumiałam, że mówi o kobiecie, którą spotkałam przy chacie Salvadora.

— Ach, tak.

Z jej twarzy niczego nie mogłam wyczytać. Prawą rękę trzymała na stole i bawiła się ołówkiem; przesuwała go tak, by leżał równolegle do krawędzi, a potem znowu burzyła tę linię. Bardzo uważnie obserwowała jego położenie.

— Ona zapamiętała cię lepiej niż ty ją – powiedziała lekkim tonem. Znowu stuknęła w ołówek, tym razem trochę za mocno, bo spadł ze stołu, odbił od jej kolan i potoczył w ciemność. Zniknął. Wtedy spojrzała mi w twarz. – Nie pytałam cię jeszcze, co sądzisz o wykopaliskach.

— Lubię chodzić na rekonesans – odparłam ostrożnie.

— Lubisz przedzierać się przez dżunglę i walczyć z owadami?

Wzruszyłam ramionami.

— Dobrze rozumiemy się z Barbarą. Cieszę się, że mogę jej pomagać.

— Może powinnaś wyjechać stąd na trochę – powiedziała cicho, jakby tylko do siebie. – Wynająć samochód i pojechać na wybrzeże karaibskie – do Isla Mujeres, Playa del Carmen. Piękne plaże, wspaniałe warunki do nurkowania. Dołączę do ciebie, kiedy uporamy się z pracą tutaj. – Zamyślona patrzyła w ziemię, tam gdzie spadł ołówek. Twarz miała nieruchomą jak maska.

— Podoba mi się tutaj – odrzekłam.

— Nie powinnaś marnować całych wakacji tutaj, na tym odludziu – mruknęła. Nie patrzyła na mnie.

— Nie rozumiem.

Z leżącej na stole paczki wyjęła papierosa i podniosła klosz ze świecy, aby go przypalić. Ręka trzymająca papierosa drżała. Światło świecy odbiło się w jej oczach.

— Czy zrobiłam coś złego? – zapytałam drżącym głosem.

Odwróciła się twarzą do mnie, pochyliła do przodu w metalowym krześle i oparła łokcie na kolanach. W chacie było bardzo cicho.

Cykanie świerszczy dobiegało z bardzo daleka, jakby z drugiej strony księżyca. Matka znowu chciała mnie zostawić.

— Curandera, ta staruszka, którą spotkałaś, myśli, że jesteś czarownicą – powiedziała. – Znalazałaś się w dobrym towarzystwie, bo ona i mnie uważa za czarownicę. Ma więcej powodów, żeby podejrzewać mnie. Ja mamroczę sama do siebie i rozmawiam z ludźmi, których nie ma. Spaceruję o brzasku i zmierzchu, wtedy gdy pokazują się duchy. – Obserwowała mnie z dziwnym uśmiechem na twarzy. – Z pewnością to zauważyłaś.

Skuliłam ramiona.

— Nie zastanawiałam się nad tym. Uważałam, że pracujesz w ten sposób nad swoją książką.

— W Stanach ludzie uważają takie zachowanie za ekscentryczne – a w skrajnych wypadkach za objaw szaleństwa – powiedziała łagodnie matka. – Tutaj uznawane jest za poczynania czarownicy. Z tych dwóch interpretacji mnie osobiście bardziej podoba się druga. Czarownica ma pewną moc. Kobieta szalona to po prostu wariatka. – Przechyliła głowę na bok i spojrzała na mnie badawczo. – A co ty o tym myślisz?

Wzruszyłam ramionami, nie mogąc wykrztusić słowa.

— Załóżmy, że powiem ci, iż wstaję rano, żeby porozmawiać z duchami. Widzę przeszłość – opisywałam ci to kiedyś, pamiętasz? Co wtedy powiesz? Czy pojedziesz na wybrzeże i poczekaś tam na mnie?

— Sądzisz, że powinnam wyjechać, bo jakaś staruszka uważa mnie za czarownicę?

— Myślę, że powinnaś wyjechać, bo ja tego chcę. Chcę, żebyś stąd odjechała – do Isla Mujeres, Los Angeles czy gdziekolwiek zechcesz.

Stwierdziłam, że stoję z rękami zaciśniętymi w pięści.

— Nie możesz mi rozkazywać.

Matka nie zmieniała pozycji; wciąż swobodnie trzymała papierosa w jednej ręce, druga leżała luźno na podolku.

— To prawda. Dawno temu zrezygnowałam z tego prawa. Mówię tylko, czego pragnę. Wybór należy do ciebie.

Zgniotła papierosa w popielniczce, mierząc mnie przy tym bawczym, kosym spojrzeniem.

— Nie pozwolę ci znowu uciec – powiedziałam, patrząc z góry na tę dziwną kobietę, która była moją matką.

Oblizła wargi i powoli potrząsnęła głową.

— Chcę tylko, żebyś na siebie uważała.

Wyszłam ukradkiem, bez pożegnania. Nie opowiedziałam jej o starej kobiecie z dżungli.

Przed chatą Tony’ego paliła się latarnia. Tony siedział w ogrodowym krześle, paląc i popijając dzin z tonikiem bez lodu. Miał na sobie szlafrok i kapcie.

— Poczęstowałbym cię czymś zimnym – powiedział, kiedy usiadłam obok niego – ale dzin jest ciepły, a cały lód zużyliśmy wczoraj do obłożenia nogi Philippe’a i zapomnieliśmy kupić nowy. Chcesz ciepłego drinka?

Odmówiłam, kręcąc głową. Pod powiekami czułam łzy i nie chciałam pozwolić im wypłynąć.

— Co się stało? – Położył rękę na moim ramieniu. – Dobrze się czujesz?

— Nic złego się nie stało. – Udało mi się nawet uśmiechnąć słabo. – Nic. Ja tylko... – Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Nadal trzymał rękę na moim ramieniu i patrzył na mnie z troską w oczach. Musiałam coś powiedzieć.

— Czy kiedykolwiek... – zaczęłam trzęsącym się głosem. – Czy kiedykolwiek miałeś uczucie, że twoje życie się rozpada? Kiedy wszystko i wszyscy, którym ufasz, odchodzą? To tak, jakby ziemia usunęła się spod twoich stóp, jak gdyby świat zmienił położenie i nie było już na nim miejsca dla ciebie.

Głos mi drżał, skrzyżowałam ręce na piersiach, jakbym chciała

zatrzymać ciepło. Nie potrafiłam trzeźwo myśleć – przez moją głowę przelatywały jedynie migawkowe obrazy: błękitne oczy Briana, gdy patrzył mi w twarz, mówiąc, że nasz romans się kończy; trumna ojca opuszczana do grobu; portret rodzinny na biurku mojego szefa – żeby uniknąć jego spojrzenia, wpatrywałam się w tę fotografię, gdy mówiłam mu, że odchodzę. A z odleglejszych czasów słyszałam głos ojca mówiący, że matka nas opuściła. Odeszła. Kawałki, strzępy. Łamigłóвка i bałagan. Zamknęłam oczy i powiedziałam:

— Przechodzisz przez to i myślisz, że znowu wszystko jest dobrze. Wciąż jednak masz uczucie, że to się powtórzy. Obserwujesz. Niewiele widzisz znaków wskazujących na to, co dzieje się pod znaną ci powierzchnią spraw. I nie wiesz, co się tam kryje. Ktoś się złości, a ty wiesz, że zniknie na zawsze. Wszystko dzieje się zbyt blisko powierzchni.

Potrząsnęłam głową. Słowa wymknęły mi się nieoczekiwanie. Nie zamierzałam wyjawiać aż tyle.

— Nie wiem, jak to wszystko znowu naprawić – powiedziałam. – Nie wiem, co zrobić, żeby przestać się tak czuć. To szaleństwo, szaleństwo...

To była druga strona medalu. Normalni ludzie tak nie odczuwają. Między sobą a ciemnością wzniosłam barykadę – ona trzymała mnie przy zdrowych zmysłach. Wiedziałam, że jeśli ta bariera pęknie, mój świat zostanie zmieciony w jednej wielkiej krwawej fali uczuć. Wiedziałam o tym. Normalni ludzie nie są tacy. Powoli odzyskiwałam spokojniejszy oddech. Wpychałam do butelek uczucia i ciskałam je za barykadę. Zmusiłam się do rozwarcia zaciśniętych pięści, otwartymi już dłońmi odgarnęłam włosy z twarzy. Prawie uśmiechnęłam się do Tony'ego.

— Czasem w odpowiedzi słyszysz więcej, niż chciałeś.

— Nie szkodzi – odparł. – Wygląda na to, że potrzebujesz drinka. – Wszedł do chaty i usłyszałam chlupot płynu nalewanego z butelki. Wręczył mi szklanekę ciepłego dżinu z tonikiem, który już zwietrzał, po czym wrócił na swoje miejsce. – Czy możesz mi powiedzieć, co wywołało tę burzę uczuć?

Wzięłam głęboki wdech.

— Liz chce, żebym stąd wyjechała. Kazała mi odjechać. – Czuję, że się czerwienię, i przerwałam na chwilę. – Nie chcę.

Zmarszczył brwi.

— To dziwne. Myślałem, że się dogadujecie.

— Ja też tak myślałam.

— Co powiedziała?

— Powiedziała, że spędzanie tu całych wakacji to marnowanie czasu.

— Chyba rozumiem jej punkt widzenia. Wielu zgodziłoby się z nim.

— Powiedziała... – Zawahałam się. Jakoś nie chciałam opowiadać Tony'emu, co powiedziała mi matka o czarownicach. – Curandera, ta stara kobieta, powiedziała jej, że powinnam wyjechać.

Tony odchylił się na krześle i pokiwał głową.

— Porozmawiam z nią. Do tego czasu nie naciskaj. Naciskanie na Liz nie popłaca. Jeśli to zrobisz, zamknie się jak ślimak w skorupie. Zwykle czekam, aż sama zmieni zdanie. Czasami nie zmienia. – Wzruszył ramionami. – I ty, i matka jesteście bardzo uparte.

— Proszę mnie w to nie mieszać.

— Jeśli nie jesteś uparta, to dlaczego nie pakujesz walizek i nie ruszasz jak najdalej stąd? Jeśli ona cię tutaj nie chce, po co zostajesz? – Wyjął z ust fajkę i sprawdził popiół we wgłębieniu. Przyłożył do niego zapałkę i pociągał, aż się zaczął tlić. Potem spojrzał na mnie. – Uparta.

— Martwię się o Liz – powiedziałam wtedy.

— Dlaczego?

— Mówi do siebie.

— Robi tak od lat.

— Codziennie jest od świtu na nogach. Nie wydaje mi się, żeby dobrze sypiała.

— To także dzieje się od wielu lat. Powiedz mi coś nowego. – Czekał, pykając fajkę.

Nie podobał mi się dźwięk mojego głosu: był jakiś cienki, roz-

wlekły i cichy.

— Myślę... Czy uważasz, że ona jest szalona?

— Sądzę, że wszyscy jesteśmy szaleni, żyjąc tu z muchami, w brudzie, pijąc ciepły dżin i kopiąc w poszukiwaniu rzeczy, na które większość ludzi nie zwróciłaby nawet uwagi. Normalne jest to, co robi większość ludzi. Nikt z nas nie jest normalny, więc musimy być wariatami.

— Mam na myśli prawdziwe szaleństwo.

Małym drewnkiem pogrzebał w popiele fajki.

— Wahałbym się nazwać kogokolwiek wariatem. – W jego głosie usłyszałam ostrą nutę. – Myślę, że twoja matka nie jest bardziej szalona, niż była przez te wszystkie lata. – Patrzył na mnie badawczo. – Co chcesz zrobić? Oddać ją pod opiekę lekarzy? Twój ojciec już tego próbował.

— Tony, przepraszam. Ja tylko... Martwię się. Nie wiem, co robić.

— Mówiłem ci już w zeszłym tygodniu. Daj jej trochę czasu. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Rozważ wszystko powoli. Teraz powtarzam. Pozwól mi z nią porozmawiać.

— Ale ona chce, żebym odeszła.

— A ty powiedziałaś, że tego nie zrobisz. Co jeszcze powiedziała?

— Żebym była ostrożna.

— To zawsze dobra rada. Zatem zostań, jeśli chcesz, i bądź ostrożna. I przyznaj, że jesteś uparta. To nie jest najgorsza cecha charakteru. Porozmawiam z nią na temat twojego wyjazdu. Zobaczymy, co ma do powiedzenia.

Spojrzałam na moje ręce. Leżały na podołku zaciśnięte w pięści. Usłyszałam, jak Tony poruszył się i jedna jego dłoń zamknęła się na mojej.

— Spokojnie – powiedział głębokim dudniącym głosem. – Wciąż jestem twoim przyjacielem.

Nigdy nie powiedziałam mu o kobiecie z dżungli.

Rozdział 17

Elizabeth

Nawet w najlepszych chwilach nie ufam studentom. Przywołują wspomnienia pachnących kredowym pyłem sal wykładowych, szelestu zeszytów oraz aroganckich młodych kobiet i mężczyzn, smukłych i dobrze odżywionych, jak wilki jesienią, po udanych letnich łowach.

Pamiętam popołudniowe zajęcia w przegrzanej sali, na zewnątrz której deszcz przyciemnia betonowe chodniki, grzechocze w liściach i powoduje, że Strawberry Creek, ujarzmiony strumień akademickiego miasteczka, pędzi i zwija się w szalone wiry. Studenci drzemią w ciepłej sali wykładowej.

Wiem, że nie mogę im ujawnić mojej prawdziwej osobowości – chudej, wygłodzonej i uszarganej jak bezdomny kot, który na chwilę chroni się przed deszczem pod zaparkowanym samochodem. Uniwersytet jest dla mnie takim chwilowym schronieniem: aby utrzymać to miejsce, muszę obudzić te ospałe bestie i nauczyć je czegoś, zmusić, by przetarły oczy i poszukały odpowiedzi w otchłaniach swych leniwych mózgów. Muszę tchnąć życie w to zatechłe powietrze.

Wykładam jak szaman, który powołuje do życia tajemne moce. Pracuję nad tym – rzucałam pytania jak kamienie, ciskam anegdoty, jakbym rzucała bolę. Maluję przed słuchaczami wizje zwyczajów pogrzebowych, obrzędów przejścia i starożytnych miast. Podskakuję, przemierzam salę tam i z powrotem, jestem

w ciągłym ruchu. Boję się, ale zawsze trzymam ich na dystans, czujnych i ostrożnych, nieco zagubionych, wciąż wyczekujących. Nikt nie śpi. A ja utrzymuję swoje schronienie.

Piątek, dzień Cib, jest przedstawiany jako koncha muszli, symbol odrodzenia, przejścia przez świat podziemny i powrotu do światła. Nie wiem jednak, jaki bóg rządzi tym dniem.

W piątek napięcie wisiało w powietrzu, biegało po skałach z jaszczurkami, syczało na wietrze wraz z trawami. Cała byłam obolała, a w nocy dręczyły mnie zimne dreszcze. Z powodu niewysokiej gorączki byłam niespokojna i poirytowana. Kiedy paliłam, czułam drżenie w piersiach, a serce biło mi o wiele za szybko. W ciągu dnia wiatr przynosił śpiewy. Gdzieś w przeszłości mężczyźni i kobiety śpiewali w takt bicia bębnów, mrużenia grzechotek, zawodzenia trąb robionych z muszli i jęków piszczalek. Nie rozumiałam słów. Nasłuchiwałam, lecz nie umiałam powiedzieć, skąd dochodzi śpiew.

Zostałam w obozie, popijając gorącą herbatę z aguardiente i próbując odpocząć. Odpalałam jednego papierosa od drugiego, wciągałam głęboko dym w płuca, jakby nikotyna miała mnie uspokoić i złagodzić dreszcze. Jednak drżenie nie ustawało. Wydawało się częścią tego miejsca, jak gąszcz w dżungli i ziemia na głazach. Po południu poszłam na spacer do świątyni Siedmiu Lalek. Na placu obok świątyni grupa młodych mężczyzn dekorowała tarcze bajecznie kolorowymi piórami leśnych ptaków. Nie rozmawiali, tylko pracowali w ponurym milczeniu, przygotowując się do wojny.

Późnym popołudniem Carlos, Maggie, Barbara i Diane wyjechali do Méridy w poszukiwaniu wątpliwych uciech miejskiego życia. Tylko Tony, John i Robin zostali w obozie. Sami przygotowaliśmy sobie obiad na kuchence turystycznej i po raz pierwszy od wielu dni jedzenie było nie przypalone i nie przesolone. Piłam herbatę z aguardiente, potem aguardiente bez herbaty. Alkohol rozgrzewał mnie, ale i on nie ukoił wewnętrznego drżenia. Tony i Robin rozmawiali o garncarstwie.

Przez cały poprzedni tydzień Robin pomagała Tony'emu przy

podstawowej analizie znalezisk garncarskich. Zdawała się podzielać zainteresowanie Tony'ego tą dziedziną: z ledwie hamowanym entuzjazmem dyskutowała o kolorach na wykresie Munsella i twardości według skali Mohsa, o wypalaniu i składzie farb, o grubości krawędzi i sposobach mocowania dziobków dzbanów.

John słuchał z zainteresowaniem niewspółmiernym do wagi tematu. W pewnym momencie wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów opadający Robin na oczy, a potem delikatnie dotknął jej ramienia. Uśmiechnęła się i ujęła jego rękę. Zrozumiałam, że są kochankami, i zastanawiałam się, od jak dawna trwa ich romans.

Po obiedzie, zanim zmierzch zmusił nas do zapalenia lamp, John przyniósł swój kołonotatnik, żeby pokazać nam szkice ze stanowisk. Były wśród nich częściowe plany podłoża oraz wykonane na miejscu szkice konstrukcji bezpośrednio sąsiadujących z grobowcem. Choć często zaglądałam mu przez ramię, gdy rysował, dotychczas nie widziałam wyników jego pracy.

John studiował wcześniej architekturę i jego szkice odzwierciedlały nabyte umiejętności: dopracowane w szczegółach rysunki tuszem, o ostrych liniach i starannie pokazanych cieniach. Jeśli cokolwiek można im było zarzucić, to tylko to, że te linie były aż nadto precyzyjne, za proste, zbyt dosadne. Jego szkic kopca położonego na północny zachód od grobowca nie oddawał atmosfery opuszczenia i rozkładu, kruchości zwietrzałych i korodujących wapiennych bloków. Mimo to prace Johna były piękne.

Powoli przewracał kartki, zatrzymując się na szkicach ze stanowisk i szybko mijając prace, które uznał za niegodne naszej uwagi: pośpieszne szkice ołówkiem, rysunki ukazujące dokładne położenie nadproża nad portalem, portret obwisłej twarzy Picha, profil Robin badającej skorupę garnka. Zatrzymał się przy szkicu przedstawiającym wejście do grobowca, na którym rozrysowany był każdy blok murarki, a potem odłożył szkicownik na drewnianą skrzynię za plecami.

Kiedy Tony i Robin wychwalali prace Johna, podniosłam notatnik i przekartkowałam go aż do rysunku, który wcześniej

przyciągnął moją uwagę. Był to ołówkowy szkic placu obok grobowca. Przynajmniej raz John poczuł się swobodnie i popuścił wodze fantazji. Rysunek przedstawiał konstrukcje takimi, jakimi mogły być w przeszłości. Połączył tu drobiazgową wierność detalom z lekkością, przypominało to trochę prace Fredericka Catherwooda, dziewiętnastowiecznego artysty, który jako pierwszy zaczął szkicować ruiny.

Fasadę pałacu po lewej stronie rysunku zdobiły stiukowe maski chaac oraz węże; wiodące do niej płytkie stopnie pokrywały nieczytelne ryty. Rozpoznałam miejsce z mojego snu. To tutaj, przed tymi stopniami widziałam stos czaszek i stałam na skraju placu, gdy kruki poderwały się, wrzeszcząc ostrzegawczo.

To nie tak, pomyślałam, przyglądając się fasadzie świątyni i przypominając sobie, jak opisała mi ją Zuhuy-kak, a także jak widziałam ją w moim śnie. Świątynia należała do bogini księżycy, więc maski chaac oraz węże nie miały z nią nic wspólnego. Nic a nic.

— O co chodzi? – zapytał John, a ja przez chwilę myślałam, że mówiłam sama do siebie. Nachylił się i zerknął mi przez ramię. – Patrzy pani na to i marszczy brwi. Czy coś nie tak?

Potrząsnęłam głową, zbierając myśli.

— Fasada powinna być inna. Bardziej w stylu fasady świątyni w Tulum. Muszle i ryby.

Wziął z moich rąk szkicownik.

— Dlaczego pani tak myśli?

Dlaczego? Ponieważ, piłam i pamiętałam mój sen. Ponieważ aguardiente szumiała mi w głowie. Przeszłość i terażniejszość skrzyżowały na moment swoje ścieżki. Próbowałam uśmiechnąć się, ale mięśnie twarzy odmówiły mi posłuszeństwa.

— Mam takie przeczucie.

Spojrzał na mnie dziwnie. John nie lubił twierdzeń opartych na niejasnych przeczuciach.

— Właściwie mam za mało informacji, aby sporządzić rysunek rekonstrukcyjny. To była tylko zabawa.

— Nie ma w tym nic złego – powiedziałam. – Nic złego w po-

sługiwaniu się wyobraźnią.

Zapadła niezręczna cisza. John trzymał szkicownik, jakby nie wiedział, co z nim począć, i spoglądał na mnie surowo. Wreszcie Robin nachyliła się do niego, wzięła z jego rąk notatnik i zapytała, czy ona też może spojrzeć. Tony wstał, żeby zapalić latarnię i nalać mi kolejną filiżankę herbaty. Rozmowa potoczyła się dalej.

Siedziałam na skraju kręgu światła i obserwowałam tę trójkę, przysłuchując się ich rozmowie. John po chwili uspokoił się. Dobrze im było razem: Tony i Robin żartowali na temat badania garnków, ręka Johna spoczywała na oparciu krzesła Robin; od czasu do czasu ona uśmiechała się do niego lub lekko dotykała jego dłoni. Patrzyłam na nich mniej więcej tak samo, jak obserwowałam cienie z przeszłości – jak obserwator, nie uczestnik. Mimo to nie mogłam odejść.

Dużo później Robin i John opuścili krąg światła i trzymając się za ręce, poszli nad cenotę. Tony nalał mi kolejną szklanekę aguardiente. Gdy tak siedzieliśmy razem w kręgu światła, obserwując krążące wokół ćmy, smakując gorzkawą aguardiente spływającą do krtani, miałam uczucie, że między mną a Tonym dzieje się coś nowego, albo bardzo starego, co budziło się na nowo.

Wypiłam jeszcze jedną szklaneczkę, oparłam się wygodnie i zamknęłam oczy przed światłem latarni. Brązowy trunek działał na mnie uspokajająco, spowalniał bicie mojego serca, rozmazywał głosy owadów i ptaków w dżungli.

Krzeselko Tony'ego zaskrzypiało, gdy pochylił się do przodu, sięgając po leżącą na skrzyni fajkę. Usłyszałam szelest sakiewki z tytoniem, a to oznaczało, że przystępuje do nie kończącej się procedury nabijania i zapalania fajki. W ciepłym powietrzu rozszedł się słodkawy zapach aromatycznego tytoniu. Usłyszałam drapanie drewnianej zapałki, poczułam zapach zapalającej się siarki, a potem tytoniowego dymu. Głos Tony'ego był chropowaty i ciepły jak rozgrzany słońcem granitowy głaz.

— Ostatnio za dużo piłem – powiedział cicho. – Chciałbym cię poinformować, że właśnie z tym zrywam.

Otworzyłam oczy. Szklanka przy jego łokciu była pusta, ręce

miał zajęte zabawą z fajką. Zauważyłam wcześniej, że nie pije aguardiente na równi ze mną, ale nie zastanawiałam się nad tym. Spojrzał na mnie.

— Wiem, że martwiłaś się tym, to znaczy moim piciem. Wpadłem w ten nawyk po śmierci Hilde.

Przytaknęłam, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Domyśliłam się.

— To tylko nawyk, z którym zrywam. Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

— Dobrze.

Fajka zgasła, zaczął więc grzebać w niej spaloną zapałką. Unikał mojego wzroku i wiedziałam, że krąży wokół trudnego tematu. Odczekałam chwilę, a potem zapytałam:

— O co chodzi, Tony?

— Diane powiedziała mi, że kazałaś jej wyjechać – powiedział szybko.

— To prawda. – Oparłam się wygodnie na krześle, udając swobodę, której wcale nie czułam.

— Dlaczego?

— To nie ma znaczenia, prawda? Ona odmawia.

Przysiadł na skraju krzesła, złożone ręce opuścił między kolanami. Otwarte drzwi za jego plecami majaczyły plamą jasnego światła. Patrzył w dół, na swoje dłonie.

— Diane powiedziała, że to curandera kazała ci ją odesłać.

— Czy uważasz, że to w moim stylu? Słuchać rad indiańskiej szamanki? – potrząsnęłam głową.

— To dlaczego chcesz, żeby wyjechała?

— Pomyślałam, że może chciałyby zobaczyć coś więcej na Jukatanie poza jednym malutkim wykopaliskiem. To była tylko propozycja.

— Bardzo ją to poruszyło. Najwidoczniej pomyślała, że chcesz, by odeszła na dobre.

Gniewnie wzruszyłam ramionami.

— Tak, bywają chwile, że tego chcę. Ona chyba oczekuje ode mnie czegoś, czego nie mogę jej dać. – Potarłam dłonią czoło, żału-

jąc, że wypity alkohol i gorączka nie pozwalają mi jasno myśleć. – Próbuje odkryć, kim jest, i najwidoczniej uważa, że może dowiedzieć się tego ode mnie. Tymczasem ja nie mogę jej nic powiedzieć.

— Myślę, że odprawienie Diane byłoby błędem – powiedział Tony cicho. – Myślę, że próbujesz uciec od sytuacji, której – jak sądzisz – nie podołasz. Boisz się poznać swoją córkę, boisz się, że może cię zranić. A przecież nie możesz bać się do końca życia.

— Tony – powiedziałam, pochylając się do przodu. – Tony, posłuchaj... – Urwałam. Co mogłam mu powiedzieć? Nic. Starożytna kapłanka dawno zapomnianego kultu księżyca zapałała niezdrawą sympatią do mojej córki. – Mam po prostu złe przeczucia co do tego miejsca. Myślę, że jakieś niebezpieczeństwo grozi tutaj Diane, może nie tylko jej. Nie potrafię kontrolować tego, co się tutaj dzieje.

— A co się tutaj dzieje? – zapytał. – Co widzisz, czego ja nie widzę?

Odchyliłam się w tył na krześle i spojrzałam na moje ręce, z ich starymi bliznami i połamanymi paznokciami.

— Czy nie czujesz niebezpieczeństwa? – zapytałam go. – Rozumiem, że nie widzisz świata tak, jak ja, ale musisz zdawać sobie sprawę, że jest w nim o wiele więcej niż to, co widzimy. Kiedy spacerujesz w ciemności albo o szarej godzinie tuż po zachodzie słońca czy też przed świtem, zawsze jest coś poza granicą widoczności. – Spojrzałam mu badawczo w twarz. – Wiem, tobie się to nie zdarza, nie często. Otaczasz się ludźmi. Nawet kiedy jesteś sam, myślisz o przyjaciółach, martwisz się o nich, otaczasz się nimi jak ciepłym kocem. – Pokręciłam głową. – Ja żyję w trochę bardziej samotnym miejscu.

— Nic musisz – powiedział. Podniósł na mnie oczy i wyciągnął otwarte ramiona. – Nie musisz być sama.

Potrząsnęłam głową.

— Myślę, że dla Diane dostatecznie trudne było odnalezienie ciebie za pierwszym razem. Jeżeli ją odeślesz, nie możesz oczekiwać, że spróbuje znowu.

— Nie oczekuję od niej niczego.

— A ode mnie?

— Niczego, Tony. Nic nie możesz zrobić. – Jego ręce opadły na kolana, a ja chciałam dotknąć tych dłoni, ująć je w swoje. Jednak byłam dla niego zagrożeniem. Będąc blisko, mogłam go zranić. Złożyłam ręce na podolku i potrząsnęłam głową.

Popatrzył na mnie i powiedział niepewnie.

— Liz, znamy się od dawna. Wiem... – Urwał i zaczął od nowa. – Od tak dawna, jak się znamy, wiedziałem, że widzisz rzeczy, których inni nie widzą. Akceptuję ten fakt. To mi nie przeszkadza. Nigdy o tym nie wspominałem, ponieważ uważałem, że jeśli to zrobię, odwrócisz się ode mnie. Zawsze bałem się o tym rozmawiać. – Patrzył na mnie spokojnie; trzymał w ręce fajkę, nie palił jej jednak. – Wierzysz mi?

Przytaknęłam skinieniem głowy, nie ufając swemu głosowi. W dżungli cykały świerszcze. Nad naszymi głowami syczała strzecha z palmowych liści, jak gdyby gnieździło się w niej stado węży. Czułam dotyk wiatru poruszający włoski na moich rękach, łaskoczący szyję luźnymi kosmykami. W obozie było bardzo cicho.

— Ostatnio jednak słyszałem, jak mówiłaś do siebie językiem Majów – w swojej chacie, przy wykopie. Zastanawiałem się, do kogo mówisz – ciągnął łagodnym głosem.

Aguardiente spowolniła działanie mego ciała i mózgu. Pochyliłam się do Tony'ego, obiema dłońmi obejmując filiżankę.

— Nie przejmuj się tym, Tony. Tak jak powiedziałeś, od lat widuję ludzi, których nie ma. Dlaczego miałbyś martwić się tym teraz?

— Diane boi się o ciebie – powiedział.

Nagła fala gniewu była z pewnością efektem działania aguardiente, wiedziałam o tym.

— Powiedziała ci, że martwi się o mój stan psychiczny, tak?

— Nie ujęła tego w ten sposób.

Odchyliłam się w tył i widząc, że bezwiednie zacisnęłam ręce, kazałam im się rozluźnić.

— I co jej odpowiedziałeś?

— Powiedziałem, że nie jesteś bardziej szalona teraz, niż byłaś zawsze. – Wzruszył ramionami. – Myślę, że to prawda.

— To znaczy, jak bardzo?

Popatrzył na mnie spokojnym wzrokiem.

— To zależy od definiującego – powiedział. – Ja nie przejmuję się tym, że widzisz nie istniejących ludzi. Natomiast martwi mnie, gdy ignorujesz istniejących. Sądzę, że nie powinnaś odsyłać Diane.

Milczałam. Księżyc stał już wysoko na niebie. Przypomniałam sobie obraz księżycy widziany ze szpitalnego oddziału. Mogłam go zobaczyć przez maleńkie, zakratowane okienko, stojąc na pokrywie sedesu jednej z toalet. Uczepiona zakurzonego parapetu, patrzyłam, jak leniwie wznosi swą zniszczoną twarz nad horyzontem i spogląda stamtąd na ziemię. Kwiatami, które dostałam od Roberta, przekupiłam jedną z kobiet, która stawała na warcie przy drzwiach, podczas gdy ja obserwowałam księżyc. Mogłam tak stać aż do chwili, gdy zmęczył mnie zapach uryny i środków dezynfekcyjnych lub gdy przyłapana przez sanitariusza, zostałam w niezbyt delikatny sposób odesłana z powrotem do łóżka. Pamiętałam.

Tony wyciągnął rękę poprzez dzielącą nas przestrzeń, ale ja wstałam i podeszłam na skraj kręgu światła. Chwiałam się trochę, więc poszukałam oparcia krzesła za plecami. Wietrzejąca aguardiente pozostawiła moje ciało ciężkim, a głowę lekką. Kiedy poruszyłam głowę, świat zawirował wokół mnie.

— Nie przeszkadza mi to, że ludzie nazywają mnie szaloną – powiedziałam, patrząc na plac. – Nie dbam o to, co ty o tym myślisz. Ale nie pozwolę się zamknąć.

— O czym ty mówisz, Liz? Nie powiedziałem ani słowa o...

— Nie, nie powiedziałeś. – Wstawał, żeby do mnie podejść, jednak pod wpływem mojego gniewnego spojrzenia usiadł znowu. – Uważasz, że od lat jestem wariatką.

— Ty wiesz najlepiej.

Zacisnęłam dłoń w pięść, aż paznokcie boleśnie zraniły mi cia-

ło. Wokół siebie czułam napięcie. Bałam się. Nie umiałam znaleźć słów. Kiedy ich szukałam, przed oczami ujrzałam wielką ciszę otaczającą o świcie kopce, skrobanie jaszczurek na skale, krzyki ptaków w dżungli, syczenie traw na wietrze. Żadnych słów.

— Posiedzę jeszcze – powiedział. – Od lat walczę z własnymi cieniami. Twoje byłyby miłą odmianą.

Czułam się pusta. Słyszałam własne, bełkotliwe słowa, aż na-
zbyt dobrze pamiętałam szpitalny zaduch. Spojrzałam na Tony'ego, rozpartego na krześle, i przypomniałam sobie Roberta i to, jak mnie pocieszał, gdy byłam niespokojna.

— Nie przejmuj się – powiedziałam dopiero wtedy do Tony'ego. – Nie odeślę Diane. Nie musisz się tym martwić.

— Poczekaj – powiedział, wyciągając do mnie rękę. – Uspokój się. Nie...

— Powiedziałam, że wszystko w porządku. Nie martw się.

Zostawiłam go i wróciłam do bezpiecznego azylu mojej chaty.

Rozdział 18

Diane

Na wniosek Barbary opuściłyśmy obóz w piątek przed obiadem. Obiad zjadłyśmy w Los Balcónes, małej restauracji na tarasie z widokiem na Parque Hidalgo. Barbara zabawiała się obserwowaniem mężczyzn przyglądających się kobietom na placyku pod nami. Mężczyźni próżnowali na ławkach i w narożnikach, omawiali ważne sprawy, żywo przy tym gestykulując i często wybuchając śmiechem. Kiedy obok przechodziła kobieta, zwłaszcza młoda – dyskusja zamierała. Jeden z mężczyzn spoglądał na nią. Drugi, widząc, iż coś rozprasza uwagę jego rozmówcy, odwracał głowę, szukając przyczyny. Trzeci widział zachowanie drugiego i szedł za jego przykładem. W tym czasie pierwszy wracał do tematu, ale czwarty dopiero zaczynał patrzeć. W ten sposób każdej przechodzącej kobiecie towarzyszyła fala odwracających się głów.

— Spójrz – powiedziała Barbara. – Nie miałabyś ochoty przejść przez plac, a ja sprawdziłabym reakcję? Potem ja zejdem na dół, a...

— Jakoś nie mam na to ochoty.

— Nie? – Urwała i przez moment obserwowała mężczyzn. – Żle się czujesz?

— Nie.

— To o co chodzi?

Wzruszyłam ramionami.

— Jestem wściekła na Liz.

— Tak? A to dlaczego?

— Chce, żebym wyjechała.

— Och! Dokąd masz pojechać?

— Nad Morze Karaibskie. Albo z powrotem do Los Angeles.
Gdziekolwiek, powiedziała.

— Dlaczego?

Patrzyłam na mężczyzn na dole. Powrócili do ożywionej dyskusji.

— Powiedziała... to dziwne, ale powiedziała, że curandera uważa, iż powinnam wyjechać.

— Liz tak powiedziała?

— Właśnie.

Barbara nerwowo bębniła palcami po stole.

— Czy sądzisz... – zawahałam się, niepewna.

— Co?

— Czasem matka widzi rzeczy, których nie ma. Podąża za nimi wzrokiem, a kiedy tam patrzysz, niczego nie widzisz.

— Zauważyłam to. Robi to od lat.

— Czasami mówi sama do siebie. Ciągle spotykam ją w różnych miejscach wczesnym rankiem i najczęściej mówi sama do siebie.

— To fakt.

— Czy myślisz, że jest szalona?

Barbara popatrzyła w dół na plac. Dwójka sprzedających kwiaty dzieci nagabywała paru amerykańskich emerytów w podobnych, popołudniowych garniturkach.

— Może nie jest normalna, ale to wcale nie znaczy, że jest wariatką. – Wzruszyła ramionami. – To znaczy... kto jest normalny? Oni? – Wskazała emerytów. – Lubię twoją matkę. Czasem zachowuje się dziwnie, mnie to jednak nie przeszkadza. Ja też często zachowuję się dziwnie. Co jej odpowiedziałas?

— Powiedziałam, że nie mam zamiaru.

— I co ona na to?

— Że robię to na własną odpowiedzialność.

— Brzmi w porządku. Więc zostajesz.

— Chyba tak.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Brązowy posąg na placu odbijał ostatnie promienie słońca. Sprzedawca hamaków przeszedł przez plac, bez skutku zaczepiając staruszków.

— Czy pamiętasz ten wieczór, gdy paliłyśmy trawkę nad cenotą? – zapytałam nagle. – Spotkałam tę curanderę przy chacie Salvadora. Żałuję, że nie zrozumiałam tego, co do mnie powiedziała. Coś mocno ją podekscytowało.

— Tak bywa. Siedzisz w takim miejscu dość długo i w końcu okazuje się, że nie rozumiesz nawet połowy tego, co się wokół ciebie dzieje. Nawet jeśli rozumiesz słowa, nie chwytasz wszystkich podtekstów. – Barbara wzruszyła ramionami. – Na twoim miejscu nie przejmowałabym się. – Spojrzała na mnie i sięgnawszy przez stół, poklepała mnie po ręce. – Wyluzuj się i korzystaj z wakacji. Nie martw się Liz. Wszystko samo się ułoży.

Tej nocy spałyśmy w prawdziwych łóżkach. Śniadanie zjadłyśmy oczywiście w Cafeteria Mesón i oczywiście Emilio i Marcos – „chłopcy”, jak z upodobaniem nazywała ich Barbara – pojawili się, gdy piłyśmy kawę. Emilio postawił nam po jeszcze jednej kawie, a ja spróbowałam zapomnieć o obozie.

— To co planujecie na dzisiaj? – zapytał Emilio, wsypując cukier do kawy.

— Rozmawialiśmy o wycieczce do Chichén Itzá – odpowiedziała Barbara.

Emilio podniósł wzrok.

— Chcesz, żebym pojechał z wami jako kierowca?

— To zależy – powiedziała Barbara. – Dostaniemy udział w zyskach za zapewnienie transportu?

Emilio uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Jasne. Zapłacę za benzynę.

Barbara spojrzała na mnie i roześmiała się.

— Nie rób takiej zaszokowanej miny, Diane. Ten bandyta czerpie cholernie wysokie zyski ze sprzedaży hamaków. Nawet w kiepski dzień zarabia więcej niż świeżo upieczony absolwent

uniwersytetu.

— Co to znaczy „bandyta”? – zapytał Emilio, mieszając kawę. Barbara uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Spojrzał na nią i dosypał jeszcze trochę cukru do swojej jasnobrązowej kawy.

— Myślę, że lubisz tego bandytę – powiedział. Odłożył na miejsce cukierniczkę i uśmiechnął się do Marcosa. – Dzisiaj jest nasz szczęśliwy dzień.

W końcu pojechaliśmy do Chichén Itzá wszyscy: Barbara, Emilio, jego hamaki. Marcos i ja. Emilio zagadnął parę Niemców na stromych schodach starożytnej piramidy i sprzedał im na miejscu dwa hamaki. Potem handlował z dwójką staruszków w cieniu kolumnady pierzastych węży, która wieńczyła świątynię Wojowników. Jeszcze później targował się o sto pesos na stopniach prowadzących do platformy z rzeźbionymi jaguarami, które ścisnęły w pazurach ludzkie serca. Na stopniach rozpadającej się, kamiennej świątyni zaoferował pewnemu mężczyźnie naprawdę korzystną cenę. Między kamieniami budowli rosły żdźbła trawy.

Barbara wzięła na siebie zagadywanie młodych turystów płci męskiej.

— Hej! – zawołała do dwóch blond studentów. – Chcecie kupić hamak?

Przystanęli, żeby porozmawiać w cieniu potężnej konstrukcji wyglądającej jak sterta gruzu. Ciemny korytarz prowadzący do wewnętrznych zakamarków budowli pachniał pleśnią i moczem. Blondyn w koszulce z emblematem Uniwersytetu Kalifornijskiego kupił małżeński hamak za cenę dwukrotnie wyższą od zwykłej ceny Emilia.

Emilio zaprowadził nas do Old Chichén, starszej części miasta, gdzie wykarczowano dżunglę, ale jeszcze nie odrestaurowano budynków. W ustronnym zakątku, gdzie słychać było jedynie szelst listowia w gąszczu, paliliśmy trawkę, nasłuchując głosów ptaków pośród drzew. Potem Barbara uparła się, że musimy zobaczyć Świętą Studnię.

Prowadził Marcos. Emilio objął Barbarę i spacerowali, przystając, żeby się przyjrzeć rzeźbionym głazom i budynkom. Przeszliśmy obok kamiennego muru, którego każdy blok wyrzeźbiony był w kształt ludzkiej czaszki. Głazy starannie ułożono jedne na drugich i rzędy szczerzących zęby czaszek obserwowały nas, gdy kupowaliśmy napoje na straganie i szliśmy wypić je przy studni. Usiedliśmy na krawędzi przepaści, skąd widzieliśmy zieloną toń, maleńkie oczko wody daleko pod nami. Emilio położył głowę na kolanach Barbary. Nisko nad wodą kołowały błękitno-zielone ptaki o długich ogonach, które Marcos nazywał motmotami. Takie same ptaki wystawiały główki spośród drzew i obsiadły wie-trzejące wapienne skały po przeciwnej stronie studni. Urwisko miało ponad sto stóp. Marcos pokazał nam półkę, z której kapłani Majów zrzucali do studni dary, malutki występ skalny na południowej stronie.

— Wrzucali tam również ludzi? – zapytałam, leniwie opierając się o skałę.

Marcos skinął głową. Spojrzałam spod oka na półkę. Nie chciałam skakać z takiej wysokości, a co dopiero być z niej zrzucona. Marcos poczęstował mnie papierosem i sam też zapalił. Skalne ściany migotały w słońcu, a narkotyk sprawił, że świat nabrał żywszych kolorów.

— Pięknie, prawda? – powiedział Marcos.

Pokiwałam głową, przymkniętymi oczami wciąż wpatrując się w skalną półkę. Dostrzegłam coś jeszcze: błysk błękitnej szaty, kolor sukni Dziewicy Maryi, coś stamtąd spadło. Potem Marcos ujął moją rękę, pochylił się i delikatnie mnie pocałował, zasłaniając widok.

Wieczorem w hotelu wymieniliśmy z Barbarą spostrzeżenia. W drodze powrotnej Marcos zapytał, czy nie pojechałabym z nim na plażę do Progreso nazajutrz, czyli w niedzielę. Barbara powiedziała, że Emilio z kolei zaproponował pływanie we wsi Tixkokob.

— Wygląda na to, że wyznają zasadę „dziel i rządź” – skomen-

towała Barbara.

— Tak mi się wydaje.

Wzruszyła ramionami.

— Powiedziałam, że pojedę. Mam okazję zobaczyć wioskę Majów w towarzystwie tubylca. A wioskowe jezioro wydaje się dość bezpiecznym miejscem. Rozradowane dzieci pluskające się w wodzie. Wieśniaczki piorące na skałach.

— O, tak. – Położyłam się na łóżku i założyłam ręce za głowę. – Rzadka okazja antropologiczna. – Wentylator pod sufitem grzechotał rytmicznie, jak chłopiec wodzący patykiem od lizaka po płocie z palików.

— No właśnie. – Kopnięciem zrzuciła sandały i usiadła na krawędzi drugiego łóżka. – Jeśli szukasz kłopotów, czasem je znajdujesz. Idziemy na to. Na jakie kłopoty możesz się narazić nad stawem w sercu odludnej wioski? Albo na publicznej plaży?

— Na pewno się dowiemy.

Autobus do Progreso miał tyle samo lat, co miejski autobus. Zatrzymał się o przecznicę od plaży.

Pod zasnutym grubą warstwą chmur niebem nie kończący się szereg palm maszerował wzdłuż białego piasku. Tuż przy brzegu, wraz z gromadką brązowych, roześmianych dzieci, moczyły się w wodzie skorupy orzechów kokosowych i kawałki muszli. Młodzi chłopcy zalecali się do nastolatek, wpędzając je do wody. Starsza kobieta pluskała się w sięgającej ud wodzie. Spódniczka jednoczęściowego stroju podnosiła się z nadejściem fali i przywierała apatycznie do nóg wraz z odpływem. Kobieta głośno oznajmiała mężowi nadejście każdej kolejnej fali.

Kiedy słońce chowało się za chmurami, barwy blakły, jak na amatorskiej akwareli malowanej tandetnymi farbami. Przy brzegu woda w zatoce miała kolor turkusu, nieprzezroczystego, mlecznego błękitu. Dalej ciemniała do zieleni. Nie widziałam dna.

Matka z pewnością widziałaby tę plażę zupełnie inaczej. Co zobaczyłaby? Kobiety z plemienia Majów zbierające muszle przeznaczone na rzeźbioną biżuterię? Mężczyzn suszących sól na

sprzedaż? Czy widziałaby kobietę spadającą ze skalnej półki nad Świętą Studnią?

— *Qué piensas?* – zapytał Marcos. Szedł obok mnie.

W zruszyłam ramionami.

— Nie wiesz, o czym myślisz?

— Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Wciąż szliśmy. Po chwili zostawiliśmy za sobą rodziny. Zostało tylko kilka par spacerujących wzdłuż plaży. Marcos objął mnie w pasie. Zatrzymał się przy palmie pochylonej w stronę przeciwną do oceanu, wyciągającej do Méridy swe chwytlive liście.

— Chcesz posiedzieć na słońcu? – zapytał.

— Pewnie.

Posmarował mi plecy kremem. Jego ręce zatrzymywały się na mojej skórze dłużej niż potrzeba, starannie wcierały krem wzdłuż linii mojego bikini. Przesunął dłoń na uda, niby przypadkiem wsunął mi dłoń między nogi i dotknął delikatnie, lecz natarczywie. Drugą ręką głaskał moje plecy.

— Hola – powiedziałam i szybko odsunęłam się od niego.

Uśmiechnął się.

— Bardzo mi się podobasz. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. – Rozejrzał się dokoła. Najbliższa rodzina siedziała o kilka jardów od nas. – Nikt nie widział. Wszystko w porządku.

— Nie, wcale nie.

— Ależ tak. – Wyciągnął rękę i przesunął dłonią po moim ramieniu, w dół, aż do palców. – Bardzo mi się podobasz. Moglibyśmy miło spędzić razem czas. – Uśmiechnął się do mnie olśniewająco i uściśnął mi dłoń. – Co o tym myślisz?

— Mało prawdopodobne.

— *Parane no?* Dlaczego nie?

— To nie jest dobry pomysł.

— Wręcz przeciwnie – rzekł. – Sama nie wiesz, co o tym myśleć. – Puścił moją rękę i położył się na piasku zjedną ręką pod głowę. – Szaleję za tobą.

Położyłam się na plecach i zamknęłam oczy. Fale rytmicznie uderzały o brzeg.

— Co znaleźliście, tam gdzie kopiecie? – zapytał.

Opowiedziałam mu o kamiennej głowie, o *mano* i *metate* oraz o grobowcu.

— Kiedy byłem małym chłopcem, na polu w pobliżu domu mojej babki znalazłem stary garnek. Bardzo stary, z malowidłami na ściankach. Zabrałem go do domu babci, a ona powiedziała, że muszę go zanieść z powrotem na pole. Powiedziała, że odebranie go tym z przeszłości przyniesie nam pecha, strasznego pecha. Poszedłem więc na pole i zakopałem garnek. – Po głosie poznałam, że się uśmiecha. – Gdybym znalazł taki garnek teraz, sprzedałbym go komuś takiemu jak twoja matka za górę forsy. Nie przejmowałbym się pechem.

Leżałam na plecach, słuchałam uderzeń fal i przejmowałam się pechem.

— Twoja przyjaciółka, Barbara, świetnie się zabawi w Tixkob – powiedział Marcos. – Ty i ja też możemy się zabawić. Czemu nie?

— Ponieważ nie mam ochoty – odpowiedziałam.

— Ależ masz.

Potrząsnęłam głową i dalej słuchałam fal zmywających plażę do czysta.

— *Qué piensas?* – zapytał.

— O matce.

— Dlaczego myślisz teraz o matce? – Chyba był lekko zniecierpliwiony moim zachowaniem. Chciał, żebym myślała o nim, a nie o matce.

— Nie chce, żebym wracała na wykopalisko.

— Dlaczego?

Słońce rozgrzewało moje zamknięte powieki.

— Boi się czegoś. Nie chce powiedzieć, czego. Myślę, że jest podobna do twojej babci. Boi się tych z przeszłości.

— Twoja matka boi się tych z przeszłości? Jest szalona.

Otworzyłam oczy, chcąc zaprotestować, i ujrzałam tę starą kobietę stojącą na granicy fal. Miała na sobie błękitną suknię, a w ręce trzymała muszlę. Odwróciłam się do Marcosa, żeby zapy-

tać, czy on też ją widzi. Pochylił się i przytrzymał mnie na piasku. Poczułam jego silną, ciepłą dłoń na piersi i drugą między udami. Przyłgął do mnie całym ciałem i mocno pocałował w usta.

— Ty także jesteś szalona – powiedział. Odepchnęłam go, a on tylko się roześmiał. Kobieta zniknęła. – Potem – rzekł. – U ciebie, w hotelu, zabawimy się. Bardzo mi się podobasz.

Zostawiłam go na piasku i poszłam popływać do ciepłej, mrocznej zatoki. Odpłynęłam daleko, daleko od plaży i stamtąd patrzyłam na rząd palmowych drzew, na pasmo białego piasku. Unosząc się na plecach w ciepłej jak krew wodzie, przyznałam przed sobą samą, że bałam się dziwnej zjawy w błękitnej szacie. Bałam się. Prześladował mnie duch Majów i czułam się bardzo samotna.

Jako dziecko w letnie wieczory bawiłam się w berka z dziećmi z sąsiedztwa. Kiedy blask słońca ustępował ciemności, zmieniał się charakter gry. Dziecko, które było berkiem, nie goniło pozostałych – kryło się w cieniu, przyczało i wyskakiwało na nas nagle, jak duch. Pamiętam, jak obawiałam się każdego cienia, myśląc, że zaraz mnie pochwyci. Teraz czułam się tak, jakbym bawiła się w berka, walcząc w ciemnościach z cieniami, które to pojawiały się, to znikwały.

W końcu musiałam wracać. Marcos uśmiechnął się na powitanie i przeprosił mnie, mówiąc, że już nie będzie próbował mnie pocałować. Przez chwilę leżałam na piasku, choć byłam zdenerwowana, rozdrażniona. Wciąż spoglądałam w kierunku wody, spodziewając się zobaczyć tę kobietę. Nie pojawiła się, a mimo to nie mogłam się uspokoić.

Obiad zjedliśmy w małej restauracyjce przy plaży, a potem wsiedliśmy do autobusu do Méridy.

Marcos najwyraźniej prowadził swoją grę. Jej tytuł brzmiał: „Zaciągnąć do łóżka cudzoziemkę”. Powiedziałam mu to w autobusie.

— Nie wiem, jakie są reguły tej gry, którą prowadzisz. A nie biorę udziału w grze, której reguł nie znam.

— Sądziś, że to gra? Przykro mi, że tak myślisz. – Milczał przez chwilę, patrząc w okno. Kiedy autobus dojechał do Méridy, Marcos zerwał się i ruszył do wyjścia. – Chodź. Odprowadzę cię do hotelu. Żadnych gier. – Poszłam za nim bez słowa.

W Parque Hidalgo gęstniały wieczorne cienie.

— Dlaczego nie chcesz przespać się ze mną? Czego się boisz? – zapytał mnie po drodze. Wzruszyłam ramionami. Szukałam starej kobiety pośród cieni. Nie zauważyłam jej, lecz nie przestałam się rozglądać.

— Może nie zobaczymy się więcej – powiedział Marcos. – Sama nie wiesz, czego chcesz, więc może nie będę chciał się z tobą więcej spotkać.

— Jak sobie życzysz. – Obserwowałam cienie. Wydawało mi się, że jest ich zbyt wiele, więcej niż każdego innego wieczoru. Światło neonu Cine Fantastico ledwie przenikało mrok. Zebraczka na placu krzyknęła coś do mnie, a ja podskoczyłam przestraszona. Drżącą ręką wręczyłam jej monetę. Nie wiedziałam, dlaczego się boję. Nic się przecież nie stało. Kobieta nie groziła mi. Nie miałam żadnego powodu.

Marcos poszedł za mną przez hotelowy hall na górę, do drzwi mojego pokoju. Mrok był tu jeszcze gęściejszy, osiadał w kątach jak kurz. W korytarzu panował zaduch, a cienie pełzały wzdłuż podłogowych listew jak szczury. W pokoju też było ciemno. Barbara jeszcze nie wróciła. Otworzyłam drzwi, ale nie wchodziłam do środka, bałam się wejść między cienie.

— Widzisz – powiedział Marcos. – Barbary jeszcze nie ma. Dobrze się bawi w Tixkokob. My możemy zrobić to samo tutaj. – Położył ręce na moich ramionach i przyciągnął mnie do siebie. Widziałam wędrujące po ścianach cienie i pozwoliłam, by mnie przytulał i całował moją szyję. Potrzebowałam opieki, ukojenia. Przez cienką sukienkę czułam przyciskającą się do mnie jego narbrzmiałą męskość.

— Marcos – powiedziałam. – Poczekaj.

Mocno pieścił moje pośladki, trzymając mnie wciąż w uścisku.

— Chcesz tego – powiedział. – Będzie nam dobrze. – Prawie

przeniósł mnie przez otwarte drzwi i zamknął je nogą. Cienie były wszędzie wokół nas. Przywarłam do niego w poszukiwaniu bezpieczeństwa.

— Poczekaj – powiedziałam. – Barbara może wrócić w każdej chwili.

— Nie – odparł. – Za wcześnie. Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Zdjął rękę z moich pleców i odpiął górne guziki sukienki. Wsunął dłoń w dekolt, odsunął bikini i objął moją pierś, kciukiem pocierając sutek, aż stwardniał. Oddychałam coraz szybciej, a cienie wydawały się odpływać w dal.

— O tak, bardzo mi się podobaś – powiedział, lekko popychając mnie na łóżko. Ustami objął sutek i ssał go delikatnie, potem mocniej. Poruszyłam się pod nim. Było mi ciepło, a cienie odeszły daleko. Drażnił sutek zębami. Drugą ręką głaskał moje uda, wsunął ją pod sukienkę i pod bikini. Górę sukienki miałam rozpiętą do pasa, a stanik bikini podciągnięty pod szyję. Obydwa sutki sterczały naprężone, a on ścisnął je palcami. Palce drugiej ręki wsunął we mnie, głaszcząc i pocierając nagłaco. Zdjął ze mnie górę stroju przez głowę, sukienkę zsunął z ramion i ściągnął, razem z dołem bikini. Łóżko zaskrzypiało, kiedy wstał, żeby włączyć wentylator. Swoje ubranie zrzucił na stertę na podłodze i położył się na mnie. Uniosłam biodra, wychodząc mu na spotkanie, a on nakrył dłońmi moje piersi i wszedł we mnie, głęboko, mocno. Grzechot wentylatora zagłuszył skrzypienie łóżka i mój oddech, przyspieszający z każdą chwilą.

Obudziłam się, kiedy wróciła Barbara. Wentylator pod sufitem nadal się obracał.

— Hej – powiedziała cicho. – Czas wracać.

Leżałam jeszcze chwilę, udając, że śpię, i myśląc o wybrzeżu karaibskim, miejscu, do którego chciała mnie wysłać matka. O białych plażach, na których nie ma cieni. Polem usiadłam i potrząsnęłam głową.

— Jak było nad wiejskim jeziorem?

Potrząsnęła głową i włączyła lampę.

— Okazało się, że to wiejskie jezioro jest ukryte w wapiennej jaskini. Żadnych roześmianych dzieci. Żadnych piorących kobiet. Musiałam wrzucić Emilia do wody, żeby ostudzić jego zapędy. – Odwróciła głowę i zobaczyłam na jej szyi dwie świeże czerwone malinki. – Zdążył jednak zostawić swój znak.

— A więc postanowiłaś nie przespać się z nim?

— Naprawdę sędzę, że to bardziej mu odpowiada – powiedziała.

— Zobaczymy. – Wyprostowałam się pod przykryciem. – Ja przespałam się z Marcosem, więc gra może się okazać skończona. – Cienie w pokoju były zwykłymi cieniami, niczym więcej.

— Taak? – Barbara przysiadła na skraju łóżka. – I jak było?

Zmarszczyłam brwi. Moje wspomnienia były plątaniną cieni i natarczywości.

— Trochę za szybko, jak na mój gust.

— Ach, ci gorącokrwiści Meksykanie – powiedziała. Wstałam. Wzięłam prysznic i ubrałam się, podczas gdy Barbara ukryła malinki pod warstwą kremu. Wracaliśmy do obozu w wieczornym mroku.

Rozdział 19

Elizabeth

Niedziela była dniem Etz'nab, dniem cierpienia i ofiary. Obudziłam się obolała, miałam zawroty głowy i żadnego apetytu na śniadanie. Aż do późnego ranka zostałam w chacie, unikając Tony'ego, potem poszłam do grobowca. Po drodze widziałam starca, który mieszał coś w glinianym garnku nad niewielkim ogniskiem. W powietrzu unosił się zapach żywicy. Na ziemi obok niego leżała pleciona torba, pokryta kurzem ciemnoniebieskiej glinki. Zakrzywiony kij, którym mieszał w garnku, również był zafarbowany na niebiesko.

Kolor błękitny miał barwnik dodawany przez Majów do kadzidła palonego podczas ceremonii. Niebieską farbą malowali ofiary poświęcane bogom.

Nie podobało mi się spojrzenie starca ani jego garnek z farbą. Minęłam go szybko i nie obejrzałam się za siebie.

Wieczorem do obozu ściągnęli studenci, pokonani przez cywilizację. Na każdej ekspedycji zdarzają się takie dni. Ludzie są zmęczeni niewygodami obozowego życia i niezadowoleni z ograniczonych przyjemności oferowanych przez najbliższy przyczółek cywilizacji. Stosunki międzyludzkie stają się coraz bardziej napięte. Maggie i Carlos posprzeczali się, ponieważ ich niezobowiązujący romans trwał zbyt długo. Robin i John lgnęli do siebie, bo wi-

dzieli nieuchronnie zbliżające się rozstanie. Ich praktyka w terenie kończyła się za niespełna trzy tygodnie.

Diane i Barbara wróciły późno. Przyjechały, gdy siedziałam na placu, opróżniając kolejny dzbanek gorącej herbaty. Diane przywitała się i natychmiast poszła do swojej chaty. Była przygaszona i przygnębiona, ale nie poszłam za nią. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Poniedziałek był dniem Cauac, niebiańskiego smoka, który przynosił burze, grzmoty i ulewne deszcze. Obudziłam się przed śniadaniem i poszłam na spacer. Po drodze do cenoty widziałam kamieniarza wyrabiającego noże z obsydianu, niezwykle ostre sztylety obrzędowe. Uśmiechnął się, nie przerywając pracy, a ja nie zatrzymałam się, żeby popatrzeć, co robi.

Przy poniedziałkowym śniadaniu niewiele było rozmów, lecz i te miały dość burzliwy przebieg. Barbara nie odłożyła na miejsce sznurów, których używała do znakowania terenu, więc wybuchło zamieszanie, aż wreszcie odnalazła je zwinięte w kącie chaty Tony'ego, gdzie zostawiła je w piątek. Ekipa rekonesansowa wyszła z obozu z półgodzinnym opóźnieniem.

John i Robin najwidoczniej posprzeczczeni się o coś – nie umiałam odgadnąć, o co – i jedli w milczeniu. John szybko odszedł na stanowisko grobowca, a Robin pomaszerowała do laboratorium. Ludzie byli u kresu wytrzymałości, drażliwi i podenerwowani.

O dziewiątej poszłam do grobowca, gdzie zastałam Johna potrząsającego sitem. Nos i usta zakrył czerwoną chustką, osłaniając je przed chmurami kurzu unoszącego się przy każdym poruszeniu prostokątnej siatki, która oddzielała skorupy naczyń i okruchy kamieni od ziemi. Kiedy go zawołałam, odłożył sito na ziemię, odczekał chwilę, aż osiadzie kurz, i zdjął chustę, odsłaniając czystą skórę.

— Znaleźliśmy kawałki krzemienia – powiedział. – Oraz kilka dużych skorup. Mamy też coś, co diablo przypomina ścianę.

Krzemień stanowił dobry znak. Gruz wypełniający korytarze wiodące do cmentarzy i grobowców przeważnie zawierał odłamki krzemienia.

Robotnik, który wynosił wiadro ziemi, pokonując osiem kamiennych stopni od dolnego poziomu, uśmiechnął się na mój widok, przeczuwając szansę na przerwę w pracy. Zapytał, czy chcę obejrzeć postępy prac. Kiedy powiedziałam, że tak, uśmiechnął się jeszcze szerzej i zawołał dwóch innych robotników z dołu. Dżinsowe spodnie mieli sztywne od brudu, a nagie piersi pokryte białym wapiennym pyłem. Poczęstowałam każdego z nich papierosem, a oni odeszli z nimi w cień.

Zeszłam na dół, a zagłębiwszy się w tunel, zamrugałam, zaskoczona nagłą ciemnością. Powietrze było wilgotne i pachniało potem. Korytarz miał około sześć stóp długości, licząc od ostatniego stopnia, i był na tyle wąski i ciemny, że panował w nim zaduch. Na kamiennej podłodze leżały porzucone przez robotników narzędzia: kilof, kielnia, miotła i wiadro.

John miał rację: kamienie zamykające korytarzyk naprawdę wyglądały na pośpiesznie wzniesioną ściankę. Głazy nie były tutaj tak starannie wypoziomowane jak w bocznych ścianach, ale też nie tak bezładnie wrzucone jak te, które robotnicy usunęli z korytarza.

— I co pani o tym myśli? – zapytał John. Przystanął na ostatnim stopniu. – Ślepy zaułek?

— Proszę im kazać trochę go oczyścić – powiedziałam, wskazując na boczne ściany. Narożnik, w którym się spotykały, był zasypyany ziemią. – Robią się niechlujni. Proszę to opisać, a potem przebić.

Zabrałam większe skorupy garnków, żeby dać je do zbadania Tony'emu. Zostawiłam je u niego, opisałam krótko sytuację na stanowisku i wycofałam się do mojej chaty, żeby odpocząć. Męczyła mnie gorączka, byłam słaba i miałam zawroty głowy.

Wieczorem, po obiedzie, usiadłam ze szklaneczką dżinu na placu. Słuchałam, jak Robin i Tony dyskutują o skorupach. Dużą, szarą Tony uznał za pochodzącą z późnego okresu rozkwitu, a więc czasu, kiedy zaprzestano wznosić nowe budowle w Dzibilchaltún. Uważał, że największa ze skorup była częścią dzbana na wodę. Została wypalona z gruboziarnistej gliny i hartowana kal-

cytowym piaskiem. Kiedy glina wyschła i stwardniała, dzban lekko wypalono i pokryto warstwą mokrej gliny, która nadawała mu matowy połysk. Nie tyle zależało mi na tych wszystkich szczegółach, ile na ostatecznym wniosku.

— Nie wcześniej niż 900 rok naszej ery – orzekł Tony. Odpowiadało to moim obliczeniom oraz dacie, którą odkryliśmy na zwieńczeniu grobowca. Cokolwiek było za tą ścianą, pochodziło z czasów, gdy Majowie opuścili swoje miasta, krótko po inwazji Tolteków na ten region.

Tony i Robin jeszcze długo rozprawiali o skorupie dzbana, ale ja już ich nie słuchałam. Maggie usiadła przy sąsiednim stole i pisała do kogoś list. Pewnie do chłopca w kraju. Diane korzystała ze światła tej samej lampy, czytając książkę w miękkiej okładce. Obserwowałam ją, ale nie przewróciła ani jednej kartki. Od czasu do czasu spoglądała w ciemność poza kręgiem lampy. Potem powracała do tej samej strony. Wzdrygnęła się, gdy usiadłam obok niej.

— Jak poszedł rekonesans? – zapytałam.

— W porządku.

— A książka?

Wzruszyła ramionami i pokazała mi okładkę. Wyglądała na romans.

— W Méridzie nie ma dużego wyboru – powiedziała. – Mogłam wziąć tę albo western.

— Czyżby sprzykrzyła ci się archeologia?

Zaprzeczyła, gwałtownie kręcąc głową.

— Nie, nie, skąd. – Siedziała z rękami na podołku, oburącz ścisnąc książkę. Nie patrzyła na mnie. Wokół zapadła ciemność. Tony i Robin byli pochłonięci dyskusją. Maggie odeszła do chaty.

— Co robiłyście z Barbarą w ten weekend? – zapytałam.

— W sobotę zwiedziłyśmy Chichén Itzá.

— Jak ci się podobała?

Przygryzła wargę, patrząc w ciemność.

— Nie wiem. Myślałam... Nie podobały mi się niektóre rzeźby. Czaszki. Jaguary trzymające w pazurach ludzkie serca. To dość przykre widoki.

— To wpływ Tolteków – powiedziałam. – Plemienia z Doliny Meksyku, które najechało ten rejon i obrało Chichén Itzá za swą stolicę. W większości siedzib Majów można odnaleźć ich wpływy z późniejszych okresów. Wojownik na steli, którą odnalazłaś, to właśnie Toltek. Kobieta u jego stóp to bogini Majów. Pierwotne budowle Majów są skryte pod tworamami ich najeźdźców.

— Co się stało z Majami?

Niespokojnie wzruszyłam ramionami.

— Pewnie uprawiali swoje pola i żyli dalej. Do swojego panteonu dodali nowe bóstwa. Ludzie, którzy nie chcieli zaakceptować nowego porządku, milczeli lub ginęli. – Urwałam. – Pewnie cię nudzę.

— Nie o to chodzi.

Czekałam, ale nie dokończyła. Spojrzała w dal, w ciemność, a ja niczego nie umiałam wyczytać z jej twarzy. Widziałam napięte mięśnie jej szyi.

— W takim razie o co? – zapytałam.

Spojrzała na mnie. Ręka z książką stuknęła nerwowo o dłoń drugiej.

— Czuję się tak, jakbym czekała na coś, co się ma wydarzyć. Czasami boję się.

— Czego się boisz? – zapytałam cicho.

Wzruszyła ramionami, tak gwałtownie, jakby opędzała się od much.

— Nie wiem. Gdybym wiedziała, może mogłabym jakoś temu zaradzić. – Potrząsnęła głową. – A może nie.

— Mogłabyś pojechać do Cancún – powiedziałam żarliwie. – Przyjadę do ciebie, jak tylko zakończymy prace tutaj. Wybrzeże karaibskie...

— Nie – powiedziała. – Zostanę.

Wkrótce potem poszła spać. Wróciłam do stołu, przy którym Tony siedział z Barbarą, i przysłuchiwałam się ich rozmowie. Tony, jak zauważyłam, nie pił wcale. Po jakimś czasie także poszłam spać.

Minął tydzień. Brakowało nam robotników. Wypadek ze stelą odstraszył kilku starszych. Jednak sprzyjało nam szczęście.

Nie widziałam Zuhuy-kak. Szukałam jej, ale nie spotkałam. Kiedy poszłam rano na spacer, żeby jej poszukać, przy cenocie spotkałam Diane. Wieczorem spotykałam ją przy świątyni Siedmiu Lalek. Zwykle wracałyśmy potem razem do obozu, prawie wcale nie odzywając się do siebie. Nie miałam jej wiele do powiedzenia. I tak czułam, że już powiedziałam za dużo, dopuściłam ją do siebie zbyt blisko.

Środa była dniem Ahau, dniem słońca, a więc pomyślnym. Nie zepsuło się żadne narzędzie, nikt nie zachorował. Nie zdołałam całkowicie pozbyć się gorączki i to sprawiało, że byłam niespokojna i poirytowana. Tylko siedząc przy grobowcu i obserwując pracujących robotników, odczuwałam zadowolenie. Ale i tam dręczyły mnie zimne dreszcze.

Tej nocy miałam niezwykle wyraźne, męczące sny. Pamiętałam, że tańczyłam w deszczu z obsydianowym nożem w dłoni. Księżyc na niebie świecił prawie pełną tarczą, a ja znowu byłam młoda. Suknia wirowała wokół moich nóg. Ogarniało mnie poczucie siły, pradawnej mocy, której źródłem był księżyc.

Czwartek, dzień Imix, był dniem boga ziemi, stworzenie podobne do smoka z długim pyskiem. Był to dobry dzień na kopanie, na badanie rzeczy aż do ich źródeł. Późnym popołudniem Pichowi udało się wreszcie obluzować jeden z głazów tylnej ściany i wyjąć go z miejsca, w którym spoczywał tysiąc lat.

Byłam przy tym – większość każdego dnia roboczego spędzałam na stanowisku grobowca – i zesłam do tunelu. Z wyrwy w ścianie powiało wilgotnym, chłodnym powietrzem. Przyświecając sobie latarką, zajrzałam do środka, z umiarkowanym powodzeniem usiłując zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie. Duża, otwarta przestrzeń, niska platforma, niewyraźne, blade kształty, które mogły być naczyniami lub czaszkami – niewiele zdołałam dostrzec. Ściana miała prawie jard grubości.

W czwartek robotnicy zostali dłużej, lecz już o piątej po południu stwierdziliśmy, że nie da się wyjąć ze ściany drugiego głazu.

Przerwaliśmy pracę, zakryliśmy otwór plandeką i niechętnie opuściliśmy stanowisko.

Tego wieczora, po obiedzie, poszłam nad cenotę. Usiadłam nad stawem i słuchałam ćwierkania świerszczy, patrząc, jak wieśniaczki czerpią wodę. Zuhuy-kak nie przyszła do mnie. Moja córka też nie. Byłam sama i kiedy wzeszedł księżyc, poszłam spać.

Piątek był dniem Akbal, dniem ciemności. Rządzi nim jaguar w swoim nocnym wcieleniu, bóg podziemnego świata.

W piątek Tony poszedł ze mną do grobowca. Przed południem robotnicy obluzowali i wyjęli drugi głaz, co pozwoliło mi wczołgać się do środka na brzuchu, popychając przed sobą latarkę.

Na kamiennej płycie leżał szkielet kobiety. Leżał na plecach, z wyciągniętymi nogami. Klatka piersiowa zapadła się – snop światła wydobył z ciemności płataninę jasnych, łukowatych kości i lśniące, gładkie paciorki jadeitu rozrzucone między żebrami i kręgami kręgosłupa. Jedna ręka spoczywała na żebrach i w poprzek kości miednicy – drobne kostki dłoni rozsypały się między kośćmi udowymi. Druga ręka leżała na piersiach, a jej dłoń zgubiła się w stosie kręgów. Kości stóp i palców były porozrzucone, prawdopodobnie przez szukające pożywienia myszy. W pobliżu ręki obejmującej klatkę piersiową, na kamiennej płycie leżał nóż z obsydianu. Wokół niego widniała plama czerwieni: cynober, który wylał się z leżącej obok muszli.

Czaszka szkieletu była wyraźnie zniekształcona, spłaszczona pod bardzo ostrym kątem, i przechodziła w wydłużoną płaszczyzną czoła. Dolna szczęka opadła, ukazując nienaruszone zęby. Po inkrustowanych jadem przednich zębach poznałam Zuhuy-kak. Na wysokości miednicy zauważyłam jakiś biały kształt i skierowałam nań światło latarki. Przedmiot okazał się muszlą, która zwykle zwisała u jej pasa. Jedna z kości udowych miała na środku zgrubienie: ślad źle zagojonego złamania.

Usłyszałam, jak Tony wślizguje się za mną poprzez wąskie przejście. Strumień światła z jego latarki błędził po otaczających szkielet naczyniach: dzbanie w kształcie indyka, kremowej misie

na trzech nogach, całej pokrytej rytami, pękatym wazonie przypominającym spiralną muszlę, kadzielnicy o kształtach jaguara oraz licznych misach, słojach, dzbanach i innych wyrobach.

Światło zatrzymało się na misie stojącej u stóp szkieletu, naczyniu tak dużym, że ledwie zdołałabym je objąć. Było kunsztownie zdobione rysunkami i hieroglifami. Gliniana pokrywa była odsunięta. Tony podszedł bliżej, zajrzał do środka, a potem delikatnie podniósł wieko.

Z wnętrza naczynia uśmiechnęła się do nas czaszka wielkości dużego grejpfruta – ciemnookie dziecko, którego zęby już dawno wypadły ze szczęki. Gładka i jasna, leżała pośród łuków żeber i długich kości, jak jajko w gnieździe. Tu i ówdzie kości nosiły ślady cynobru. Wyglądało to tak, jakby szkielet ekshumowano, oczyszczono, oproszono cynobrem i starannie ułożono w misie, a potem ponownie pochowano. Podeszłam bliżej, a ciemne oczodoły, osadzone nisko pod spłaszczonym czołem, wydawały się prowadzić mnie spojrzeniem. Takie kruche; z łatwością mogłam połamać w rękach te prastare żebra. Takie młode. Ułożone tak troskliwie, z taką delikatnością... Zastanawiałam się, czyją ręką.

W ostatecznym rozrachunku wielkie migracje cywilizacji mają niewielkie znaczenie. Natomiast ma je szkielet dziecka, złożony obok szkieletu matki. Spojrzałam na szkielet Zuhuy-kak i obsydianowe ostrze. Ważne było, jak zginęło dziecko. Poczułam dotyk zimnego, wilgotnego wiatru i zadrżałam.

— Ciągnie się dalej – stwierdził Tony, a ja przez chwilę nie wiedziałam, o czym mówi. Potem spojrzałam w miejsce, które oświetlał swoją latarką, i zrozumiałam, że zalegająca tam ciemność to tylko schodzący w dół korytarz, początek długiej jaskini. W wapiennych ścianach tkwiły skamieniałe muszelki. Dreszcz przeszedł mi po plecach i dostałam gęsiej skórki. W oddali czułam zapach wody.

Głęboką ciszę przerywały tylko nasze oddechy. Tony podszedł bliżej.

— Nie! – rzuciłam ostro. – Nie idź tam.

Dopiero gdy na mnie spojrzał, uświadomiłam sobie, że mówię

zbyt głośno.

— Czy coś nie tak? – zapytał, podchodząc do mnie.

— Nie – odpowiedziałam. – Nic.

— A więc tok dalszych prac jest przesądzony – powiedział. – Nie sądziłem, że będziemy bawić się w speleologów.

— Nie mamy odpowiedniego sprzętu – powiedziałam. Wodziłam strumieniem światła po ścianach i wiedziałam, że tuż za jego zasięgiem czają się cienie. Nie chciałam, żeby Tony wszedł do jaskini. Nie chciałam, aby ktokolwiek tam wchodził.

— To jeszcze nigdy nas nie powstrzymało – powiedział Tony. – Zobaczę, czy John zechce przygotować na jutro ekspedycję.

Tego dnia zaczęliśmy tam kopać. John i Robin zajęli się łopatami i miotełkami, a robotnicy kontynuowali rozbiórkę ściany. Kiedy powróciła grupa rekonesansowa, wszyscy zebrali się na stanowisku i podziwiali szkielet. Zakończyliśmy pracę dobrze po zachodzie słońca.

Rozdział 20

Diane

W piątek w nocy zbudziły mnie skradające się kroki na ścieżce. W chacie było ciemno. Barbara oddychała miarowo. Maggie zamruczała coś przez sen i obróciła się niespokojnie na drugi bok. Robin oddychała cichutko, jak małe zwierzątko zwinięte w kłębek w bezpiecznej norce.

Nie wiem, co mnie zbudziło – zmiana tonu piosenki świerszczy, pohukiwanie sowy, coś innego. Nie wiem. Usiadłam w hamaku, spojrzałam na otwarte drzwi, a potem wstałam i stanęłam przy wejściu. Pod bosymi stopami miałam zimną polepę.

Światła wygaszono, księżyc zaszedł. Niebo ziało ogromną, bezkresną czernią, nakrapianą zbyt wielką liczbą gwiazd. Nawet Tony już spał – przed jego chatą nie paliła się latarnia. W górze przeleciał nietoperz, migocząc na tle gwiazd i piszcząc wysokim, podekscytowanym głosem.

Dostrzegłam jakiś ruch w cieniu przy beczce z wodą. Uważnie obserwowałam to miejsce i za chwilę znów coś się tam poruszyło – niewyraźny cień w mroku.

— Czy tam ktoś jest? – zapytałam cicho, nie chcąc obudzić śpiących. – Kto to?

Cisza. Wydawało mi się, że znam odpowiedź: w ciemności czekała stara kobieta w błękicie.

W świetle gwiazd świat jest czarno-biały, jak późny film w czarno-białym telewizorze. Na ostatnich seansach kin w mro-

ku kryją się potwory. Bohaterka zawsze śmiało rusza zbadać sytuację i niezmiennie dostaje się w ich szpony. Zawsze. Kiedy oglądałam w kinie horrory, nie mogłam zrozumieć, dlaczego bohaterka nie naciągnie po prostu kołdry na głowę i nie zaczeka do rana, kiedy wszędzie słońce, zaśpiewają ptaki, a wampiry i wilkołaki pierzchną do swych kryjówek. Nie byłam typem heroiny z ostatniego seansu – mogłam spokojnie wrócić do łóżka i spać aż do rana.

Gdyby nie ta niepewność. Tkwiąca jak zadra wątpliwość, która dręczyła mnie od chwili, gdy zobaczyłam tę kobietę w dżungli. Podejrzenie, niejasne, lecz coraz silniejsze, że niebawem będę równie szalona, jak moja matka. Bałam się zwidów. Widywałam cienie za dnia; nocami słyszałam głosy. Nieświadomie zaciskałam dłonie w pięści – tak jak w tej chwili.

Złapałam latarkę, wymknęłam się na zewnątrz i pobiegłam ścieżką w kierunku cienia. Spieszyłam się, ponieważ gdybym się nie śpieszyła, mogłabym zawrócić do łóżka i leżeć do rana z otwartymi oczami, nasłuchując, czy nie zbliżają się znów jakieś kroki.

Postać przy beczce nie poruszyła się, kiedy podeszłam. Zapaliłam latarkę, a moja matka zamrugała szybko w nagłym rozbłysku światła. Rozczochrana, w niebieskiej piżamie, boso, wyglądała jak sowa. Nienaturalnie rozszerzone oczy lśniły w wymizerowanej twarzy. Dotknęłam jej ramienia; pod cienką warstwą ubrania i ciała poczułam kruche kości. Drżała.

— Co ty tutaj robisz? – zapytałam – Co się stało?

— Pilnuję dziecka – powiedziała. Odwróciła od światła puste oczy.

— Przestraszyłaś mnie – powiedziałam. – Nie odezwałaś się, gdy zawołałam.

Nie słyszała.

— Ktoś musi pilnować – nalegała. – Ona jest za mała, żeby zostawić ją samą. – Patrzyła na mnie, lecz nie sądzę, żeby mnie widziała. – Nie mogę znowu uciec.

Objęłam ją ramieniem i spróbowałam odwrócić ją od chaty.

Nie poruszyła się. Czułam, jak drży.

— Ja popilnuję – powiedziałam. – Ze mną będzie bezpieczna.

— Musisz być bardzo ostrożna – powiedziała do mnie głosem głuchym jak hukanie sowy. – Ona jest uparta i nie chce wyjechać. Ale tutaj jest niebezpiecznie.

— Będę ostrożna.

— Skąd mam wiedzieć, czy można ci zaufać?

— Jestem jej przyjaciółką. Bardzo dobrą przyjaciółką. – Zawa-
hałam się, a potem dodałam cicho: – Powiedz mi, czego mam się
obawiać?

— Starej kobiety – powiedziała, wpatrując się w ciemność. –
Uważaj na starą kobietę.

Pozwoliła się odprowadzić do chaty. Zapaliłam świecę na biur-
ku. Kiedy układałam matkę do snu, z kąta spoglądała na mnie ka-
mienna głowa. Nakryłam matkę prześcieradłem, które znalazłam
zwinęte w jednym końcu hamaka. Jej skóra była gorąca i sucha,
zastanawiałam się, czy nie ma gorączki. Wierciła się i rzucała
przez sen. Kiedy przemawiała w języku Majów do ludzi, których
nie widziałam, mówiłam jej, że wszystko będzie dobrze. Miałam
nadzieję, że nie kłamie. Siedziałam przy niej, trzymając ją za rękę
i nasłuchując dźwięków z zewnątrz.

Gdy przez otwarte drzwi wpadło szare światło poranka, matka
spała cicho. Zdmuchnęłam świecę i wróciłam do siebie. Właśnie
kończyłam się ubierać, kiedy Barbara otworzyła oczy.

— Chodź – powiedziałam do niej. – Wynośmy się stąd.

Zamrugła do mnie zaspanymi oczami.

— Hej. Daj mi sekundę na obudzenie się.

Poczekaliśmy, aż wygramoliła się z hamaka, ubrała się i razem
wyszliśmy na plac.

— Myślałam, że zostaniemy w pobliżu, żeby zobaczyć, co Liz
odkopie w tym grobowcu – powiedziała. – W końcu to nasze naj-
większe odkrycie.

— Cokolwiek tam jest, poczeka na nas do poniedziałku – po-
wiedziałam. – Chcesz zrezygnować z gorącego prysznicza tylko
dlatego, żeby zobaczyć to dzień wcześniej?

— Słuszna uwaga. – Przystanęła przy beczce z wodą i ochlapała twarz. – Jesteś pewna, że chcesz tak nagle jechać do miasta? Czyżby Marcos skradł twoje serce?

Potrząsnęłam głową, zastanawiając się, ile mogę powiedzieć Barbarze.

— Po prostu chcę się stąd urwać.

— Znowu kłopoty z Liz?

Przytaknęłam. Spojrzała na mnie badawczo i wzruszyła ramionami.

— Chyba masz rację. Tajemnice starożytnych Majów nie mogą konkurować z gorącym prysznicem. Jedźmy.

Zjawiliśmy się w mieście wczesnym rankiem i zjadliśmy śniadanie przy tym samym co zwykle stoliku pod drzewami, które sypały żółtymi kwiatami jak liniejący kot sierścią. Emilio przyszedł ze swoimi hamakami o tej samej godzinie, co zwykle, i jak zawsze postawił nam kawę.

To Barbara, nie ja, zapytała o Marcosa. Wyglądało na to, że Marcos był tego dnia bardzo zajęty: musiał załatwić coś poza miastem. Emilio odpowiadał wymijająco, unikając mojego spojrzenia. Barbara zmarszczyła brwi i zadała mu kilka pytań po hiszpańsku, a potem potrząsnęła głową. W milczeniu dopiliśmy kawę, po czym Emilio oznajmił, że będzie sprzedawał hamaki na *zocalo*. Spotka się z nami w porze lunchu. Kiedy odszedł, Barbara zamówiła jeszcze jedną kawę.

— Chyba miałyśmy rację, że to gra – powiedziała. – Jak się czujesz?

— Świetnie. Jeśli jest zajęty, to dobrze. – Wzruszyłam ramionami. – Nic mnie to nie obchodzi.

— Możesz dać spokój uprzejmościom – rzekła. – Emilio już poszedł.

— Naprawdę nic mnie to nie obchodzi. To dla mnie bez znaczenia.

Spojrzała na moje ręce.

— Drzesz serwetkę – zauważyła cicho.

Położyłam strzępy papierowej serwetki na nakrytym kraciatym obrusem stole.

— To nie powinno mi robić żadnej różnicy – powiedziałam. – On nic dla mnie nie znaczy. To nic.

— Głupi dupek – powiedziała.

Ponownie wzruszyłam ramionami.

— Nic takiego.

— Słuchaj – powiedziała i pochyliwszy się w moją stronę, położyła rękę na mojej dłoni. – Wiem, że to nic takiego. Wiem, że nie masz złamanego serca ani nic z tych rzeczy. Mimo to on nie jest w porządku. Możesz się powściekać, jeśli masz ochotę.

Upiłam łyk kawy, patrząc, jak niewidomy żebrak usiłuje sprzedać kiepsko wyrzeźbione, drewniane zwierzątko parze przy sąsiednim stoliku.

— Uważasz, że powinnam powiedzieć Emilio, żeby się odczepił?

— Dlaczego? To nie jego wina.

— Jak uważasz. – Wyprostowała się na krześle i dosypała sobie cukru do kawy. – Może powinniśmy dzisiaj wyjechać z miasta? Do ruin w Uxmal na przykład. Byłaby to jakaś odmiana.

— Naprawdę nic mi nie jest – powiedziałam. – Nic mnie to nie obchodzi.

Spojrzała na mnie badawczo, potem skinęła głową.

— Rób, jak uważasz. Masz ochotę popływać?

— Świetnie.

Poszliśmy popływać w hotelowym basenie, małym prostokącie wody w obudowie barwy turkusu. Leżałam na betonie przy basenie i próbowałam czytać romans w miękkiej okładce, idiotyczną historyjkę o pięknych ludziach, którzy zawsze nosili właściwe stroje. Świat bohaterki wypełniały niejasne niepokoje, wyolbrzymione obawy. Czułam się jak w domu.

Barbara pływała i od czasu do czasu starała się nawiązać rozmowę. Mniej więcej po godzinie powiedziałam jej, że jestem głodna, a oni z Emilio będą musieli zjeść sami.

— Chyba pójdę na targ. Może kupię sobie sukienkę. Spotkamy

się tu później.

Odeszłam. Nie poszłam na targ – nie miałam ochoty wtapiać się w tłum. Spacerowałam wokół *zocalo*, kupiłam cytrynowego loda od ulicznego sprzedawcy i usiadłam na ławce w pobliżu katedry. Zegar na Pałacu Miejskim wskazywał pierwszą trzydzieści, a ja miałam wrażenie, że jest znacznie później. Powietrze było ciężkie obietnicą deszczu.

Nie tęskniłam za Marcosem. Niewiele się po nim spodziewałam. Był kimś, do kogo można się było przytulić, kiedy gromadzą się cienie – i nikim więcej. Teraz jednak nie miałam nawet tego.

Dwie pomarszczone staruszki zakutane w ciemne szale siedziały na chodniku przed katedrą, żebrząc. Dwie kobiety w średnim wieku, które wcześniej sprzedawały przed drzwiami katedry obrazy świętych w błyszczących ramkach, zamykały teraz kram. Zawijały oślepiająco błyszczące ramki w gazety i układały je w kartonowych pudłach. Nad ich głowami gołębie wędrowały ociężale tam i z powrotem po kamiennym nadprożu. Chodnikiem spacerowali turyści, podążając we wszystkich kierunkach. Dobrze ubrana kobieta ze spieczonym na słońcu nosem zachwycała się widokówkami. Mężczyzna w nowiutkiej panamie robił zdjęcie pałacu. Nieznajomi. Żaden z nich nie zrozumiałby, gdybym im powiedziała, że boję się, że moja matka jest wariatką i obawiam się, iż sama mogę zwariować. Nikt nie uwierzyłby, że prześladowuje mnie stara kobieta, która wygląda jak kamienna głowa w chacie mojej matki.

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do mojego byłego kochanka, Briana. Nie rozmawiałam z nim, od kiedy rzuciłam pracę. Cóż mogłam mu powiedzieć? Że widzę duchy i myślę, że moja matka zwariowała?

Nie, nie mogłam mu tego wyznać. Bałam się. Moja przyjaciółka miała psa, który miał zwyczaj ścigać światło latarki, nie mógł go złapać, ale nie chciał zostawić go w spokoju. Pies biegał za światłem po podłodze, szczekał, gdy przenosiło się na ściany, aż opadł z sił. Biedaczysko nie pojmował, że nigdy nie zdoła schwytać światła. Czułam się jak ten pies. Nie znałam zasad tej gry i nie

było nikogo, kto by mi je wyjaśnił. Przypominało to ściganie płamki światła. Albo próbę pochycenia gnanej wiatrem mydlanej bańki. Zawsze zostajesz z pustymi rękami.

Nie zauważyłam podchodzącej do mnie curandery. Usiadła przy mnie na ławce i wzięła mnie za rękę, którą mocno uścisnęła w swych ciepłych, suchych dłoniach. Powiedziała coś cichym, zdyszonym szeptem, a ja potrząsnęłam głową. Nie rozumiałam. Próbowałam uwolnić rękę, lecz nie puściła jej. Zawołała przechodzącego sprzedawcę hamaków. Ten podszedł bliżej. Ciągłe trzymając mnie za rękę, szybko powiedziała coś do niego. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, rozbawiony sytuacją.

— Mówi pan po angielsku? – zapytałam go. – Czy może jej pan powiedzieć, żeby puściła moją dłoń?

— Troszeczkę – odparł. Zagadał do kobiety, która potrząsnęła przecząco głową i znów coś powiedziała.

— Ona chce, żebym pani powiedział... – zawahał się, jakby dobierając odpowiednie słowa. – Musi pani wyjechać – powiedział w końcu. – Nie wolno wracać do matki.

— O czym pan mówi? Dlaczego nie mogę wrócić?

Wzruszył ramionami.

— Ona mówi, że to pech. – Znowu wzruszył ramionami. – To jej słowa.

— Proszę jej przekazać, że rozumiem – poprosiłam. Spojrzałam na staruszkę, a ona odwzajemniła mi się spojrzeniem. – *Yo comprendo*.

Zwolniła uścisk i puściła moją rękę. Wstałam i cofnąłam się.

— Hej! – zawołał za mną sprzedawca. – Chce pani kupić hamak?

Potyając się, uciekałam stamtąd, prawie biegnąc przez *zocalo*.

Po niebie przetoczył się grzmot, dudniąc wśród chmur. Wróciłam do hotelu po swoją torbę i spotkałam Barbarę z Emilio przy tym samym co zwykle stoliku. Powiedziałam Barbarze, że zamierzam wrócić do obozu taksówką. Nie chciałam słuchać jej protestów. Czułam, że muszę wracać. Nie wiedziałam, dlaczego ta sta-

rucha chciała mnie odpędzić od matki, ale byłam pewna, że muszę tam jechać.

Pierwsze grube krople zaczęły padać, kiedy biegłam na przełaj przez plac, do postoju taksówek. Stojący na postumencie mężczyzna z brązu załśnił w świetle błyskawicy. Patrzył wysoko ponad moją głowę, ignorując moje pośpieszne pertraktacje z taksówkarzem.

Droga do ruin dłużyła się w deszczu. Kierowca usiłował mnie zagadnąć. Zdaje się, że narzekał na jazdę w deszczu, ale wzruszyłam tylko ramionami, ponieważ rozumiałam zaledwie kilka słów. Obserwowałam zmieniające się kształty: wciąż niewyraźne, zawsze obecne. Raz niemal kazałam kierowcy zatrzymać samochód, gdy zobaczyłam przechodzącą przez ulicę staruszkę. Jednak zaraz rozplynęła się w deszczu – cień, nic poza tym. Grzmoty dudniły jak walące się w gruzy budowle.

Rozdział 21

Elizabeth

W sobotę, dniu Kan, obudziłam się zeszywniała, jakbym w nocy przedzierała się przez dżunglę. Niebo zasnuła gruba warstwa chmur i był już późny ranek. Przystanęłam przy kuchni i Maria podała mi – choć odniosłam wrażenie, że dość niechętnie – *atole* na śniadanie. Barbara i Diane wyjechały już do Méridy, a Tony’ego nie było nigdzie w pobliżu.

Tym dniem rządził młody bóg o gładkiej twarzy, który odpowiadał za wzrost kukurydzy. Dobry dzień, według wszelkich znaków, korzystny szczególnie dla rozpoczynających nowe lub kontynuujących stare przedsięwzięcia. Myślałam o tym, siedząc na placu nad talerzem *atole*.

Potem pozbierałam swój sprzęt i pomaszerowałam do grobowca.

Gdzieś w połowie drogi dołączyła do mnie Zuhuy-kak. Lekko utykała, a ja przypomniałam sobie zgrubienie na kości udowej, które powodowało ból. Patrzyłam na jej szeroką twarz i wiedziałam, co się kryje pod jej zewnętrzzną powłoką. Spojrzałam na nią, lecz nic nie powiedziałam.

— Jesteś zadowolona z tajemnic, które odkryłaś? – zapytała. Kiedy przemówiła, przypomniałam sobie otwarte szeroko usta czaszki.

Doszliśmy do wejścia do grobowca. Udawałam, że nie zauważam obecności Zuhuy-kak. Odsunęłam pokrywający wykop bre-

zent i zesłam na dół. W korytarzyku zapaliłam karbidówkę, sięgnęłam przez otwór w tylnej ścianie i postawiłam lampę na ziemi, po czym wcisnęłam się za nią. Wewnątrz wciąż panowała noc, rządzona przez jaguara, ciemną stronę słońca. Latarnia rzucała krąg światła, który rozpływał się, zanim dotarł do sufitu. W milczącej ciemności słyszałam bicie mego serca, szybkie, jak po długim biegu. Podniosłam wysoko latarnię i spojrzałam w stronę przeciwległej ściany. Podłoga opadała tam w dół i niknęła w ciemności. Jaskinie uważane były za wejścia do Xibalba, podziemnego świata Majów, zamieszkiwanego przez bogów śmierci i ofiary. Zimny powiew podziemi przejął mnie dreszczem. Drgnęłam. Na cętkowanej, kamiennej ścianie grobowca mój cień wciąż zmieniał kształty – monstrualny, obcy. Na granicy kręgu światła dostrzegłam obserwującą mnie Zuhuy-kak.

Poprzedniego dnia, w piątek, zaczęliśmy oczyszczać teren z luźnej ziemi. Te wstępne roboty odkryły wazę leżącą na podłodze, w pobliżu głowy szkieletu. Postawiłam latarnię na kamiennym podium tak, że waza znalazła się pośrodku kręgu światła. Uklękłam obok niej. W piątek zaczęłam ją czyścić, lecz naczynie było nadal na pół pokryte miękką ziemią i naniesionymi przez pokolenia gryzoni źdźbłami traw. Zaczęłam czyścić miotełką górną część naczynia.

— Sama zrobiłam tę wazę – powiedziała Zuhuy-kak. – Gdy wydostałam się ze studni. A kiedy leżałam na pryczy, pomalowałam ją.

Zauważyłam, że drżą mi ręce, więc przerwałam na chwilę, czekając, aż drżenie ustanie. Wzięłam kilka głębokich oddechów. Nadal byłam wzburzona, ale ręce przestały mi się trząść. Rozpoznałam jeden hieroglif – oznaczający Chichén Itzá. Po jednej stronie naczynia, tuż pod rzędem znaków, zauważyłam wykonany cienką czarną linią rysunek na kremowym tle ścianki. Czyściłam dalej. Brud schodził teraz dość łatwo, odsłaniając kunsztowne nakrycie głowy kapłana lub arystokraty. Czarny zarys był jego ręką, uniesioną wysoko nad głową. Spoglądał w dół, na coś, co znajdowało się poniżej.

Nie przerywałam czyszczenia. Odsłoniętą przeze mnie, półcałową krawędź otaczało pasmo czarnych znaków na czerwonym tle: wydrapane hieroglify, nie do odczytania przy słabym świetle latarni. Rysunek przedstawiał kapłana stojącego na skale w otoczeniu grupy innych kapłanów i arystokratów. Wszyscy patrzyli w dół. Miotelka odsłoniła najpierw stopy, a potem błękitną suknię falującą wokół nóg spadającej. Włosy płynęły za nią strumieniem. Spadająca kobieta. Ręce kapłana wznosiły się w górę, ponieważ to on właśnie zepchnął ją ze skały. Ona skrzyżowała ramiona na piersiach, a szeroko otwartymi oczami patrzyła przed siebie. Zobaczyła coś, ale nie wiedziałam, co. Spadała w pustkę, tak jak to czyniła od wielu lat.

Gładka powierzchnia u podstawy wazy była podrapana, lecz rozpoznałam wzburzone fale, ciemne wiry na kremowym tle. Pośród wirów, między pęknięciami i ubytkami powłoki, widziałam uniesione w górę ramię i zapłakaną twarz oraz kilka maleńkich postaci, walczących z węzowymi zwojami wody. Słyszałam, że na zewnątrz zaczął padać deszcz. Brezent łopotał na wietrze, a woda zaczęła spływać strugami do środka – słyszałam cichy szmer cieczy, przypominający mlaskanie kota wylizującego sobie sierść.

Kielnią usunęłam ziemię wokół naczynia i wsypałam ją wraz z resztkami do wiaderka. Waza była już prawie odsłonięta. Kiedy przeciągnęłam po niej miotelką, zakołysała się. Przerwałam na chwilę, czekając, aż ręce przestaną mi drżeć. Potem, niezwykle ostrożnie, podniosłam wazę.

Glazura z drugiej strony, tej, która stykała się z ziemią, była podziobana i popękana, jednak rysunek pozostał nienaruszony. Kobieta w błękitnej szacie – spadająca kobieta – leżała na podium. U jej stóp spoczywała muszla – symbol wody, z której wyszła, oraz podziemnego świata, gdzie umiera i odradza się słońce. W jednej ręce trzymała obsydianowy nóż w kształcie liścia. Na drugiej ręce, wyciągniętej do przodu, widać było świeże rozcięcie, z którego wciąż płynęła krew. Kobieta patrzyła i uśmiechała się triumfalnie.

— Zabiłaś się tutaj – powiedziałam.

— Nie było nikogo, kto mógłby to zrobić – stwierdziła cicho. – Bogini utraciła moc, a ja odesłałam ludzi.

Zuhuy-kak siedziała na skraju kamiennego podium i wydawała się równie rzeczywista, jak leżące obok niej kości. Zgarbiona, spoglądała na złożone na kolanach ręce. Przez chwilę współczułam temu biednemu, szalonemu duchowi, wygnanemu za własne postęпки, zagubionemu i samotnemu. Machinalnie wyciągnęłam do niej rękę. Powstrzymała mnie spojrzeniem.

— Jak zginęła twoja córka? – zapytałam.

Zuhuy-kak spojrzała mi prosto w oczy. Ręce trzymała mocno splecione na podołku. Milczała przez chwilę.

— Oddałam ją bogini – wyznała w końcu.

— Poświęciłaś własną córkę – powiedziałam, spoglądając jej w twarz.

Znowu milczała chwilę.

— Nadchodzili *ah-nunob* i przegrywaliśmy bitwę – powiedziała. – Pojmaliśmy ich wojowników. Zabiłam ich na ołtarzu, a ich głowy ułożyliśmy na podwórkach, ale to nie wystarczyło.

Mocno zacisnęła splecione dłonie. Skierowała wzrok w stronę ciemności na końcu korytarza i zakołysała się do przodu i do tyłu, zupełnie jakby kołysała w ramionach dziecko. Mówiła śpiewnym głosem.

— Było dużo zabijania, tak dużo zabijania, i na polu bitwy, i w świątyni. Mój mąż, człowiek posiadający władzę i z wysokiego rodu, dobry człowiek, zginął tamtego tygodnia na polu bitwy. W powietrzu wciąż unosił się ciężki odór krwi, wypełniał świątynię, zalegał na dziedzińcu, rozlewał się ze świętych miejsc wzdłuż *sacbe*, jak rzeka silnego, czerwonego zapachu zmieszanego z dymem płonącego kadzidła. Wszędzie szedł za mną odgłos bębnow i grzechotek, bijących jak serce, miarowo i mocno. Jak moje własne serce.

Przycisnęła do piersi złożone dłonie i kołysała się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, w rytmie bębna, którego nie słyszałam. Teraz słowa padały szybciej z jej ust.

— Dym, woń krwi, krzyki rannych opatrywanych przez

uzdrowicieli – wszystko to wydawało się całkiem naturalne. – Miała zamknięte oczy. – Oddałam dziecko bogom, żeby zapobiec nadejściu *ah-nunob*. Chciałam, aby to była dobrowolna ofiara. Przygotowałam ją, ustroiłam, wyperfumowałam i napiłam *balche* zmieszaną z ziołami. Zabrałam ją do miejsca składania ofiar, gdzie władała moja bogini. Nie opierała się. Uśmiechnęła się do mnie, kiedy powiedziałam jej, że Ixtab przyjdzie i zabierze ją do raju. Bała się, ale uśmiechała się do mnie. I wtedy, w chwili gdy opuszczałam ostrze noża, gdy moc bogini powinna być największa, ogarnęły mnie wątpliwości. Moja córka spojrzała na mnie i zważyłam w moc bogini. – Otworzyła oczy, a wypełniające je dziwne światło przypomniało mi wariatkę, która twierdziła, iż jest Jezusem Chrystusem. – Zważyłam i *ah-nunob* weszli do miasta. Cykl się odwrócił i bogini straciła moc.

Bolał mnie brzuch, bolał jednostajnym, tępym bólem przypominającym ten, który dręczył mnie przez cały okres ciąży. Uczucie przygnębiającego ciężaru, jakbym dźwigała za wielkie dla mnie brzemie. Lekarz, który opiekował się mną w czasie ciąży, powiedział, że to zjawisko psychosomatyczne. Wiele ciężarnych kobiet czuje się nieszczęśliwymi, orzekł, nie ma w tym nic nie-normalnego. Powiedział, że czują się nieszczęśliwe – pamiętam. Nie przyszło mu jakoś do głowy, że może mają powody, żeby się tak czuć. Może je bolało, może nosiły ciężar ponad siły. Byłam ciekawa, co powiedziałyby teraz.

— A teraz przyszedł znów czas na odwrócenie cyklu. Możesz przywrócić moc bogini. Twoja córka...

— Nie – powiedziałam.

— Możesz – powiedziała. Wtedy zauważyłam, że w ręce trzyma obsydianowy nóż. – To łatwe. Potem, kiedy tego dokonasz, będziesz mogła odpocząć.

— Nie.

— Jesteś podobna do mnie – ciągnęła. – Znam cię. Poznałam cię tego pierwszego dnia, gdy ujrzałam cię nad cenotą. Ty także złożyłaś ofiarę, która na nic się nie zdała. Zaczęłaś spadać podobnie jak ja, kiedy moja córka umarła, a wraz z nią moc bogini. Za-

częłam spadać na długo przedtem, zanim kapłani wrzucili mnie do studni.

— Teraz możesz odpocząć – przypomniałam. – Możesz przestać.

— Próbowałam. Kiedy ludzie odchodzili i w mieście zapanał chaos. Poprosiłam dwóch murarzy, żeby mnie zamurowali – i zrobili to dla mnie. Zamurowali mnie i zostałam tutaj. Chciałam odpocząć. Lecz nie ma dla mnie spoczynku. Cykl znowu się odwraca. Nadchodzi czas składania ofiar. Kiedy zostaną złożone, będziemy mogły odpocząć, ty i ja.

— Ty możesz odpocząć – powiedziałam. – Nie musisz tutaj być. Nie będzie żadnych ofiar, żadnego rozlewu krwi.

Spojrzała na mnie oczami tak czarnymi jak ciemność za grobowcem.

— A dlaczego ty tu jesteś? – Nie czekała na moją odpowiedź. – Jesteś tu, ponieważ chcesz poznać tajemnice. Chcesz, a jednocześnie boisz się je poznać. Pragniesz władzy, ale boisz się jej. Boisz się poznać, do czego jesteś zdolna. – Przesunęła palcem po obsydianowym ostrzu. – Popłynie krew.

Wyciągnęła do mnie nóż, a ja wzięłam go od niej. Trzymałam go w ręce, a potem lekko przejechałam nim po skórze nadgarstka, sprawdzając jego ostrość, tylko sprawdzając. W nacięciu pokazały się kropelki świeżej krwi, a ja poczułam strumień ciepła i siły płynący w górę mojej ręki, aż do serca. Dotknięcie zimnego ostrza przypomniało mi próbę samobójstwa. Pamiętałam chwile niecierpliwego wyczekiwania, uczucie, że ból, który odczuwałam, był nieważny w porównaniu z siłą, jaką mogłam zyskać. Patrzyłam na krew płynącą stróżką z mojej ręki, czując ciepło i siłę.

Rozdział 22

Diane

Zapłaciłam taksówkarzowi i wybiegłam w deszcz. Za plecami usłyszałam warkot zapalanego silnika i samochód odjechał.

Chata matki była pusta. Drzwi stały otwarte na oścież i deszcz zalewał glinianą podłogę. Na gwoździu wisiała plastikowa peleryna. Po krótkim namyśle narzuciłam ją na sukienkę i wybiegłam z powrotem na deszcz. Nie wiedziałam, dlaczego chciałam natchmianem zobaczyć matkę. Chyba chodziło mi o to, żeby powiedzieć jej wreszcie o staruszce, którą widywałam, i omówić tę sprawę jak dorośli, krok po kroku, ostrożnie, oddzielając zjawy od rzeczywistości.

Pobiegłam ścieżką do grobowca, rozpryskując po drodze kałuże wody sandałami. Już i tak byłam przemoczona, trochę więcej wody nie sprawiało mi różnicy. W pewnej chwili potknęłam się i upadłam na kolano. Dalej pokuśtykałam, kulejąc.

Wejście do grobowca ziało ciemną plamą na płaszczyźnie placu. Wchodząc do korytarza, poczułam lekki powiew niosący zapach świeżo kopanej ziemi. Krople deszczu rozpryskiwały się na wiodących w dół schodach. Przez ich plusk usłyszałam głos matki. Nie mogłam rozróżnić słów.

Pokonując ostatni stopień, pośliznęłam się na mokrym kamieniu, straciłam równowagę, wdepnęłam w kałużę pokrywającą podłogę korytarza i niemal upadłam. Z otworu sączyła się wiązka

białego światła latarni. Przesunęła się, gdy matka podniosła lampę do otworu.

— Halo! – zawołałam do niej. – Tak myślałam, że cię tu zastanę.

Widziałam tylko zarys jej głowy na tle otworu.

— Wróciłam z Méridy wcześniej – powiedziałam. – Nie ma tam tak naprawdę co robić. Barbara została, a ja wróciłam.

Zabrakło mi słów. Słyszałam, jak za moimi plecami spływają po schodach strużki deszczu, niczym rzeka zasilająca jezioro wokół moich kostek.

— Okropnie leje.

Stałam w kałuży, czekając, aż matka się odsunie, zaprosi mnie do środka i pokaże, co robi, albo chociaż odezwie się. Woda kapała mi z włosów na plecy. Poncho przywierało do nagich ramion i nóg.

Zdjęłam je przez głowę i zawiesiłam na kilofie, który stał z ostrzem w wodzie. Zrzuciłam z nóg sandały i włożyłam je do metalowego wiadra stojącego obok. Wiaderko jeszcze nie unosiło się na wodzie, ale niewiele już do tego brakowało. Nieproszona, wcisnęłam się w przejście, a matka odsunęła się, robiąc mi miejsce.

Ściany wznosiły się wysokim łukiem nad moją głową, a światło latarni nie sięgało sklepienia. Tu i ówdzie połyskiwały powtykane przed wiekami w wapienne ściany muszelki. Na kamiennej platformie leżał rozciągnięty szkielet, patrząc w ciemność pustymi oczodołami. Przy jego głowie, na podłodze, zauważyłam notes matki, rylec i miotełkę. Ona sama stała niedaleko szkieletu i nie odrywała ode mnie wzroku. W jednej ręce trzymała latarnię, mocno ściskając jej druciany uchwyt. W drugiej miała nóż z obsydianu. Jej prawy nadgarstek krwawił.

— Skaleczyłaś się – powiedziałam.

— Dlaczego wróciłaś? – zapytała. Głos miała szorstki, ochrypły.

— Nie miałam żadnego powodu, aby zostać tam dłużej – powiedziałam.

Pokręciła głową.

— Co ci kazało brnąć przez ulewę w sukience i sandałach?

Spojrzałam na siebie. Łydki miałam zabłocone, a w miejscu, gdzie ciernista gałązka rozdarła mi skórę, sączył się strumyczek ciemnych kropli. Pomimo poncho ociekałam wodą.

— Chyba powinnam się przebrać.

— Nie powinno cię tu być. Powinnaś zostać w Méridzie. – Była bliska łez.

— Przepraszam. Ja... – Nic wiedziałam, co powiedzieć. Z rezygnacją wyciągnęłam przed siebie ręce i uśmiechnęłam się. – Co mogę zrobić? Czy powiesz mi, co się dzieje?

Cofnęła się o krok, jakby wystraszona moim gestem, i stanęła za kamienną platformą.. Trzęsa się jak mokry psiak. Wyglądała staro i bezbrinnie.

— Odejdź – powiedziała. – Proszę, idź stąd.

— Pada – powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał rozsądnie. – Nie będę przeszkadzać. Ja tylko...

— Wyjdź! – Słowa odbiły się echem od ścian, a ja cofnęłam się. Uśmiech zgasł mi na ustach. Ona wyprostowała się i ruszyła na przód. Rysy jej twarzy stwardniały. – Wynoś się stąd! Natychmiast!

Cofnęłam się.

— Przepraszam. Ja...

— Wyjdź! – Jej twarz zmieniła się w maskę, podświetloną od dołu światłem latarni. Oczy spoglądały dziko, przekrwione i za duże w stosunku do twarzy. Odchyliła głowę do tyłu i wydała z siebie krzyk, bez słów – sam jęk, skowyt rozpacz. Mięśnie jej szyi napięły się i nabrzmiały. Spazmatycznie chwyciła ustami powietrze. Zrobiłam krok w jej stronę, a ona spojrzała na mnie gniewnie, trzęsąc głową, jak zwierzę oganiające się od much. Podniosła zaciśniętą w pięść rękę i kiedy odskoczyłam, zaczęła okładać się po nodze, raz, dwa, trzy razy, a każdy cios był tak silny, że mrużyłam oczy. – Idź! – krzychała. – Idź! Odejdź! – Ostatnie słowa wymówiła już z trudem, a trzeci cios nie był tak silny, jak poprzednie.

Stałam w otworze. Słyszałam cichy szmer spływającej po schodach wody, lecz wydało mi się, że bębnienie deszczu ucichło.

— Już przestało padać – stwierdziłam najspokojniej jak potrafiłam. – Mogę wracać do obozu. Może poszłabyś ze mną?

Wciąż zaciśniętą w pięść rękę oparła o biodro.

— Musisz iść.

— Pójdę, jeśli ty pójdziesz ze mną.

Westchnęła przeciągle i jakby skurczyła się. Opuściła ramiona, rozluźniła dłoń trzymającą lampę.

— Dobrze – odparła. – Wyjdz.

Prześliznęłam się przez otwór i przystanąłam tuż za nim, skąd mogłam zaglądać do środka. Ze świeżo wymytych schodów sączył się blask, tworząc blady prostokąt na podłodze. Kałuża była już o wiele płytsza, woda zdążyła wsiąknąć w ziemię.

— Jestem tutaj – przypomniałam. – Może podasz mi latarnię, a potem sama wyjdiesz?

— Tak – odrzekła i podała mi lampę. Odsunęłam się, a ona wyszła tuż za mną.

— Dobrze – mruknęłam.

Stanęła na środku korytarza i odwróciła się, patrząc na mnie gniewnie przez łzy, które nadal płynęły jej po policzkach.

— Nie musisz traktować mnie jak idiotkę. Możesz mnie uważać za wariatkę, ale nie myśl sobie, że jestem głupia.

Wzięła z moich rąk latarnię, zgasiła ją i poszła pierwsza w górę po schodkach, wprost w parujące popołudnie. Nie obejrzała się za siebie.

Rozdział 23

Elizabeth

Niedziela była dniem Chicchan, niebiańskiego węża. Carlos, Maggie, John i Robin wrócili na obiad późnym popołudniem, czysti i wypoczęci. Tryskali radością, ponieważ w perspektywie mieli prace przy grobowcu, wyprawę do jaskini i tylko dwa tygodnie do końca praktyki. Przy obiedzie gadali tylko o tym, co zrobią przed powrotem do szkoły. Carlos i Maggie chcieli spędzić tydzień na wyspie Isla Mujeres. John i Robin jechali na południe: planowali podróż przez Belize, z postojem przy ruinach siedzib Majów w Altun Ha i Xunantunich. Wszyscy wydawali się beztroscy jak wróble, które na chwilę przysiadają na ogrodowej ścieżce, pokłócą się o okruszki chleba i pofruną dalej. Tylko Diane, przygaszona, nie brała udziału w rozmowie. Przyłapałam ją, jak przyglądała mi się ukradkiem, a kiedy spojrzałam na nią, odwracała wzrok. Oboje z Tonym wyraźnie mnie obserwowali i zastanawiałam się, czy rozmawiali ze sobą od czasu naszego spotkania z Diane w grobowcu.

Barbara przyjechała późno, dobrze po obiedzie. Byłam w chacie, próbując odpocząć i strząsnąć z siebie resztki gorączki, od której wciąż szumiało mi w uszach. Słyszałam warkot volkswagena Barbary i myślałam o tym, czy Diane opowie jej o naszym spotkaniu w grobowcu, kiedy poniosły mnie nerwy. Nie wyszłam, żeby się z nią przywitać. Chciałam zasnąć, ale przeszkadzały mi odgłosy nocy: świerszcze, szum palmowej strzechy, czyjeś kroki –

to chyba Carlos zmierzał do swojej chaty. Kiedy wreszcie zasnęłam, śnił mi się obsydianowy sztylet, który leżał przy szkielecie w grobowcu.

Śniłam, że stoję w kuchni mieszkania w Los Angeles, trzymając w ręce nóż z obsydianu. Przesunęłam palcem po ostrzu, żeby sprawdzić jego ostrość. Jego dotyk sprawił mi przyjemność – chłodny i ostry, nie za ciężki ani za lekki. Był żądny krwi. Naprzeciw mnie przy kuchennym stole siedziała młoda kobieta i popijała piwo, nasłuchując pomruku bojlera. Spojrzała na mnie i powiedziała coś, ale nie zrozumiałam jej. Podałam jej nóż, lecz ona nie przyjęła go i cofnęła się. Gdzieś w oddali zapłakało dziecko.

Kuchnia zniknęła, młoda kobieta też, ale ja wiedziałam, że dziecko wciąż płacze. Byłam w jakimś bardzo ciemnym miejscu i zaczęłam szukać dziecka. Byłam zmęczona, pragnęłam jedynie położyć się i odpocząć, ale najpierw musiałam odnaleźć dziecko. Chodziłam, zdezorientowana i zagubiona, wciąż z nożem w dłoni.

Stałam w drzwiach chaty, słuchając grania świerszczy i chóru oddechów. Barbara – myślę, że to była Barbara – mruknęła coś przez sen i przewróciła się na drugi bok. Jej hamak zakołysał się lekko. Westchnęła, a potem zaczęła miarowo oddychać. W ciemności widziałam miedziany błysk włosów Diane. Oddychała cicho i swobodnie – tak lekko, tak łatwo można było ten oddech zatrzymać.

Kiedy Diane miała cztery lata – i była śliczna jak aniołek o łagodnych, zielonych oczach – często budziła się dręczona koszmarami. Wtedy przychodziła do sypialni, którą dzieliłam z Robertem, i stawała cicho w drzwiach. Nie wiadomo, dlaczego, ale zawsze wtedy budziłam się i spoglądałam w stronę drzwi, gdzie stała drobniutka zjawa, cierpliwie czekająca, aż ją zauważą. W takie noce zanosiałam ją z powrotem do jej pokoju i kładłam się obok niej w łóżku pełnym wypchanych zwierzątek. W ciemności opowiadała mi swoje dziwne historie o twarzach, które do niej przychodziły, o cieniach ruszających się w szafie. Nigdy nie mówiłam jej, że te twarze i cienie są złudzeniem: mówiłam tylko, że nie zrobią jej krzywdy. Jest bezpieczna.

Teraz stałam w drzwiach i słuchałam jej oddechu, zastanawiając się, dlaczego się nie budzi, żeby mnie zauważyć. Powinnam coś zrobić z nożem, który trzymałam w ręce. W jakiś sposób należało zamknąć kończący się cykl. Właśnie zamierzałam zrobić krok w jej stronę, gdy ktoś położył rękę na moim ramieniu. Tony, wciąż ubrany, stał tuż za mną.

— Co się dzieje? – zapytał cicho. – Co robisz?

Wzruszyłam ramionami, nadal pogrążona we wspomnieniach.

— Pilnuję dziecka – powiedziałam głosem tak miękkim, jak ziemia pod moimi bosymi stopami. Zamrugałam i kilka łez zakończyło podróż po mojej twarzy i spadło. Tony otoczył mnie ramieniem i wyprowadził, kierując się do mojej chaty. Jego ramię było ciepłe i kojące. Pachniał tytoniem.

— O co chodzi, Liz? – zapytał. – Co ci jest?

Potrząsnęłam głową. Zbyt trudno było odnaleźć słowa w otaczającej mnie ciemności.

— Stara kobieta z grobowca mówi, że cykl musi zostać zakończony. Dziecko musi umrzeć, tak jak umarło jej dziecko. – Słowa płynęły miękko. Mój własny głos wydawał się odległy. – Muszę być ostrożna. Rozumiesz to, prawda? Muszę zapewnić dziecku bezpieczeństwo.

— Kim jest stara kobieta z grobowca? – zapytał.

— To Zuhuy-kak. Za jej sprawą ludzie dawno temu opuścili miasta. Jest potężna i bardzo uparta. Rozmawiam z nią, ale boję się jej.

— Kobieta z grobowca nie żyje, Liz.

— Dlatego jest taka silna. Silniejsza ode mnie. I szalona, o wiele bardziej niż ja. Chce, żebym zabiła dziecko.

— Zajmę się tobą, Liz – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

— A kto się zajmie dzieckiem? – zapytałam. – Jestem taka zmęczona, ale kto się zajmie dzieckiem?

Delikatnie pogłaskał mnie po plecach.

— Nią także się opiekuję – powiedział. – Wiesz o tym. A ty musisz odpocząć.

Na czole poczułam chłodny dotyk jego ręki.

— Masz gorączkę. – Jedną rękę trzymał wciąż na moim ramieniu, drugą ujął moją rękę. Poczuwszy świeżą ranę na nadgarstku, zawahał się. – Co to?

Spojrzałam na cienką, czerwoną szramę i mruknęłam:

— Sprawdziałam ostrość noża. To wszystko.

Zaprowadził mnie do chaty i pomógł ułożyć się w hamaku. Zauważyłam, że nie miałam już w ręce sztyletu z obsydianu, i wiedziałam, że musiał powrócić do grobowca. Usiadłam w hamaku i kurczowo chwyciłam linki, żeby nie ulecieć. Byłam bardzo lekka, głowę miałam za dużą w stosunku do ciała. Musiałam się trzymać hamaka, żeby nie odfrunąć. Przerzuciłam nogi przez krawędź, nie wypuszczając z rąk sznurków. Wtedy Tony zjawił się znowu i delikatnie popchnął mnie z powrotem na hamak.

— Muszę iść do grobowca – powiedziałam. – Muszę porozmawiać z tą kobietą.

— Nigdzie nie pójdziesz, Liz – powiedział Tony. – Zostaniesz tu, gdzie jesteś.

— Muszę ją odnaleźć. Muszę jej powiedzieć, że nie dostanie dziecka. Może mieć mnie, ale nie oddam jej dziecka. Muszę jej to powiedzieć.

— Ja pójdę do grobowca – powiedział. – Ja jej powiem.

— Obiecujesz? – zapytałam. – Pójdziesz tam? Obiecujesz?

— Obiecuję.

Położyłam się w hamaku i zamknęłam oczy.

— Bądź ostrożny – powiedziałam cicho. – Bądź bardzo ostrożny.

Usłyszałam grzechotanie tabletek, plusk wody nalewanej z dzbana do filiżanki do kawy. Podał mi te małe, czerwone tabletki, które przynoszą sen, a ja zażyłam je, mocno trzymając w dłoniach jego szorstką rękę. Odpłynęłam w sen, słuchając jego cichych słów o tym, że wszystko będzie dobrze.

Obudziłam się w poniedziałek o świcie. Poniedziałek był dniem Cimi, imieninami boga śmierci. Nie był to szczęśliwy dzień. Obu-

dziłam się z niejasnymi, zatartymi lekko wspomnieniami minionej nocy. Miałam brudne stopy, a przy łóżku, obok filizanki stała fiolka z tabletkami. Poszłam poszukać Tony'ego, ale nie było go w chacie. Kury grzebiące w piasku na placu i prosiak śpiący w cieniu wpatrywały się we mnie, jakbym była pierwszą osobą zakłócającą im spokój tego ranka. Nad cenotą też nie zastałam Tony'ego. Poszłam dalej ścieżką w kierunku grobowca.

Już prawie dochodziłam do celu, kiedy go ujrzałam. Leżał bez ruchu, rozciągnięty na ścieżce, gdzie upadł i próbował czołgać się w stronę obozu. Gdy podbiegłam do niego, z jego ciała wzbiła się chmara much, które brzęczały mi nad głową, kiedy uklęknęłam. Czerwoną chustką obwiązał udo tuż nad kolanem. Rozcięta nogawka spodni odsłaniała ranę na łydce: ciemną wybroczyne otoczoną opuchlizną. Dostrzegłam dwa skaleczenia o poszarpanych brzegach, oddalone około pół cala od siebie – rozstaw kłów węża. Jasnoczerwona krew nadal wydobywała się z rany małymi kropelkami.

Oddychał płytko i nierówno. Puls miał przyśpieszony, a skórę koloru otaczających nas wapiennych bloków, chłodną i wilgotną. Zawołałam do niego i potrząsnęłam nim lekko, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Podniosłam mu powiekę: oko było przekrwione, a źrenica wielkości główki szpilki.

Zarzuciłam sobie jego rękę na ramię i spróbowałam postawić go na nogi. Nie zdołałam go unieść. Spróbowałam ponownie. Krew szumiała mi w uszach, a serce waliło jak młotem w porannej ciszy. Udało mi się przejść trzy kroki, zanim upadliśmy oboje.

Padając, podtrzymałam go, nieomal wykręcając sobie kostkę i przenosząc cały ciężar na jedno kolano.

— Tony – powiedziałam. – Do cholery, Tony. Musisz mi pomóc.

Oddech uwiązł mu w krtani, potem znów wrócił. Tony nie ruszał się. Położyłam go na ziemi, bezsensownie podłożyłam mu pod głowę mój kapelusz, a potem wyjęłam go i osłoniłam nim twarz Tony'ego. Zasłoniłam ranę nogawką spodni i pobiegłam do obozu.

Nie szło mi to najlepiej. Byłam za stara na bieganie. Słońce stanowiło rozmazaną, gorącą plamę nisko nad horyzontem. Moje płuca, chociaż robiły wiele hałasu, kiepsko wciągały powietrze. Czułam się tak, jakbym patrzyła na siebie z boku: stara kobieta, uginająca się pod brzemieniem czasu, biegnie wolno pustą ścieżką, usiłuje wciągnąć powietrze w płuca zatkane nikotyną, daremnie próbuje wołać o pomoc wśród ruin, gdzie żyły i umierały całe pokolenia. Biegając, przysięgałam sobie, że jeżeli Tony przeżyje, rzucę palenie. Przestanę palić. Nie pamiętam, którym bogom składałam przysięgę, zaklinałam się, że przestanę, żeby go tylko ocalić. W boku kłuło mnie ostro i gwałtownie, jakby ktoś dźgał mnie obsydianowym sztyletem.

W pewnej chwili, w świetle załamującym się w moich zalanych łzami oczach, wydało mi się, że na ścieżce daleko przede mną dostrzegłam kobietę w błękitnej sukni. Gdyby nie brakło mi tchu w piersi, przeklęłabym ją, ale nie byłam w stanie kląć ani nawet jej zawołać. Próbowałam przyśpieszyć, lecz nie mogłam jej dogonić. Była daleko, mała postać w oddali.

W obozie panowała cisza. Chciałam krzyczeć, lecz nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Dotarłam do zaparkowanej na placu ciężarówki Salvadora, sięgnęłam przez okno do klaksonu, przycisnęłam go i trzymałam, jakby długość sygnału mogła przyśpieszyć reakcję Salvadora. Widziałam, jak Salvador wychodzi z chaty, bez koszuli i kapelusza. Puściłam klakson i przycisnęłam go jeszcze raz. Przybiegł do mnie.

— Tony – powiedziałam. – Wąż. – Skinęłam głową w kierunku grobowca. – Nieprzytomny na ścieżce.

Zaczął kląć pod nosem po hiszpańsku, nieprzerwanym strumieniem przekleństw.

Dotarcie do Tony'ego zabrało nam zbyt wiele czasu. Salvador podjechał furgonetką po starej *sacbe* najdalej, jak mógł. Samochód podskakiwał na dziurach i kocich łbach, rama podwozia jęczała. Raz, na szczególnie sporym wyboju, coś głośno trzasnęło, ale nic się nie złamało. Biegając do ścieżki, gdzie leżał Tony, Salvador znacznie mnie wyprzedził. Jeszcze z trudem gramoliłam się

w górę, kiedy napotkałam go wracającego z Tonym. Niósł go na rękach jak małe dziecko. Mięśnie nagich ramion Salvadora lśniły w słońcu, a Tony wydawał się przy nim jeszcze bardziej kruchy i mały.

Dojazd do szpitala również zabrał nam sporo czasu. Salvador jechał jak szalowiec, a mimo to podróż dłużyła się niemiłosiernie.

W ostatniej chwili ominął wlokący się środkiem drogi turystyczny autobus, skręcając na zwirowe pobocze, aż zarzuciło samochodem. Potem zmusił robotnika drogowego do odskoczenia na bok, nawet nie zwalniając na widok prowadzonych robót. Tony leżał bezwładnie na siedzeniu obok mnie, z głową na moich kolanach. Przez warkot furgonetki słyszałam jego ciężki oddech. Wjechaliśmy już na przedmieścia Méridy, gdy oddech Tony'ego ustał. Rozpoczęłam sztuczne oddychanie metodą usta-usta. zajęcie uspokajające, bo dające poczucie, że robię coś pożytecznego.

W szpitalu Juareza moje miejsce zajęli dwaj asystenci, którzy założyli respirator na twarz Tony'ego i zawieźli go gdzieś w nieznane. Było mi zimno. Stałam w szpitalnej poczekalni i nasłuchiwałam cichego pomruku głosów dokoła. Pomalowane na biało i seledynowo ściany były oszpecone śladami butów przy listwie podłogowej. Młoda kobieta o typowych rysach twarzy Majów siedziała na pomarańczowym, plastikowym krześle. Na rękach trzymała niemowlę, które kwiliło jednostajną, nieprzerwaną skargą. Kobieta śpiewnie pocieszała je w języku Majów; powtarzała w kółko te same stare kłamstwa: wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze. Staruszka w pogniecionej szacie przemawiała cichym głosem do starca, któremu bandaż zakrywał pół twarzy. Opierali się o siebie jak głązy w murze. Starzec obserwował nas swoim jedynym zdrowym okiem. Młody człowiek w słomianym kapeluszu i lichym odzieniu robotnika z hacjendy przyciskał do ramienia białą szmatę; przez płótno przesączała się jasnoczerwona krew. Przechodząc obok niego, poczułam zapach aguardiente – skutki długiego wieczoru w barach. Znaleźliśmy z Salvadorem dwa plastikowe krzesła, usiedliśmy i czekaliśmy.

Pielęgniarka, która wywołała moje nazwisko, miała na sobie

wykrochmaloną sukienkę w błękitne paski i biały fartuch. Ciemne włosy okrywał czepek. Poszłam za nią, słuchając szelestu jej sztywnego fartucha. Zaprowadziła mnie do maleńkiego, dusznego pokoju, gdzie młody, nadgorliwy lekarz wypytywał mnie o Tony'ego. Miał szczupłą twarz i roztaczał zapach środków dezynfekujących. Nie spodobał mi się od pierwszej chwili.

Wyrecytowałam pełne nazwisko Tony'ego, jego wiek, adres i zawód. Każde pytanie dochodziło do mnie z coraz większej odległości, jakby lekarz rozplątywał się gdzieś w oddali.

— Nie wiem, jak długo tam przebywał – powiedziałam. – Nie widziałam go od poprzedniego wieczora. Przypuszczam, że musiał wybrać się na spacer bardzo wcześnie rano.

Mówiłam bezbarwnym głosem. Oczami wyobraźni widziałam węża, ospałego jeszcze pod wpływem chłodnego powietrza nocy, jak wygrzewa się w słońcu. Wyobrażałam sobie Tony'ego, zaabsorbowanego rozmyślaniami o konieczności zamknięcia w wariatkowie wieloletniej przyjaciółki i współpracownicy, pnącego się ścieżką pod górę. Podejrzewałam, że nie spał po tym, jak wyszedł ode mnie: siedział samotnie, pił i wpatrywał się w cienie.

— Po co wybrał się na przechadzkę tak wcześnie?

— Nie wiem.

Wiedziałam, ale nie miałam ochoty przyznać się do tego. Dlaczego szedł przez dżunglę o tak wczesnej porze? Ponieważ ktoś, na kim mu zależało, zwariował i naopowiadał mu o tajemnicach kryjących się w cieniach. Myślał o mnie i dlatego nie zauważył węża.

Tony zmarł wczesnym popołudniem, nie odzyskawszy przytomności. Lekarz świetnie władał angielskim, lecz w jego głosie, pod zawodowym współczuciem, wyczułam nutkę dezaprobaty.

— Miał bardzo dużo alkoholu we krwi – oznajmił. – Prawdopodobnie dlatego nie zdołał dotrzeć do obozu i uzyskać pomocy.

Ten młody lekarz tak mało wiedział o świecie. Wydawało mu się, że picie w dużych ilościach to coś niezwykłego.

Salvador też tam był, stał przy moim krześle. Jakiś sanitariusz pożyczył mu koszulę, o wiele za małą dla niego. Musiała zostać

nie zapięta.

— Czy życzy sobie pani, żeby przygotować ciało do transportu do Stanów? – zapytał młody lekarz.

Miał pióra w kieszonce i stetoskop zawieszony na szyi. Nie wiedział nic o skałach, ruinach, ziołach i starych kościach. A jednak jego twarz, gdy patrzył na leżący przed nim na biurku formularz, była twarzą młodego boga kukurydzy z hieroglifów. Należał do tych skał i ruin, ten młody lekarz, choć o tym nie wiedział. Oderwał wzrok od formularza i powtórzył pytanie. Salvador położył rękę na moim ramieniu.

— Tak – powiedziałam. – Tak. Proszę je przygotować.

Z automatu telefonicznego w hallu skontaktowałam się z uniwersytetem i przeprowadziłam rozmowę z sekretarką wydziału, kobietą w moim wieku, która wiedziała wszystko o wszystkich. Okazała przepisowe zdumienie i przerażenie, a mimo to nie omieszkała zapytać – taktownie i ostrożnie – o okoliczności. Nie lubiłam tej kobiety i ona także mnie nie kochała. Jednak teraz jej głos był pełen współczucia i fałszywego ciepła.

— Jakie to straszne – powtarzała. – Jakie straszne.

Mogłam jedynie przytaknąć znużonym głosem. Była tylko metalicznym, dobiegającym z oddali głosem. Była nierzeczywista. Gdy tak stałam w białym hallu, słuchając wyrazów współczucia oraz słów otuchy, obok przeszedł sanitariusz. Patrzyłam, jak jego cień przesuwają się po białej ścianie. Tutaj, w szpitalu, cienie miały ostre krawędzie. Nie rozmazywały się, nie zlewały jedne z drugimi. Tutaj ludzie byli żywi lub martwi, przytomni lub nieprzytomni. Żadnych szarych stref niepewności. Powiedziawszy sekretarce, że zajmę się transportem ciała, i zapewniwszy ją, że zadzwonię następnego dnia, odwiesiłam słuchawkę.

— Może powinna pani zostać tutaj, wmieście, *señora* – powiedział Salvador. – Ja wrócę do obozu.

Pokręciłam głową.

— Pan wie, że muszę wrócić.

Salvador nieznacznie wzruszył ramionami. Był praktycznym człowiekiem. Nie spierał się. Z cichą godnością uczestnika żałob-

nego konduktu poprowadził samochód z powrotem do obozu. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie miałam nic do powiedzenia.

W obozie panowała cisza. Znad kuchni unosiła się wąska smużka dymu – Maria przypalała obiad. Barbara, John, Robin i Diane siedzieli na placu. Kiedy stanęliśmy, podeszli do nas.

— Tony zmarł w szpitalu Juareza dziś po południu – powiedziałam. – Z powodu ukąszenia węża. – Patrzyli na mnie wszyscy, a ich twarze rozmazywały mi się przed oczami. Jedną ręką opierałam się o otwarte drzwi furgonetki. – Z powodu ukąszenia oraz pecha – dodałam.

Barbara ruszyła w moją stronę, ale powstrzymałam ją gestem ręki. To był dzień Cimi, dzień śmierci, i dotykanie mnie nie było bezpieczne.

— Spakujcie się – powiedziałam do nich. – Jedźcie na noc do Méridy. Nie będziemy pracować ani jutro, ani pojutrze. Jutro jest święto.

Nie powiedziałam im, że następny dzień będzie początkiem końca. Będzie to pierwszy z ostatnich pięciu dni roku według kalendarza Majów. Pięciu pechowych dni. Patrzyli na mnie niepewni i zagubieni. Z odległej przeszłości, z wykładowej sali, przywołałam głos autorytetu. Tam, obawiając się ich młodych głodnych twarzy, nadawałam swemu głosowi ostrość pejcza i rozkazywałam im. Przemówiłam do nich jak nauczyciel, wymagający i skory do gniewu, nie okazując ani cienia słabości. Kazałam im spakować rzeczy. Kazałam im wyjechać. Carlos i Maggie nadeszli od strony cnoty zaalarmowani warkotem nadjeżdżającej furgonetki. Stali tuż za pozostałymi i wciąż jeszcze ociekali wodą. Patrzyłam na Diane, choć mówiłam do wszystkich.

— Opuśćcie to miejsce – powiedziałam. – Później wróćcie, żeby zwinąć obóz, ale teraz wyjedźcie. Tony też życzyłby sobie tego.

Patrzyli na mnie nie rozumiejącym wzrokiem, a ja przypominałam sobie niezliczone godziny wykładów, podczas których usiłowałam przekazać im okruchy moich marzeń, opisać światy

z przeszłości, których nigdy nie mogli zobaczyć, starannie ubierając myśli w słowa profesora, uczonego, archeologa. Ostrożnie, aby ktoś przypadkiem nie pomyślał, że zbyt wierzę w swoje własne marzenia, widzę za wyraźnie, żyję w innym świecie.

— Idźcie – powiedziałam. – Idźcie już.

Zostawiłam ich tam. Pod pretekstem pakowania się poszłam do mojej chaty, lecz zamiast składać rzeczy, wzięłam latarkę i poszłam ścieżką do grobowca. Było późne popołudnie. W powietrzu wisiała wilgoć, a na niebie niska warstwa chmur. Znalazłam mój kapelusz leżący w pyle, tam gdzie zostawił go Salvador. Podniosłam go, strzepnęłam kurz, uderzając nim o kolano, wyprostowałam rondo i zabrałam ze sobą. Nie miałam ochoty wkładać go na głowę.

Kilkaset jardów dalej przeszłam obok miejsca, gdzie Tony upuścił butelkę dzinu. Odłamki przezroczystego szkła migotały w słońcu. Musiał ją zgubić przy upadku. Tuż przy ścieżce trawa była zgnieciona, a ziemia poplamiona krwią. Szłam dalej. W połowie drogi do grobowca dołączyła do mnie Zuhuy-kak. Dotrzymywała mi kroku. Przy kopcu, niedaleko kamienia, który mógłby stanowić wygodne siedzisko, zobaczyłam popiół wysypany z fajki. Tony odpoczywał tu, rozmyślając o mnie, starej przyjaciółce, która wpadła w tarapaty. Zastanawiał się, jak mógłby pomóc. Siedział tu zapewne aż do świtu, walcząc z demonami mniej wyraźnymi niż moje, a potem ruszył z powrotem do obozu. Na ścieżce spotkał węża.

Stara kobieta wciąż była przy mnie. Słyszałam lekkie szuranie jej sandałów po piaszczystym podłożu. Napadłam na nią.

— Po co idziesz za mną?

— Nadchodzi czas – odparła. Głos miała cichy, jak łagodne szuranie wiatru nawiewającego piasek na kamienne stopnie świątyni. – Kończy się rok.

— Dlaczego zginął Tony? – zapytałam nagle. W jaskrawym świetle późnego popołudnia stara była równie realna jak otaczające nas, milczące kamienie.

— Twoi wrogowie usiłują cię powstrzymać – odrzekła. Jej głos

był matowy i pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu. – Już ci to mówiłam.

— Moje życie nie ma nic wspólnego z twoim – powiedziałam. – Nie poświęciłam w ofierze mojej córki. Nie zostaną wrzucona do studni.

— Rok starzeje się i zdarzają się różne rzeczy – powiedziała. – Może nie takie same jak w moich czasach. Niemniej zdarzają się.

— Zostaw mnie w spokoju! – zawołałam do niej.

— Ignorowanie mnie nic ci nie da – powiedziała. Odwróciłam się od niej. Nie patrząc na nią, zeszałam na dół.

W wewnętrznej komorze było chłodno i cicho. Skierowałam latarkę na szkielet. Ten przynajmniej leżał, milcząc. Czaszka jej córki wystawała spomiędzy stosu kości.

— Użyłam tego noża – powiedziała Zuhuy-kak, wskazując ruchem głowy na sztylet z obsydianu leżący na kamiennej platformie. – Jest ostry. Jej ból nie potrwa długo.

Podniosłam nóż i sprawdziłam ostrze. Nadal był ostry: na moim kciuku pojawiła się jasna kropelka krwi. Obejrzałam stare blizny na nadgarstkach. Skóra w tych miejscach była cienka i wrażliwa. Jednak Tony’emu na pewno nie spodobałoby się, gdybym zakrwawiła drogocenny sztylet. Mogłam zamiast niego użyć mojego scyzoryka.

— Jeszcze nie – powiedziała Zuhuy-kak. – Najpierw twoja córka, potem ty.

— Odesłałam moją córkę.

Kobieta nie słuchała mnie. Uniosła głowę, jakby nasłuchiwała czegoś na zewnątrz grobowca. Uśmiechnęła się.

— Liz? – Z otworu wiodącego do zewnętrznego świata doleciał głos mojej córki. – Jesteś tam? Czy wszystko w porządku?

Jak się broni spadający człowiek? Czy wyciągasz przed siebie ręce, próbując chwycić się czegoś? Jeśli nie jesteś dość ostrożny, możesz pociągnąć za sobą innych. Jeśli nie jesteś bardzo, bardzo ostrożny. Snop światła latarki odnalazł wyrwę, napełniając ją złotym blaskiem. Głowa Diane pokazała się w otworze.

— Ty nie należysz do tego miejsca – powiedziałam. – Odejdź.

Ręka trzymająca latarkę drżała.

— Nie masz prawa mi rozkazywać. – Przedostała się do środka.

— Nie. – Cofnęłam się o krok. W jej oczach tańczyły cienie, zamieniając je w ciemne zagłębienia, jak oczodoły czaszki.

Ruszyła w moją stronę, wyciągnąwszy przed siebie ręce w geście błagania lub groźby – nie wiedziałam. Cofnęłam się, ze sztyłem w dłoni, zanurzając się w jaskini. Nie bałam się zamieszkujących ją cieni. Nie obawiałam się śmierci; ta była łatwym sposobem ucieczki. Nie potrafiłam nazwać tego, czego się bałam, lecz widziałam to w wyciągniętej ręce mojej córki.

Pobiegłam, klucząc jak szczur zaskoczony w nieznanym otoczeniu. Kierował mną instynkt, który kazał mi uciekać, rzucać się na oślep w każdy tunel mogący oddalić mnie od światła, czołgać się w miejscach, gdzie nie mogłam biec, przeciskać wąskimi korytarzykami, pędząc tuż przed ścigającym mnie snopem światła. Byłam jak nocne zwierzę szukające bezpiecznych ciemności. Była za mną, wciąż tuż za mną.

— Liz? – Upuściłam latarkę i nie zatrzymałam się, żeby ją podnieść. Słyszałam ją za plecami, niezdarnie brnąc naprzód z rękami wyciągniętymi jak ślepiec, dotykając chłodnych ścian i obłych stalaktytów.

— Mamo? – zapytała, a jej głos zabrzmiał tak blisko, że skoczyłam przed siebie. Nie wylądowałam przez bardzo długi czas. Spadłam w ciepłą, aksamitną ciemność, wiedząc, że stało się to, co nieuchronnie musiało się stać, że to przeznaczenie odchodzącego katunu.

Obudził mnie ostry ból w nodze i chłód wody dokoła mnie. Przez chwilę wydawało mi się, że pływam na powierzchni Świętej Studni. Otworzyłam oczy w ciemności. Leżałam w kałuży chłodnej wody, stojącej w płytkim zagłębieniu wapienia. Biodra i nogi miałam zanurzone w wodzie, lecz ramionami opierałam się o skałę. Nienaturalnie wykręcona noga leżała pode mną, promieniując dotkliwym bólem, który kazał mi zapomnieć o bólu głowy. Zaczerpnęłam tchu, po czym spróbowałam podciągnąć się na rę-

kach i wyprostować nogę. Głośno krzyknęłam z bólu.

W odpowiedzi na ten krzyk, jak odpowiedź bogów, gdzieś nade mną błysnęła latarka, oślepiając mnie i wyrwijając kolejny okrzyk z moich ust. Nie widziałam źródła światła, będącego jasną plamą wysoko nad moją głową, ale rozpoznałam głos mojej córki. Chropowaty głos.

— Dlaczego uciekałaś? Nie musiałaś uciekać.

Mrużąc oczy, spjrzałam w stronę światła.

— To prawda. – Mój głos był równie chropowaty jak wapienna skała pode mną. Uspokoiliam się. Instynkt, który kazał mi biec, ucichł. Spjrzałam na własne ciało i w świetle latarki Diane zobaczyłam wykręconą nogę. Złamana, oceniłam. Kiedy spróbowałam przenieść ciężar ciała i podparłam się na rękach, usłyszałam chrobot kości. Przez chwilę wydawało mi się, że światło latarki odpływa, a moja głowa wypełnia się mglistą, czerwoną, dudniącą ciemnością. Kiedy odzyskałam słuch, z góry nadleciał przerażony głos córki.

— Jak się czujesz? Odezwij się. Czy wszystko w porządku?

— Mam złamaną nogę – odpowiedziałam zgrzytliwym głosem. – Musisz wrócić i sprowadzić pomoc.

— Nie mogę. – Wiązka światła nie odrywała się od mojej twarzy. Diane mówiła wysokim, napiętym głosem, bliska płaczu. – Nie znam drogi. Zgubiłam się. Biegłaś za szybko.

Zapadła chwila ciszy, w której usłyszałam kapanie wody: słodki, wysoki dźwięk. Rozejrzałam się dokoła. Obok jeziora z wapiennego podłoża wznosił się stalagmit, który spotykał się ze zwieszającym się ze sklepienia stalaktytem. Obok tak powstałej kolumny znajdował się zaokrąglony głąz, swego rodzaju ołtarz. U podstawy kolumny stało mnóstwo naczyń i figurek z gliny. Na odległych ścianach widniały malowidła. Z jednego z nich spoglądała na mnie Ix Chebel Yax, a zwinięty na jej głowie wąż szczyrzył do mnie kły. W jednej ręce dzierżyła piorun, w drugiej wstęgę tęczy. Przed nią tańczyły kobiety, a na ołtarzu leżało pomalowane jasnoniebieską farbą dziecko, z piersią wypiętą na przyjęcie ciosu noża.

— Dlaczego uciekałaś? – zapytała. – Dlaczego uciekałaś ode mnie?

Kapała woda, jednostajną, płynną nutą. W nodze czułam rwący ból, dopóki jednak nie ruszałam się z miejsca, unikałam przyszywających ukłuc, które zmuszały mnie do głośnego krzyku. Nie odpowiadałam córce, ponieważ nie miałam jej co powiedzieć. Co zaspokoiliby jej ciekawość? Śniłam o krwi. Trzymałam w dłoniach obsydianowy sztylet i obawiałam się tego, do czego byłam zdolna. Wiedziałam, że wkrótce umrę i śmierć uchroni mnie przed koniecznością udzielania odpowiedzi.

— Ja też jestem szalona – mówiła cicho moja córka. Zadrzałam w ciemności. – Chodzą za mną cienie. Chodzi za mną pewna stara kobieta.

— To nie szaleństwo – powiedziałam, ale mówienie mężczyło mnie. Chłód wody przeniknął moje kości i głos odrętwiał z zimna. Nie mogłam powstrzymać dreszczy.

— Nazywaj to, jak chcesz. – Światło przesunęło się, jakby zmieniła pozycję. – Co to za różnica? Ja jestem zagubiona tu na górze, ty na dole. Nie mogę zejść. Nigdzie stąd nie pójdziemy. Co to więc za różnica.

— Salvador cię odnajdzie.

— Wątpię.

Zamknęłam oczy przed światłem. Z pewnością potrafiłabym się wydostać z wody. Wapień schodził w dół bardzo łagodnie. Nie byłoby to wcale trudne. I tak umrę, ale nie chciałabym umierać w wodzie. Otworzyłam oczy i oparłam ręce na dnie kałuży. Pierwsza próba przesunęła mnie o dwa cale w górę i wydarła z ust skowyt bólu, jak u bitego psa. Nabrałam tchu i spróbowałam ponownie, zyskując jeszcze cal. Jeszcze raz. Wiedziałam, że jeśli przestanę, nie zdobędę się na kolejny wysiłek. Dlatego nie przestałam. Po dziesiątym razie straciłam rachubę. Do tego czasu pojedyncze okrzyki zamieniły się w nieprzerwane skomlenie, które wznosiło się i opadało wraz z bólem.

Zatrzymałam się, gdy dotarłam do suchego lądu. Noga leżała mniej więcej wyprostowana. Łatwiej było znosić ból, gdy się nie

ruszałam. Odpoczęłam i wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że moja córka mówi do mnie już od jakiegoś czasu. Wracając gdzieś z oddali, otworzyłam oczy.

— Co?

— Czy pamiętasz Boże Narodzenie, gdy podarowałaś mi kwe-
zalską koszulę z Gwatemali?

Leżałam na plecach, słuchając kapania wody.

— Tak.

— Dlaczego nie pozwoliłaś mi pojechać z tobą?

Są pytania, na które nie ma właściwych odpowiedzi.

— Nie mogłam.

— To nie jest wystarczająca odpowiedź.

Zamknęłam oczy i przywołałam wspomnienia tamtych świąt. Diane odprowadziła mnie do samochodu i zapytała, czy może po-
jechać ze mną. Na otwartej, wrażliwej twarzy widać było szczere
pragnienie.

— Nie mogłam się tobą zająć. Ledwie potrafiłam zadbać o sie-
bie. Chciałam, żebyś była bezpieczna. Wiedziałam, że Robert za-
pewni ci opiekę.

— Mogłam się zająć sobą sama. Chciałam...

— Chciałaś zbyt wiele. – Słowa zabrzmiały jak wystrzał. – Na-
dal za dużo chcesz.

Powróciły dreszcze, a ból narastał. Trzymałam oczy otwarte –
gdy je zamykałam, zostawałam sam na sam z bólem. Przedtem
zimna woda tłumiała go, teraz jednak przestało to skutkować.

— Przepraszam – powiedziałam wtedy. – Przepraszam, nie po-
winnam była zostać matką. Ja...

— Dlaczego odeszłaś?

— Musiałam.

— Dlaczego nie zabrałaś mnie ze sobą?

— Nie potrafiłam się tobą zaopiekować. – Byłam zmęczona,
tak zmęczona, że chciałam umrzeć. – Nie umiałam. – Te same py-
tania, te same odpowiedzi, w kółko i w kółko. Ból narastał we
mnie, powiedziałam więc cicho. – Przepraszam, że odeszłam. Mu-
siałam to zrobić. Kochałam cię i chciałam zostać, lecz nie potrafi-

łam.

Jej słowa spłynęły na dół niczym płatki śniegu w zimowy dzień:

— Nienawidzę cię.

— W porządku – powiedziałam cicho. – Potrafię to zrozumieć.

Może Zuhuy-kak miała jednak rację. Miałyśmy ze sobą wiele wspólnego. Obie składałyśmy niemożliwe do zaakceptowania ofiary. Obie poniosłyśmy klęskę. Zamknęłam oczy i zaczęłam znowu szukać drogi do tego odległego miejsca, w którym nie czułam bólu.

— Mamo? – Jej krzyk kazał mi wrócić.

— Jestem tutaj.

— Kim są te cienie, które za mną chodzą?

— To cienie przeszłości – rzuciłam w ciemność. Spróbowałam podnieść się na łokciu, lecz ten ruch wywołał znowu ostry ból w nodze, więc opadłam na ziemię, opierając policzek o zimny i szorstki kamień. – Przyzwyczaisz się do nich.

Chciałam jej powiedzieć znacznie więcej, lecz nie mogłam sobie przypomnieć, co. Wydawała się tak daleka, bardziej niż kiedykolwiek. Zamknęłam oczy i odeszłam.

Rozdział 24

Diane

Gdy polujesz na ludzi, tak jak ja to robiłam, nawet jeśli to martwi ludzie i ich ruiny, musisz pójść wysoko w góry, dokąd mogli zbiec i zbudować jakieś ostatnie schronienie, jak w Machu Picchu, lub w przepastne wąwozy, z których ścian sterczą ich zbielełe kości albo zmineralizowane szczęki tkwią w płytach piaskowca. Możesz też zejść do pieczar i przy odrobinie szczęścia nawet z nich wyjść, niekoniecznie jednak ze skarbem w rękach.

Loren Eiseley
All the Strange Hours

Moja matka leżała połamana na dnie wapiennej jaskini, a ja nie wiedziałam, jak stąd wyjść. Nie odpowiadała na moje wołania.

— Liz? Mamo? Do cholery, nie możesz mnie tutaj zostawić. Musisz mi pomóc. Liz?

Pieczara odbijała echem moje słowa i ciemność napełniła się przekleństwami.

— Obudź się. Wstań. No, wstawaj! – Słowa obijały się jak grzmot od ściany do ściany, załamywały się i powtarzały. Oświe-

tliłam latarką jej poskręcane ciało na dole. – No i dobrze, możesz sobie nie żyć. Nie obchodzi mnie to. Możesz sobie umierać!

Nagle z gniewu zabrakło mi słów i zaczęłam wyć. Krzyk, który zaczął się niskim jękiem bólu, narastał, przechodząc w ostry pisk, który ranił uszy, łącząc ze sobą echa i kolejne echa ech. Chciałam powstrzymać ten dźwięk, lecz nie dawał się opanować. Wypływał ze mnie jak fala wody przelewająca się przez tamę. Tłukłam otwartymi dłońmi w nierówną krawędź wapiennej skały. Czułam ból, który podsyczał krzyk. Moja twarz spływała niepowstrzymanymi łzami. To wina matki, wszystko – gniew, wycie, krew na moich rękach i okropny ból. Przede wszystkim ból.

Przez łązy ujrzałam cień kobiety tuż za kręgiem światła latarki. Kobieta stała i obserwowała mnie. Przesunęłam ręką po ścianie, usiłując znaleźć luźny kawałek skały, żeby nim rzucić. Nie znalazłszy niczego innego, błyskawicznie ściągnęłam sandały i cisnęłam nimi w prześladownicę: najpierw prawym, potem lewym. Odskoczyła w ciemność i roześmiała się, a ten śmiech bardzo przypominał skowyt bólu.

Matka leżała połamana u stóp skały. Nie chciała się obudzić. Chciała zostawić mnie tu samą w ciemności. Nie pozwolę. Zmuszę ją, żeby się przebudziła i porozmawiała ze mną. Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym rzucić i obudzić ją. Nie znalazłam niczego. Moje sandały przepadły gdzieś w ciemności, a nie miałam ochoty pozbyć się latarki. Obejrzałam skałę, po czym postanowiłam zejść na dół i nie pozwolić jej opuścić mnie znowu.

Powierzchnia skały była porowata i nierówna, nabita skamieniałymi muszlami. Wetknęłam latarkę do tylnej kieszeni dzinśów i ostrożnie opuściłam się ze skały, szukając oparcia dla stóp. Oddech miałam krótki i urywany, podobny do dyszenia zgonionego psa. Ostre krawędzie kamieni raniły moje stopy, cięży poharatane dłonie. Latarka w kieszeni poruszała się zgodnie z ruchem bioder, a jej światło ścigało cienie na sklepieniu.

Gdzieś w połowie drogi na dół zarwał się skalny występ pod moją stopą i zawisłam na rękach, rozpaczliwie szukając nowego stopnia. Trochę dalej poluzował się odłamek skały i został mi

w dłoni. Przyłgnęłam do litej ściany, po omacku błędząc ręką po jej powierzchni. Znalazłam wystający kamień, sprawdziłam, ciągnąc go najpierw lekko, potem mocniej. W końcu powierzyłam mu ciężar mego ciała i schodziłam dalej.

Gdy dotarłam do dna, drżały mi ręce i nogi. Oddychałam ciężko, a łzy stały mi w oczach i oślepiały. Dotarłam do matki i spojrzałam na nią. Leżała na plecach, z jedną ręką złożoną na piersi, a drugą wyciągniętą wzdłuż boku i spoczywającą na udzie wykręconej nogi. W świetle latarki jej twarz była bardzo blada. Ukłękłam obok niej i położyłam rękę na jej czole. Skórę miała chłodną i wilgotną.

— Nie tak szybko – mruknęłam. – Nie uda ci się wykręcić z tego tak łatwo. Nie pozwolę ci. – Mówiłam do siebie, a był to nieprzerwany strumień przekleństw i obelg szeptanych pod nosem. Wiedziałam, że mówię tylko do siebie, ale uznałam, że tak powinno być. Nikt nie usłyszy. W tym momencie nie byłam sobą. – Do diabła, nie zostawisz mnie tutaj. Nie pozwolę ci umrzeć.

Nie pamiętałam, jak się udziela pomocy ofiarom wstrząsu: podnosisz nogi, głowę czy jedno i drugie? Zostawiłam ją tak, jak leżała. Kiedy scyzorykiem rozciąłam nogawkę spodni, żeby obejrzeć jej nogę, jęknęła cicho i spróbowała się odsunąć. Wokół obrzmienia na środku łydki ciało było fioletowe i spuchnięte. Jęknęła, gdy pociągnęłam za nogę, żeby ją wyprostować. Nie miałam niczego, czym mogłabym usztywnić nogę, jedynie metalową, składaną miarkę, którą znalazłam w jej kieszeni. Przywiązałam ją pasmami materiału z nogawki jej spodni. Trzęsły mi się ręce, lecz nie zwracałam na to uwagi. Trzy razy ponawiałam próbę zawiązania ostatniego wężła. Przez cały czas mięłam w ustach przekleństwa i ocierałam pot z czoła.

Twarz miała nieruchomą i spokojną. Mokra koszula przywierała do jej ciała i zobaczyłam teraz, jaka jest chuda – krucha, drobna i słaba. Przeklinałam ją i powtarzałam, że nie uda jej się uciec, tym razem nie. Kawałki płótna trzymające prowizoryczne usztywnienie były poplamione moją krwią, która wciąż płynęła ze stóp i dłoni. Umyłam ręce w sadzawce. Woda początkowo kłu-

ła zimnem, lecz później znieczuliła rany. Umyłam twarz i ochłapałam ramiona.

Wyłączyłam na chwilę latarkę i usiadłam, nasłuchując w ciemności oddechu matki. Był płytki i urywany, lecz równomierny. Na razie nigdzie się nie wybierała. Usłyszałam szum skrzydeł i zapaliwszy latarkę, skierowałam ją na sufit, w samą porę, by oświetlić przelatującego nietoperza. Wyłączyłam światło i znowu usłyszałam ten dźwięk: kolejny nietoperz śpieszył do nieznanego celu.

Ciemność wcale mi nie przeszkadzała. Odpoczywałam, siedząc obok matki. Na pocieszenie trzymałam ją za rękę i słuchałam nietoperzy. Zdażyłam się już przyzwyczać do ciemności, gdy ujrzałam światła – najpierw migocące, jasnożółte i pomarańczowe punkciki w oddali, poruszające się kapryśnie jak świetliki albo iskierki tańczące przed oczami. Wstałam i wyjrzałam w ich stronę. Nie zbliżały się od szczytu skały, z której zeszłam na dół, ale z głębi pieczary, przez tunel, którego wcześniej nie zauważyłam.

Światła podskakiwały w naszym kierunku, coraz większe i jaśniejsze.

— Tutaj! – zawołałam. – Jesteśmy tutaj.

Jaskinia odbiła mój głos, potem ucichła. Żadnej odpowiedzi. Żadnego widocznego przyśpieszenia. Zapaliłam latarkę i pomachałam nią, a mimo to światła zbliżały się do nas tym samym, niezmiennie powolnym ruchem. Czekałam. Po chwili zrozumiałam, że to pochodnie. Dziesiątki pochodni płonących pomarańczowym światłem rozjaśniały się i przygasały w rytm ruchów niosących je ludzi. Światła odbijały się od ścian, lśniły w muszelkach. Po ścianach maszerowały cienie. Ogromne i zniekształcone, jak cienie garbusów, olbrzymów oraz fantastycznych zwierząt tańczących i kołyszących się w rytm ruchu światła. Ozdobione piórami szaty chwytaly światło i oddawały je rozszczepione na kawałki. Przybrane piórami głowy kołysały się miarowo. Pochodnie wydobyły z mroku ostre zęby – głowa lisa, tkwiąca na szyi okrytego futrem człowieka, gapiała się z rozdziawioną paszczą w sufit. Spod lisiej mordy lśniły czerwono oczy człowieka. Między

jego tańczącymi nogami plątał się lisi ogon. Obok niego pląsały inne zwierzęta: kobieta w miękkim, brązowym jelenim futrze i mężczyzna wymachujący szczękami jaguara.

Teraz słyszałam ich. Dudnienie bębnow odbijało się od ścian, każde uderzenie zwielokrotnione echem, każda ostra nuta powtarzana raz po raz. Grzechotki z tykwy śpiewały w rytm bębnow równomiernym szmerem przybrzeżnych fal. Ponad grzechotki i bębny wzbił się śpiew ludzi, głosy podnosiły się i opadały słowami, których nie rozumiałam. W tych głosach była dzikość, pasja i namiętne pragnienie. Od czasu do czasu śpiew przerywało głośnie wycie, jakby cierpiącego zwierzęcia. Zdawało się, że niknie w tłumie, podejmowane przez coraz to inne usta. Łby zwierząt odchyłały się w stronę sklepienia i skomlały do bogów.

Idąca na czele kobieta nie kroczyła, lecz tańczyła, pochylając się i podskakując, wirując w świetle pochodni, a jej cień był to garbusem, to znów olbrzymem. Miała na sobie błękitną tunikę utkaną z cienkiego materiału, przez który przenikało światło, ukazując ruchliwy cień jej ciała. Była w moim wieku, nie starsza – młoda i zwinna.

Chociaż pot perlił się na jej ciele, tańczyła, jakby nie była wcale zmęczona, podrzucając głową tak, że wplecione w jej włosy pióra kołysały się i podskakiwały.

Dochodziła do nas. Skuliłam się, wyłączyłam latarkę, przysunęłam się jeszcze bliżej do matki i objęłam jej szczupłe ramiona. Teraz wyraźnie widziałam przewodniczkę. Jeden policzek miała naznaczony ciemnymi spiralami, a delikatną skórę pod oczami pomalowaną w rozchodzące się czerwone linie, jak promienie namalowanego dziecięcą ręką słońca. Czarne włosy związała z tyłu i splotła w przetykane rzemykiem warkocze. We włosy wpięła pióra kwezala. Przy skórzanym pasku tkwił jakiś ciemny przedmiot, który wyglądał jak głowa małpy. Z prawego ucha zwisał zawieszony na rzemyku jadeitowy koralik.

Wreszcie ją rozpoznałam. To kobieta, której twarz miała kamienna głowa. Tylko młodsza, pełna wdzięku i życia. Tańczyła na szerokiej półce po drugiej stronie stawu. Pozostali otoczyli ją krę-

giem – tłum ciemnych, tatuowanych twarzy i lśniących ciał. Powietrze było gęste od dymu i zapachu kadzidła. Bicie bębnów oraz śpiewy wypełniły jaskinię, a drzenie moich rąk wydawało się naturalną reakcją. Kiedy kobieta odchyliła głowę w tył i zawyła, zacisnęłam dłonie w pięści i jęknęłam z bólu od licznych ran.

Kobieta trzymała coś w uniesionej nad głową ręce. W pewnej chwili przedmiot zaśnił w blasku pochodni: był to obsydianowy sztylet. Dopiero wtedy zwróciłam uwagę na kształt skały, wokół której tańczyła kobieta. Skalny występ tworzył naturalny ołtarz. Gdzieś w tyle kolumny rozległ się zwierzęcy ryk i jak fala przebiegł przez tłum, nabierając po drodze mocy, aż skała zdawała się drzeć po wpływie jego siły. Tłum zakołysał się wraz z tańczącą kobietą, a płomienie pochodni zamigotały na pokrywających ściany freskach.

Z początku nie zauważyłam dziecka, które stało obok ołtarza. Patrzyłam na kobietę, która nożem rozcięła swoje własne nadgarstki: rany nie były głębokie, lecz obficie krwawiły. Namaściła krwią ołtarz – ciemne plamy zaśniły w świetle pochodni.

Dziecko miało na sobie błękitną szatę, twarz i ręce pomalowane niebieską farbą. Mała dziewczynka szeroko otwartymi oczami obserwowała kobietę. Błękitna buzia miała kolor popołudniowego nieba. Farbę nałożono bardzo starannie, na całą twarz oprócz ust i ciemnobrązowych oczu. Dziewczynka złożyła rączki tuż pod brodą – one także były błękitne – i kołysała się do przodu i do tyłu w rytm ruchów tańczącej kobiety. Wokół nich zawodziły głosy, głębokie i niskie jak dudnienie ziemi.

Na moich oczach kobieta wzięła misę z rąk młodego człowieka i podeszła z nią do dziecka. Uklękła, chwyciła ręce dziecka tak, że ujęły misę, i podniosła ją do ust małej. Dziewczynka chwyciła naczynie, a po jaskini przetoczył się następny krzyk. Jego dźwięk przeraził dziecko, które kurczowo ścisnęło misę, tocząc wokół wystraszonym spojrzeniem. Kobieta w błękitnej szacie połaskotała jej ręce piórem i dziewczynka, oszołomiona, puściła misę. Kobieta dotknęła lekko głowy dziecka, potem podniosła je i zatańczyła z nim w ramionach.

Łoskot bębnów przyśpieszał, kobieta wirowała. Dziewczynka śmiała się i sięgała do kolorowych, lśniących piór zdobiących głowę kobiety. Jedna rączka triumfalnie zacisnęła się na piórze. Kobieta wirowała coraz szybciej, jej oczy płonęły w świetle pochodni.

Tancerka położyła dziecko na kamiennym ołtarzu. Dziewczynka leżała na plecach, z rączkami rozpostartymi po bokach, jakby odpoczywała na trawie w słoneczny letni dzień. Miała na sobie ślady krwi z nadgarstków kobiety, a w jednej rączce trzymała zdobyte pióro. Tancerka rozpięła pasek sukienki dziecka i delikatnie odwinęła błękitną szatę. Widziałam, jak mała roześmiała się, gdy kobieta połaskotała jej brodę piórem. Nie słyszałam śmiechu, gdyż zagłuszał go śpiew. Dziecko miało przymknięte oczy i wyglądało, jakby zapadało w sen.

Czterech mężczyzn w białych przepaskach biodrowych wystąpiło z kręgu i każdy przytrzymał jedną z kończyn dziecka. Dziewczynka uśmiechała się do tancerki, czekając na dalszy ciąg zabawy. Tancerka podniosła w górę sztylet z obsydianu, zawahała się przez moment i wbiła go w pierś dziecka. Wycie tłumy pochłonęło krzyk, który mogła wydać dziewczynka.

Krzyknęłam, zamknęłam oczy i nieświadomie musiałam ścisnąć rękę matki, bo poruszyła się i lekko szarpnęła moją dłoń. Powiedziała coś, ale jej słowa zagłuszyło bębnienie i grzechotanie. Pochyliłam się i patrzyłam na jej usta. Przez chwilę próbowała oprzytomnieć, lecz nie zdołała. Znowu znieruchomiła, a jej dłoń zwisała bezwładnie w mojej dłoni.

Ołtarz był zalany krwią, czterej mężczyźni opryskani ciemnymi plamami. Tancerka trzymała nad głową coś ciemnego i małego. Chociaż bicie bębnów nie cichło, ruchy kobiety straciły wcześniejszą płynność. W jej krokach czuło się wahanie, bębny spowolniły tempo, śpiew przycichł.

Zauważyłam biegnącego, zanim dostrzegł go zgromadzony wokół ołtarza tłum. Z oddali w podskokach zbliżała się ku nim pojedyncza plamka światła pochodni, szybko rosnąc. Zobaczyłam zbliżający się wydłużonym krokiem cień, a potem w kręgu świa-

ła pojawił się biegacz: młody chłopiec ubrany jedynie w przepaskę na biodrach.

W lewej ręce trzymał pochodnię, na prawym barku miał krwawiącą ranę. Potknął się i musiał krzyknąć, ponieważ kilku mężczyzn odwróciło się, a potem skoczyło mu z pomocą.

Śpiew ucichł. Bębny wciąż dudniły, lecz ludzie otoczyli chłopca ciasnym kręgiem. Bicie bębnów ustało. Teraz zauważyłam, że mężczyźni w tłumie byli siwowłosi, bezzębni, chromi. Śpiew zmienił się w szmer głosów. Zniknęła moc. Ucichły bębny. Przystały syczeć grzechotki. Ludzie odwrócili się na pięcie, chwycili za pochodnie i zaczęli pośpiesznie odchodzić tam, skąd przyszedli, zabierając ze sobą biegacza.

Tancerka nie ruszyła się z miejsca. Podniosła głowę, wsłuchując się w gwar, lecz nie odeszła z innymi. Nad nią płonęła pojedyncza pochodnia wetknięta w szczelinę w skale. Zwielokrotniony echem gwar nikł w oddali.

Kobieta przykucnęła przy ołtarzu. Rysy jej twarzy zastygły. Podniosła z podłogi błękitne pióro upuszczone przez dziecko i przesuwiała je między palcami. Wtem szybkim ruchem, jakby budziła się ze snu, wyciągnęła rękę i pogłaskała policzek dziewczynki. Cień zwątpienia przebiegł przez jej twarz. Przytuliła do siebie ciało dziecka i ukryła twarz w jego błękitnej szacie.

Wciąż słyszałam śpiew i łoskot bębnów. Patrząc na kobietę, czułam, że opłakuje coś więcej niż śmierć dziecka. Zastanawiałam się, jakie wieści przyniósł posłaniec. W jakiś sposób zmieniły one sens śmierci dziecka. Jaskinia była ciemna; świątynia runęła.

Kobieta przez dłuższą chwilę pozostała w tej samej pozycji. Przyglądałam się jej, nie wiedząc, czy bać się jej, czy współczuć. Szumiało mi w głowie i dudniło w uszach. Nagle, jakby z oddali, usłyszałam szloch kobiety. Podeszłam do niej. Podniosła na mnie nieobecne oczy. Myślę, że mnie widziała. Nie jestem pewna.

Wstała, a ja wróciłam do matki. Gdy tancerka układała fałdy sukni dziecka, ja sprawdziłam usztywnienie na nodze matki. Nie było dobre, ale nie widziałam sposobu, żeby je poprawić. Zużyłam jeszcze kawałek materiału, którym związałam jej ręce. Klęcząc,

wsunęłam głowę między jej złączone ramiona i podniosłam ją, jak trofeum. Pochyliłam się tak, że jej ciało opadło na moje plecy. Potknęłam się, wstając, lecz w ostatniej chwili złapałam równowagę. Kobieta właśnie podnosiła ciało dziecka, chwając się pod tym brzemieniem. Wzięła je na ramię, tak że twarz dziecka, nadal pokryta błękitną farbą i umazana krwią, skierowała się w moją stronę. W drugiej ręce kobieta trzymała pochodnię. Kiedy ruszyła przed siebie, podążyłam za nią.

Szła powoli, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby poprawić niesiony ciężar, odpocząć lub lepiej uchwycić pochodnię. Migotliwe światło łuczywa wskazywało mi drogę. Czasami przeleciał nam nad głowami nietoperz – z łopotem skrzydeł i piskliwym zawodzeniem. Słuchałam odgłosów naszych kroków, odległego, melodyjnego dzwonienia wody wpadającej do jeziora, płytkiego oddechu matki. Robiła się coraz cięższa, ale kobieta często przystawała, a kiedy ona odpoczywała, ja też nabierałam sił, opierając się o ścianę jaskini. Znad ramienia kobiety obserwowały mnie nieruchome oczy dziewczynki.

W powietrzu wisiał zapach kadzidła. Pot spływał mi po plecach, a przemoczone dzinsy przywierały do nóg. Kamień pod naszymi stopami był śliski, wygładzony stopami wielu przechodniów. Raz pośliznęłam się i dotkliwie stłukłam kolano: jeszcze jedno źródło bólu oprócz pokaleczonych stóp i dłoni. Starłam się nie zwracać na to uwagi i patrzeć na drogę przed nami. Czy jesteśmy w drugiej, czy trzeciej, wypełnionej stalaktytami komorze? Czy brnę tak od kilku godzin, dni, tygodni czy też lat? Nie miało to znaczenia. Oddech matki chrypiał przy moim uchu i wciąż szłam. Tylko to było ważne.

Matka ciążyła mi coraz bardziej. Zastanawiałam się, czy nie położyć jej, by odpocząć przez chwilę, lecz patrzyłam na migocące przed nami światło pochodni i szłam dalej. Moje stopy poruszały się w rytm uderzeń bębnow, miarowego bicia, które współgrało z rytmem mego serca oraz cichymi westchnieniami matczynego oddechu.

Bariery opadły. Nadal był we mnie gniew, który kazał mi krzy-

czec na matkę i uderzać dłońmi o skałę aż do krwi, zmienił się jednak jego charakter. Pierwszy, dziki poryw wydarł mi z duszy krzyk. Teraz czułam w sobie silny, wzbierający strumień, bardziej przypominający łagodny przypływ niż niszczącą nawałnicę; szeroka, wielka rzeka, silna i spokojna, wijąca się jak wąż. Niosła mnie, jak łódkę na fali. Jej głębiny tonęły w mroku, nie widziałam dna. Musiałam jednak pozwolić nieść się z prądem, nie mogłam się jej oprzeć. Wielka rzeka oczyściła mnie, obmyła z grzechu, wykąpała w mojej własnej krwi, przeciągnęła przez ciemne tunele i pieczary aż do ślepego zaułka. Wtem zgasła pochodnia. Zniknęła kobieta. Ślepy zaułek.

Opuściłam ciało matki na ziemię i usiadłam obok niej. Jej ręce pociemniały i spuchły wokół miejsc, gdzie więzy odcięły dopływ krwi. Poluzowałam je i roztarłam nadgarstki, żeby je rozgrzać i przywrócić krążenie. Zamknęłam oczy, wdzięczna za chwilę wytchnienia. Usłyszałam nietoperza nad głową, lecz nie on przykuł moją uwagę, ale ciche pohukiwanie sowy w ciemności – na zewnątrz jaskini. Nozdrzami chwyciłam zapach chłodnej, suchej dżungli.

Światło latarki odnalazło szczelinę: wąską szparę wysoko nad moją głową. Zostawiłam matkę na kamiennej podłodze i zaczęłam się wspinać. Na litej ścianie niewiele było punktów zaczepienia, a te, które znalazłam, były pokryte odchodami wielu pokoleń nietoperzy. Wspięłam się na wysokość około pięciu stóp, potem wyciągnęłam rękę, chwyciłam krawędź półki i przecisnęłam przez wąską szczelinę.

W dżungli panowała noc, lecz nie taka ciemna, jak w jaskini. Upadłam na plecy i nasłuchiwałam odgłosów – nawoływań nieznanymi ptaków, szelestów zwierząt. Wszystko było dobrze. Jakoś wydostanę matkę z dołu. Będzie dobrze. W oddali zahukała sowa, a ja roześmiałam się głośno.

Rozdział 25

Elizabeth

Czy ta ścieżka ma serce? Jeśli tak, jest dobrą ścieżką. Jeśli nie, jest bezużyteczna. Obie prowadzą donikąd. Jednak pierwsza ma serce, a druga nie. Pierwsza obiecuje radosną podróż, tak długo jak nią podążasz i ty jesteś radosny. Idąc drugą, będziesz przeklinał swój los. Pierwsza dodaje ci siłę; druga cię osłabia.

Carlos Castaneda
Nauki Don Juana

O budziłam się ze snu o spadaniu. Byłam sama na sali meksykańskiego szpitala, z nogą w gipsie, rurką w ręce i w głupiej, szpitalnej koszuli spowijającej moje stare, pobijane ciało. Kiedy zawołałam, nadeszła pielęgniarka, a ja zapytałam ją, jaki to dzień. Powiedziała, że to niedziela; policzyłam, że to Ahau, pierwszy dzień nowego roku.

Wreszcie wpuścili do mnie Barbarę. Okazało się, że to moja córka wywlokła mnie z jaskini, za pomocą sznura, który znalazła w szopie wybudowanej dla robotników z hacjendy. Wyjście z jaskini znajdowało się w pobliżu niej. Miejscowi wiedzieli o jej istnieniu, lecz – podobnie jak wielu innych jaskiń na Jukatanie – ni-

gdy dokładnie jej nie przebadano.

Moja córka wyniosła mnie na drogę, a potem zatrzymała samochód meksykańskiego restauratora, który gdy tylko rzucił na nas okiem, natychmiast zawiózł do szpitala Juareza. Córka miała wiele niegroźnych skaleczeń i potłuczeń. Po opuszczeniu szpitala skontaktowała się z Barbarą. Kiedy powiedziano jej, że z pewnością nic mi już nie zagraża, wróciła do Stanów. Opowiadając to wszystko, Barbara przyglądała mi się spod oka.

Nie wierzyłam, że powtórzyła mi wszystko, co usłyszała od mojej córki, i powiedziałam jej to. Barbara tylko wzruszyła ramionami. Nie miałam siły nalegać. Poza tym jeśli moja córka chciała mieć swoje tajemnice, to miała do tego pełne prawo.

Znów zasnęłam, a kiedy się zbudziłam, miejsce Barbary zajęła Zuhuy-kak. Tutaj wyglądała bardzo ulotnie, była raczej złudą kobiety siedzącej na miękkim, pokrytym skórą krześle. Widziałam przez nią taśmę, którą przymocowano plastikową tapicerkę.

— Już po wszystkim? – zapytałam.

Ani drgnęła.

— Wciąż chciałabym wiedzieć kilka rzeczy – powiedziałam. – Nadal zamierzam wykopać twoje kości i jeszcze raz zajrzeć do wazy.

Wzruszyła ramionami.

— Tutaj nie mogę z tobą rozmawiać – szepnęłam poirytowana. – Nie pozwalają mi palić. Zdaje się, że ta cholerna amerykańska propaganda antynikotynowa dotarła nawet tutaj.

Znikła, gdy pielęgniarka otworzyła drzwi, i wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, że przez cały czas mówiłam do niej po angielsku. Pojechałam do domu tydzień po Tonym. On wrócił w skrzyni, ja o kulach. Poproszono mnie o wygłoszenie przemówienia nad jego grobem, ale wykręciłam się złym stanem zdrowia. Wydział postarał się o świetną, bezosobową mowę pochwalną, odmalowującą Tony'ego w różowych barwach, jako człowieka bez skazy, niczym stojącego przy ołtarzu cherubina.

Zabrałam notatki i wróciłam do Berkeley. Posłałam Diane karteczkę z prośbą, żeby skontaktowała się ze mną, kiedy przyjdzie

jej na to ochota. Nie wiedziałam, co jeszcze mogę jej powiedzieć. Moja noga nie goiła się dobrze. Kulałam, szczególnie przy deszczowej pogodzie, i spacerowałam z laską, którą Barbara kupiła dla mnie na targu w Méridzie. Wróciłam na uniwersytet u progu zimowego semestru. Pod wpływem zainteresowania opinii publicznej odkryciami w Dzibilchaltún trzy wydawnictwa rywalizowały o prawa do pierwszego wydania mojej nie ukończonej jeszcze książki zatytułowanej *Kamienne Miasto*. Opracowałam plan powrotu do Dzibilchaltún i dokończenia badań grobowca oraz ośrodka kultu. W pracach nad tym projektem miała mi towarzyszyć Barbara. Nadal spotykałam cienie z przeszłości, lecz żaden ze mną nie rozmawiał.

Pewnego pochmurnego dnia przystanęłam na drewnianym mostku nad Strawberry Creck, żeby popatrzeć, jak indiańska kobieta plecie kosz ze zmiękczonej wodą trzciny. Ktoś oparł się o balustradę obok mnie. Podniosłam oczy, spodziewając się ujrzeć jednego z moich studentów. Diane patrzyła w dół, na strumień. Przez chwilę nie podnosiła oczu. Kiedy na mnie spojrzała, było w jej oczach coś innego, jakaś nowa pewność siebie, ufność, której nie było w niej wcześniej.

— Doszłam do wniosku, że także jestem szalona – powiedziała. Głos miała spokojny, nie wyglądała na zaniepokojoną. – Trwało to chwilę, ale już się z tym pogodziłam. Tak naprawdę wcale mi to nie przeszkadza.

Urwała, a ja usłyszałam pieśń nuconą przez Indiankę, chaotyczną piosenkę dziwnej melodii.

— Barbara mówi, że szykujesz kolejną wyprawę do Dzibilchaltún – powiedziała. – Chciałabym pojechać z tobą.

Patrzyłam, jak kobieta starannie przekłada włókna trzciny, układając zawity wzór przeplatających się jasnych i ciemnych pasm.

— Nie wiem, co tam znajdziemy – powiedziałam.

— Nigdy nie wiesz, co odkryjesz, grzebiąc w przeszłości – odpowiedziała.

— To prawda – powiedziałam.

- Czy mogę pojechać?
- Myślę, że to się da załatwić – powiedziałam i odwróciłam się, a Diane podała mi ramię. Przyjęłam je po chwili wahania.
- Opowiedz mi – poprosiła – o cieniach przeszłości.

Spis treści

[Wprowadzenie](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Nagroda](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Uwagi o Kamiennym Mieście Elizabeth Butler](#)

[Rozdział 1. Elizabeth Butler](#)

[Uwagi o Kamiennym Mieście Elizabeth Butler](#)

[Rozdział 2. Diane Butler](#)

[Rozdział 3. Elizabeth](#)

[Rozdział 4. Diane](#)

[Uwagi o Kamiennym Mieście Elizabeth Butler](#)

[Rozdział 5. Elizabeth](#)

[Rozdział 6. Diane](#)

[Uwagi o Kamiennym Mieście Elizabeth Butler](#)

[Rozdział 7. Elizabeth](#)

[Rozdział 8. Diane](#)

[Rozdział 9. Elizabeth](#)

[Uwagi o Kamiennym Mieście Elizabeth Butler](#)

[Rozdział 10. Diane](#)

[Uwagi o Kamiennym Mieście Elizabeth Butler](#)

[Rozdział 11. Elizabeth](#)

[Rozdział 12. Diane](#)

[Rozdział 13. Elizabeth](#)

[Rozdział 14. Diane](#)

[Rozdział 15. Elizabeth](#)

[Rozdział 16. Diane](#)

[Rozdział 17. Elizabeth](#)

[Rozdział 18. Diane](#)

[Rozdział 19. Elizabeth](#)

[Rozdział 20. Diane](#)

[Rozdział 21. Elizabeth](#)

[Rozdział 22. Diane](#)

[Rozdział 23. Elizabeth](#)

[Rozdział 24. Diane](#)

[Rozdział 25. Elizabeth](#)